



Lisa Jewell

**Impreza
u Ralpha**



LITERATURA
W SPÓDNICY

„Na przyjęciach zawsze jest tak, że nigdy nie spotykamy ludzi, których chcielibyśmy spotkać, nigdy nie mówimy rzeczy, które chcielibyśmy powiedzieć — ale tak samo jest w życiu...”

Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*

Dla Jashy i Yasmin

RS

RS

Dziękuję Katy, Sarah i Nickowi za to, że rozdział po rozdziale, miesiąc po miesiącu, czytali moją książkę w trakcie jej powstawania oraz za ich niesłabnące pozytywne i entuzjastyczne podejście. Dziękuję również Tobie, Yasmin, za to, że zachęciłaś mnie do napisania tej książki, oraz za Twoją inspirację. Naprawdę, bez Ciebie nie dałabym sobie rady. I wreszcie dziękuję Ci, Jasha, za to, że — chociaż nie wiedziałeś nic o współczesnej literaturze kobiecej — to jednak byłeś mi wspaniałym przyjacielem i podjąłeś to ryzyko. Dziękuję za to, że regulowałeś moje rachunki, płaciłeś za kolacje, kupiłeś mi komputer i zapewniłeś dach nad głową. Co za mężczyzna!

PROLOG

Smith odłożył słuchawkę i rozejrzał się po salonie. Tego wieczora przyszło już parę osób, lecz po tym nalocie w mieszkaniu panował jeszcze względny porządek.

Zebrał puste kubki i szklanki i zaniósł je do kuchni. Robiło mu się jakoś dziwnie i niewyraźnie na myśl, że przedmioty te wciąż noszą ślady ust, palców, śliny i mikroorganizmów zostawionych przez obcych ludzi, którzy tego wieczora byli w ich domu, którym pokazał swoją łazienkę, którzy widzieli jego szlafrok niechlujnie wiszący na drzwiach sypialni, siedzieli na jego kanapie w obcych ubraniach, mieli obce imiona i życia; obcych ludzi, którzy mieli okazję zerknąć w życie innych obcych ludzi.

Ralph i Smith podejmowali decyzje szybko i bezwzględnie. W ciągu jednej chwili stawało się oczywiste, że ktoś im nie pasuje, ale nie rezygnowali z oprowadzania go po domu: „A tu jest kuchnia — na pewno ucieszy cię wiadomość, że mamy zmywarke i suszarkę do naczyń!”, pogawędki: „Smith w dni powszednie wstaje razem z kurami, ale w weekendy obaj zalegamy na kanapie”, wywiadu: „W jaki sposób zarabiasz na życie?” i zakończenia: „Mamy jeszcze paru chętnych do obejrzenia mieszkania, daj nam swój telefon, zadzwonimy”. Zawsze pełne piętnaście minut, żeby niechciany obcy wyszedł z wrażeniem, że ma szansę i poważnie biorą go pod uwagę.

Podczas rozmowy przez telefon Jason rokował pewne nadzieje, ale okazało się, że szuka gotowego życia towarzyskiego.

— Chciałbym zamieszkać w domu, który tętni życiem, kumacie? — powiedział z szeroko rozwartymi oczami, z których emanował nadmierny entuzjizm.

— Eee, czy mógłbyś to jakoś rozwinąć? — poprosił Ralph, myśląc o tych nocach, kiedy ze Smithem w milczeniu skaczą bezmyślnie po czterdziestu siedmiu kanałach kablówki, a o północy, narąbani, idą spać.

Jason wyprostował się na kanapie i położył dłonie na kolanach.

— Na przykład tam, gdzie teraz mieszkam, codziennie wieczorem, kiedy wracam z pracy, nikomu nic się nie chce robić. To mnie wkurza, kumacie?

Ralph i Smith pokiwali współczująco głowami i poczuli się staro.

Monica była świeżo nawróconą chrześcijanką — czy będzie im przeszkadzać, jeśli czasami zaczną mówić językami? — a Roksana próbowała się wyrwać z toksycznego małżeństwa. Przez całe spotkanie trzęsły jej się ręce i nie potrafiła skupić wzroku na jednym przedmiocie. Wyjaśniła, że razem z mężem przechodzą „próbną separację”. Ralph i Smith doszli do wniosku, że dla nich najlepsza będzie trwała separacja od tej smutnej, acz nieznosnej sytuacji.

Simon był uroczy, ale ważył przynajmniej sto pięćdziesiąt kilo, a jego sylwetka chwilowo zakłóciła proporcje mieszkania. Kanapa, co jej się wcześniej nie zdarzało, wydała z siebie bolesny dźwięk, zanim ostrożnie opuścił na nią swój ciężar. Rachel miała taki rodzaj cery, który sprawiał, że zaraz po jej wyjściu mieli ochotę odkurzyć całe mieszkanie, a John załatywał Pedigree Chum. Już prawie stracili nadzieję.

— Kto dzwonił? — Ralph włączył telewizor i rozwalił się na kanapie z pilotem w dłoni przygotowanym do natychmiastowego użycia.

— Ktoś w sprawie mieszkania — odparł Smith z kuchni.
— Dziewczyna. Już tu jedzie. Miała miły głos. — Kopnięciem zamknął drzwiczki zmywarki. — Ma na imię Jem.

* * *

Jem najpierw skręciła w Battersea Rise, którą doszła do Almanac Road z szeregiem dwupiętrowych edwardiańskich domów, podłużnych, wąskich i z piwnicami — niespotykana rzecz w tej części południowego Londynu.

Kiedy tak szła ulicą i z ciekawością zaglądała przez odsłonięte story do suterren, zaczęło ją ogarniać dziwne wrażenie, że już kiedyś tu była. W proporcjach domów, szerokości chodnika, kolorze cegieł i zachwaszczonych odstępach między młodymi drzewkami rosnącymi po obu stronach jezdni było coś znajomego.

Zatrzymała się pod numerem trzydzieści jeden, a wrażenie swojskości jeszcze się wzmogło. Nagle poczuła się bezpiecznie, jak dziecko wracające po męczącym dniu do ciepłego domu i sobotniego popołudniowego programu w telewizji.

Zajrzała do sutereny i zobaczyła młodego mężczyznę stojącego tyłem do okna, rozmawiającego z kimś poza zasięgiem jej wzroku. To właśnie wtedy zrozumiała, że rzeczywiście już kiedyś tu była. Może nie w tym konkretnym miejscu, ale tamto wyglądało bardzo podobnie. Znała je ze snów, które miewała, odkąd była nastolatką — mieszkanie w suterenie w wysokim domu z tarasem. Zaglądała tam nocą przez okno, w pokoju było jasno. Na kanapie jakiś mężczyzna, którego twarzy nie mogła dojrzeć, palił papierosa. Jej przeznaczenie. Czy to on?

Zadzwoiła do drzwi.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziewczyna stojąca w drzwiach była drobniutka, miała niecałe 160 centymetrów wzrostu i czarne, kręcone włosy upięte na czubku głowy za pomocą spinek i klipsów w skomplikowaną, lecz bardzo kobiecą fryzurę, która wyglądała tak, jakby puszczała pędy winorośli. Była ładna, o policzkach zarumienionych, jakby przed chwilą uprawiała seks, i gorzko-słodkich ustach z nieco cofniętą dolną wargą oraz błyszczących, musztardowych oczach w oprawie wytuszowanych rzęs i cienkich, lecz ruchliwych brwi. Powinna nosić muśliny godne nimfy leśnej i koronkowe sandały, ona jednak miała na sobie nie mniej czarujące wdzianko z miękkiej flaneli z kołnierzykiem i mankietami obszytymi futerkiem oraz krótką spódniczkę, która bardziej rzucałaby się w oczy na wyższej kobiecie. Koniuszek nosa miała uroczo zaróżowiony.

Smith zaprosił Jem do korytarza, patrząc, jak odwraca głowę to w jedną, to w drugą stronę, oglądając obrazy na ścianach, zaglądając przez uchylone drzwi i poklepując blaty stołów, które mijają. Była zdecydowanie ładniutka. Odwróciła się do Smitha.

— Ślicznie tu, naprawdę, naprawdę ślicznie. — Uśmiechnęła się szeroko, po czym nagle odwróciła się do ściany, chwyciła obiema rękami kaloryfer i wydała z siebie westchnienie ulgi.

— Przepraszam. — Roześmiała się. — Ręce mi zmarzły, są jak dwa sople lodu, sam zobacz. — Zacisnęła małe, białe dłonie w pięści i przyłożyła je do policzków Smitha. — Na dworze jest strasznie zimno! — Smith drgnął i nagle ogarnęło go oniesmielenie. — Pójdziemy do kuchni? Napiałabym się herbaty.

— Jest za salonem — wyjaśnił Smith, usiłując ją wyprzedzić.

— A, tak. Wiem, gdzie jest kuchnia. Widziałam przez okno. Z zewnątrz. — Znowu się roześmiała. — Przepraszam, okropnie jestem wścibska. A dzisiaj obejrzałam już tyle paskudnych mieszkań, że chyba nie odważyłabym się wejść do twojego, gdyby nie wyglądało tak ładnie.

Weszli do kuchni.

— Mój współlokator jest gdzieś w domu — powiedział Smith, nalewając wody do czajnika. — Pewnie w swoim pokoju. Ma na imię Ralph. Zrobię herbatę i zaprowadzę cię do niego.

Jem oglądała półkę z ziołami i przyprawami. Plastikowe wieczka słoików pokrywała warstwa tłustego kurzu; wszystkie były pełne.

— Czy ty i Ralph w ogóle gotujecie? — spytała. Smith się roześmiał.

— Eee, to chyba mówi samo za siebie. — Otworzył drzwi lodówki, za którymi ukazały się półki zavalone kolorowymi paczkami z napisami „Zielone curry po tajlandzku”, „Kurczak po kreolsku z ryżem cajuńskim”, „Kurczak Tikka Masala” oraz wiotkimi przezroczystymi torebkami ze świeżymi sosami do makaronu i zupami.

— O Boże, typowi chłopcy! Okropnie drogi sposób odżywiania się! — wykrzyknęła Jem. — Wiesz, gotowanie to fantastyczna rzecz... nauczę cię. I Ralpha, jeśli chcesz. — Wypowiedziała imię Ralpha zupełnie swobodnie, jakby go znała. — Świetnie gotuję. Tak mi się wydaje. No, przynajmniej tak mi mówiono. Potrafię ugotować curry po tajlandzku. Te gotowe potrawy są strasznie niezdrowe, przez tę sól, której tyle dosypują, żeby w ogóle miały jakiś smak. — Zamknęła lodówkę i wróciła do salonu.

— Chcesz mnie o coś spytać? — zawołała, biorąc gazetę z półki i czytając ostatnią stronę.

— Z mlekiem i cukrem? — odkrzyknął Smith.

— Masz miód?

Smith otworzył i zamknął parę drzwiczek w kredensie, ale bez skutku.

— Nie! — krzyknął. — Ale jest trochę melasy.

— Wspaniały pokój. Bez urazy, ale zupełnie nie wygląda, jak tu mieszkali chłopcy.

— Dziękuję. — Smith poczuł się nieco skępowany i zaskoczony tym, że chociaż miał trzydzieści lat, został nazwany chłopcem.

Jem obrzuciła szybkim spojrzeniem różne przedmioty porzucane na blacie ciemnego drewnianego stolika do kawy inkrustowanego ozdobnym ornamentem z brązu. Lubiła zagracone stoliki — dawały tyle interesujących wskazówek na temat codzienności i treści życia ich właścicieli. Na stoliku Ralpha

i Smitha leżała kolekcja pilotów, program telewizji satelitarnej, popielniczka pełna niedopałków, dwie paczki czerwonych marlboro, wizytówka, pudełko zapalek i ulotka pizzy na telefon. Gdzieś pod spodem wypatrzyła album, pęk kluczyków do samochodu i ledwo widoczny, lecz rozpoznawalny kawałek tekturnki oddarty od paczki bibulek Rizla. Jem uśmiechnęła się lekko na ten widok.

— Chodźmy się przywitać z Ralphem. — Smith stanął w drzwiach. Jego twarz spowijały kłęby pary buchającej z kubka. — A potem cię oprowadzę po mieszkaniu.

Ralph ledwo zwrócił uwagę na Jem, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy. Właśnie się kłócił ze swoją dziewczyną, Claudią, siedząc przy biurku, z telefonem wciśniętym pod brodę, niedbale owijając elastyczny kabel w ciasne więzy wokół nadgarstków w najwyraźniej podświadomej próbie odcięcia sobie dopływu krwi i zakończenia tej boleśnie przewidywalnej sytuacji.

Kiedy wszedł Smith, Ralph skrzywił się, wyjął telefon spod brody i odsunął go pół metra od twarzy, żeby Smith usłyszał blaszane marudzenie nieszczęśliwej kobiety. Włączył głośnik.

— Czuję się tak, jakbym to ja odwalala całą robotę, Ralph, wiesz, o czym mówię? Nie, oczywiście, że nie wiesz. Kogo ja próbuję oszukać? Ty nie widzisz nic poza swoim pilotem... dopóki masz w ręku jakieś urządzenie, które cię chroni przed zrobieniem czegoś innego, czegoś, co wymagałoby ruszenia dupy i wzięcia się do roboty...

— Ralph — szepnął Smith. — To jest Jem.
Jem z progu mrugnęła do Ralpha.

Ralph zobaczył niską, uśmiechniętą dziewczynę z pędami włosów wokół twarzy.

— Słuchasz mnie, Ralph, czy włączyłeś ten cholerny głośnik?

Ralph uśmiechnął się przeproszająco do Jem, bezgłośnie wymówił: „Miło mi cię poznać”, znowu wyłączył głośnik i zaczął coś niezrozumiale mruzczyć do słuchawki.

Smith i Jem wyszli z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Claudia bywa bardzo... wymagająca. Potrafią tak gadać całymi godzinami. Biedny stary. — Smith uśmiechnął się przemądrzale i upił łyk herbaty.

— To znaczy, że ty nie masz dziewczyny, Smith?

— Jesteś bardzo spostrzegawcza — odparł niechętnie. — Nie, nie mam.

Nie po raz pierwszy od przyjścia Jem poczuł się nieswojo. Chciał być przyjazny i serdeczny, sprawiać dobre wrażenie, ale choć bardzo się starał, po prostu nie potrafił, i zachowywał się chłodno i nieuprzejmie. Wyciągnął rękę, ujął antyczną klamkę i pchnięciem otworzył drzwi.

— To będzie twój pokój. — Sięgnął do ściany po lewej stronie, żeby zapalić światło. — Dość mały, jak widzisz, ale masz tu wszystko.

Pokój był maleńki i w kształcie litery L. Ściany były wyłożone boazerią w kolorze karmelu, a pokój oświetlała lampa sufitowa w oprawie z brązu i ze szklanym kloszem w kształcie gwiazdy. Na drugim końcu pomieszczenia stało jednoosobowe łóżko przykryte indiańską narzutą w żywych barwach i kilkanaście ogromnymi poduchami z chwaścikami i frędzlami. Naprzeciwko stała szafa z lat dwudziestych z lustrzanymi drzwiami, a po przeciwnej stronie znajdowało się pojedyncze okno, zasłonięte ciężkimi kotarami z gęstym wzorem, oraz mała komoda pomalowana czarną emalią.

Jem odwróciła się i chwyciła obie dłonie Smitha.

— Jest absolutnie cudowny. Cudowny. Wiedziałałam, że bardzo mi się spodoba. Mogę tu zamieszkać? Proszę! — Jej dziecinna twarz promieniała, a małe dłonie miała rozgrzane od herbaty.

— Najpierw pokażę ci resztę mieszkania, a potem pogadamy. — Smith nadal czuł dotyk jej dłoni. — Muszę też porozmawiać z Ralphem... mnóstwo ludzi oglądało ten pokój. Muszę się z nim skonsultować. — Czuł, że się rumieni, i odwrócił się od Jem.

— OK — rzuciła lekko. Nie martwiła się. Już wiedziała, że to będzie jej pokój.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siobhan wiedziała, że powinna się cieszyć. Przecież to ALR — Ali London Radio. To coś, naprawdę.

Kiedy Karl jej o tym powiedział tego wieczora, wpadła w ekstazę — spełniły się wszystkie jego marzenia. Teraz dzwonił do swojej irlandzkiej matki i rosyjskiego ojca w Sligo, żeby im przekazać tę wiadomość. Spojrzała na niego znad książki. Jego miękka, przystojna twarz tryskała energią, jakiej nie widziała u niego od lat, kiedy tłumaczył swej bez wątpienia aż pękającej z dumy matce, że jej jedynemu synowi, jej drogiemu, słodkiemu Karlowi, właśnie przydzielono najbardziej atrakcyjny czas na antenie największej stacji radiowej w Londynie.

Nie mieściło jej się to w głowie: „Dobry wieczór, Londynie, witam w programie Karla Kasparova”. Jej Karl, nie jakiś anonimowy, głupi DJ, ale jej Karl, będzie miał tysiące słuchaczy, własne dzingle, będzie przeprowadzał wywiady. Jego nazwisko znajdzie się w programie radiowym: „15.30-18.30 — Karl Kasparov”. Audycję tę, program Karla, nazwano „Radio kierowcy”. Karl będzie prowadził audycję „Radio kierowcy”.

Siobhan wyobraziła sobie klasyczny scenariusz „Gorączki wielkiego miasta” — korki na ulicach w parny, letni dzień, samochody tłoczące się zderzak przy zderzaku i dźwięk głosu Karla mrużący z radioodbiorników samochodowych: „Straszny dzisiaj upał, więc się wyluzujcie i posłuchajcie «Radia kierowcy* w ALR, zanim zasiądziecie przed telewizorami”.

Z zamyślenia wyrwało Siobhan ledwo słyszalne skamłanie. Było za piętnaście jedenasta — w całym tym podnieceniu zupełnie zapomnieli o Rosanne. Siedziała teraz w stoickiej pozie przy drzwiach salonu, świadoma, że dzisiejszy wieczór nie należy do normalnych, usiłując — bez irytowania swych właścicieli — przekazać wiadomość, że mimo wszystko ona nadal ma pęcherz i że robi się coraz później.

— Ojej, malutka, zapomnieliśmy o tobie! — Na dźwięk współczującego głosu Siobhan Rosanne nieśmiało zamachała ogonem, który to ruch nabrał mocy i prędkości, gdy Siobhan skierowała się w stronę haczyka w korytarzu, na którym wisiała smycz. — Karl, wyprowadzam Rosanne na siusiu. Chodź, mała! No, na spacerek!

Siobhan wcisnęła się w palto, o wiele ciaśniejsze w ramionach i klatce piersiowej niż przed rokiem, a Rosanne zaczęła z zachwytem dyszeć, czekając przy drzwiach wyjściowych na swoją panią.

Siobhan z przyjemnością wyszła na chłodne, nocne powietrze. Od centralnego ogrzewania, podniecenia i szampana aż jej się kręciło w głowie. Była piękna październikowa noc, a wysokie, starawe domy na Almanac Road wyglądały elegancko pod czarnym jak smoła niebem, na którym jaśniał ogromny księżyc w pełni.

Rosanne najwyraźniej odczuwała działanie tej pełni. Niepewnie wciągała powietrze, a w jasnym, białym świetle jej czarna sierść nabrała dodatkowego połysku. Doszły do końca ulicy. Siobhan rozważała kwestię własnych uczuć. Już się zdażyła przyzwyczaić do tego, że razem z Karlem objijają się w swym mało imponującym życiu. Nigdy przedtem nie martwiła się, że nie pracuje, odkąd straciła posadę technika w szkole projektowania odzieży w Surrey — wiązała koniec z końcem dzięki sporadycznym zamówieniom na suknie ślubne i ręcznie szyte poduszki dla sklepu z artykułami do wystroju wnętrz na Wandsworth Bridge Road. A weekendowa praca Karla jako DJ-a w miejscowych pubach i na imprezach plus to, co zarabiał w Sol y Sombra jako instruktor ceroca*¹, spokojnie wystarczały na spłacante licej hipoteki i skromne wydatki na życie.

Karl i Siobhan — najzwyczajniejsza para na świecie. Siobhan zawsze postrzegała to w ten sposób i знаła mnóstwo osób, które zazdrościły im ich stylu życia oraz ich związku. Nie mogła wymagać więcej od życia — mieli śliczne mieszkanie, które udało im się kupić za pół ceny, zanim Battersea zdrożało, cudownego psa, przyjaciół, których znali od czasów studiów, związek pełen śmiechu i luzu — najsolidniejszy, jaki znali ich przyjaciele, przykład dla wszystkich, wzór do naśladowania. Żadne z nich nie

¹ * Ceroc — współczesna odmiana jive'u, taniec podobny do salsy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

spalało się w pracy. Myśl, że to wszystko miałoby się zmienić, napawała Siobhan przerażeniem.

Nagle stanie się istotne to, że zaczęła tyć, Karl zauważy, że jej życie zmierza donikąd. Będzie wracał z pracy w radiu, podkrecony i nabuzowany, pełen sławy i sznurowatych piosenek z listy przebojów i znajdzie cielsko Siobhan rozwalone na kanapie, przygwożdżone do Coronation Street, jej brzuch napęczniały od potwornych ilości jedzenia, jakim się opychała pod jego nieobecność, bo już nie lubiła jeść przy Karlu — i co on wtedy sobie pomyśli?

Czy nadal będzie jeździł małym, czarnym embassy rocznik 1966, który sprowadził sobie z Indii rok po skończeniu studiów? Czy nadal będzie nosił swoje stare bawełniane spodnie z dziurą na kolanie i stare, zdarte mokasyny, które sobie kupił jeszcze zanim się poznali? Czy nadal będzie nakładał te śmieszne tybetańskie skarpety ze skórzanymi podeszwami, które wciągał zaraz po przyjeździe z pracy, w których robił herbatę i oglądał filmy dokumentalne z Rosanne na kolanach?

Czy nadal będzie ją kochał?

Zrobiło się zimno — zima przestała nieśmiało pukać do drzwi, wdarła się do środka i zagościła na dobre. Siobhan podniosła wzrok w samą porę, by dostrzec wiotką fioletową chmurkę, która przepłynęła przed księżycem i z powrotem zniknęła w mroku.

— Chodź mała, wracamy.

Ruszyły zwawo Almanac Road w stronę światła i ciepła panującego pod numerem trzydziestym pierwszym. Kiedy Siobhan szukała w kieszeni kluczy do drzwi frontowych, usłyszała jakieś głosy. Spojrzała w dół i zobaczyła ładną, ciemnowłosą dziewczynę wychodzącą z mieszkania w suterenie. Przez cały wieczór drzwi się tam nie zamykały. Była ciekawa, co też tam się działo.

W korytarzu odpięła smycz od obroży Rosanne i pies wpadł do salonu, prosto na kolana Karla. Karl przytulił ją, pozwolił, by mu oblizała twarz, a Siobhan obserwowała tę scenę z korytarza, ściągając rękawy przyciasnego palta. Uśmiechnęła się do siebie szeroko i ciepło, wyryła sobie tę scenę w pamięci i dała się zalać fali radości swego bieżącego życia, była bowiem pewna, że wkrótce się ono zmieni.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ralph i Smith przyjaźnili się od piętnastu lat. Przedtem przez cztery lata byli wrogami — od pierwszego dnia w szkole podstawowej. Smitha irytowała aura kreatywności i nieco zniewieściał sposób bycia Ralpha, natomiast Ralph czuł się zagrożony przez z taką łatwością zdobytą popularność i bez wysiłku osiągnięte sukcesy naukowe Smitha. Obracali się w różnych kręgach towarzyskich, a kiedy już ich ścieżki się krzyżowały, prychnęli na siebie i warczeli jak agresywne psy w parku, a przyjaciele trzymali ich na wodzy jak zniecierpliwieni właściciele szarpiący za smycze.

Trzeba było dopiero dziewczyny, żeby się do siebie zbliżyli. Była studentką z Baltimore pochodzącą z zagranicznej wymiany, miała na imię Shirelle i przez dwa miesiące mieszkała u Smitha i jego rodziców. Przyjechała do Londynu w maju, w dżinsach dzwonych z mankietami i włochatym turkusowym wełnianym swetrze z kapturem. Jej włosy, długie i proste, podkreślała pociągniętą twarz.

Wypatrzyła Ralpha podczas swego pierwszego dnia w Croydon Grammar, kiedy wysiadał z autobusu. Nosił spodnie bardziej obcisłe, niż zezwalały na to szkolne przepisy, ciemnoniebieski blezer miał spięty z tyłu agrafką, a jego włosy były niechlujnie potargane i usztywnione mydłem w sterczące na wszystkie strony kolce przypominające bezę. Pod każdym okiem widniała czarna jak sadza smuga. Smith uważał, że Ralph wygląda jak rasowa ofiara losu. Shirelle z miejsca się w nim zakochała.

Podczas tego semestru Shirelle zmieniła styl na skunk². Zgoliła włosy i ich resztkę ufarbowała na czarno z tlenionym pasem biegnącym przez środek. Kieszonkowe wydawała w sklepach na Carnaby Street na kabaretki, nabijane ćwiekami pasy i skórzane

² *Skunk — odmiana sylu punk.

spódniczki. Ostro piła i paliła, i nie odstępowała Ralpa na krok niczym zakochany rottweiler. Zaprosiła go do domu Smitha z propozycją „Przerznij mnie”, której to propozycji, choć go przerażała, Ralph jako szesnastoletni młodzieniec we władzy hormonów, nie mógł się oprzeć.

Smitha jako targanego hormonami szesnastoletniego młodzieńca zarówno fascynowały, jak i odpychały te sesje oraz fakt, że odbywały się głośno pod dachem jego własnego domu na przedmieściach. Wcześniejsze wątpliwości co do orientacji seksualnej Ralpa szybko się rozwiały dzięki hałasom, jakie dobywały się z wolnego pokoju państwa Smithów. W miarę upływu czasu ciekawość wzięła nad nim górę i pewnego popołudnia, udając zainteresowanie książką telefoniczną w przedpokoju, podpatrzył Ralpa, który niespiesznym krokiem schodził ze schodów, imponująco męskim ruchem wtykając podkoszulek w bojówki i pachnąc przy tym czymś nieznanym i podniecającym.

— To co tam słyhać, Ralphie? — dopytywał się Smith, mając nadzieję, że czyni to w bezceremonialny, iroczno-pobłaźliwy sposób. — Jak ci idzie z tą skunkową?

Ralph wznosił oczy w stronę sufitu.

— Masz ochotę się przejść? — spytał, wciskając ręce głęboko w kieszenie.

I na tym się skończyło. Pod koniec semestru Shirelle wróciła do domu, pomimo swych gróźb, że zostanie z Ralphem, urodzi mu dzieci, zamieszkają na squacie³ razem z Sex Pistols i Siouxi Sioux, zacznie brać heroinę i umrze z przedawkowania, a Ralph i Smith zostali przyjaciółmi.

Ich przyjaźń opierała się na możliwości miłego spędzania czasu razem bez konieczności rozmowy lub działania. Teraz, podobnie jak to było w szkole, obaj mieli własne kręgi znajomych i angażowali się w różne rodzaje działalności poza domem, ale wspólny czas był doskonałą okazją na totalne lenistwo, formę zachowania, jakiej w innych okolicznościach nie akceptowali ani u siebie, ani u znajomych.

Oczywiście nie zawsze milczeli. Niekiedy dyskutowali, który program w telewizji obejrzeć, czasami nawet się o to sprzeczali i wdawali w niewielkie bójki o pilota, kiedy jeden z nich do-

³ * *Squat* — rudera zamieszkała przez dzikich lokatorów.

chodził do wniosku, że drugi nie jest na tyle poczytalny, by sprawować władzę nad tak ważnym narzędziem. Raz na jakiś czas rozmawiali o kobietach.

Kobiety to wrzód na tyłku, kula u nogi, wiecznie niezadowolone, ciągle skwaszone. Smith i Ralph uważali się za fajnych facetów. Nie byli jakimiś tam draniami, nie robili skoków w bok, nie okłamywali swoich dziewczyn ani nie wystawiali ich do wiatru, nie bili ich i nie wymagali od nich wykonywania ciężkich prac fizycznych. Nie ignorowali ich w towarzystwie swoich kumpli i nie przedkładali towarzystwa kolegów nad ich towarzystwo. Nie wieszali sobie nad łóżkiem zdjęć Melindy Messenger^{*4}. Byli fajnymi facetami. Dzwonili, jeżeli obiecali, że zadzwonią, podwozili je, płacili za różne rzeczy, nie żądali seksu, a nawet raz na jakiś czas rzucili komplement. Ralph i Smith starali się traktować kobiety jak równych partnerów, naprawdę bardzo się starali, ale kobiety ciągle im udowadniały, że nie są tego warte — należały do dziwnej, obcej rasy z listą oczekiwań nie do spełnienia długą jak autostrada M1 i całą kolekcją paranoi i lęków, z którymi Ralph i Smith musieli sobie codziennie radzić. Oczywiście istniały też kobiety zupełnie inne. Takie, w których człowiek się zakochał niemal natychmiast, o których opowiadał swoim kumplom, czynił fantastyczne plany na wspólną przyszłość i dziwił się, kiedy trzy tygodnie później rzucały go w bajoro jego własnej głupoty i odchodziły z facetem, który miewał skoki w bok, okłamywał je, wystawiał do wiatru, bił i wymagał od nich wykonywania ciężkich prac fizycznych.

Ralph, obdarzony nienasyconym libido, nie mógł się obyć bez seksu i regularnie rzucał się w wir walki, co jakiś czas wracając złamany, okaleczony i kulejący, lecz jego nazbyt entuzjastyczne genitalia nadal sterczały dumnie niczym bagnety, gotowe do następnej bitwy. Smith natomiast lata wcześniej zarzucił tę przerażającą wersję walki płci z lat dziewięćdziesiątych i, posiniaczony, lecz w stanie nienaruszonym, wycofał się do narożnika.

Smith zresztą i tak się oszczędzał. Oszczędzał się dla kobiety, o której nie wiedział prawie nic, dla kobiety, z którą jego kontakty nigdy nie wykroczyły poza sporadyczną, niezręczną wymianę uśmiechów, pomachanie ręką i kiwnięcie głową, dla kobiety,

⁴ * *Melinda Messenger* — angielska modelka i prezenterka telewizyjna.

która — jego zdaniem — w jednej błogiej kombinacji komórek, organów, pigmentu i genów, ucieleśniała absolutny wzór urody kobiecej. Od pięciu lat wyobrażał sobie ten dzień, kiedy ich ścieżki się skrzyżują. Wtedy obdarzy ją czarującym uśmiechem ukazującym wszystkie zęby i pewność siebie, nawiąże z nią krótką, acz błyskotliwą rozmowę, zaprosi na kolację do tej wspólniejszej restauracji, którą właśnie otworzyli na St James, z uśmiechem przyjmie jej zgodę, zarzuci sobie płaszcz na plecy i odejdzie powoli, pusząc się jak paw.

Ale zamiast tego przez pięć lat na jej widok krzywił się makabrycznie jak jakiś społecznie i intelektualnie upośledzony palant, niekiedy unosił bezwładną, spoconą dłoń, by pomachać do niej z oddali, a czasami pogrążał się jeszcze bardziej, wpadając na różne przedmioty, upuszczając łamliwe rzeczy, potykając się o własne stopy i nie mogąc odszukać kluczy za każdym razem, kiedy znajdował się w zasięgu jej wzroku. Był zakochany w jasnowłosym cudzie o skórze barwy miodu, w wysokim, smukłym, opalonym ideale, z którym nie mogła się równać żadna inna kobieta. Był zakochany w Cheri, dziewczynie, która mieszkała dwa piętra wyżej w mieszkaniu na samej górze domu, dziewczynie, która miała taki sam adres. Dopóki jej nie zdobędzie, nie odda się żadnej innej.

Miłość Smitha do Cheri nie ucierpiała nawet z powodu jej zarozumiałości i arogancji, ironicznej obojętności na jego próby zaprzyjaźnienia się. Nie splamiły jej częste wizyty panów w średnim wieku, ich porche i bmw zaparkowane na waleta na Almanac Road, myśl o ich żonach pozostawionych w domu, podczas gdy ich mężowie obsypywali swą ukochaną prezentami w postaci biżuterii i perfum oraz kolacji we wszystkich najlepszych restauracjach w Londynie. Smith nie widział świata poza jej urodą. Dostrzegał tylko jej powierzchowność, warstwę ochronnej skóry, którą nakładała, by ukryć pustkę wewnątrz.

Podczas gdy Smith czekał na tę uludę, której nie był w stanie emocjonalnie urzeczywistnić, Ralph wypełniał swoje życie sznurkiem bezmyślnych blondynek chętnych, by wskoczyć do łóżka, i tak obaj zabijali czas... dopóki co? Dopóki się za bardzo nie zestarzeją, by się do czegokolwiek nadawać? Dopóki wszystkie szanse w ich życiu nie znikną niczym fanty w loterii, które trafiły się innym?

Smith wiedział, że potrzebują zmiany. Zbyt długo trwali w tym stanie. Obaj nawzajem ściągali się do dołu. Zamieścił więc ogłoszenie w „Loot” i „Standard”, a na wystawie kiosku wywiesił kartkę. I w ten sposób pojawiła się u nich Jem.

Jeśli chodzi o Ralpa, niewiele się u niego zmieniło w tym tygodniu, odkąd wprowadziła się Jem. Większość wieczorów spędzała poza domem, a kiedy nie wychodziła, była ledwo zauważalna. W łazience pojawiło się parę obcych przedmiotów, jak waciki, olbrzymie pudełka tampaksów, a w lodówce nagle zagościły świeże warzywa, piersi kurczaka i zsiadłe mleko. Ale poza tymi powierzchownymi zmianami mieszkanie, właściwie rzecz ujmując, pozostało takie samo.

Mimo to wszystko się zmieniło. Zmieniła się dynamika. Ralph już nie chodził w samych bokserkach, zaczęły go krępować jego posiedzenia w toalecie, które zawsze trwały długo i pozostawiały po sobie nieprzyjemny zapach, ale do których Smith zdążył się przyzwyczaić już wiele lat wcześniej. I, co bardziej niespodziewane, Ralpa rozpieła ciekawość, wielka ciekawość. W jego domu pojawił się obcy, obcy, o którym wiedział tylko tyle, jak ma na imię. A na dodatek była to kobieta — ze wszystkimi tymi egzotycznymi i rozkosznymi sprzętami osobistego użytku, jakimi otaczają się kobiety — figi, staniki, kosmetyki, buty na obcasie, dezodoranty w kulce w różowych buteleczkach, szczotki z zaplątanymi w nich długimi włosami pachnącymi czystością, Pearl Drops, koronkowe rzeczy, jedwabne rzeczy, puszyste rzeczy. Przez wiele godzin czerpał przyjemność o różnym natężeniu z kobiet, ale nigdy, w całym swoim trzydziestoparoletnim życiu, nie mieszkał z dziewczyną pod jednym dachem.

A teraz w ich domu pojawiła się kobieta. Ciekawość wzięła górę i — naprawdę — tylko zajrzał do sypialni Jem. Nie myszkował w jej rzeczach, nie otwierał szuflad ani niczego innego, tylko trochę pochodził i popatrzył na różne przedmioty. Był pewien, że nie robi nic złego. Gdyby miała coś do ukrycia, schowałaby to poza zasięgiem wzroku. A poza tym zostawiła otwarte drzwi. Ralph nie uważał się za wścibskiego i teraz czuł lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego małego śledztwa — zwłaszcza w świetle tego, co zobaczył.

Ralph zamierzał spędzić ten tydzień w swojej pracowni. Nie zaglądał tam od ponad trzech miesięcy. Projekt folderu biura turystycznego robił ponad dwa tygodnie, chociaż mógł go skończyć w tydzień, a ostatnie dziesięć dni, czy coś koło tego, przesiedział murem w swoim pokoju, przedzierając się przez trzydzieści trzy poziomy jakiegś gry komputerowej. Dziś rano doszedł do końca i po entuzjastycznych gratulacjach oraz komplementach ze strony komputera odchylił się na swoim krześle i z pewnym smutkiem uświadomił sobie, że teraz, oficjalnie, nie ma już nic do roboty.

Wmówił sobie, że jedenasta czterdzieści to za późna pora, jak na podróż do pracowni, ale że z pewnością uda się tam jutro. Postanowił zadzwonić do Claudii do pracy, ale rozmyślił się — zawsze dzwonił w nieodpowiedniej chwili: „Nie teraz, Ralph, jestem w samym środku pracy”, „Nie teraz, Ralph, właśnie wychodzę”, „Nie teraz, Ralph, dopiero co weszłam”. Wyobraził sobie Claudię w jednej z tych idiotycznych połyskliwych garsonek, krzątającą się przez cały dzień po biurze, bez końca, jak w powtarzanym na okrągło filmie. Uśmiechnął się na tę myśl.

Spłynęła na niego znajoma fala nudy, postanowił więc pójść na krótki spacer. Kiedy powoli przechadzał się Northcote Road, mijając stragany z jesiennymi kwiatami barwy klejnotów, tanimi, plastikowymi zabawkami, kadzidelkami i afrykańskimi koralikami, zaczął myśleć o Jem. Naprawdę nie chciał mieć jeszcze jednego współlokatora — lubił swój tryb życia ze Smithem, luzackie życie, oglądanie telewizji, upijanie się — ale mieszkanie należało do Smitha, więc musiał się zgodzić, a zresztą Jem sprawiała wrażenie miłej osoby, poza tym ufał osądowi Smitha.

Pierwszy tydzień był dość niezręczny. On i Smith nie bardzo potrafili się starać przy obcych, miał więc wyrzuty sumienia, kiedy zamawiał hinduskie dania na wynos, nie pytając Jem, czy ma na nie ochotę, i ogarniał go wstyd, kiedy słyszał, jak Jem wchodzi do łazienki parę chwil po tym, jak zostawił tam ten smród rozkładającego się gryzonia. Zaproponowała, że tego wieczora coś ugotuje, i chociaż Ralph docenił ten gest, w dość egoistyczny sposób miał jej za złe to niszczenie jego codziennej rutyny. Poniedziałkowe wieczory zawsze spędzał w domu i lubił jak najmniej udzielać się towarzysko. Kiedy Smith wychodził, Ralph często włączał automatyczną sekretarkę i wybierał tele-

fony, które miał ochotę odebrać. Ale to miło ze strony Jem, będzie się starał stanąć na wysokości zadania.

Aby nie łązić bez celu, poszedł do miejscowego drogiego „sklepiku na rogu”, jednego z tych wszechobecnych delikatesów, w których po zdzierczych cenach sprzedawane są torby importowanych tortilli, ale nigdy nie ma tego, na co rzeczywiście miałyby się ochotę. Można tam kupić tylko jeden rodzaj proszku do prania, ale przynajmniej dwadzieścia dwa rodzaje meksykańskiego sosu chilli. Ralph nie wiedział, dlaczego uczęszcza do takich miejsc — były stanowczo na kieszeń młodzieńczych śmiejących-się-przez-całą-drogę-do-banku typków niegdyś pracujących w City („Paul, kupmy jakiś punkt sprzedaży i wciskajmy tym yuppie wino i tortille za potrójną cenę rekomendowaną”) i niezwykle go irytowały. Kupił sobie paczkę marlboro, chociaż w domu miał dwie, i wrócił na Almanac Road.

W porze lunchu w telewizji leciały programy kulinarne i australijskie opery mydlane, a Ralpha wciągnął jakiś kanał telezakupów. Patrzył, jak jakiś pedzio z taśmą mierniczą na szyi gorączkowo wychwala niezliczone zalety koszarnej akrylowej tuniki wyszywanej koralikami wokół dekoltu: „Nie jeden, nie dwa, lecz trzy, trzy różne rodzaje koralików. Są tu dzety, guziczki wokół aplikacji i spójrzcie — te przepiękne koraliki w kształcie łezki po obu stronach!”

Ralph zachodził w głowę, z jakiej planety spadają tacy prezenterzy i jakimi narkotykami karmi ich telewizja, żeby brzmiali tak szczerze i okazywali tak prawdziwy zapał, zachwalając te tandetne i mało zachęcające produkty, którym muszą oddawać hołd.

Wyłączył telewizor i w pokoju zapanowała cisza. Poczul się pusty i bezużyteczny. Nie miał nic do roboty. Wziął kubek letniej herbaty, którą zrobił wcześniej, i paczkę herbatników Tuc i poszedł bez celu do przedpokoju. Gdy się już tam znalazł, zupełnie podświadomie otworzył drzwi do pokoiku Jem.

Dziwny był widok tego pokoju pełnego rzeczy obcej osoby. Przedtem stał zawsze pusty. Teraz unosił się tam nieznamy zapach. Rzeczy Jem leżały na wół wypakowane w pudłach pod ścianami — puste pudła spłaszczyła, złożyła i ustawiła koło drzwi. Łóżko było nieposłane i leżał na nim niebieski, bawelniany szlafrok z białym, chińskim smokiem wyhaftowanym na plecach.

Ralph wszedł głębiej, żeby obejrzyć stertę CD na stoliku koło łóżka Jem. Zaimponował mu jej gust muzyczny — podobnie jak jego — koncentrujący się gdzieś w okolicach roku 1979: The Jam, Madness, The Cure, Generation X, The Ramones — może później poprosi o pożyczenie którejś. Koło płyt stało zdjęcie w ramce przedstawiające Jem w grubym palcie, z nosem zaczerwienionym od mrozu i tulącą do siebie pięknego golden retrievera. Ralph przyjrzał się uważniej fotografii, uświadamiając sobie, że właściwie nie pamięta, jak wygląda Jem — nie zwracał na nią uwagi — i że jest wyjątkowo ładna. Chociaż niezupełnie w jego typie. On zawsze leciał na blondynki, blondynki z długimi nogami i w markowych ciuchach, wyniosłe blondynki z imionami takimi jak Georgia, Natasha i, oczywiście, Claudia, blondynki, które pracowały w agencjach public relations, galeriach sztuki albo domach mody, blondynki, które zawsze wołały, żeby był bogatszy, modniej ubrany, czystszy, inteligentniejszy, bardziej odlotowy, żeby przychodził wcześniej, później — żeby był kimś innym.

Dla kontrastu Jem była malutka i na swój sposób ładna. Miała wyrobiony gust muzyczny i trzymała przy łóżku zdjęcie swojego psa. Była też miła i dobrze wychowana i zanosilo się na to, że będzie dobrą współlokatorką. W ogóle nie w typie Ralpha.

Wgryzł się w herbatnik i wielki okruch spadł na podłogę. Kiedy się schylił, żeby go podnieść, zauważył stertę książek pod stołem, zniszczonych i przeczytanych, z różnymi datami napisanymi piórem i flamastrem na grzbietach. Były to pamiętniki — i to, sądząc po ich wyglądzie, nie bezosobowe biurkowe terminarze, lecz regularne, szczerze, bardzo intymne dziewczęce pamiętniki. Obejmowały lata od 1986 do 1995. Zastanawiał się, co się stało z rocznikiem 1996, tegorocznym pamiętnikiem, i dojrzał go, ledwo wystający spod szlafroka Jem.

Był otwarty, lecz zasłaniał go szlafrok. Ralph dostrzegł datę — pochodziła z minionego czwartku — i fragmenty pisma ręcznego, drobnego i pełnego ozdobników, jak sama Jem: „...piękne mieszkanie... może jest nieśmiały — na pewno nie są... moje przeznaczenie... Jestem taka podniecona... może to Smith, ale wydaje się trochę... Ralph...” Gwałtownie przerwał lekturę. Co on, do diabła, wyprawia, węsząc w pokoju tej biednej dziewczyny i przede wszystkim czytając ten jej pieprzony pamiętnik?

To doprawdy bardzo, bardzo smutne. W tym momencie już się zbierał do wyjścia, ale jego ciekawość została rozpalona do czerwoności.

Serce mu galopowało, kiedy odsunął szlafrok, i osłupiał, kiedy w całości przeczytał ten fragment. Okazało się, że Jem uważa, że znalazła się w tym domu z powodu jakiegoś tam snu, że to jej przeznaczenie, że jest podniecona, bo wydaje jej się, że albo Smith, albo Ralph to mężczyzna z jej snów — dosłownie. Ralph był skłonny sądzić, że Jem to jakaś świruska, ale czytając, nabrał sympatii do jej snu i przeznaczenia. Nie tylko brała go pod uwagę, ale wręcz miała większe szanse. Sama tak napisała: „Smith wygląda na nieco sztywnego, ale szczerze mówiąc, nie jest w moim typie. Ralph wydaje się bardziej prawdopodobny — bardzo szczupły, seksowny i nieco niebezpieczny” — Ralpa przyjemnie załaskotało w brzuchu, kiedy odczytał ten komplement — „chyba będzie fajniejszym kumplem. Problem polega na tym, że ma dziewczynę”.

To wszystko prawda, pomyślał Ralph, poza tym, że Claudia stanowi jakiś problem. Ostatnio rzeczywiście był fajniejszy niż Smith. Nie zawsze tak było, ale w ciągu ostatnich paru lat, odkąd zawładnęła nim obsesja na punkcie Cheri, Smith stracił nieco błyskotliwości i pewności siebie.

Dalej nie było już żadnego zapisu. Ralph odłożył zeszyt i wziął głęboki oddech, opierając się pokusie odwrócenia kartki i kontynuowania lektury. Położył pamiętnik na łóżku pod takim samym kątem, pod jakim go znalazł, i starannie przykrył go niebieskim szlafrokiem z nadzieją, że nie zostawiła na nim włosa — pułapki dla smętnych, wścibskich amatorów cudzych pamiętników.

Usiadł na wymiętym łóżku, tak niepodobnym do łóżka Claudii, którego śłanie zajmowało dziesięć minut. Codziennie zmieniała pościel, a narzutę i poduszki trzeba było układać równiutko, bo inaczej zrzędziła. W pościel zaplątał się jeden ze staników Jem. Był czarny, zwyczajny i wyglądał na stary. Ralph wziął go do ręki i obejrzał metkę — malutka Jem wcale nie była taka malutka: 85D. Gdzie, u diabła, ona to wszystko chowała? Claudia miała piersi, które pasowały do jej smukłej, chudej jak patyki sylwetki: małe, spiczaste, a rowek nie tworzył się między nimi, nawet jeśli Ralph je ścisnął mocno z obu stron. Uświadomił

sobie, że lubi takie pełne piersi, symbol miękkiej, obfitej kobiecości, piersi, które się kołysały pod dotykiem, które zawsze były ciepłe i zachęcające. Inne fragmenty ciała kobiety niekiedy sprawiały takie wrażenie, jakby mogły ugryźć, udusić albo uwięzić, ale nigdy piersi — te były przyjazne i rozluźnione.

Ralph z niepokojem przyłapał się na tym, że przesuwając ramię pod ramię stanika Jem i wdychając zapach cienkiego paska znoszonego czarnego elastycznego materiału. Szybko odsunął go od twarzy i położył na kolanach. Zaciśnął dłoń w pięść i włożył ją do miseczki. Zmieściła się z łatwością, zostawiając mnóstwo miejsca dla drugiej. Boże drogi, pomyślał, Jem to taka dziewczyna, jaką Claudia opisałaby jako umiejącą się „inteligentnie ubrać”. Za każdym razem, kiedy Ralph nie zgadzał się z opinią Claudii, że jakaś dziewczyna jest gruba, ta tłumaczyła, że otumaniał go inteligentnie dobrany strój — pod tą strategicznie zawiązaną apaszką lub swetrem ta kobieta to wielka, trzęsąca się góra tłuszczu. On tego po prostu nie potrafi dostrzec, bo jest mężczyzną i nie zna kobiecych sztuczek. Może i miała rację, pomyślał teraz, podziwiając pojemność stanika Jem. Z pewnością nie zauważył tego wcześniej.

Odłożył stanik w zagłębienie w pościeli. Zaczynał się czuć trochę nieswojo i niespokojnie i z ulgą zauważył, że przynajmniej nie ma erekcji.

Kusiło go, żeby zostać w pokoju Jem. Spodobała mu się jego przytulność i kobiecość. Miał ochotę zobaczyć, co Jem trzyma w szufladach, zdjęć nakrętkę jej dezodorantu i powąchać kulkę, przeczytać wszystkie pamiętniki i dowiedzieć się, co robiła w konkretne dni przed laty, zagrzebać się w jej pościeli, wczłgać pod narzutę i koldrę, położyć głowę na poduszce koloru akwamaryny, chłonąć zapach Jem i poczuć resztki jej ciepła.

Ale wstał powoli i wyglądził narzutę, sprawdził, czy nie zostawił żadnych śladów swojej obecności, zostawił uchylone drzwi — tak jak je znalazł — i wyszedł do przedpokoju. Dzisiejszy wieczór zapowiadał się całkiem interesująco.

Znowu zasiadł do swojego biurka, usiłując wymyślić coś konstruktywnego do roboty, co nie wymagałoby opuszczania mieszkania, korzystania z telefonu czy wydatkowania zbyt dużej ilości energii, lecz jego myśli wciąż wracały do tych fascynujących zdań, które przeczytał w pamiętniku Jem, i poczuł przytłaczającą

falę zaintrygowania i ciekawości. O co chodziło z tymi snami i przeznaczeniem? Co jeszcze o nich napisała? I — co najważniejsze — co napisała o nim? Ralph nie potrafił tego wytłumaczyć, ale z jakiegoś powodu nagle ogarnęło go wrażenie, że niedługo jego życie bardzo się skomplikuje.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Siobhan wydawało się, że jej ciało to jedna wielka wylęgarnia włosów. Spodziewała się, że z wiekiem zaczną jej się pojawiać zmarszczki, że włosy utracą pigment, a skóra — sprężystość, ale nie spodziewała się powolnego, lecz nieustannego pojawiania się zbędnego owłosienia na całym ciele.

Od dołu zaczynając, na miękkich fragmentach dużych palców u nóg powyrastały jej małe kępki mysich włosków. Potem oczywiście na nogach, ale tam zawsze miała włosy — to było społecznie akceptowane. Nawet supermodelki miały owłosione nogi, a u Boota można było znaleźć stojaki pełne odpowiednich produktów, które kupowało się bez wstydu czy skrepowania.

Najbardziej martwiło Siobhan to, co działo się na samej górze nóg — gęsta dżungla szorstkich włosów, których przybywało w miarę upływu lat i które zaczynały wylazić spod majtek i łączyć się z resztą na udach oraz pełnać po brzuchu cienką strzałką celującą w pępek. Linia ta wyglądała szczególnie nieprzyjemnie zimą, stercząc sztywno na teraz gąbczastej, białej połaci jej brzucha.

Na tym się jednak nie kończyło. Ostatnio zauważyła wśród jasnego, miękkiego puszku, który spał między jej piersiami, parę wyrodných włosów, które wyrosły dłuższe, ciemniejsze i sztywniejsze niż reszta. Dlaczego? No i te włosy na brodawkach, pajęcze nóżki, przebijające się przez nieskalaną skórę na jej piersiach, psując estetykę i sprawiając, że czuła się brzydka. Jeszcze włoski nad górną wargą, przez które czuła skrepowanie, kiedy ktoś stawał zbyt blisko, a nawet pojedyncze wąsiki rosnące po cichutku, lecz zdecydowanie, na policzkach i brodzie.

Przygnębiające, czasochłonne rytuały mające na celu pozbycie się tego zbędnego owłosienia były teraz niemal na porządku dziennym. Rozjaśniacz na wąsiki, golarka do nóg i pach, krem do włosów łonowych śmierdzący zjelczalym masłem i pęsetka

do włosów na palcach u nóg, na brodawkach, brodzie i nad brwiami. Czy mężczyźni mają pojęcie, ile pracy kobiety muszą włożyć w to, żeby mieć gładziutką skórę, by usunąć ze swego ciała wszystko, co mogłoby się choćby trochę kojarzyć z męskością? Czy mężczyźni sami byliby gotowi robić to samo, gdyby moda i społeczeństwo orzekły, że i oni powinni mieć skórę jak alabaster?

A jak to się dzieje, że w innych krajach takie owłosienie jest akceptowane? Jak to się dzieje, że co roku miliony Włosek bezwstydnie i dumnie paradują po plażach, ukazując czarną niedźwiedzią sierść kaskadami wypływającą spod bikini i bujne chaszczki zwisające spod pach? Jak to jest, że we Francji mają specjalne, czułe określenie kobiecego wąsika, a Angielka wstydziłaby się wyjść na ulicę ze szczeciną na nogach dłuższą niż ćwierć milimetra — z obawy, by jej nie uznano za lesbijkę?

Jaką wysokość osiągnęłaby góra, którą usypałaby z tych nienawidzonych włosów zgolonych w ciągu ostatnich dziesięciu lat? To takie niewdzięczne. Jak prace domowe. Od chwili, gdy ją wykonała, włosy znowu zaczynały odrastać i prosić się o następne golenie. Te włosy są tak podstępnie uparte i nieśmiertelne — po prostu rosną i rosną, i rosną, nieubłaganie. Nigdy nie jeżdżą na wakacje, nie biorą sobie wolnego dnia i nie obchodzi ich, że może ci się podobać jakaś konkretna część twojej anatomii — i tak tam urosną, niczym chwasty na gładkim kamiennym murze.

Siobhan kiedyś próbowała wzbudzić w sobie pasję ogrodniczą, sądząc, że jej się to spodoba, ale szybko stało się jasne, że uprawianie roślin przypomina prace domowe i zbędne owłosienie — jest frustrujące i nie ma końca. Włosy, chwasty i kurz — Siobhan ich nienawidziła.

Robiła coś, nad czym ostatnio spędzała coraz więcej czasu — nienawidziła własnego ciała. Z dnia na dzień robiła się nie tylko coraz bardziej włochata, ale i grubsza, co teraz już nie było kwestią paru zbędnych kilogramów i nieco za ciasnych ubrań — osiągnęła rozmiar, który oznaczał, że ludzie, którzy jej nie znają, mogliby ją określić jako „grubą”. Większość jej ubrań wisiała teraz niepotrzebna w szafie, ona zaś ciągle chodziła w tych samych legginsach oraz kilku bezkształtnych tunikach i swetrach. Gdyby miała kupić sobie coś nowego, ozna-

czaloby to konieczność pójścia do sklepów, w których nigdy wcześniej nie była, i kupienia ubrań w rozmiarze, który krzyczałby światu: „Jestem gruba!”

Karl nie wspominał o tym ani słowem — i sprawa pozostała przemilczana. Nadal jej dotykał, głaskał ją i przytulał, nadal trzymał ją za rękę w miejscach publicznych i mówił, że ją kocha. Zresztą i tak nigdy nie szafował komplementami. Siobhan zastanawiała się, co tak naprawdę Karl sobie myśli. Oczywiście już się przy nim nie rozbierała i nie chodziła nago po mieszkaniu, a ich nawyk wspólnych kąpieli zniknął niepostrzeżenie i, znowu, nigdy o tym nie rozmawiali. Zawsze mogła go spytać wprost, jakby to zrobiła inna kobieta: „Karl, jak myślisz, przytyłam?”, ale wiedziała, że on by nie skłamał tak jak inni mężczyźni, był najszczerzym człowiekiem, jakiego знаła, i odparłby: „Tak, Shuv, przytyłaś” — do czego wtedy doprowadziłaby ta rozmowa? Co by się potem stało? Mogłoby się okazać, że Karl uważa ją za odpychającą, że zniechęcił ją za to, że tak się zapuściła, za to, że już go nie kocha na tyle, by o siebie dbać.

Prawda zaś była taka, że Siobhan wcale nie była dla Karla odpychająca. Właściwie lubił obecne kształty Siobhan. Zawsze była nieco nieproporcjonalnie zbudowana: miała chudziutkie nogi, zbyt szerokie plecy i płaską pupę, a teraz zrobiła się zgrabniejsza, jej piersi już nie były tak absurdalnie duże, a pupa się zaokrągliła i stała bardziej kobieca. Siobhan była miła w dotyku, zwłaszcza po ciemku, sprężysta, dojrzała i pulchna, miała solidne i korpulentne ramiona, gładkie i miękkie uda. Zupełnie jakby te dodatkowe warstwy tłuszczu przywróciły ją życiu, znowu wypełniły energią jej trzydziestosześcioletnią skórę — przypominała pulchną uczennicę, a Karl nigdy nie spał z pulchną uczennicą, nawet kiedy sam był pulchnym uczniem.

Siobhan nadal miała najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widział, gęste pasma koloru kukurydzy aż do pasa, zawsze lśniące, czyste i słodko pachnące. Duża część wczesnej fazy ich romansu i wzajemnego przyciągania w ich związku miała związek z tymi imponującymi włosami. Na kampusie widział je wszędzie: albo falowały, rozpuszczone, odbijając światło nawet w pochmurny dzień, albo były fascynująco splecione i upięte jak świetliste, pofalowane złoto. Te włosy dręczyły jego duszę przez pół roku. Jego serce przystawało na chwilę, po czym waliło jak oszalałe

za każdym razem, kiedy je widział: zupełnie jakby jakaś ogłuszająca syrena oznajmiała cię szansy, że mógłby przejść koło Siobhan i ukazać swój rumieniec, pożądanie, wstyd. Marzył o tym, że wyjmuje z nich szylkretowe grzebienie i spinki i patrzy, jak jej włosy rozlewają się grubą warstwą na poduszce niczym świeżo ubite masło lub rozsypują na oparciu fotela dla pasażera w jego 2CV. Chciał je myć, czesać i dbać o nie, zupełnie jakby były zwierzątkiem, żywą częścią niej samej — czymś ożywionym i oddychającym, co ucieleśniało wszystko, czego pragnął w kobiecie, i co było w Siobhan cudowne.

Siobhan nie zdawała sobie z tego sprawy. Jeśli chodziło o nią, to Karl był przystojnym facetem ze Stowarzyszenia Studentów, tym z rosyjskim nazwiskiem i irlandzkim akcentem, którego widywała, jak przypinał plakaty na tablicach ogłoszeń, tym, który znał chyba wszystkich na kampusie, tym z 2CV i rockandrollową fryzurą, tym, który od zarania dziejów prowadzał się z Angel, tlenioną blondynką z pierwszego roku o dziecinnej buzi, ostrzyżoną na chłopczycę z mokrych snów. Siobhan uważała, że jest czarujący i atrakcyjny, uwielbiała jego irlandzki akcent, pogodnie usposobienie, zgrabny tyłeczek, ale z jej punktu widzenia istniał pewien poziom nieuchronności u par tak atrakcyjnych i popularnych jak Angel oraz Karl i trudno było sobie wyobrazić, by podobało im się coś innego niż nieskazitelny, towarzyski i przesycony erotyzmem związek. Wyobrażała sobie ich niekiedy, ich nogi splecione na wysuszonych w słońcu, śnieżnobiałych prześcieradłach, gryzących się i drapiących albo śmiejących się razem w pubie z przyjaciółmi. Fluidy między nimi były przytłaczające i zaraźliwe. Czasami uśmiechała się do niego, a on odwzajemniał jej uśmiech, ale nie wyobrażała sobie, żeby mogli się posunąć do czegoś więcej.

Pewnego dnia nadzieje Siobhan wzrosły dzięki rozmowie z kolegą, który razem z Karlem należał do Stowarzyszenia Studentów.

— To głupia krowa — wyraził się, nieproszony, o Angel.
Bang! Alarm Nadzieja!

— Naprawdę? Zawsze mi się wydawało, że jest miła, no, wiesz, chodzi z Karlem i w ogóle. Wyglądają na idealną parę.

— Ten facet ma anielską cierpliwość. Nie wiem, jak on z nią wytrzymuje, słowo daję. Ciągłe się kłócą, Angel nieźle daje mu w kość. Karl to świetny facet, zasługuje na lepszą i, tak między nami, myślę, że to nie potrwa długo. Podejrzewam, że Angel

spotyka się z innym — ale ja ci nic nie mówiłem. — Przyłożył palec do nosa i mrugnął do niej.

Siobhan nie trzeba było więcej. Przelotne uśmiechy przekształciły się w przelotne rozmowy, które z kolei przeszły w długie, ożywione lunche w parku, kiedy Angel była na wykładach. A kiedy pewnego wieczora, gdy już od sześciu tygodni oficjalnie chodzili ze sobą, Karl powiedział jej, że ich wspólny znajomy już tak ma dość Angel i tak go męczy ciągłe wypytywanie Karla o Siobhan, że wziął na siebie wprawienie w ruch koła romansu, Siobhan zalała tak potężna fala ciepła, że w drodze powrotnej do domu nawet nie nałożyła płaszcza.

Jej włosy spełniły jego oczekiwania i nawet do niedawna, kiedy już przestali razem się kąpać, on nadal raz na jakiś czas mył je, delikatnie i starannie, nie mogąc się nadziwić ich długości, gęstości i temu, że znajdują się w jego rękach i że może ich dotykać, kiedy tylko ma na to ochotę.

Niektórzy mężczyźni mieli hopla na punkcie piersi, niektórzy na punkcie nóg, a inni na punkcie pupy. Karl miał hopla na punkcie włosów. To włosy zawracały mu w głowie i robiły papkę z jego zmysłów.

Cheri również miała piękne włosy — nie tak imponujące i fascynujące jak włosy Siobhan, ale jedwabiste, długie i w ładnym odcieniu wanilii. Zauważył jej włosy, zanim zauważył ją samą, latem ubiegłego roku. Lśniły w nich złote pasma rozjaśnione przez słońce. Niedługo potem zauważył też jej długie, brązowe nogi wystające spod skąpych letnich sukienek i krótkich bawełnianych spódniczek, eleganckie ramiona, opalone i szczupłe, oraz delikatną twarz o cudownych kościach policzkowych i doskonałych zębach.

Teraz zachwycał się włosami Cheri, okiem estety przyglądając się

jej znad „Evening Standard”. Siedział za ogromnym oknem studia tańca Covent Garden i patrzył, jak w przykrótkim topie i spodenkach z lycry od pięciu minut skacze na zajęciach z acid jazzu.

Podczas gdy Siobhan siedziała nago na brzegu wanny, ponuro chwytając całymi garściami swe znienawidzone, wstrętne ciało, sześć kilometrów dalej, w innej części miasta, Karl wstał, złożył gazetę, pocałunkiem przywitał się z Cheri, pogłaskał ją po sprężystych, zgrabnych pośladkach, po czym zabrał ją na lunch do jej ulubionej restauracji Modern European.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Właśnie zaczynało zmierzchać, kiedy Jem szła ze swojego biura na Leicester Square na Gerrard Street, żeby kupić składniki na powitalne przyjęcie, które obiecała urządzić dla Smitha i Ralpha. Mieszkała z nimi już ponad tydzień i nadal nie wiedziała o nich absolutnie nic. Często nie było jej w domu, a resztę czasu spędzała w swoim pokoju, zostawiając im wolną przestrzeń, lecz nadszedł już czas, by się zaprzyjaźnić.

W dniu, kiedy się wprowadziła, rycersko, choć bez entuzjazmu pomogli jej przenieść pudła i torby z jej rzeczami z brudnego austina allegro w kolorze francuskiej musztardy do jej pokoju. Cała trójka cicho i energicznie uwijała się tam i z powrotem po betonowych schodach niczym grupa więźniów związana wspólnym łańcuchem. Następnie zostawili ją samą na resztę wieczoru. Podczas gdy ona rozpakowywała się w swym ciasnym pokoiku, oni co jakiś czas zaglądali, proponując kawę i herbatę i pytając uprzejmie, jak jej idzie.

Zabawne jest to, tak popularne w tych czasach, dzielenie domu z obcymi ludźmi, pomyślała. Oczywiście obcy ludzie zawsze mieszkali razem — służba i ich państwo, lokatorzy i właściciele domów — ale nie tak jak teraz. Teraz ludzie mieszkają w swoich domach na równej stopie z obcymi; nie istnieje żadna hierarchia. Ogląda się tę samą telewizję w tym samym salonie, korzysta z tej samej toalety i wanny, dzieli lodówkę, gotuje na tej samej kuchence i istnieje obowiązek traktowania tej nowej osoby jako przyjaciela, a nie pracownika czy lokatora. Jem często zmieniała mieszkania i zawsze przez parę pierwszych nocy czuła się dziwnie i samotnie. Wyczuwała skrępowanie Smitha i Ralpha, kiedy próbowali zajmować się swoimi sprawami, lecz wiedziała, że nie są tak rozluźnieni jak zwykle, gdy oglądają Australian Grand Prix albo Topless Darts. Nawet jeżeli nie siedziała z nimi w jed

nym pokoju, to sama świadomość obecności osoby trzeciej w domu nieco wybijała ich z rytmu wieczornej rutyny.

Myślała o nich, przecinając Lisie Street, i przypomniała sobie z dreszczykiem, że jeden z tych niezdarnych, lecz najwyraźniej sympatycznych mężczyzn może być jej przeznaczeniem. Brzmiało to głupio, doskonale to wiedziała, ale los zawsze jasno stawiał przed nią sprawę, a ona nauczyła się ufać mu bezwarunkowo. Jediną niejasną sprawą, jaką tym razem pozostawił jej los (a była to doprawdy bardzo niejasna sprawa), było pytanie, który to z nich. Ponieważ odpowiedź nie mogła spaść z nieba, ostatni tydzień poświęciła na szukanie znaków.

Nie mogła polegać na wyglądzie, chociaż obaj byli przystojni, każdy na swój sposób. Smith był w typie chłopca ze szkoły publicznej, postawnego, do jakiego wzdychałaby jako osiemnastolatka. Był wysoki i ładny, ale niezbyt atletycznie zbudowany, z miękkimi brązowymi oczami, luźno opadającymi, gęstymi włosami przypominającymi futro z norek i delikatnym nosem z idealnymi nozdrzami. Ale był też zbyt „dorosły” jak na jej gust, zbyt dobrze wychowany, nieco na dystans, miał w sobie za dużo z dżentelmena. Odniosła wrażenie, że byłby zaskoczony, gdyby zamówiła w pubie duże piwo, i że według niego romans wymaga róż na długich łódkach i niespodziewanych wypadów do teatru

— Błę. Lubiła mężczyzn raczej szorstkich i spontanicznych, mężczyzn, którzy nie traktowali kobiet jak „damy”.

Jem zaczęła grzebać w skrzynce z lśnącymi czerwonymi i zielonymi papryczkami chilli, cienkimi i fantastycznie poskręcanyimi, szukając najjędrniejszych, ciągle kontemplując swe przeznaczenie. Włożyła wybrane owoce do przezroczystej plastikowej torebki, którą z pewnym trudem oddarła z jednego z tych bezużytecznych wynalazków do wydawania torebek, i zanurzyła swe blade ręce w skrzynce z młodymi oberżynami, małymi i odpowiednio zielonymi, z woskową skórką. Dla Jem takie zakupy miały działanie terapeutyczne. Wyselekcjonowane, obrane, wyszorowane i paczkowane warzywa od M&S z obciętymi czubkami i korzeniami nie mogły się z tym równać. O ileż przyjemniej jest zanurzać dłonie w skrzynkach z barwnymi i podniecająco egzotycznymi warzywami sprowadzonymi tego samego dnia rano prosto z Tajlandii, Chin, Indii, wdychać zapach słońca wciąż przyklejony do ich skórki.

Ralph bardziej odpowiadał „jej typowi”. Był szczupły, nieco niedożywiony, co zawsze się jej podobało u mężczyzn i co jeszcze podkreślały krótko ostrzyżone włosy i zbyt obszerne ubranie. Miał ostre, lecz regularne rysy twarzy, a jego okrągłe niebieskie oczy były głęboko osadzone, co dodawało mu tajemniczości oraz uroku ulicznika. I miał też jeden z tych cudownie leniwych, krzywych uśmieszków, które zaczynają się na jednej stronie twarzy, a dopiero później wpływają na drugą. Był seksowny. Mówił ze śladami południowolondyńskiego akcentu, który uwielbiała, i z pewnością nie uważałby, że w pubie powinna zamawiać białe wytrawne wino, i nie robiłyby na nim wrażenia drogie kolacje dla dwojga w modnych restauracjach.

Dotarła do działu mięsnego.

— Cześć, Jem! — Rzeźnik uśmiechnął się szeroko, kiedy poszła. Pakował ogromny poleć wieprzowiny dla jakiejś starej Chinki. — Co dzisiaj będzie? — spytał z miękkim akcentem z Manchesteru. Zawsze miała ochotę go spytać, jak to się stało, że jest jedynym Anglikiem pracującym w supermarkecie w Chinatown.

— Cześć, Pete.

Przebiegła wzrokiem tace z kaczymi nóżkami i świńskimi uszami, metrami lśniących, liliowych wnętrzości, kawałami polyskującego białego tłuszczu i rzędami różowych nówek.

— Poproszę pół kilo piersi kurczaka, bez skórki.

— To co dzisiaj gotujesz? — spytał. Zawsze chciał wiedzieć, co Jem będzie gotować.

— Och, tylko zielone curry po tajsku.

— Z makaronem własnej roboty, prawda?

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się. — Jak zawsze.

— Cienkie kawałki?

— Tak, poproszę.

— Kto jest dzisiaj tym szczęśliwym gościem? — spytał, zręcznie krojąc różowe mięso groźnie wyglądającym nożem.

— Nowi współlokatorzy, chcę zrobić dobre wrażenie.

Jem wzięła kurczaka i włożyła go do koszyka. Kto wie, skąd pochodzą kurczaki, z których wyrwano te piersi? Nie było metki wyjaśniającej źródło ich pochodzenia ani miękkiego białego papieru, na którym mogłyby podróżować z półki supermarketu do lodówki nabywcy. Były anonimowe i Jem uważała, że bardziej

ekscytujące jest wybieranie spośród pokrwawionych ochłapów, jakich inne supermarkety nigdy nie wystawiłyby na widok.

Sklep był zatłoczony, pełen mieszkających w okolicy Chińczyków kupujących jedzenie na kolację, pomocników kucharzy z restauracji w Chinatown, którzy wpadli po dodatkową paczkę lub dwie ryżu na wieczorną godzinę szczytu, turystów, którzy tylko się rozglądali, i amatorów. Amatorzy to ludzie, którzy lubią samą atmosferę, ale nie wiedzą, co kupić, a w ich koszykach nieodmiennie znajduje się parę paczek makaronu po dwadzieścia pięć pensów, słoiczek sosu ostrygowego i puszka czegoś tak absurdalnego, jak kałamarnica w malezyjskim sosie curry, która z pewnością wyląduje w koszu na śmieci, bo rzeczą oczywistą jest, że kałamarnica z puszki to jakieś obrzydlistwo. Jem zawsze miała dość paskudne poczucie wyższości, kiedy jej koszyk wędrował do kasy przed koszykiem amatora, czując dumę z powodu wonnych pęków kolendry, paczek lśniących liści limonki, puszek kremowego mleczka kokosowego, strzelistych gałązek palczatki kosmatej i włochatych kiści różowej szalotki.

Zawiesiła sobie torby z zakupami na przegubach i skierowała się w stronę Shaftesbury Avenue. Niebo przybierało śliwkowy odcień czerni, a na ulice Soho spływała nocna atmosfera pokusy i prowokacji, która zawsze ją podniecała. Zerknęła na ożywione twarze ludzi siedzących nad piwem za oknami pubów, zatłoczonych i nawet w poniedziałkowy wieczór tętniących rozmowami, obserwowała spojrzenia, jakimi obrzucali się świeżo upieczeni zakochani, i przez chwilę poczuła się samotna — dopóki sobie nie przypomniała, dokąd idzie, i o czekającej ją romantycznej perspektywie.

* * *

Smith nie potrafił osądzić, czy Jem woli wino czy piwo, więc kupił i to, i to. Może w ogóle nie pije — złapał jeszcze butelkę wody Perrier. Był w winiarni tuż za rogiem ulicy, na której znajdowała się jego pracownia na Liverpool Street. City, ze swymi sztucznymi antykami i nadętą tradycją, pod wieloma względami było równie pretensjonalne jak West End. Dlaczego to winiarnia, a nie zwykły sklep monopolowy, na miłość boską?

Zaniósł zakupy do wolnej kasy, gdzie sprzedawca w tradycyjnym ciemnozielonym, bawełnianym fartuchu i okularach w dru-

cianych oprawkach przejechał po nich staroświeckim aparatem do odczytywania kodu kreskowego. Smith uświadomił sobie, że jest w złym nastroju. Niemalże rzucił kartą kredytową w nieszczęsnego sprzedawcę i niepotrzebnie najeżył się niecierpliwie, owijając butelki

w bibułkę i wkładając je do torby. Zirytował go miedziany dzwonek na haczyku, który zabrzączał, kiedy Smith zamykał za sobą drzwi.

Przecinając Finsbury Circus, zauważył, że jest zimno, i pomyślał, że dosłownie przed paroma dniami w porze lunchu siedział tu w samej koszuli, patrząc, jak jakieś stare pierdziele grają w kręgle. Zawsze czuł się szczęśliwszy latem.

Żałował, że Jem wydaje dzisiaj to przyjęcie. Naprawdę nie był w odpowiednim nastroju, by się wysilać na uprzejmość, zainteresowanie i rozmowę, miał ochotę usiąść przed telewizorem, zapalić sobie trawkę, napić się piwa i nie musieć z nikim gadać. Uświadamiał sobie, że właśnie z tego powodu zdecydował, że nowy współlokator to dobry pomysł, ale nie dzisiaj, i już. Jutro czemu nie? Do jutra skończy swoją prezentację, James da mu spokój i wtedy mógłby nawet kupić butelkę szampana i kwiaty, a Jem byłaby pod wrażeniem jego przyjaznego usposobienia, dowcipu i gotowości docenienia wysiłku, jaki włożyła w przygotowanie tego posiłku. Ale nie dzisiaj.

Smith wziął teczkę i torbę z zakupami do jednej ręki, a drugą złapał poręcz schodów, kiedy schodził na stację Liverpool Street. Robił duże, zamaszyste kroki i zirytował się, gdy jakiś turysta przed nim, który najwidoczniej absolutnie nie znał etykiety panującej w metrze, gwałtownie się zatrzymał.

— Przepraszam bardzo — wymamrotał z rozdrażnieniem. Turysta odwrócił się i dobrodusznie, z przepaszającym uśmiechem przesunął się na prawo. Smith przez sekundę miał wyrzuty sumienia, przypominając sobie czasy, gdy sam był turystą.

Pocił się, jadąc linią Circle, wkurzony na innych pasażerów w wagonie — wszyscy wydzielali intensywny zapach, byli zbyt hałaśliwi, zbyt wysocy, zbyt grubi, stali za blisko, trzymali za dużo gazet lub byli po prostu obraźliwie nieatrakcyjni. Smith miał ochotę rąbnąć ich kilofem w łeb.

Zastanawiał się, o czym on i Ralph będą rozmawiali z Jem tego wieczora przy kolacji. Jednocześnie uświadomił sobie, jak mało o niej wie. Kiedy tylko mógł, unikał rozmów z Jem, i nawet nie wiedział, ile ma lat, w której części Londynu pracuje

i czy ma chłopaka — z jakiegoś powodu miał nadzieję, że nie — wiedział tylko, że nosi imię niemal tak głupie jak jego, że lubi herbatę z miodem, jeździ koszmarnym austinem allegro i jest całkiem atrakcyjna. Oczywiście nie tak jak Cheri, dużo jej brakuje do tak wspaniałego okazu opalonego, olśniewającego, anielskiego klejnotu, jakim jest Cheri. Jest jednak w swojski sposób ładniutka, drobna, seksowna i nieco frywolna — jak przystało na dziewczynę. Miała uroczy, łagodny głosik i nigdy nie nosiła spodni — a Smith szanował to u kobiet. Ale z jakiegoś powodu nie miał pojęcia, dlaczego w jej obecności czuł się nieswojo.

Drzwi kolejki otworzyły się na Sloane Square i Smith z wdzięcznością wygramolił się z wagonu, rad, że może odetchnąć świeżym, rześkim, nocnym powietrzem. Kiedy osiem lat temu kupił mieszkanie w dzielnicy Battersea, uwielbiał wysiadać na tej stacji. W końcu cały ten plebs czekający na górze na swoich znajomych i dziewczyny nie musiał wiedzieć, że Smith mieszka w SW3, gdy pośpiesznie mijali ich, idąc King's Road, zarzumiałe machając teczką. Teraz nic go nie obchodziło, co kto sobie pomyśli. Miał już za sobą tego rodzaju niedojrzałe pozerstwo i wiedział, że nikt z czekających przy zejściu do metra nawet go nie zauważa, a tym bardziej nie zastanawia się, gdzie on mieszka.

Jego uwagę zwróciła budka z kwiatami koło metra — wyglądała śmiało i barwnie na tle już już niemal bezlistnego, szarego, październikowego Sloane Square — i postanowił, że mimo wszystko kupi jakieś kwiaty dla Jem. Ona stawiała kolację, a nie sądził, by miała dużo forsy. Wybrał trzy rozłożyste gałązki peonii, jaskrawych i bezpretensjonalnych — nie chciał sprawiać wrażenia, że próbuje ją poderwać.

Akt kupowania kwiatów najwyraźniej wyzwolił w jego mózgu jakieś uspokajające substancje, bo poczuł, że poprawia mu się nastrój, kiedy wsiadał do autobusu, machnął kierowcy przed nosem biletem i zajął to samo miejsce na końcu co zwykle.

Gdy autobus przejechał przez Battersea Bridge i wypełnił się blaskiem zachodzącego słońca barwy owocu granatu sączącym się przez światła na Albert Bridge, co przypominało świeczki na urodzinowym torcie, Smitha ogarnęła niewielka fala euforii. Pozwolił sobie na uśmiech i zaczął się cieszyć perspektywą nowości, jaką stanowił domowy posiłek i rozmowa z ładną dziewczyną.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Siobhan jak zwykle zjadła, zanim Karl wrócił z kursu tańca. Chodziła z nim tam, kiedy zaczął uczyć. Brała jedną ze swych starych sukienek w stylu lat pięćdziesiątych, które kupiła na Kensington Market i podszyła pienistymi halkami, malowała się rubinową szminką, oczy podkreślała czarnym eyelinerem, związywała włosy w koński ogon, wsiadali w czarnego embassy i jechali do Sol y Sombra, czując się jak Natalie Wood i James Dean. Kiedy jednak wzięli do siebie Rosanne, Siobhan nie lubiła zostawiać jej samej na pięć wieczorów w tygodniu, więc stopniowo przestała tam chodzić. Zresztą już i tak nie zmieściłaby się w żadną ze swych starych sukienek.

Teraz patrzyła, jak Karl smaruje swoje czarne loki żelem Black and White, wciska się w pumpy i oryginalną hawajską koszulę. Nie licząc rzednących włosów, wyglądał tak samo jak przed piętnastoma laty. Był doskonałym tancerzem i jeszcze lepszym nauczycielem. Niektórzy z jego byłych uczniów sami zaczęli prowadzić kursy. Zawsze zabiegano o niego na weselach i imprezach, bo sprawiał, że kobiety wyglądały i czuły się tak, jakby umiały tańczyć.

— Czy ktoś się wprowadził do tego mieszkania na dole?
— spytał, rozsznurowując znoszone, lecz wciąż jeszcze lśniące skórzane buty. — Kiedy tamtędy przechodziłem, w kuchni gotowała jakaś dziewczyna.

— Niska i ciemnowłosa?

— Tak.

— Przez cały tydzień widziałam, jak się kręciła tam i z powrotem. To pewnie nowa współlokatorka.

Karl poszedł do kuchni, otoczył rękoma pokaźną talię Siobhan i oparł brodę na jej ramieniu. Wyciągnęła rękę do tyłu, pogłaskała go po włosach i uświadomiła sobie, zbyt późno, że to wieczór ceroca.

— Błę, usmarowałam sobie ręce tym żelem. Fuj! — Rzuciła się do zlewu. Karl lekko klepnął ją w pośladek.

Kiedy wyszedł, uśmiech zniknął z jego twarzy. Usiadł na kanapie i położył głowę na dłoniach. Słyszał, jak Siobhan za drzwiami śpiewa cicho, myjąc ręce. Miała łagodny i melodyjny głos. Śpiewała jak dziewczynka, niewinna, mała dziewczynka. Chciało mu się płakać. Żałował, że nie jest sam — wtedy mógłby szlochać i szlochać, aż serce by mu pękło. Okradziono go, odebrano mu jego dziecko. Zabrano je bez jego pozwolenia, bez jego wiedzy.

Zaledwie piętro wyżej jego dziecko rośnie, oddychało i spało w łonie Cheri: masa komórek wielkości paznokcia, z oczami, stopkami i paluszkami, z częścią jego DNA, czarnymi, kręconymi włoskami, jego złym humorem rano i śmiesznymi dużymi palcami u nóg, a ona je zabiła, nawet nie pomyślawszy, by mu o nim powiedzieć.

Fakt, że dzisiaj zakończyła ich romans, od niechcenia, nad małżami z patelni skropionymi sokiem z limonki i ze świeżą kolendra, nic nie oznaczał. Cheri nic dla niego nie znaczyła — poza włosami, seksem i parą do tańca. Ale zabiła jego dziecko i najwyraźniej w ogóle się tym nie przejęła. Patrzył na jej zinną i beztroską twarz — bardziej ją obchodziła miękkość małży niż zbrodnia, którą popełniła — i poczuł, że jej nienawidzi, naprawdę, naprawdę nienawidzi.

— Co trzecia ciąża kończy się poronieniem, to żadne wielkie halo. I tak mogło umrzeć, i nawet byś się nie dowiedział, żadne z nas by się nie dowiedziało o jego istnieniu — tłumaczyła ze zmęczeniem, jakby przy każdym lunchu musiała się tłumaczyć z aborcji jakiemuś zdenerwowanemu, pozbawionemu ojcostwa byłemu kochankowi. — Zresztą co byś powiedział Siobhan? „Och, kochanie, wiesz, ta dziewczyna, która mieszka piętro wyżej, wiesz, ta, której nie lubisz, no to ja się z nią pieprzyłem i wiesz co? Wspaniałe wieści, jest w ciąży”. Tak, jestem pewna, że kochana, gruba, bezpłodna Shuv byłaby z ciebie bardzo zadowolona. — Niecierpliwie uniosła swe idealne brwi i odwróciła się, by poinformować przechodzącego kelnera, że jej małże są za twarde i czy mógłby jej przynieść makaron z chilli i mięczakami?

Karl nie miał pojęcia, co w innych okolicznościach powiedziałby Siobhan. Kwestie praktyczne nie były istotne w jego chaosie.

tycznym procesie myślowym — w kółko myślał tylko o tym, że stracił szansę. Jego dziecko było w łonie. A gdyby on i Siobhan tak rozpaczliwie pragnęli mieć dziecko, że zdecydowałiby się na matkę zastępczą — jego sperma, jajeczko i macica innej kobiety — czy stanowiłoby to jakąś różnicę? Dla Cheri miał mniej więcej tyle uczucia co plastikowa strzykawka.

Kiedy tak siedział, słuchając, jak Siobhan w drugim pokoju przygotowuje dla niego kolację, i wspominając cierpienie na jej twarzy, kiedy w wieku dwudziestu jeden lat dowiedziała się, że jest bezpłodna, że nigdy nie urodzi dziecka, poprzysiągł sobie, że się zemści. Jeszcze nie był pewien, w jaki sposób, ale kiedy tylko pojawi się okazja, unieszczęśliwi Cheri, tak jak ona unieszczęśliwiła jego.

Smith przez cały dzień nie wiedział, czy ma się śmiać czy płakać. Przespał się ze dwie godziny, poprzedniej nocy wypił osiem puszek piwa i dwie tequile, a teraz był wtorek i Smith miał zaledwie parę godzin na dokończenie prezentacji, którą jego finansowa agencja public relations przygotowywała dla jednego z największych banków w kraju. W biurze zapanowała kompletna panika, a James był jeszcze bardziej upierdliwy, niż Smith mógłby sobie wyobrazić. Zwykle był to zrównoważony, dystyngowany facet, który szczycił się swą elegancją, lecz kiedy robiło się gorąco, luźna fala srebrzystych włosów, która zawsze przykrywała łysiejącą czaszkę, stawała dęba, jedwabny krawat nie chciał zachowywać schludnej pionowej linii, a pod pachami na koszuli ze sklepu na Jermyn Street pojawiały się małe plamy potu.

Na twarzy wystąpiły mu wypieki i darł się do Diany: „Otwórz, kurwa, jakieś okno. Śmierdzi tu jak w jakimś pieprzonym namiocie Beduinów!” Diana, która nienawidziła swojej pracy i miała już dość czekania, aż jej różowolicy, gruby chłopak się oświadczy i pozwoli jej wieść leniwe życie, na jakie we własnym mniemaniu zasługiwała, pół godziny wcześniej znalazła się na skraju załamania nerwowego i lada chwila mogła się rozplakać.

Smith wrócił za swoje biurko i spojrział na ekran komputera. Do tej pory napisał zaledwie jeden wers oferty: „Quirk & Quirk to jedna z agencji public relations w City cieszących się najdłuższą renomą wśród...”, który widniał teraz na ekranie, przy-

pominając mu mściwie o kacu i drwiąc z jego nieodpowiedzialności, wyzywając go, prowokując do napisania kolejnego wersu bez zastanawiania się nad minioną nocą.

Smith poczuł, że wywracają mu się wnętrzności. Wziął egzemplarz „PR Week” i sprawdziwszy, czy James nie obserwuje każdego jego kroku, jak to miał w zwyczaju, gdy wpadał w panikę, poszedł w kierunku toalety.

Siedząc w lśniącej, białej kabinie i gapiąc się tępo w magazyn, który trzymał na kolanach, nadal rozmyślał nad wydarzeniami z poprzedniego wieczora. Co za noc, co za kompletnie niespodziewana noc. I co za bajzel. Ukrył twarz w dłoniach i przeczesał do tyłu swe gęste włosy, czując, jak skóra przyjemnie napina mu się na twarzy.

Co ona ma teraz zrobić? Co za potwornie krepująca sytuacja. Smith nie przywykł do tego, by kobiety go podrywały. W czasach przed Cheri, zanim wyrzekł się kobiet, inicjatywa zawsze należała do niego, to on się uganiał za nimi. Ostatniej nocy Jem zupełnie go zaskoczyła, a on był zbyt pijany, by się zastanowić nad tym, co się dzieje. Teraz miał wyrzuty sumienia, zupełnie jakby zdradził Cheri. Oszczędzał się przez pięć lat, całe pięć lat, a teraz spieprzył sprawę — ot, tak. Bardzo mu to wszystko schlebiało, po raz pierwszy od lat jego ego zostało porządnie wymasowane. I było to miłe, nadzwyczaj miłe. Ale naprawdę nie powinien się posuwać za daleko. Miał wielką nadzieję, że Jem żałowała tego tak samo jak on. Może i ona wolałaby o wszystkim zapomnieć. A jeśli nie? Dziś wieczorem będzie musiał jej powiedzieć, że popełnił straszliwy błąd. A co potem? Cholera. Atmosfera stanie się okropna. Jem się wyprowadzi i będzie musiał znaleźć innego współlokatora. Co ma jej powiedzieć? Co, do diabła, mają zrobić? I dlaczego, kurde, wtedy o tym nie pomyślał?

Popatrzył smętnie na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Wyglądał zatrważająco. Czuł się zatrważająco. Musi napisać tę ofertę. Miał ochotę wpaść jak burza do gabinetu Jamesa, grzmotnąć pięścią w stół i powiedzieć: „Przepraszam cię, James, ale ja mam swoje życie i gucio mnie obchodzi wieloletnia reputacja Quirk & Quirk. Sam se napisz, ty stary idioto, ja idę do domu”. Ale oczywiście tak nie zrobi. Wziął głęboki oddech i wrócił do klaustrofobicznej mordowni. James gorączkowo przyciskał guziki na faksie.

— Diana, Diana, co się, cholera, dzieje z tą głupią maszyną?
— mamrotał, a sterczące włosy upodabniały go do starzejącej się papużki falistej.

— Czy przycisnął pan przycisk „Wyślij”, panie Quirk? — spytała Diana ze zmęczeniem i niecierpliwością.

— Oczywiście. Przycisnąłem „Wyślij”. Czy ktoś mógłby to zrobić? Ja naprawdę nie mam czasu.

Diana zrobiła głupią minę w ślad za wycofującym się Jamesem i podeszła do faksu. Zauważyła, że Smith wrócił.

— Ktoś do ciebie dzwonił, kiedy wyszedłeś, jakaś dziewczyna. Na biurku zostawiłam ci wiadomość. — Uniosła brwi.

Smith odkleił żółtą karteczkę z ekranu komputera. „Dzwoniła Gem: Dzięki za ostatnią noc i czy miałbyś ochotę na drinka? Proszę, oddzwon”. Serce zamarło mu w piersi i poczuł, jak od karku napływa mu do twarzy fala gorąca.

O kurde. I co teraz?

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Dzień dobry, Stella. — Jem była wykończona, na kacu, i czuła, jak opuchlizna pod oczami napiera na powieki.

— Dzień dobry, Jem, dobrze dziś wyglądasz. Masz nową szminkę? Pasuje ci.

— Dzięki, Stella.

Absurd. Jem wiedziała, że wygląda do dupy. Pracowała ze Stellą w agencji teatralnej już od trzech lat i co rano Stella nieodmiennie obsypywała Jem komplementami, a każdy inny od poprzedniego. Jem obliczyła, że — bez wakacji — pięć komplementów tygodniowo daje dwieście czterdzieści rocznie oraz imponującą sumę siedmiuset dwudziestu komplementów w ciągu tych trzech lat — a każdy inny.

— Jak się udał wieczór? — dopytywała się Stella swym zwykłym przymilnym tonem. Pochylała się nad biurkiem Jem z tym desperackim wyrazem twarzy, jakby od szóstej rano czekała, aż Jem przyjdzie do pracy i odpowie jej na to pytanie.

Stella miała trzydzieści trzy lata, 188 centymetrów wzrostu i wciąż jeszcze była dziewczyną. Na końcach jej włosów barwy żółknącej gazety utrzymywały się resztki trwałe, które w ogóle się nie zmieniały ani nie odrastały. Codziennie malowała się tym samym jasnoniebieskim eyelinerem, od którego jej okrągłe oczy sprawiały wrażenie jeszcze wilgotniej szych i bardziej wodnistych niż w rzeczywistości. O ile Jem wiedziała, Stella nie miała własnego życia i z wdzięcznością przeżuwała wszelkie ochłapy nieszczęśliwie fascynującego życia, jakie Jem zdecydowała się jej rzucić. „Jakie są wyniki badań twojej siostry?” — pytała z troską. „Jak się układa twojej przyjaciółce Lily z nowym chłopakiem?” (Nigdy nie poznała Lily). „Jaką tapetę w końcu wybrała twoja matka?” (Nie знаła matki Jem). „O, w ciapki... śliczna”.

Jem chciałyby móc powiedzieć, że lubi Stellę, że ma do niej słabość, że tęskniłyby, gdyby jej zabrakło, ale to nieprawda. Stel-

la była wielkim, podskakującym z radości wrzodem na dupie, a w takie poranki, kiedy Jem czuła pulsujący ból w swej odwodnionej głowie i miała mnóstwo spraw do przemyślenia, musiała zmobilizować całą swoją cierpliwość i uprzejmość, by sformułować choćby najkrótszą odpowiedź.

— Och, świetnie, świetnie. Bardzo się udał, dziękuję. — Jem uśmiechnęła się z wysiłkiem, starając się sprawiać wrażenie bardzo zajętej.

— To dobrze — zaszczębiotała Stella, zachwycona, że Jem spędziła poniedziałkowy wieczór na tyle miło, by go określić jako świetny. — Nadal ci się podoba to nowe mieszkanie?

— O tak, jest piękne, super. Bardzo mi się podoba, dziękuję.

— Jem zaczynało już brakować tego sztucznego entuzjazmu. W tej chwili zadzwonił telefon Stelli i Jem odetchnęła z ulgą.

Poczuła, jak na jej twarzy i piersiach rozlewa się lekki rumieniec wstydu i podniecenia, kiedy w jej umyśle były się pojawiać migawki z poprzedniej nocy. Smith kupił jej peonie — naprawdę kupił peonie, jej ulubione kwiaty. W chwili, gdy wszedł i nieśmiało je podał, mamrocząc: „Z podziękowaniami za kolację”, bez najmniejszych wątpliwości uświadomiła sobie, że to on jest jej przeznaczony. Zeszłego wieczora stała w kuchni, patrzyła na nich obu i w jednej sekundzie zrozumiała to z oślepiającą pewnością. Z jednej strony był Smith, przystojny w swym zmęczeniu, w ładnym szarym garniturze, jasnofioletowej koszuli i krawacie, a z drugiej — Ralph w paskudnym, rozciągniętym szarym swetrze, który wkładał chyba codziennie, i w wielce odpychających i nieco obscenicznym kalesonach.

— Pomóc ci? — spytał Smith, Ralph zaś poszedł do salonu, usiadł z powrotem na kanapie i zaczął oglądać *Eastenders*. Smith

— dwa, Ralph — zero.

W końcu zasiedli do kolacji. Całe mieszkanie przenikał zapach mleczka kokosowego, czosnku, kolendry i niemal boski aromat wonnego ryżu po tajsku. Ralph i Smith byli rozanieleni.

— W życiu nie jadłem takich pyszności! — oznajmił Ralph.

— Lepšie niż w restauracji — zgodził się Smith.

Impreza rozkręciła się po kilku piwach, a kiedy potok komplementów na temat jedzenia wysechł, Jem musiała sama wziąć na siebie ciężar podtrzymywania rozmowy, więc zadała Ralphowi i Smithowi po parę pytań.

Dowiedziała się, że Smith pracuje w City, w agencji public relations współpracującej głównie z instytucjami finansowymi. Przedtem był maklerem giełdowym, ale groziło mu wypalenie się, więc zdecydował się na poważną obniżkę zarobków i zmienił ścieżkę kariery. Ale, co dało się odczytać między wierszami, jego zarobki jakieś cztery razy przewyższały skromną pensję Jem. Mieszkał na Almanac Road od ośmiu lat — zaoszczędził sporo pieniędzy, pracując w City w okresie boomu i mieszkając z rodzicami w Croydon po skończeniu studiów, i kupił to mieszkanie za gotówkę, gdy Battersea było jeszcze dość drogą dzielnicą Londynu. Ralph wprowadził się wkrótce potem.

Ze zdziwieniem odkryła, że Ralph jest malarzem. Miała stereotypowy obraz artysty, a Ralph do niego nie pasował. Zastanawiała się, jak zarabia na życie, i zauważyła, że prawie wcale nie wychodzi z domu. Od paru miesięcy nie malował; sporadycznie, jako wolny strzelec, wykonywał na swoim Apple Macu jakieś projekty graficzne, ale jego dochody najwyraźniej były dość nędzne, wystarczały zaledwie na życie, piwo, papierosy, narkotyki i raz na jakiś czas na powrót taksówką do domu. Wyglądał na skrupowanego, opowiadając o swoim braku kierunku w życiu i karierze, która utknęła w martwym punkcie. W Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych był prymusem na swoim roku, a wystawa jego prac dyplomowych została przyjęta przez krytyków i nabywców z wielkim zainteresowaniem. Pokazał Jem niewielkie pudełko z wycinkami z prasy z tamtego okresu. Znajdowały się tam nastrojowe, czarno-białe zdjęcia „artysty” w towarzystwie entuzjastycznych artykułów pełnych takich zwrotów, jak „wybitny talent”, „geniusz”, „fascynująca nowa gwiazda swego pokolenia”. Miał kilka udanych wystaw, sprzedął parę obrazów po — jak mu się wówczas wydawało — zdumiewających cenach, po czym cała wrzawa wokół niego ucichła. Zastąpiła go nowa „fascynująca nowa gwiazda swego pokolenia” i przez parę ostatnich lat był zmuszony wystawiać swe prace w barach w City i hotelowych foyer.

— Strasznie chciałabym zobaczyć twoje obrazy — powiedziała Jem. — Masz tu jakieś?

— Ja też bym obejrzał twoje prace — powiedział Smith, po czym dodał, odwracając się do Jem: — Mieszkam z tym facetem już osiem lat i jeszcze nie widziałem, co on robi w tej swojej

pracowni. Nawet zdjęcia z polaroida, nic. Pokaż jej swój album dyplomowy, Ralphie.

Ralph *zajączkał*, ale skoczył po album.

Wrócił z wielką księgą w twardej okładce, która otwierała się na rozkładówce z napisem „Ralph McLeary” i obrazie zatytułowanym *Niebezpieczne ruchome piaski 1985*. Jem nie bardzo rozumiała współczesną sztukę ani się nią nie interesowała, ale obraz ten zrobił na niej natychmiastowe wrażenie i z ciekawością przewróciła kartkę na *Niezdrowe gazy i ultrafiolet 1985* oraz mniejszy obraz zatytułowany *Gwałtowne wylądowania atmosferyczne 1985*.

Obrazy były abstrakcyjne, lecz bogate kolorystycznie, i choć pozornie płaskie oraz jednowymiarowe, Jem wyczuła buchającą z nich potężną energię.

— Ralph, są świetne, naprawdę... — szukała słów, które nie zabrzmiałyby niefachowo — ...pełne dramatyzmu, energii, niemal przerażające. A zazwyczaj nie podobają mi się współczesne dzieła sztuki. Te są doskonałe!

— Dzięki. — Ralph wyglądał na zadowolonego wbrew samemu sobie. Zamknął album. — Ale już dość tych pytań. Teraz opowiedz o sobie.

Jem nie cierpiała mówić o sobie, ale w jak największym skrócie opowiedziała im o Smallhead Management, agencji teatralnej, w której pracowała od trzech lat, o tym, że ostatnio awansowała ze stanowiska sekretarki na młodszego specjalistę i uczy się tajników wiedzy od Jarvisa Smallheada (zaśmiali się, słysząc to nazwisko⁵), skandalicznie afektowanego szefa agencji, który pokładał w niej wielkie nadzieje. Przytoczyła niemal niekończącą się serię minidramatów i kryzysów, z jakimi ma do czynienia codziennie, których bohaterami są podstarzali lowelasi i primadonny. Opowiedziała o uciążliwej Stelli i jej obsesji na punkcie życia Jem, o swojej ekscentrycznej matce i cierpiącym od dawna ojcu, o sielankowym dzieciństwie w domku w Devon. Wyjaśniła, że jej imię to skrót od Jemima i że zanim się wprowadziła na Almanac Road, mieszkała z siostrą Lulu w przestronnym, częściowo umeblowanym mieszkaniu nieopodal Queenstown Road. Do Lulu wprowadził się jej chłopak wraz z trójką dzieci z poprzedniego małżeństwa i chociaż Jem mogła zostać, wołała się przenieść.

⁵ * *Smali head* (ang.) — dosłownie „mała głowa”.

Gawędzili dalej, gdy Smith i Jem zabrali się do sprzątanía ze stołu (Smith — trzy, Ralph — zero), a im dłużej Jem patrzyła na Smitha, tym bardziej była pewna. Zdecydowanie spokojniejsza, bardziej stonowana. Przy stole siedział wyprostowany, miał lepsze maniery i bardziej opanowany śmiech niż Ralph i cechowało go coś bezbronnego, co do niej przemawiało, pewien smutek, samotność. Ralph był dobrym kompanem do zabawy i pewnie pod wieloma względami bardziej przypominał Jem, ale chociaż Smith sprawiał wrażenie sztywniejszego, to jednak czuła, że jest jej bliski.

Gdy już raz podjęła decyzję, wiedziała, że niewiele potrzeba, by ruszyć sprawę z miejsca, łagodnie wprowadzić Smitha w związek. Nie spodziewała się tylko, że lawina potoczy się tak szybko i gwałtownie.

Ralph wstał od stołu około jedenastej, niepewnie pocałował Jem w rękę, wylewnie podziękował za kolację, oznajmił, że była kamieniem milowym w jego życiu kulinarnym, i poszedł spać, zostawiając Jem i Smitha samych.

Jem nie marnowała czasu.

— Wierzysz w przeznaczenie? — spytała, robiąc skręta na sosnowym blacie kuchennego stołu.

— Co masz na myśli?

— Wiesz, kiedy coś się dzieje z jakiegoś powodu, kiedy wydarzenia i sytuacje są z góry przesądzone. Na przykład to, że jestem tu dziś wieczorem. Gdybym w zeszłym tygodniu znalazła mieszkanie, które by mi się spodobało, nie przyszedłbym obejrzeć waszego. Siedziałabym teraz w innej kuchni, rozmawiała z zupełnie innymi ludźmi i nawet bym nie wiedziała o istnieniu waszym i tego pięknego domu. — Urwała na chwilę. — Z tym że to nie do końca prawda. — Zamilkła i zaczęła szukać w torebce biletu z metra, by zrobić z niego fikę do skręta. Nie była pewna, ile może powiedzieć Smithowi.

Smith zachodził w głowę, o co jej chodzi, i żałował, że nie może bardziej się na niej skupić.

— To zabrzmí dziwnie... obiecujesz, że nie weźmiesz mnie za wariatkę? — spytała, odrywając kawałek tekturki.

Smith sięgnął po butelkę tequili.

— Obiecuję — powiedział.

— Odkąd stałam się nastolatką, często śnił mi się ten sam sen.

— Taak. — Smith podsunął jej szklaneczkę. Jezu, ależ ona jest słodka.

— Widzę w nim jakiś wysoki dom na krętej uliczce, z piwnicą i w otoczeniu drzewek. Idę ulicą, zaglądam do jednego z mieszkań i widzę jakiegoś mężczyznę, który siedzi na kanapie plecami do okna. Pali papierosa i rozmawia z kimś, kogo nie widzę, uśmiecha się, jest szczęśliwy, rozluźniony, a ja mam wielką, wielką ochotę tam wejść. Mieszkanie sprawia wrażenie ciepłego i przytulnego, a mnie ogrania bardzo silne uczucie, że powinnam tam zamieszkać — nie mogę odejść i nigdy nie poznać tego mężczyzny, nigdy się nie stać częścią jego życia. I to już wszystko, cały sen. Tego wieczora, kiedy przyszłam obejrzeć wasze mieszkanie, po prostu wiedziałam, że to dom z mojego snu — czułam to. Czułam się tu tak swojsko, tak bezpiecznie, dokładnie jak w tym śnie. Zajrzałam do sutereny i jak we śnie zobaczyłam mężczyznę siedzącego na kanapie i rozmawiającego z kimś poza zasięgiem mojego wzroku. — Urwała. — Myślisz, że jestem wariatką? Wykopiesz mnie stąd? — Zaśmiała się nerwowo.

Smith zwalczył uśmiech, który cisnął mu się na usta. Nie wiedział, do czego zmierza ta porąbana rozmowa, ale z jakiegoś powodu miał ochotę ją kontynuować. Przywołał na twarz wyraz poważnego namysłu.

— Nie, wcale mi się nie wydaje, że jesteś wariatką. Uważam, że to zdumiewające.

— Ale to jeszcze nie koniec. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za dziwaczne... Och, nie wiem, czy o tym mówić...

Smith spojrzał na nią z przejęciem i położył głowę na dłoniach.

— Mów, proszę. To fascynujące, słowo daję.

— Nie chodzi tylko o mieszkanie, ale i o mężczyznę. W tym śnie wiem, że powinnam być z tym mężczyzną z kanapy — on jest moim przeznaczeniem. Wiesz, do czego zmierzam?

Smith nie miał pojęcia, do czego zmierza Jem, ale z minuty na minutę wydawała mu się coraz słodsza i coraz chętniejsza. Ni z tego, ni z owego wyobraził sobie, że ujmuje jej twarz w dłonie, całuje jej słodkie, czerwone usta, ale przypomniała mu się Cheri, wyobraził ją sobie, śpiącą na górze, elegancko ułożoną w jedwabnej pościeli koloru kości słoniowej (oczywiście

nigdy nie widział tej pościeli, ale przecież na pewno taka była), jej gibkie, jędrne ciało w króciutkiej satynowo-koronkowej koszulce, jej idealną głowę lekko spoczywającą na poduszce. Wyobraził sobie, jak jej odziana w koronki pierś delikatnie unosi się i opada, jak Cheri przewraca się z boku na bok, przeciąga i lekko wierci, śliska kołdra na sekundę zsuwa się z jej ciała i odsłania długą, opaloną, idealnie kształtną nogę. Wzdycha przeciągle, głęboko, zmysłowo, przewraca się i znowu pogrąża we śnie...

— Pewnie jednak masz mnie za wariatkę? Cholera. Wiedziałam. Wiedziałam, że nie powinnam niczego mówić. — Jem gapiła się w podłogę, nerwowo rozcierając ręce.

— Co? Nie! Nie. Boże, przepraszam, tak się tylko zastanawiałem. — Smith uśmiechnął się do niej skromnie i szczerze. Nadai miał ochotę ją pocałować i nagle poczuł, że nie stanowi to zbyt wielkiego wyzwania. Uniósł szklaneczkę z tequilą i skinął głową w stronę Jem.

— No to cyk — powiedział, obserwując ją, gdy złopali tę wstrętną ciecz, a potem oboje się skrzywili.

— Błę — stęknęła Jem.

— Fuj. — Wzdrygnął się Smith.

Na chwilę zamilkli, spoglądając w szklaneczki i co jakiś czas zerkając na siebie. Oboje czekali, aż coś się wydarzy.

— Smith — odezwała się w końcu Jem. — Mam nadzieję, że nie pomyślisz, że się narzucam, ale mam straszną ochotę cię przytulić. Co ty na to? — Uśmiechnęła się nerwowo i wyciągnęła do niego ręce.

Objęli się na niedźwiedzia, jak gdyby witali się po długiej nieobecności. Jem niemal czuła, jak między nimi przepływa energia, kiedy przycisnęła głowę do jego piersi i zaczęła głęboko wdychać jego zapach, który wywoływał u niej to samo uczucie bezpieczeństwa i przeznaczenia, co w jej śnie, ale jeszcze przyjemniejsze, bo prawdziwe.

Smith przytulił ją mocno, niespodziewanie uradowany uczuciem fizycznej bliskości. Minęło już tyle czasu, tyle czasu, odkąd nawiązał jakikolwiek fizyczny kontakt z drugim człowiekiem. Już zapomniał, jak to jest, bez skrępowania objąć dziewczynę, poczuć jej ciepło i ciało. Zawsze mu się wydawało, że przeżyje taką chwilę z Cheri, ale teraz było mu dobrze, miło. Jem była miła.

Mieli wrażenie, że stoją tak całymi godzinami. Obejmowali się, Jem opierała głowę na piersi Smitha, Smith opierał brodę na jej głowie, oddychali głęboko, wzdychali, pozwalając, by przepływały przez nich niewypowiedziane uczucia — niema komunikacja między dwójgiem ludzi szukających całkowicie różnych rzeczy i znajdujących je w dokładnie tym samym miejscu.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ralph nie mógł w to uwierzyć. Normalnie nie mógł uwierzyć. To mu się nie mieściło w głowie, wykraczało poza jego granice rozumowania, było nie do przyjęcia i... i... i... nie do wiary. Nie mógł uwierzyć. Ta dziewczyna mieszkała u nich dosłownie dwie minuty, a Smith już... już... już ją przeleciał. Przeleciał ją. Cholera, przeleciał ją. Nie do wiary!

Nie mógł zrozumieć, jak to się stało. W jednej chwili siedzieli wszyscy razem, gadając, śmiejąc się i ślicznie przełamując lody, dziękując bardzo, zachowywali się jak przyjaciele, wszyscy równi i nagle Ralph zaczął się zbierać do spania i wtedy — co wtedy? Co ten stary Smithie takiego zrobił lub powiedział tej dziewczynie, że tak cholernie szybko udało mu się zaciągnąć ją do łóżka? Może to jakaś nimfomanka, która przenosi się z mieszkania do mieszkania i pieprzy ze współlokatorami — oszczędzając w ten sposób na taksówkach. Jezu.

Ralph cały ranek przeleżał w łóżku z boleśnie pełnym pęcherzem, czekając, aż tamci wyjdą z mieszkania, żeby nie wpaść na któreś z nich w drodze do łazienki. Smith wyszedł przed ósmą, a Jem o dziewiątej. Teraz Ralph stał nad sedesem, patrząc, jak bezbarwny strumień moczu z wdzięcznością ucieka do wody, i wzdychając z przyjemnością i ulgą.

Jem po prostu nie wygląda na taką. To miła, przyzwoita dziewczyna. Poprzedniej nocy podczas kolacji wydała mu się niesamowicie czarująca i myślał sobie, jakie to odświeżające poznać dziewczynę jednocześnie inteligentną, dowcipną i ładną, która pije piwo z puszki, tak samo jak on przepada za curry i potrafi nie tylko mówić, ale i słuchać. Zachwyciła go i schlebila mu jej reakcja na jego obrazy. Oszłomił talent kulinarny i imponująca umiejętność jedzenia paląco ostrych potraw. Zafascynowały opowieści o jej rodzinie i współpracownikach z agencji teatralnej. Włoska gestykulacja i słodkie minki wydały mu się

czarujące i rozczulające. Nie przypominała tych dziewczyn, które zazwyczaj poznawał. Była wyjątkowa.

Więc dlaczego taka cudowna dziewczyna jak Jem ochoczo wskoczyła do łóżka z takim palantem jak Smith? Ralph był zaintrygowany. Miał mętlik w głowie. Był też zazdrosny.

Skierował się do kuchni i nalał sobie półlitrową szklanekę wody, którą wyzłopał łapczywie. Dzień był paskudny, zamglony za kuchennym oknem. Płaskie jak papier niebo miało jednolity odcień bieli, a drobny kapuśniaczek powoli zraszał cegły i beton południowego Londynu, przemieniając w papkę zeschnięte liście rozrzucone po ulicach. Połączenie brzydkiej pogody z fatalnym kacem sprawiało, że podróż przez Londyn do zaszczurzonej pracowni przy Cable Street, w której wiecznie panowały przeciągi, gwałtownie zaczynała się robić niemożliwa.

Może wszystkie te zapiski w jej pamiętniku to bzdury, a Jem miała ochotę na Smitha od chwili, gdy go ujrziała. Może tego wieczora, gdy przyszła obejrzyć mieszkanie, a Ralph był w swoim pokoju, coś się między nimi wydarzyło. Może od samego przyjazdu Jem atmosfera była przesiąknięta zapachem niepohamowanej żądz, tylko Ralph tego nie zauważył — jak jakiś smętny, niewrażliwy przemuł. Może — Ralph aż wzdrygnął się na tę myśl

— może ta kolacja była przeznaczona tylko dla Smitha i oboje z Jem przez cały wieczór czekali, aż Ralph pójdzie spać, a za każdym razem, kiedy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, rzucali sobie nad stołem ukradkowe spojrzenia, modląc się w duchu: „Spieprzaj, Ralph, spieprzaj już”. Ralph poczuł się jak idiota.

Przez pięć lat musiał wysłuchiwać, jak Smith zachwyca się tą koszmarną babą z góry, tą zarozumiałą, upozowaną krową z piekła rodem, która nawet nie ma zielonego pojęcia o jego istnieniu. A teraz, gdy po raz pierwszy jakaś porządna kobieta postawiła nogę w ich mieszkaniu i okazała odrobinę zainteresowania, Smith od razu zaciągnął ją do łóżka. Ot, tak. To doprawdy ucieśnienie lenistwa.

Na wycieracze wylądowała poczta i Ralph poczłapał do przedpokoju. Czek z biura turystycznego — 540 funtów. Akurat tyle, by spłacić część debetu, który potem będzie mógł z powrotem zacząć rosnąć. Ralph nie przypominał sobie, kiedy ostatnio nie miał debetu na koncie. Położył czek na stole w przedpokoju — później wybierze się do banku. Zauważył, że drzwi do sypial-

ni Jem znowu są uchylone. Przypomniał mu się ten fascynujący fragment, który poprzedniego dnia przeczytał w jej pamiętniku, więc z rozsądkiem i poczuciem godności jeszcze bardziej osłabionymi pod wpływem zaciekawienia, otworzył drzwi i zaczął szukać wzrokiem pamiętnika. Może tam znajdzie jakiś trop, jakie wyjaśnienie niezwykłych wydarzeń z ubiegłej nocy.

W jej pokoju wciąż panował nieporządek. Pościel na łóżku była wymięta, więc najwyraźniej w pewnym momencie Jem opuściła łóżko Smitha, kotary były zaciągnięte, a słabe światło z zewnątrz z wysiłkiem przebijało się przez gruby materiał, spowijając pomieszczenie różową poświatą. Ralph wyciągnął rękę w stronę włącznika światła i zapalił lampę w kształcie małej szklanej gwiazdki. Pamiętnik leżał wraz ze swymi poprzednikami pod stołem przy łóżku.

Zatrwożyło go własne odbicie w lustrze na szafie — a więc to tak wygląda, węższąc w czyjejs sypialni. Miał na sobie stare szare kalesony i rozciągnięty szary sweter w serek, spod którego wystawały ciemne włosy na torsie i srebrny łańcuszek, który kupił sobie w Bangkoku. Krótkie, ale rozczochrane włosy tworzyły dwa płytkie zakola, które zdawały się pogłębiać dokładnie w tym samym tempie co włosy, których przybywało mu na torsie, plecach i ramionach. Tego ranka jego niebieskie oczy były nieco przymglone — jak zawsze po przepiciu. Ale ogólnie nie wyglądał źle, jak na kompletnie niewysportowanego, prawie trzydziestoletniego faceta, który wypala paczkę marlboro dziennie.

Ralph nie był próżny, lecz doceniał to, że nie musi się martwić swoją nieatrakcyjnością — życie i bez brzydoty było wystarczająco trudne. Nie musiał dbać o wygląd. Nie miał skłonności do tycia, a mięśnie, które wyrobił sobie pewnego lata jako dwudziestodwulatek, pracując na budowie, jakoś przetrwały prawie dekadę. Łysienie mu służyło, a pielęgnację włosów ograniczał do chodzenia do tego samego fryzjera, którego odwiedzał od czasów Akademii Sztuk Pięknych, i do wyboru fryzury numer dwa. Ciuchy zawsze kupowały mu dziewczyny. Zwłaszcza te laski z agencji public relations, które wszędzie miały zniżki i kupowały markowe ubrania za pół ceny. Sweter, który teraz miał na sobie, kupiła mu Oriol, piękna, lecz nudna dziewczyna z obsesją na punkcie torebek i pieskiem wabiącym się Valentino. Zobaczył taki sam sweter w sklepie parę tygodni po rozstaniu

z nią i z szokiem stwierdził, że na metce widnieje cena 225 funtów. To go jednak nie powstrzymało przed wkładaniem go przynajmniej pięć razy w tygodniu bez prania. Teraz sweter był upstrzony małąkimi dziurkami od gorącego popiołu spadającego ze skrętów, a zapachem przypominał popielniczkę pełną curry, którą ktoś w wielkim upale przez godzinę trzymał pod pachą.

Ralph odwrócił się od swojego odbicia. Nie przywykł do przeglądania się w lustrze — nie było to nieprzyjemne, lecz nieco niepokojące. Otworzył ciemne drewniane drzwi szafy.

Podłogę przykrywały rzędy butów, niezliczone mnóstwo butów, małych pantofelków. Niektóre były na płaskim obcasie, inne na szpilce, ale wszystkie wyglądały na noszone. W przeciwieństwie do butów kupionych pod wpływem impulsu, tworzących ekstrawaganckie kolekcje obuwia innych dziewczyn, te wyglądały jak starzy przyjaciele.

Ubrania Jem stanowiły eklektyczny kalejdoskop soczystych brązów, czerwieni i zieleni, kwiatowych wzorów na szyfonie, aksamicie, zamszu i jedwabiu. Wydzielały słodki zapach zabarwiony subtelną wonią pubów, oleju, dymu z drewna i ostrych potraw: aromatyczny pamiętnik jej życia towarzyskiego. Ralph wyjął jakąś szczególnie ładną sukienkę do kostek, z przezroczystej żorżety w drobniutkie, czerwone różyczki, z cienkimi ramiączkami i rzędem nieprawdopodobnie małych guziczków na plecach. Wyobraził sobie Jem w tej sukience, z kwiatami w czarnych lokach i bujnym biustem wypiętym do przodu, biegnącą boso przez trawnik wokół jakiegoś dworu. Renesansowa laseczka o zaróżowionych policzkach.

Nie nie nie nie nie NIE! Ralph gwałtownie się pohamował. Nie przyszedł tu, by obwąchiwać ciuchy Jem i snuć fantazje na jej temat rodem z romansów Harlequina. Nie przyszedł tu, by się w niej zakochać. Jem z pewnością, z całą pewnością nie, nie, NIE była w jego typie. Nie. Blondynka, wysoka, o piersi charta, chłodna, arogancka, pijąca wino, nosząca markowe ciuchy, czytająca „Elle”, uczęszczająca na bale — taki był jego typ.

Czas przejść do meritum sprawy, dowiedzieć się, co się tu stało. Wczoraj miał u niej szansę, właściwie był faworytem, wczoraj był „szczupły i seksowny” i „fajniejszy”. Wczoraj był obiektem dziwnych i tajemniczych snów Jem. Wczoraj był w jej typie. Minął zaledwie jeden dzień i już został odstawiony na bocznicę.

Nagle ujrzał przed sobą przyszłość, a ta nie malowała się zbyt dobrze. Jem i Smith staną się nierozłączni. Będzie musiał całymi godzinami słuchać, jak uprawiają seks, siedzieć samotnie w fotelu, gdy oni będą się tulić do siebie na kanapie. W końcu zdecydują się pobrać, a podenerwowany Smith po przyjęciu zaręczynowym podejdzie do Ralpha, by poruszyć temat przeprowadzki. Ralph skończy w tekturowym kartonie (nikt już nie będzie tolerował jego zwyczaju płacenia czynszu raz na jakiś czas), kiedyś wypije o jednego Tennents Super za dużo i zostanie podpalony przez chuliganów, gdy będzie leżał nieprzytomny w progu jakiegoś domu.

Dlaczego, do diabła, poszła ze Smithem? Czym on, Ralph, ją do siebie zraził? Może chodzi o jego śmierdzące kupy. Zawsze wchodziła do toalety parę chwil po tym, jak się załatwił. A może o to, że jej nie nadskakiwał, nie oferował swojej pomocy, gdy gotowała — tak jak Smith. Zeszłej nocy pawnie zorientowała się dość dobrze, ile zarabia Smith — a wysokie dochody zawsze były czymś atrakcyjnym u mężczyzn. No i Smith kupił jej kwiaty, wstrętny lizus — pewnie to zadecydowało. Boże, gdybyż tylko przyszło mu to do głowy. Dlaczego Smith? Dlaczego nie on? Dlaczego nie on, skoro bardziej jej się podobał? Co z nim jest nie tak? Smith miał już własne mieszkanie, świetną pracę i masę pieniędzy, nie potrzebował dziewczyny. Poza tym kochał się w innej. Ralphowi nagle zrobiło się niedobrze od tej wstrętnej zazdrości, wypływającej na powierzchnię jego duszy niczym kula papieru toaletowego w zapchanym sedesie.

Z przyśpieszonym pulsem i już pożegnawszy się ze zdrowym rozsądkiem oraz poczuciem humoru, Ralph usiadł na łóżku Jem i wziął pamiętnik ze sterty. Zaczął czytać od samego początku, od stycznia 1996 roku, kiedy to Jem mieszkała gdzie indziej i była nieistniejącą osobą, którą dopiero miał poznać. Jeżeli Smith ma z nią chodzić i sypiać, to on, Ralph, ją pozna.

Pora lunchu przyszła i minęła, ludzie wychodzili z pracy, robili zakupy u Bootsa, jedli kanapki, kupowali „Evening Standard”, chodzili po mieście w garniturach, butach i płaszczach. Ralph czytał.

Po południu ludzie pracy odbywali rozmowy telefoniczne, spotkania, robili kawę, flirtowali przy kserokopiarce, pogrążali się w bezpieczeństwie życia biurowego. Ralph czytał.

Kiedy o piątej zgasło światło, a ludzie pracy uwijali się z robotą, żeby wyrobić się w terminie, robili porządek na biurku, wyłączali komputery i wysyłali pocztę, Ralph wciąż czytał.

O szóstej, czy coś koło tego, zamknął zeszyt, odłożył go z powrotem pod stół, wygładził narzutę, zgasił światło i wyszedł z pokoju. Usiadł przy swoim biurku, wyjął z paczki marlboro i zapalił go w oczekiwaniu na powrót Jem i Smitha.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Co ona tu robi? — Siobhan spytała tonem, który miał zabrzmieć zwyczajnie i beztrzesko i nie zdradzić tego, co czuła: zagrożenia, zazdrości, zdenerwowania. Ta dziewczyna była tak cholernie ładna i wysportowana, aż promieniowała zdrowiem i witalnością — wszystkim tym, z czym Siobhan pożegnała się całe lata wcześniej. I miała takie piękne włosy.

Było to pożegnalne przyjęcie Karla w Sol y Sombra: parę drinków z uczniami, spośród których paru od pięciu lat było instruktorami tańca. Chcieli mu życzyć szczęścia na nowej drodze kariery.

— To jedna z moich uczennic, nie mówiłem ci? — Karl pił piwo z butelki.

Z pewnością nie.

— Nie sądzę. Zresztą może i mówiłeś, nie pamiętam.

Cheri nie wyglądała na dziewczynę tańczącą cerooca, bardziej pasował do niej aerobic, była raczej typem dziewczyny pocącej się w sali gimnastycznej.

— Jest bardzo, bardzo dobra. Przez jakiś czas była moją partnerką, kiedy ty przestałaś przychodzić.

— O, naprawdę? — W brzuchu poczuła ukłucie paskudnej zazdrości, która zawsze była dla niej czymś obcym. Uśmiechaj się, Siobhan, uśmiechaj się szeroko, nie daj po sobie poznać, że jesteś zazdrosna.

— Nie lubisz jej, co? — nieoczekiwanie spytał Karl.

— Przecież nawet jej nie znam. Po prostu nie wygląda na szczególnie sympatyczną osobę. Zupełnie nie w moim typie. Nie zdaje egzaminu pubowego. — Karl znał egzamin pubowy Siobhan: był to jej sposób na weryfikację, czy dana dziewczyna jest w jej typie. Wyobrażała sobie, że idzie z tą dziewczyną do pubu. Jeżeli potrafiła sobie wyobrazić, że wypijają razem parę piw, zjadają torebkę chipsów i gadają na luzie, dziewczyna zdawała. Je-

żeli nie, zostawała radośnie odrzucona na stertę dziewczyn niew-moim-typie.

— Właściwie to ja też jej nie lubię.

Cudownie!

— Naprawdę? Wydawało mi się, że twoim zdaniem jest w porządku.

— Nie, miałeś rację, Shuv. To egoistyczna krowa. Nawet to nie ja ją na dzisiaj zaprosiłem, tylko jedna z dziewczyn.

— Co ci się w niej nie podoba? — Siobhan rozsadzała ciekawość. Nie przywykła do tego, by Karl tak otwarcie formułował opinie na temat ludzi, nie wiedziała, że jest na tyle mściwy, by rozmyślnie nie zaprosić dziewczyny na imprezę i nazwać ją „egoistyczną krową”.

— Nie wiem. Po prostu się z tobą zgadzam i to wszystko. Jest w niej coś, co mi się nie podoba. Nie potrafię tego nazwać. — Szczerze mówiąc, Karl był wkurzony. Powiedział tej małej dziwce, żeby tu dzisiaj nie ważyła się przychodzić, a ona obiecała, że nie przyjdzie.

„Po co miałabym się męczyć na jakiejś smętnej imprezie z tymi żalonymi ludźmi z kursu? Nic się nie martw. Możesz przeprowadzić tę swoją grubaszkę — będzie tu bezpieczna, obiecuję”.

A jednak przyszła, wystrojona w obcisłą jak druga skóra, czarną, bawełnianą sukienkę z głębokim dekoltem na plecach i teraz pije piwo ze szklanki i flirtuje z biednym Joe Thomasem, wiecznie spoconym urzędnikiem bankowym w okularach w stylu Buddy'ego Holly'ego i zbyt dużą ilością brylantyny, który wygląda, jakby lada chwila miał umrzeć z całkowicie nieskrywanego podniecenia.

Karl już nie pamiętał, kto zaczął całą tę aferę. Oczywiście zwrócił uwagę na Cheri — każdy facet by ją zauważył. Ale w końcu życie jest pełne kobiet wartych uwagi — gdyby się z każdą zaczynało skazany na klęskę romans, do niczego dobrego by to nie doprowadziło. Podrywanie dziewczyn nie było w stylu Karla. To Cheri wzięła sprawy w swoje ręce.

Wpadł na nią któregoś dnia w drzwiach wejściowych, szukając klucza. Właśnie wrócił z zajęć, miał więc na sobie kostium w stylu lat pięćdziesiątych, a ona go spytała, czy był na balu kostiumowym. Kiedy wyjaśnił, że tańczy ceroca, powiedziała, że ona też jest tancerką, że do dwudziestego roku życia ćwiczyła

balet, że uwielbia rock and rolla, a ojciec w dzieciństwie nauczył ją jive'u. Karl zaprosił ją do Sol y Sombra, a ona przysłała. Z obecnego punktu widzenia, wiedząc, jaką jest dziewczyną, można było przypuszczać, że już wtedy flirtowała z nim na całego, wysyłała gorączkowe sygnały seksualne, których on — szczerze mówiąc — zupełnie nie był świadom.

Dopiero kiedy po raz pierwszy z nią zatańczył, poczuł coś, co wykraczało poza zwykłe uznanie dla jej urody. Najzwyczajniej w świecie była najlepszą partnerką, jaką kiedykolwiek miał. Jej klasyczne wykształcenie dodawało piękna i gracji najbardziej podstawowym krokom ceroca i tańcząc z nią, miał wrażenie, że prowadzi szmacianą lalkę — taka była lekka i bezwolna, zwiewna i kobieca. W cerocu prowadzi mężczyzna, a ona poddawała się jego ruchom niemal telepatycznie, wkładając w swój taniec odpowiednią ilość energii i entuzjazmu i przez cały czas się uśmiechając.

Karl był wniebowzięty. Prawdę mówiąc, tak wniebowzięty, że nie wspomniął Siobhan o Cheri, kiedy tego wieczora wrócił do domu — nie z powodu poczucia winy, ale dlatego, że wiedział, iż spiekłby raka, a Siobhan spytałaby go o powód i wtedy zacierwieniłby się jeszcze bardziej. Nie opłacało się zasiewać w jej umyśle ziarna niepokoju. Nie powiedział więc o niczym. Niczego też nie ukrywał, ale Siobhan nigdy nie wyglądała przez okno, kiedy wracał z Cheri z kursu tańca, a ponieważ nie było szansy, by Siobhan i Cheri kiedykolwiek się poznały, Siobhan o niczym się nie dowiedziała.

Co oczywiście ułatwiło Karlowi ślicznie zorganizować swoje życie, gdy układ partnerski przekształcił się w coś nieco bardziej zmysłowego. Karl był wstrząśnięty do głębi, kiedy Cheri pocałowała go po raz pierwszy. Była to scena, która od paru tygodni przewijała się przez jego myśli, ale w końcu życie pełne jest przyjemnych wymyślonych scen i niemożliwością byłoby wprowadzić je wszystkie w życie.

„Postawię ci piwo” — powiedziała któregoś wieczora. A kiedy skończyli piwo i przyszedł czas na powrót do domu, oznajmiła: „Mam ochotę na jeszcze jednego drinka. Postawię ci tequila”. A potem, kiedy wypili i tego drinka: „Wypijmy jeszcze po jednym”. Musiała go namawiać, przymilać się, ale w końcu się zgodził. Po trzeciej tequila śmiali się, wyluzowani, a Cheri po-

chyliła się w jego stronę na swoim stołku barowym, ze skromnie skrzyżowanymi opalonymi nogami i spuszczonej powiekami, jej ciało wypełniło lukę pomiędzy nimi i zanim zdążył poczuć skrepowanie, spojrziała mu prosto w oczy i go pocałowała. Początkowo delikatnie, z nadzieją, że nie będzie musiała przejąć całej inicjatywy, że Karl zareaguje na zmysłowy dotyk jej warg i odwzajemni jej pocałunek. Znowu na niego spojrziała. „Uwielbiam tancerzy” — powiedziała, wędrując wzrokiem między jego ustami i oczami.

Przycis-

nęła usta do jego ust, tym razem nieco mocniej. „Uwielbiam zwłaszcza irlandzkich tancerzy — powiedziała przeciągle — z miękkimi wargami”. Pocałował ją wtedy, a Cheri poczuła triumf.

Ich pocałunki stawały się coraz dłuższe i mocniejsze, Karl włożył jej język głęboko w usta. Przycisnął się do niej, położył ręce na jej plecach i wydał z siebie ciche, nieco zwierzęce warczenie. „Chodźmy do biura” — jęknął, szukając w kieszeniach klucza. Potykając się, wpadli do małego, dusznego pomieszczenia, które pod koniec długiego, letniego, upalnego dnia przesiąknięte było starym odorem papierosów i rozgrzanego plastiku.

Cheri fachowym ruchem zrzuciła sukienkę i uśmiechnęła się na widok miny Karla, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej ciało bez ubrania, zuchwałe, gładkie i nagie. Niezdarnie ścigał z siebie ciuchy i robił miejsce, nie spuszczając z niej wzroku. „Boże, jakaś ty piękna” — powiedział, naciągając prezerwatywę na wyprężony penis. W ciągu pięciu minut było po wszystkim. Ich zbliżenie było mocne, szybkie i doszło do niego w bardzo niewygodnej pozycji. Karl pocił się niemiłosiernie, ze spodniami opuszczonymi do kostek i grzywką opadającą mu na oczy. „O Jezu” — powtarzał, szczytując. „O Jezu”. Potem podciągnął spodnie. „Kurde, ale tu gorąco” — powiedział i podał jej sukienkę z podłogi. „Idę umyć sobie ręce”.

I na tym powinien był poprzestać. Nie powinni ciągnąć tego dalej. Ale jeśli chodzi o Cheri, nic się nie skończyło. Nie skończyło się, bo — chociaż go uwiodła, podnieciła i sprowadziła na złą drogę — wcale nie był jej za to wdzięczny. A ona chciała jego wdzięczności.

Nie dostała jej. Nigdy nie poprosił o więcej, niż Cheri mu dawała, a nawet i to brał z obraźliwą obojętnością. W pewien weekend, kiedy powiedział, że Siobhan wyjechała, Cheri dosłownie musiała go zaciągnąć do swojego mieszkania. Wypucowała

je, zrobiła romantyczną kolację, a z pokoju do pokoju płynęły uwodzicielskie dźwięki piosenek Franka Sinatry, jego ulubieńca. Była świeża pościel, nowa bielizna, kwiaty, ale to niczego nie zmieniło. Tym razem trwało dłużej, było wygodniej i mniej się spocił, ale nadal całkowicie było pozbawione zaangażowania, a po wszystkim Karl pochłonął kolację i wrócił do swojego mieszkania, by samotnie oglądać telewizję.

Nie miał pewności, dlaczego tak długo to ciągnie. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego nie potrafił wytłumaczyć, bał się Cheri. Przerazały go jej pustka i chłód i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby próbował się wywikłać z tego układu, drogo by za to zapłacił — na przykład znalazłby Rosanne w garnku z wrzącą wodą. Cheri była tak zdeterminowana, by sprawić, żeby jej pragnął, że nie śmiał sprzeciwiać się jej żądaniom. I gdyby miał być wobec siebie szczery — w tej intensywności, w jego lęku istniało coś dziwnie podniecającego, co w pożałowania godny sposób obróciło się przeciwko niemu.

Przedtem szczerze wierzył, że nigdy, przenigdy, za nic w świecie nie zdradziłby Siobhan. Było to bardziej niż nieprawdopodobne, to było absurdalne. I z pewnością nigdy mu nie przyszło do głowy, że nawiąże gorący romans z jakąś laską — a tym właśnie była Cheri — jasnowłosą laską z nogami aż do samej ziemi i ślicznymi cycuszkami, która tańczyła jak anioł.

Wiedział, że nie jest dla Cheri nikim wyjątkowym, ale w końcu nie uważał, by ktokolwiek mógł być dla niej wyjątkowy. Najzwyczajniej w świecie pieprzenie się z nią było kontynuacją tańca, naturalnym zwieńczeniem tradycyjnie seksualnej formy sztuki. Tak dobrze im się razem tańczyło, że było rzeczą oczywistą, iż równie dobrze im będzie w łóżku.

Okłamywanie Siobhan było łatwiejsze, niż Karl mógłby sobie wyobrazić: wracał do niej z Sol y Sombra, wciąż jeszcze z potem na karku i zapachem gumki w bokserkach. Zabawne, że teraz się nie rumienił, chociaż miał coś na sumieniu. Przez całe życie czerwienił się w najmniej odpowiednich momentach, jego twarz pokrywała się rumieńcem zupełnie bez powodu, a teraz potrafił wejść do domu, spojrzeć prosto w oczy swej ufniej i niczego niepodejrzewającej dziewczynie, z którą był od piętnastu lat, z kutasem usmarowanym wydzieliną z pochwy blondynki z góry, i pozostać biały jak alabaster. Co za ironia losu.

Nie przyszło mu do głowy, że dziewczyny takie jak Cheri zachodzą w ciążę. Była po prostu tak bezduszna, tak zimna, tak pusta i pozbawiona uczuć, tak odbiegała od jego wizerunku prawdziwej kobiety, że nawet przez chwilę nie pomyślał, że Cheri w ogóle ma macicę. Była tancerką, niezłą szprychą, ale nie matką. Myśl, że niemowlę miałoby ssać te idealne, różane sutki, była niedorzeczna, obraz Cheri pchającej przed sobą wózek lub zmieniającej pieluszki był śmieszny.

To Siobhan była dla Karla symbolem idealnej matki. Siobhan była rzeczywista, żywa, miała serce tak wielkie, że mogłaby wyniańczyć cały kraj i jeszcze by go starczyło dla reszty świata. Karla nikt nigdy nie kochał tak jak Siobhan, nikt go nie darzył tak czystą, prostą, szczerą miłością, nie zaboreczą, kurczową, pełną lęków, jaką tak wielu mężczyzn bierze za prawdziwą. Ona nigdy nie próbowała go zmienić w jakikolwiek sposób. Kochała go takim, jaki był, a Karl uważał, że nie można chcieć więcej. Poza, z jakiegoś powodu, namiętym seksem z nieodpowiednią, niesympatyczną kobietą.

Czuł się teraz niewiarygodnie nieswojo — z Cheri i Siobhan w jednym pokoju. Cheri tworzyła wokół siebie taką atmosferę, jakby przyszła tu z jakiegoś powodu, jakby miała ukryty plan. Na chwilę odwróciła się od Joego Thomasa i pochwyliła wzrok Karla — uśmiechnęła się do niego szeroko i ku wyraźnemu rozczarowaniu Joego — ruszyła w stronę Karla i Siobhan.

— Cześć! — Uśmiechnęła się promiennie. — Cześć! Ty jesteś . Siobhan, prawda? Nie widziałam cię tu* całe wieki. Ostatnio nigdzie nie chodzisz? — Wyciągnęła do Siobhan opaloną rękę. Karla ogarnęły mdłości, kiedy dłonie obu kobiet się dotknęły.

— Bardzo mi będzie brakowało twojego chłopaka.

— O, naprawdę? — przyjaźnie odpowiedziała Siobhan.

— Tak, wtorkowe wieczory już nigdy nie będą takie same

— powiedziała Cheri, patrząc na Karla.

Karl obserwując tę scenę, czuł się jak przywozdzony do podłogi, ręka z butelką piwa znieruchomiła mu w połowie drogi między ustami a stołem.

— Musisz być z niego bardzo dumna. Kiedy się pojawisz na antenie, Karl?

Wziął się w garść. Czuł, że po skroniach płynie mu mały strumyczek potu.

— Zaczynam od poniedziałku, zgadza się, Shuv? — odparł, oddając pałeczkę z powrotem kobietom.

— Tak, zgadza się. Będzie w studiu przez cały przyszły tydzień, ale, wiesz, najpierw musi się nauczyć warsztatu: jak układać dzingle w mikserze, wszystkich tych technicznych szczegółów — odparła Siobhan ze śmiechem.

— No to życzę szczęścia, Karl, i w ogóle. Zresztą i tak niedługo musiałabym przerwać zajęcia. Wiecie — wyciągnęła lewą rękę wierzchem dłoni do góry — wychodzę za mąż.

— Och, jaki śliczny pierścionek. — Siobhan delikatnie ujęła palce Cheri i zaczęła oglądać pierścionek, obracając go do światła.

— Należał do matki mojego narzeczonego. Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałam.

— Twój narzeczony to ten wysoki blondyn? — sytała Siobhan.

— Nie, to Martin. Boże, w życiu bym za niego nie wyszła. Moim narzeczonym jest Giles. Znam go, odkąd skończyłam dwiętnaście lat. Jest bardzo bogaty, ma ugruntowaną pozycję w City. Ma dom w Wiltshire, drugi w Australii i apartament w Docklands.

— Gdzie zamieszkacie? Wyprowadzisz się z Almanac Road?

— Nie, chyba zatrzymam to mieszkanie jako pied-a-terre*.⁶

— Dość niepewnie wymówiła to określenie. — Trzeba mieć trochę przestrzeni dla siebie, prawda? — Odrzuciła włosy na plecy i roześmiała się. — Mam nadzieję, że się nie pogniewacie, ale muszę już lecieć. Jutro czeka mnie szukanie sukienek i muszę znaleźć jakieś miejsce na wesele.

Karl i Siobhan zamruczeli coś bez szczególnego rozczarowania.

— Karl, mój płaszcz jest w biurze. Czy mógłbyś mi je otworzyć?

— Cheri położyła dłoń na jego nagiej ręce, aż lekko podskoczył

— poruszył się po raz pierwszy, odkąd Cheri do nich podeszła.

— Może po prostu dam ci klucz? — powiedział, gmerając w kieszeni.

— Och, wiesz, jaki jest ten zamek, nigdy nie potrafiłam go otworzyć. Mógłbyś? — Uśmiechała się słodko, jedną brew unosząc nieco wyżej niż drugą.

Karl złapał Siobhan za rękę.

— Wracam za sekundkę. W porządku?

⁶ * *Pied-a-terre* — *garsoniera*.

— Jasne — odparła słabo, zastanawiając się, dlaczego tak ją niepokoi to, że Karl i Cheri idą razem do biura.

Wrócił parę minut później, zaczerwieniony i wzburzony.

— Możemy już iść?

Siobhan odetchnęła z ulgą.

— Oczywiście. Co się stało?

— Nic takiego. Po prostu mam już dosyć — odparł z roztargnieniem, usiłując ukradkiem wytrzeć nowy silny strumień potu spływającego mu po twarzy.

Był tak wkurzony, że ledwo mógł oddychać. Co za dziwka. Zmienia facetów jak rękawiczki i kosi wszystko po drodze: wakacje na Antigui, pierścionki zaręczynowe, mieszkania, dzieci, uczciwość, przyzwoitość. Co ona zamierza zrobić z tym nieszczęsnym Gilesem?

Wszyscy najwyraźniej jej wybaczeni, ciągle tylko jej dawali i dawali, nie oczekując nic w zamian. Ale on jest inny. On chce czegoś od niej. Nie zamierza pozwolić jej odejść ot tak i wieść wygodne życie z bogatym mężczyzną, który do końca życia będzie spełniał wszystkie jej zachcianki. Zwłaszcza że dzisiaj przyszła na imprezę, aby mu pokazać, że panuje nad sytuacją, popisać się przed nim i udowodnić, że może się z nim pieprzyć, potem go rzucić, usunąć jego dziecko i mimo to znaleźć sobie porządnego mężczyznę na męża.

Właśnie dlatego zrobił jej to w biurze, siłą włożył jej rękę pod sukienkę, spoconymi palcami ścisnął te idealne cycki, aż krzyknęła z bólu, a potem mocno ją pocałował, nie zważając na to, że ich zęby szczęknęły o siebie, ssał jej język, a drugą ręką złapał za krocze, ugniatając gorące ciało pod jej majtkami, chociaż się broniła. Potem rzucił jej płaszcz i otworzył drzwi. Już się jej nie bał.

— Idź do domu, ty dziwko — powiedział. — Jeżeli jeszcze kiedykolwiek zbliżysz się do Siobhan... — Cały się trząsł, a gniew wypełniał jego postać mierzącą 183 centymetry.

Była kurwą, dziwką — nieważne, czy pierścionek zaręczynowy nosiła — i chciał, by to poczuła, by wyszła z Sol y Sombra jak tania, brudna wywłoka, a nie świątobliwa, cnotliwa przyszła żona, jaką dzisiaj udawała. Wychodząc, wyglądała na wystraszoną, kurczowo ścisnęła płaszcz, szminka rozmazała się jej na ustach, a sukienka rozchełstała. Zniszczył jej marzenie o ślubie. I dobrze.

— Shuv — powiedział później, kiedy wrócili do domu i odzyskał panowanie nad sobą. — Chciałbym mieć z tobą dziecko.

— Nie zamierzał tego mówić, samo tak wyszło. Ale w chwili, gdy wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że są słuszne. Tego właśnie pragnął, bardziej niż czegokolwiek.

— Och, Karl, wiesz przecież... — Siobhan zaczęła ze smutkiem.

— Tak, tak, wiem. Będzie trudno, będzie ciężko. Zwłaszcza tobie. Ale spróbujmy. Jak należy. Teraz nas na to stać — wiesz, inne sposoby leczenia i różne takie. Shuv, proszę. Naprawdę chcę, żebyśmy mieli dziecko.

Kłęczał teraz, trzymając Siobhan za rękę.

— Proszę... — Położył głowę na jej kolanach.

Siobhan wciąż czuła się nieswojo po tamtym incydencie w klubie, a słowa Karla były ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewała. Myślała, że już dawno temu spisali marzenia o dziecku na straty, kiedy lekarz jej powiedział, że z powodu zapalenia jajników jest bezpłodna. Właśnie dlatego wzięli do siebie Rosanne. Siobhan myślała, że ten temat już przestał dla nich istnieć; poradzili sobie z nim z filozoficznym spokojem i sprawa była zamknięta.

— A jak nie wyjdzie? To może potrwać całe wieki, a ja już mam trzydzieści sześć lat. Może jestem za stara, oni nie zajmują się starszymi kobietami, bo to większe ryzyko. Musielibyśmy poświęcić na to cały czas. Widziałam takie filmy dokumentalne

— z tego powodu moglibyśmy się rozstać, a nasz związek jest dla mnie ważniejszy niż dziecko. Nie zniósłabym tego, wszystkich tych rozczarowań i czekania...

— Proszę, Shuv, proszę.

Siobhan spuściła wzrok i spojrzała na strzechę czarnych, lśniących loków Karla na jej kolanach, na mocną szyję i linię jego szerokich ramion, na jaskrawy wzór hawajskiej koszuli. Karl siedział na ugiętych nogach, zdruzgotany i bezbronny. Boże, jak ona go kochała. Najbardziej na świecie pragnęła jego szczęścia. Tylko tyle chciała — od dnia, w którym się poznali.

— OK, zobaczymy.

Karl przycisnął ją mocno do siebie i wtulił głowę jeszcze bardziej w jej ciepłe ciało.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Pogłaskała go po włosach, nie zważając na śliski żel, i poczuła lekki strach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ralph powinien był wyjść z domu, teraz to zrozumiał. Nie powinien sam siedzieć przez całą noc. Claudia zaprosiła go na jakieś przyjęcie prasowe wydane z okazji promocji nowych perfum, którą organizowała jej agencja. Pewnie byłoby koszmarnie, ale przynajmniej najadłby się i napił za friko, a poza tym poglądałby sobie laski z PR. Mógłby się narąbać w cztery dupy, spędzić noc u Claudii i zostawiłby mieszkanie dla Smitha i Jem. On jednak wolał jak wścibski egoista zostać w domu, żeby zobaczyć, jak się rozwinie romans roznamiętnionych kochanków. Przez całą noc czekał na zgrzyt klucza w zamku i przygotowywał się na ich wejście — z nogami na stoliku do kawy, przygotowanym skrzydełkiem, piwem w jednej ręce i pilotem w drugiej.

Okolo dziewiątej znudziło go siedzenie w tej pozycji, chociaż stanowiła jego pozycję naturalną, i zdecydował, że czytanie gazety w kuchni będzie jeszcze lepsze. Do dziesiątej przeczytał wszystkie nekrologi i dział ogrodniczy, nie odgadł nawet jednego hasła w skomplikowanej krzyżówce i już całkiem się dobił, przeglądając ogłoszenia o pracy. Czy kiedykolwiek będzie zarabiać 120 tysięcy funtów plus samochód służbowy, plus opieka zdrowotna, plus premie? Nie, nigdy, i na tę myśl poczuł się nieszczęśliwy.

O wpół do jedenastej z oburzeniem stwierdził, że Jem i Smith najwyraźniej dokądś się wybrali. Zrobił sobie tosta i wypróbował pozę w stylu leżę-sobie-na-kanapie-rozmawiając-przez-telefon-i-jedząc-tosta, ale nie przychodził mu do głowy nikt, do kogo mógłby zadzwonić.

Kiedy w końcu przyszli, znowu leżał na kanapie w pozie ze skrzydełkiem, piwem i pilotem. Strasznie się wydzierali, a zanim się pojawili, najpierw przedpokój wypełnił się ich irytującym wesołym trajkotaniem.

Stanęli w progu, błyskając zębami w uśmiechu i aż zdyszani z radości.

— No, jak tam, stary? *Męcząca noc?* — sarkastycznie spytał go Smith. Ralph nie był w odpowiednim nastroju na sarkazm.

— Wybierałem się na jedno z tych alfonsiarskich prasowych przyjęć Claudii, ale mi się odechciało. A gdzie wy byliście?

— Udawał uprzejmość, gównu go obchodziło, gdzie byli.

— Skoczyliśmy na drinka i kolację ze znajomymi Jem.

— Smith położył rękę na jej ramieniu. Ralpa ogarnęło przygnębienie.

— Straciliście świetny program na Discovery — odparował.

— O rekinach ludojadach. Rozcięli jednego na plaży i znaleźli w środku częściowo strawione szczątki czterech osób, razem z butlami tlenowymi.

— O kurwa, ale śmierć — powiedział Smith. Ralph wyczuwał, że Smith tylko udaje zainteresowanie. Patrzył na Jem i bawił się jej włosami.

— Czy ktoś idzie do łazienki? Kładę się spać — powiedziała Jem, zdejmując z ramienia rękę Smitha i przytrzymując ją u boku. Ralph przyglądał się jej łagodnie.

Wiem o tobie wszystko — miał ochotę powiedzieć. Przez cały dzień siedziałem w twojej głowie i wiem o każdej twojej myśli z ostatnich dziesięciu miesięcy, o każdym miejscu, w którym byłaś, o każdej potrawie, jaką jadłaś, wiem o tobie więcej niż Smith. Wiem, że przez calutki rok ani razu nie byłaś na randce, że brakuje ci seksu, ale oparłaś się pokusie pójścia do łóżka ze swoim znajomym, Paulem.

Wiem, że przynajmniej dwa razy w tygodniu jesz curry.

Wiem, że nie jesteś tak pewna siebie, na jaką wyglądasz, i że niekiedy nienawidzisz samej siebie. Wiem, że przejmujesz się tym, co ludzie o tobie myślą, że jesteś wrażliwa, niekiedy dostajesz paranoi, że kiedy masz dobry humor, wydaje ci się, że działasz ludziom na nerwy.

Wiem, że od dwóch lat nie rozmawiałaś ze swoją matką i że czujesz się bardzo nieszczęśliwa z tego powodu.

Wiem, że miewasz silny zespół napięcia przedmiesiączkowego. Wiem, że twój okres jest regularny jak w zegarku (cykl trzydziestojednodniowy, z samego rana) i że obsesyjnie troszczysz się o prawidłowe trawienie i dlatego codziennie zjadasz kilogram płatków All-Bran.

Wiem, że w czerwcu miałaś hemoroidy.

Wiem, że uważasz się za dwulicową, bo mówisz paskudne myśli na temat ludzi, dla których jesteś miła.

Wiem, że wybrałaś Smitha, bo kupił ci twoje ulubione kwiaty. Wiem o twoim śnie i rozumiem, dlaczego uznałaś, że Smith to ten jedyny. Powiniennem być bardziej się wysilić, powiniennem przywoicie się ubrać i zaoferować ci pomoc, nie powiniennem zachowywać się tak bezceremonialnie i iść spać. I wiem, że się mylisz, Jem — to nie Smith, to zwykły zbieg okoliczności: kupowanie kwiatów jest przyjemnym zajęciem. To ja siedziałem na kanapie, kiedy zaglądałaś przez okno, i to ze mną powinnaś być.

Ale jak mógłby to powiedzieć, skoro oznaczałoby to przyznanie się, że jest paskudnym podstępny człowiekiem, który czyta cudze pamiętniki? Spojrzał na Jem i uświadomił sobie, że to już nie ta nieznajoma, która dziś rano wychodziła z domu. Przez cały dzień siedział w jej głowie, w jej myślach. Wiedział o niej więcej niż Smith, który spędził z nią cały wieczór, poznał jej przyjaciół i zeszłej nocy uprawiał z nią seks. Ralph znał jej tajemnice i lęki. Rozpaczliwie pragnął się do niej zbliżyć.

— Nie, nie, możesz wejść. Ja jeszcze trochę posiedzę — odparł.

— Ty pierwsza — powiedział Smith, przyciągając do siebie Jem obiema rękami i obejmując ją w talii.

— OK. Dobranoc, Ralph, do jutra.

— Nie dostanę buziaka? — spytał, wstając z kanapy. Nagle jego też ogarnęła chęć, by ją przytulić.

— Dlaczego nie? — Uśmiechnęła się. — Dobranoc, Ralph

— powtórzyła i cmoknęła go w policzek.

— Śpij dobrze, Jemima.

— No i co ty na to? — szepnął z podnieceniem Smith, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

— Na co? — wymamrotał Ralph. Naprawdę nie chciało mu się gadać ze Smithem o jego zdumiewającym farcie.

— Oczywiście na Jem. Co o niej powiesz? O mnie i o Jem? Oj, daj spokój, na pewno się zastanawiałeś, co się dzieje.

— A, jasne. Strasznie fajnie. Tak. Strasznie fajnie. — Widząc po wyrazie twarzy Smitha, że ten oczekuje czegoś więcej, dodał:

— Piękne włosy, bardzo ładna, bardzo miła. Bardzo się cieszę, Smithie, naprawdę.

Zerknął na Smitha i wyczuł, że te komplementy na temat jego nowej dziewczyny nie wystarczą.

— Nie chodzi mi o to, jak wygląda. Nie pytam, czy ci się podoba, po prostu chcę wiedzieć, co o niej — o nas — myślisz.

— Słuchaj, co ja mam, kurwa, powiedzieć? Ta dziewczyna mieszka u nas dosłownie od pięciu minut. Jest bardzo miła, polubiłem ją. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz — po doświadczeniach z ostatnimi paroma dziewczynami. Masz lekką tendencję do nadawania zbyt szybkiego tempa... pamiętasz Gretę? Po dwóch tygodniach poprosiłeś ją o rękę i nie mogłeś zrozumieć, kiedy uciekła gdzie pieprz rośnie. I ta cholerna Dawn, ta, którą niby to pokochałeś tego samego wieczora, kiedy ją poznałeś, a ona następnego dnia zwała ci się na głowę ze wszystkimi swoimi gratami i chciała się wprowadzić. I to ja musiałem się jej pozbyć. A ta Polka, którą po niecałym tygodniu zawiozłeś do domu, żeby poznała twoich rodziców, i która uciekła z ich kamerą i laptopem twojego taty, żeby wesprzeć finansowo swojego chłopaka narkomana. A...

— OK, OK — przerwał mu Smith. — Wiem, o czym mówisz, ale tym razem to co innego. Jem jest zupełnie inna. Ja się czuję inaczej. Właśnie dlatego jest tak super. Nie zakocham się w niej, wszystko pod kontrolą! Dzisiaj wieczorem zamierzałem ją uprzedzić, że nie chcę tego dłużej ciągnąć, powiedzieć jej o Cheri i całej reszcie. Ale potem pomyślałem: właściwie dlaczego? Dlaczego, do diabła, nie miałbym dla odmiany się trochę zabawić, trochę sobie poużywać? Już zapomniałem, jak kiedyś lubiłem seks, a myślę, że zasługuję na niego, prawda? Jem to świetna dziewczyna, naprawdę bardzo ją lubię. Ale chociaż raz mam przewagę, panuję nad wszystkim. Jestem starszy i mądrzejszy i nie popełnię tych samych błędów. To tylko zabawa. Naprawdę — podkreślił, dostrzegając sceptycyzm na twarzy Ralpa.

— A więc nie powiedziałeś jej o Cheri... o swojej chorej pięcioletniej obsesji na punkcie kobiety nie do zdobycia.

— Oczywiście, że nie! Chyba żartujesz, co? Nie zamierzam tego zepsuć, zanim się jeszcze zaczęło. Jem uważa, że jestem super, że jestem mężczyzną jej marzeń, naprawdę! Powiedziała mi o tym wczoraj w nocy. Wierzy — uważaj — wierzy, że to mieszkanie pojawiło jej się we śnie i że jestem jej przeznaczony. Co za bzdura! Cheri to zupełnie inna historia. Cheri to królewna z bajki. Już się dość naczekałem. Najwyższy czas żyć dalej. Poza tym może kiedy Cheri zobaczy, że korzystam z życia — wiesz,

bez niej i z ładną dziewczuszką, która czci ziemię, po której stą-
pam — może wtedy zobaczy mnie w innym świetle i przejrzy
na oczy. Może dzięki temu stanę się dla niej bardziej atrakcyjny.

— Na tę myśl Smithowi aż twarz pojaśniała.

— Ale kiedyś w końcu powiesz, prawda? Uważam, że ma
prawo wiedzieć, jaki z ciebie palant.

— Tak, tak, a ty oczywiście opowiedziałeś Claudii o swej barw-
nej przeszłości, co? — powiedział Smith, doskonale wiedząc, że
Ralph tego nie zrobił.

— To zupełnie co innego. Ja nie kocham Claudii. Nie musi
o niczym wiedzieć.

— U-ła! A kto tu mówi o miłości? — Smith się roześmiał.

— Tym razem to chyba ty się trochę pośpieszyłeś! To jest właś-
nie takie fantastyczne — chyba pierwszy raz w życiu spotkałem
kobietę, która jest bardziej napalona na mnie niż ja na nią. Czy
ty masz pojęcie, jakie to boskie uczucie? No i Jem mieszka
tutaj, co oznacza, że nie będę musiał się przejmować wydzwa-
nianiem i randkami. Mam ją na miejscu. A to, Ralphie, mój
stary druhu, niezły układ!

Ralph przełknął gulę, która mu urosła w gardle, gdy słuchał
Smitha. Wyciągnął papierosa z paczki leżącej przed nim i spró-
bował zakończyć tę rozmowę.

— Moglibyście dzisiaj się trochę ciszej zachowywać? Jutro mu-
szę wstać wcześniej i nie zamierzam przez całą noc wysłuchiwać
waszego miauczenia.

— Dlaczego? Ja przez ostatnie pół roku musiałem znosić
Claudię Królową Wszystkich Zrząd. A mogę cię zapewnić, że
Jem jest cicha jak myszka w porównaniu z tą cholerną strzygą.
Wiesz, Ralphie, na świecie istnieją jeszcze przyzwoite kobiety.
Nie trzeba chodzić z taką jędzą jak Claudia.

— Słuchaj, nie chcę ci podcinać skrzydeł, ale na początku
każda wydaje się super. Claudia też taka była: „Nie chcę się
angażować, nie chcę być uwiązana, chcę się tylko zabawić, chcę,
żebyś i ty się dobrze bawił, oczywiście, że nie mam nic przeciw-
ko temu, żebyś się dzisiaj spotkał ze swoją byłą dziewczyną,
oczywiście, że się nie pogniewam, jak odwołasz naszą kolację,
jestem dorosłą kobietą, jestem na luzie". A teraz — spójrz tylko.
Uważaj, Smith, wszystkie kobiety są takie same, nie zapominaj
o tym.

Usłyszeli dźwięk gaszonego światła i zamykanych drzwi w łazience. Smith wstał i się przeciągnął.

— Tak, tak. Tylko czekaj. Kiedy lepiej poznasz Jem, zrozumiesz, o czym mówię — ona nie jest taka. Ty też ją pokochasz.

— Nie, Smithie, nie jest w moim typie — powiedział Ralph, uśmiechając się na siłę. — A zresztą wydawało mi się, że my nie rozmawiać o miłości.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły i Ralph znowu został sam, ogarnęło go wielkie poczucie straty. Już nigdy nie będzie tak samo. Przez całe lata życie toczyło się ślicznie, gładko i w sposób przewidywalny. Teraz wszystko znalazło się w niebezpieczeństwie — jego życie domowe, przyjaźń ze Smithem, finanse, spokój, rutyna i nawyki. I nagle uświadomił sobie, że przede wszystkim w niebezpieczeństwie jest jego serce.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

— Słuchaj, podoba mi się ta muzyka, nie mówię, że nie. Uważam, że to świetne klasyczne kawałki, ale mam pięćdziesiąt trzy lata, jestem łysiejącym dyrektorem z trójką dzieciaków, domem na wsi, land-roverem i nadkwasotą, więc taka muzyka powinna mi się podobać. Hmm, hmm... rozumiesz, do czego zmierzam?

Jeff, dyrektor programowy w ALR i nowy szef Karla, spojrział na niego ponad ogromnym biurkiem będącym symbolem jego pozycji, z dłońmi wzniesionymi do góry i wyrazem twarzy mówiącym: „Pod moim gabinetem czeka kolejka ludzi, którzy chcieliby porozmawiać ze mną o budżetach i harmonogramach, a ja mam ogromną ochotę cię zwymyślać i wywalić ze swojego gabinetu, ale ponieważ jesteś tutaj nowy, potraktuję cię uprzejmie”.

— Hmm, hmm... rozumiesz, o czym mówię, Karl? Hmm, hmm. Karl chciał, żeby Jeff przestał już wydawać z siebie to „hmm, hmm”.

— Małolaty nie słuchają Ala Greena czy Jerry'ego Lee Lewisa — ja tak, oczywiście, że tak — ale oni nie. Rozumiesz? Hmm, hmm...

Karl zaczynał się czuć jak jedyny gość na imprezie, któremu nie powiedziano, że to nie bal kostiumowy. Miał puszczać w ALR urozmaiconą muzykę, od najnowszych przebojów do Toma Jonesa. Właśnie ten duży rozstrzał zrobił na Jeffie największe wrażenie, gdy był gościem na weselu, gdzie Karl pracował jako DJ, i dlatego właśnie Karl dostał tę pracę, bijąc na głowę innych DJ-ów, którzy przez całe lata męczyli się w radiostacjach szpitalnych i podrzędnych lokalnych stacjach radiowych w Nuneaton i Truro. Miał dużą wiedzę, puszczał nie tylko wesoły, lekki pop. W ALR chcieli kogoś, kogo słuchacze mogliby szanować, kogoś z nienagannym gustem muzycznym. Chcieli, by zbudował swego rodzaju reputację — jeżeli jakiś kawałek leci w programie Karla Kasparova, to na pewno jest dobry.

„Radio kierowcy" przyciągał największą liczbę słuchaczy, był przeznaczony dla osób uwięzionych w korkach. Podczas porannego programu ludzie byli zajęci czym innym: myli zęby, karmili swoje dzieci, kochali się. Program dzienny stanowił jedynie przyjemny szmerek podczas godzin pracy. Dopóki DJ puszczał dużo popu i muzyki rozrywkowej, nikt nie zmieniał stacji.

„Radio kierowcy" był zupełnie inny, była to pora wyluzowania się po ciężkim dniu pracy, słuchali go ludzie wybredni i wymagający, którzy zmieniali stację, jeżeli DJ działał im na nerwy lub muzyka się powtarzała.

Karl, ze swym głębokim, śpiewnym irlandzkim akcentem, niewyczerpanym zapasem dowcipów i inteligentnym gustem muzycznym, był dokładnie tym, czego szukali.

A teraz, po niespełna dwóch miesiącach, mówią mu, że się pomylili, że tracą słuchaczy. Krytycy go uwielbiali, ale całe tysiące słuchaczy „zmieniało stację".

— Telefony, wywiady z gwiazdami, goście w studiu, rozrywka, pogawędki — tego ci brakuje, Karl, no i więcej przebojów, hmm, hmm. — Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

— Rick, masz sekundkę, stary? Jest u mnie Karl, wiesz, rozmawiamy o jego programie, hmm, hmm. Potrzebna nam twoja opinia, stary, rada w stylu Ricka. Mógłbyś tu do nas przyjść? Tak, tak, jasne, super, OK, świetnie... Rick — znasz Ricka, prawda?

— jest producentem programu Julesa. No i tego, ma fantastyczne pomysły, aż kipi energią i jest taki zabawny. Jezu, jaki on zabawny. Chciałbym, żebyś spędził z nim trochę czasu, wiesz, gadu-gadu. Mam tu na myśli twój czas wolny, Karl, mam tu na myśli...

Urwał i zaczął grzebać w górnej szufladzie swego przepastnego biurka z blatem pokrytym cyklamenową żywicą, jednocześnie wyciągając jedną rękę, jakby chciał być w każdej chwili gotowy złapać Karla za kłapy, na wypadek, gdyby ten usiłował uciec. Druga ręka wynurzyła się z ogromnym pękiem kluczy. Spojrzał triumfalnie na Karla.

— Mam tu na myśli Glencoe. Mam tam dom, przebudowaną starą prezbiteriańską kaplicę na kompletnym odludziu, ab-solutnie piękny, tuż nad jeziorem. O tej porze roku słońce zachodzi tuż nad nim — coś niesamowitego, Karl, naprawdę, naprawdę coś niesamowitego — człowiek się czuje strasznie

malutki i banalny, takie tam widoki. Od razu się zyskuje właściwą perspektywę... — Pograżył się w zadumie, po czym raptownie mocno trzasnął obiema dłońmi w biurko. Karl lekko podskoczył na swoim krześle. — I chcę, żebyście ty wskazała na Karla — i mój kumpel Rick pojechali tam w ten weekend, oczywiście ze swoimi partnerkami, i dali czadu, wiesz, hmm, hmm, narabiali się, powygłupiali, jeśli chcecie, dobrze się poznali i coś wymyślili... cokolwiek, co was rozśmieszy, co rozśmieszy wasze dziewczyny. Masz dzieci, Karl?

Karl w milczeniu pokręcił głową.

— Dobrze. W każdym razie powiem Sue, żeby wam wyjaśniła, jak tam dojechać, dała sprzęt i kasę na wóde i co tam sobie jeszcze chcecie... taaa, to dobry pomysł... taaa, weźcie ze sobą jakieś prochy, macie wrócić z odlotowymi pomysłami, czymś dla małaolatów, hmm, hmm. I pooglądajcie sobie kasety wideo z jakimiś komikami — wiesz, Jackiem Dee, Lee Evansem — powiem Sue, żeby coś wam przygotowała. O to nie musisz się martwić, Sue wszystko załatwi... aaa, Rick. — Jeff wstał. — Rick, mój ulubiony producent. Karl, stary, to jest Rick de Largy.

Karl odwrócił się na krześle.

— Miło mi cię poznać, uwielbiam twój program. — Mężczyzna stojący w drzwiach uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Był absurdalnie przystojny, nie olśniewająco, lecz w klasyczny i obłędny sposób przystojny. Karl nagle sobie wyobraził, jak się muszą czuć kobiety w obecności mężczyzny ładniejszego od nich. Po całej tej gadce Jeffa o „wyglupach”, „małolatach” i „pogawędkach”, Karl myślał, że cały ten Rick to jakiś zębaty i kudłaty palant w koszmarnym swetrze i ze sztuczną opalenizną. Nawet imię miał niegustowne i krzykliwe. Ale mężczyzna stojący przed nim był elegancko ubrany w białą bawełnianą koszulę, dobrze skrojone dżinsy i najwyraźniej szyte na miarę buty. Na twarzy o subtelnych rysach tkwiły skromne okulary w metalowych oprawkach,

a jego włosy o barwie szampana były gęste, krótkie z tyłu i po bokach i nonszalancko zmierzwione na górze. Był, zdaje się, w tym samym wieku co Karl, lecz wyglądał o wiele zdrowiej. Jego skóra zdawała się lśnić — Karlowi do tej pory wydawało się, że tylko skóra kobiet lśni.

— Na pewno się zaprzyjaźnicie — powiedział Jeff, wychylając się nad biurkiem. — Tylko czekajcie. — Rozpromienił się ni-

czym dumny ojciec. — Co powiecie na mały lunch, chłopcy, hmm, hmm? — Roześmiał się i uściśnił im obu dłoni. — Chodźmy obgadać to, w jaki sposób Rick uczyni z ciebie najzabawniejszego faceta w „Radiu kierowcy”.

Zabawny? Zabawny? Serce mu się boleśnie ścisnęło. Nigdy w życiu nie czuł się mniej zabawny niż teraz. Jego życie rozpadało się na kawałki. Od tamtego wieczora w Sol y Sombra, kiedy poprosił Siobhan, żeby mieli dziecko, wszystko się zmieniło. Z ich mieszkanka zniknęła atmosfera ciepła i miłości i Karl nie wiedział dlaczego. Od tamtej pory powinna właśnie narastać

— pozbył się Cheri, mieli z Siobhan wspólne plany na przyszłość, rozpoczynał fantastyczną, nową karierę, wszystko powinno się wydawać nowe i świeże.

Tej nocy po swej imprezie pożegnalnej leżał w łóżku i przyglądał się Siobhan, która siedziała na krawędzi łóżka i szybko zdejmowała z siebie ubranie. Kiedy ściągnęła bluzkę przez głowę, a włosy rozsypały się jej po gładkich, białych plecach, poczuł silną falę miłości i pożądania — potrzebę nie tylko zaspokojenia fizycznego, lecz spenetrowania każdego zakamarka jej ciała, jak wtedy, gdy był młodszy. Poglaskał ją po włosach i owinał je sobie wokół dłoni w gruby zwój, który załśnił w przyćmionym świetle lampki, a potem musnął nimi twarz — były gładkie jak satyna i ta połysująca jedwabistość podnieciła go jeszcze bardziej. Objął ją w tali, czując, jak ciało układa się w miękkie fałdy, po czym wyciągnął rękę i dotknął jej piersi. Zajęczał i wtulił twarz w jej plecy. Głęboko wdychał zapach skóry Siobhan, delikatnie masując jej pierś i czując, jak sutek nagle twardnieje pod jego dotykiem — mały, ciepły guziczek.

Przez całe lata ich życie seksualne było udane i urozmaicone, radosne i beztroskie. Dzisiaj chciał czegoś więcej. Każda kość i każdy mięsień w jego ciele aż drżały z pożądania, kiedy odwrócił do siebie Siobhan i położył się na niej. Zdjął jej włosy z ramion i rozłożył je starannie w bujny wachlarz na poduszce

— wyglądała jak archanioł Tycjana. Ucałował jej włosy, czoło, pulchne białe policzki, powieki, uszy, szyję — o Boże, chciał dotknąć ustami, językiem, palcami każdej części jej ciała. Znowu zajęczał i schował twarz między jej piersiami. Czubkiem nosa wyczuł plamkę potu, wilgotną, gorącą i wonną. Polizła ją, kosztując jej smak, jednocześnie lekko ściskając piersi Siobhan. „O Bo-

że, o Boże" — za chwilę będzie szczytować, naprawdę. Erekcja go rozsadzała, nabrzmiały i niecierpliwy penis wciskał się w krocz Siobhan — ocierał się o jej szorstkie włosy, a ruch ten przepelniał Karla pożądaniem od nasady penisa aż po czubki palców. Czuł, jak Siobhan lekko wierci się pod nim, i pogłaskał jej twarz, pragnąc, by miłość, jaką czuł do niej, przelała się z jego palców na jej głowę, by bez przerywania tej urzekającej ciszy Siobhan poczuła przepelniające go pożądanie.

— Karl... Karl... proszę. — Głos Siobhan zabrzmiał jak odległe echo. Lekko przyciskała dłonie do jego ramion. Jego język kontynuował swą podróż, a dłonie coraz mocniej ugniatały jej ciało...

— Karl, przestań, proszę... Ja... ja... nie chcę.

Karl wziął w usta jej sutek i zaczął go mocno ssać, wykonując okrężne ruchy językiem wokół twardego, ciepłego ciała...

— Karl, PRZESTAŃ, PRZESTAŃ, PRZESTAŃ! Zejdź ze mnie!

— Mocno odpychała jego ramiona, usiłując stoczyć go z siebie.

— CO?! — wrzasnął Karl. — Kurwa, co jest?! — Leżał teraz po swojej stronie łóżka, z potarganymi i sterczącymi włosami. Odwrócił się i spojrzał na Siobhan, która naciągnęła na siebie narzutę i leżała nieruchomo. Płakała cicho, ogromne łzy płynęły wartko po obu policzkach, mocząc poduszkę, na jej zaczerwienionej twarzy malowała się pustka.

— Nie chcę, Karl, po prostu nie chcę...

— Czego nie chcesz? Czego nie chcesz, Siobhan? Powiedz mi, do kurwy nędzy.

— Nie... nie... nie wiem. — Wierzchem dłoni otarła tryskające łzy, by zrobić miejsce dla nowego strumienia.

— Nie chcesz, żebym się z tobą kochał, tak? Nie chcesz, żebym się z tobą kochał, żebym pieścił twoje ciało, tak, Siobhan? Tak? — dopytywał się Karl.

Siobhan pociągnęła nosem, ale łzy płynęły dalej.

— Nie wiem, Karl. Nie wiem... Strasznie cię przepraszam. Po prostu nie mogę. Przepraszam...

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to muszę zwalić konia

— warknął, idąc do łazienki i trzaskając za sobą drzwiami.

Siobhan patrzyła na jego wściekle, nagie ciało, wciąż jeszcze wysportowane, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami na plecach, jędrnymi, okrągłymi pośladkami i kroczem ledwo widocznym,

gdy na chwilę padło na nie światło z przedpokoju. Tak dobrze znała to ciało, kochała je od tylu lat, od tylu dawało jej mnóstwo radości, a teraz, kiedy patrzyła, jak Karl wychodzi z pokoju i ją opuszcza, zaczęła niepohamowanie płakać.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje ani czy intuicja jej nie zawodzi. Miało to jednak coś wspólnego z tą imprezą w Sol y Sombra, z tą dziewczyną, blondynką z góry, tą, która wychodziła za mąż. Przy niej Siobhan czuła się brzydka i z jakiegoś powodu smutna i wystraszona, jakby coś do tej pory niezmiennego zmieniło się już na zawsze.

Chciała powiedzieć o tym Karlowi, ale nie mogła. Jak miała wytłumaczyć, że odrzuciła go, bo wydawało jej się, iż żałował, że na jej miejscu nie znajduje się Cheri? Że pieścił ją, lizal i kochał się z nią, a ona cały czas myślała tylko o tym, że Karl wyobraża sobie tę dziewczynę, marzy, że tłuste, zaniedbane cielsko Siobhan to sprężyste, opalone ciało Cheri, że jej gęsto owłosione genitalia o intensywnym zapachu to śliczne, miękkie łono Cheri, że ta kobieta pod nim jest młoda, jędrna i piękna?

Widziała, jak patrzył na Cheri, jak się rumienił — tak samo jak na kampusie tyle lat temu. A co się stało w biurze, dlaczego po powrocie był taki wzburzony? Siobhan nie miała najmniejszych wątpliwości, że Cheri mu się podoba, że Karl jej pożąda. Wszystko to miało ścisły związek z jego nową pracą. Jak słynnemu DJ-owi mogła wystarczać gruba, gnuśna, włochata kobieta? Teraz miał ochotę na coś więcej, teraz nawet seks z nią mu nie wystarczał — pragnął namiętnego, hollywoodzkiego seksu, namiętności, dyszenia i obmacywania, a nie zwykłych igraszek i śmiechu.

Pewnie i teraz myślał o Cheri, siedząc na sedesie i uwalniając się od frustracji, pewnie podobało mu się to bardziej niż wiercenie się na obfitym, galaretowatym ciele Siobhan i udawanie, że należy ono do innej kobiety.

To oczywiście, że już nie widział w niej kobiety. To by się zgadzało. Właśnie dlatego tak nagle, po tylu latach, zapragnął mieć z nią dziecko, chciał z niej uczynić matkę, naczynie, a nie kochankę. Młode, świeże dziewczyny nadają się do pieprzenia; grube, stare baby nadają się do siedzenia w domu, rodzenia dzieci i dalszego tycia. Ich piersi nadają się do ssania dla twardej niemowlęcych buzi, które pozbawiają je całej jędrności i ko-

biecości i zostawia wyschnięte, obwisłe i brzydkie, jak płaty suszonego mięsa. A kiedy ona będzie pielęgnowała jego dziecko, on pójdzie się pieprzyć z jedną z tych rozanielonych dziewczyn, które gromadzą się pod budynkiem ALR, czekając na DJ-ów. Drzwi otworzyły się cicho i Karl wszedł na palcach.

— Shuv, przyprowadziłem ci kogoś.

Jakiś ciężar spadł na łóżko i mokry język polizał Siobhan po policzku. W powietrzu pojawił się zapach psa. Siobhan przytuliła Rosanne. Płakała, aż zabrakło jej łez w oczach. Karl położył rękę na jej ramieniu.

— Shuv, przepraszam. Nie chciałem tak wylecieć z pokoju. Nie chciałem na ciebie krzyczeć. Po prostu byłem taki... taki... Strasznie chciałem się z tobą kochać. — Poglaskał ją po głowie. — Proszę, Shuv, porozmawiaj ze mną, powiedz, co cię trapi.

Siobhan tylko pokręciła głową ze smutkiem, postawiła psa w nogach łóżka i odwróciła się na bok tyłem do Karla.

— Kocham cię — szepnął jej do ucha. — Jesteś mi potrzebna. Potem się odwrócił w drugą stronę i pokój przedzielił ciężki mur milczenia, a w powietrzu zawisł ciasny węzeł niepocieszonego smutku i niewypowiedzianych myśli.

Od tamtej pory już się nie kochali. Nawet przestali ze sobą rozmawiać. Ich życie na pozór się nie zmieniło. Siobhan powitała go jak bohatera, kiedy wrócił ze studia po swoim pierwszym programie, a on przyniósł jej kwiaty. Kupili razem nową kanapę i ze wzruszeniem pożegnali się ze starą, którą zostawili na wysypisku śmieci. Ale już nie było tak samo, pojawił się między nimi dystans nie do przebycia, nieznośny dystans, który oboje bali się pokonać, bo pod nim istniała nieskończona ciemność, niezmierna głębia.

Dziecko odeszło w zapomnienie i od tamtej nocy już o nim nie wspominali.

Nie układało się im dobrze i było coraz gorzej.

Nie, Karl jeszcze nigdy w życiu nie czuł się mniej zabawny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jem już się zdążyła przekonać, że mężczyźni zakochują się bardzo szybko. Pełna deklaracja miłości pojawiała się zazwyczaj podczas pierwszego tygodnia, niekiedy wcześniej. Kiedy była młodsza, tak nią wstrząsnęło to odkrycie, że nieporadnie powtarzała tę nadużywaną formułkę, nie wiedząc, jak inaczej zakończy krepującą scenę. A potem oczywiście, gdy już raz wypowiedziała te słowa, musiała je powtarzać niczym mantrę za każdym razem, gdy ogarnięty miłością osobnik ofiarował je jak rozpaczliwy dar. Wkrótce się dowiedziała, że wyznanie „Kocham cię” jest czymś nieuchronnym, i odkryła, że jeżeli w zamian wypowie stanowcze, lecz czułe: „Nie wygłupiaj się, oczywiście, że mnie nie kochasz”, zakochany chłopak jeszcze bardziej się pogrąży w miłości i oddaniu.

Oczywiście dlatego, chociaż chodziła ze Smithem już prawie dwa miesiące, w ogóle się nie martwiła, że jeszcze jej nie wyznał miłości. Nie musiał. Jem wiedziała, że Smith ją kocha, chociaż nawet nie pisał słowem na ten temat. Dla niej był to znak, że Smith jest tym Jednym Jedynym. Wszystko układało się tak dobrze, bez wysiłku. Smith nie był wymagający, nie wywierał na nią żadnej presji.

Dla Jem odświeżające było to, że nie zameczał jej romantycznymi gestami, przesadnymi deklaracjami, prezentami i żalonymi dowodami miłości. Nie rozwodził się nad tym, jaka to ona piękna, nie opowiadał, że jest najbardziej zachwycającą kobietą, jaką kiedykolwiek poznał, seksowną, cudowną i wyjątkową. Miała już dość komplementów, a poza tym wiedziała, że takie oddanie zazwyczaj ma swoją cenę — zazdrość i zaborczość męczyzny, któremu brakuje pewności siebie.

Jem była świadoma, że innym kobietom może być trudno zrozumieć taką postawę. Wiedziała, że wiele kobiet przez większą część życia marzy o mężczyźnie, który w końcu zauważyłby burzotnowe iskierki w ich oczach, złoty połysk we włoskach na

karku, porcelanową gładkość skóry — o mężczyźnie, który by je głaskał, pieścił i pocieszał, wypowiadał słowa pełne podziwu i bez końca rozwodził się na temat wspólnej przyszłości i radości, jaką daje stały związek, który by ostrożnie i z nabożną czcią stawiał je na wysadzonym diamentami piedestale, rzucał im płatki róż pod stopy i karmił z ręki ich ulubionymi potrawami, jednocześnie nie spuszczał ich z oczu w obawie przed utratą choćby ułamka ich nieporównywalnej urody.

Ale nie Jem. Od tego aż jej się wnętrzności przewracały i zbierało na wymioty.

Oczywiście za pierwszym razem bardzo jej się to spodobało, zwłaszcza że pojawiło się pod koniec żalosego okresu dojrzewania, kiedy w końcu wmówiła sobie, że już nikt nigdy jej nie pokocha i nie dotknie.

Miał na imię Nick i był swojskim chłopakiem o mocnej szczęce i najśladszym na świecie uśmiechu. On sam właśnie wyszedł z równie żalosego okresu dojrzewania i w dojrzałym wieku dziewiętnastu lat już miał się pogodzić z wiecznym dziewictwem, kiedy pojawiła się Jem.

Był to klasyczny wakacyjny romans, pełen pikników i wypraw do kina, pijanych nocy w ogródkach piwnych i godzin miętoszenia się na przednim siedzeniu samochodu jej matki, gdzie Jem, po latach odpędzania rąk chłopaków od jej majtek, zaczęła rozpaczliwie dobierać się do majtek Nicka.

Tego lata, dzień po osiemnastych urodzinach Jem, w końcu pożegnali się ze swym długotrwałym dziewictwem, które to wydarzenie — w porównaniu z zasłyszczanymi opowieściami jej koleżanek — było prawdziwie magiczne i spełniło oczekiwania ich obojga. Szaleńczo się w sobie kochali.

Tak więc wszystko układało się idealnie i Jem była szczęśliwa.

Aż do pewnej nocy parę tygodni później. Piła właśnie trzecie piwo i ochryplym głosem gadała z równie zachrypniętą koleżanką na spotkaniu z przyjaciółkami — kiedy wszedł Nick. Nieśmiało podszedł do baru, szukając wzrokiem swej ukochanej Jem, i jego twarz rozjaśniła się niczym rozkwitający pączek, kiedy ją wypatrzył. Przyspieszył kroku i zbliżył się do niej, wyciągając ręce, by ją zamknąć w rozpaczliwym uścisku.

— Stęskniłem się za tobą — powiedział. — Kumple mnie znudzili. Chciałem być z tobą. — I przycisnął ją do siebie, wtu-

lając twarz w jej włosy. Jem próbowała się uśmiechnąć, próbowała odwzajemnić głębię jego uczucia, siłę jego namietności, ale w ogóle jej się nie udało. Czuła się natomiast podduszona, złapana w pułapkę i wystawiona na niebezpieczeństwo. Po tamtej nocy Nick stał się dla niej zupełnie innym człowiekiem. Już nie byli sobie równi. Szale się przechylały. I chociaż bardzo się starała, nie zdołała przywrócić tamtej cieplej, trwałej, spokojnej miłości, jaką czuła do niego przedtem.

Pod koniec lata pojechała na studia do Londynu, on pojechał na studia do Newcastle i chociaż początkowo wszystko układało się dobrze, to stopniowo ich weekendowe spotkania stawały się coraz bardziej wymuszone. Nick całymi godzinami wypytywał Jem o jej nowych znajomych w Londynie, o jej każdy ruch i zajęcie, i o każdego chłopaka, z którym się całowała, zanim się poznali. Potem z zatrważającą częstotliwością zaczynał płakać ogromnymi, niepoohamowanymi łzami. Szlochał i ciekło mu z nosa. „Pojechałem do Newcastle tylko po to, żeby sobie udowodnić, że nie mogę bez ciebie żyć — i rzeczywiście nie mogę! Nie mogę bez ciebie żyć, Jem!” Kiedy zaczął przebąkiwać o przeniesieniu się na uniwersytet w Londynie, Jem doszła do wniosku, że nadeszła odpowiednia pora. Dość tego dobrego.

Była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek musiała zrobić. Fatalnie zareagował, kiedy do niego zadzwoniła. Szarpnął się na lot z Newcastle do Londynu, bo jazda pociągiem potrwałaby zbyt długo, i zaczął przeczesać środowisko studenckie, chodząc od akademika do akademika, w poszukiwaniu jej. W końcu ją znalazł, choć próbowała się ukryć w Lincoln's Inn Fields. Spędzili trzy traumatyczne godziny, przerabiając szczegóły ich znajomości. Nick błagał o jeszcze jedną szansę, aż słońce zaczęło zachodzić, a włóczędzy jęli rozstawiać swe przenośne domy z kartonowych pudeł. Wtedy poddał się i wrócił do domu.

Jason też nie wierzył, że Jem go kocha, i przez dziesięć miesięcy żądał jej nieustannej uwagi, miłości i zapewnień, a kiedy czuł, że w jakiś sposób wobec niego zawiniła, na całe dni pograżał się w wielkich, czarnych dołkach. Danny żądał, by przestała się spotykać z przyjaciółmi — nie mógł zrozumieć, dlaczego miałyby potrzebować znajomych, skoro się odnaleźli. Ciem po sześciu tygodniach chciał się z nią ożenić, po czym

popadł w głęboką depresję, kiedy mu odmówiła. Stwierdził, że już nie może z nią chodzić, bo to go „za bardzo, kurwa, boli”.

Wreszcie był Freddie, fantastycznie charyzmatyczny, histerycznie zabawny i szalenie seksowny saksofonista, w którym Jem gotowa była śmiertelnie się zakochać. Był zupełnie inny niż wszyscy ci „mili” chłopcy, których kochała przedtem, i była więcej niż gotowa doświadczyć drugiej strony medalu, podać mu swe serce na talerzu. On jednak sprawił jej niemiłą niespodziankę. W ciągu paru tygodni ściął sobie zwichrzone długie loki, zamienił džinsy i kamizelkę na parę zwykłych spodni i koszulę w kratkę i zaczął na poważnie zastanawiać się nad sprzedaniem saksofonu i zdobyciem pracy w handlu, by mogli wziąć hipotekę i założyć rodzinę.

Jem była zdumiona. Czyż tak nie powinny zachowywać się dziewczęta? Czy to nie kobiety pragną stałego związku, bezpieczeństwa, dzieci, a mężczyźni wolą upijać się z kumplami, bawić i jak nadłużej korzystać z życia? Nie, o ile się orientowała. Z własnego doświadczenia wiedziała, że to mężczyźni mają silną potrzebę zaangażowania i bezpieczeństwa. Jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że przynajmniej w dziewięciu przypadkach na dziesięć to mężczyzna się oświadcza? Przecież nie wszyscy są do tego zmuszeni.

Kolejną rzeczą, jakiej Jem dowiedziała się o mężczyznach, było to, że czują się zagrożeni przez kobiety, które nie pragną stałego związku i bezpieczeństwa, które nie ciągną ich na smyczy do ołtarza, które nie zatrzymują się pod każdą wystawą jubilera ani nie rozkliwiają na widok każdego różowolicego cherubinka w wózku. Mężczyźni jęczą i narzekają na te tradycyjnie kobiece cechy, ale przynajmniej wiedzą, z czym mają do czynienia — ze „zrzędą”, z kulą u nogi. Wszystko to zostało przerobione i przetestowane przez ich ojców i ojców ich ojców, i jeszcze wcześniej: takie kobiety istniały od zawsze. Nadawały dodatkowe znaczenie nocom w pubie lub wypadom z kumplami, na które się zasługiwało po wszystkich tych żądaniach stawianych przez cały tydzień. Były częścią bogactwa życia i ostatecznie, po paru latach, mężczyźni udawali, że pozwalają się na smyczy zaciągnąć do ołtarza — by tradycji stało się zadość, chociaż tak naprawdę chcieli tego samego.

Ale w dzisiejszych czasach — no cóż. W dzisiejszych czasach zasady zostały złamane i z jakiegoś powodu męski wieczór

w pubie już nie jest tak przyjemny, skoro mężczyzna się martwi, co też jego wyzwolona dziewczyna wyprawia ze swoimi znajomymi, powrót do domu po pijaku o pierwszej w nocy nieco traci ze swego uroku, skoro ona wraca o drugiej, kompletnie nawalona i o wiele bardziej ubawiona. Jaka to przyjemność być facetem, jeżeli nie można całymi latami machać dziewczynie przed nosem marchewką stałego związku? A jeżeli ona nie chce stałego związku, pierścionka i dzieci, to czego, do diabła, może chcieć? Tak więc Jem przekonała się, że większość mężczyzn w konfrontacji z dziewczyną, która chce się tylko zabawić, wpada w dezorientację i z jakiegoś powodu przejmuje rolę tradycyjnej kobiety, za wszelką cenę usiłuje związać ze sobą dziewczynę, podciąć jej skrzydła i kontrolować ją.

Ale nie Smith. Smith był idealny. Cieszył się, że Jem robi wszystko sama, po swojemu. Był hojny, miły, wyluzowany i taki uczuciowy. Nigdy jej nie zostawiał samej, ciągle ją całował w czubek głowy, ścisnął za rękę, głaskał po karku i przytulał w niedźwiedzim, łamiącym żebra ucisku. Jem wiedziała dlaczego. Na pierwszej randce wyznał jej, że od pięciu lat żyje w celibacie. Pięć lat! Od pięciu lat nie miał fizycznego kontaktu z kobietą. To był kolejny znak. Jego celibat musi być czymś więcej niż przypadek. Smith na pewno na nią czekał. A ona strasznie się cieszyła, że właśnie z nią nadrabia stracony czas.

Ładnie pachniał, ładnie wyglądał, świetnie się ubierał i był fantastyczny w łóżku. Nie zameczał jej swymi uczuciami i brakiem poczucia bezpieczeństwa, dawał jej wolną przestrzeń, wolny czas. Naprawdę lubiła wszystkich jego znajomych. A on naprawdę lubił jej znajomych. Natomiast fakt, że był na tyle bogaty, by płacić za kolacje w restauracjach i powroty taksówką do domu, a Jem nie miała z tego powodu poczucia winy, był ukoronowaniem wszystkiego.

OK, może i nie była to miłość z dziewczęcych marzeń. OK, może i ominęli wszystkie rytuały zalotów — długie, ożywione nocne rozmowy przy drinku, niekończące się godziny w łóżku poświęcone na oglądanie myszek, blizn i pępków, długie rozmowy przez telefon, których nie ma się ochoty kończyć, i pizze w parku w mroźne, zimowe popołudnia. I może nawet nie mieli ze sobą tak wiele wspólnego — nie myliła się co do wytrawnego wina i drogich restauracji — ale tak dobrze się czuli w swoim

towarzystwie. Nawet teraz, w tej wczesnej fazie związku, potrafili siedzieć w milczeniu. Nie przeszkadzało im, kiedy się kończyły tematy do rozmowy. Poza tym Smith nie był zbyt rozrywkowy i spontaniczny, ale dla Jem nie miało to żadnego znaczenia. Już się naromansowała i nie chciała więcej.

Naprawdę nie przejmowała się, że Smith zapomniał o tym, iż minął miesiąc, a potem dwa miesiące, odkąd są razem. Uznała to za coś odświeżającego. I nie przejmowała się, że nigdy jej nie sprawił komplementów ani nie zauważył, kiedy zmieniała fryzurę albo wkładała nową sukienkę. Z pewnością nie przejmowała się jego brakiem dyskomfortu z powodu jej nocy a deux z jej bliskim przyjacielem Paulem lub całkowitym brakiem zazdrości z powodu jej byłych chłopaków i starych ukochanych. Cieszyła się, że Smith spędza tyle czasu w pracy i nie rezygnuje z własnego życia, by zrobić miejsce dla niej. Nie chciała tego. Nie chciała uwagi, żądań, potrzeb. Już wystarczająco długo znajdowała się pod szkłem powiększającym, w świetle reflektorów miłości pełnej lęków. Teraz chciała tylko Smitha.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Ralph zarzucił czytanie pamiętnika Jem. No, przynajmniej bieżącego dziennika. Za dużo w nim było „Smith to, Smith tamto” i tym podobnych. Zupełnie jakby Ralph przestał istnieć w chwili, gdy Jem przespała się ze Smithem. Miał nadzieję, że w jej zapiski wkradną się jakieś wątpliwości, jakieś odnośniki do faktu, że Smith nie jest odpowiednim facetem, że zbyt pochopnie podjęła decyzję. Te jednak się nie pojawiły. Miała kłapki na oczach, była „zakochana” w Smisie, a w swoim pamiętniku aż piała z zachwytu nad tym, jaki to on idealny, jak im cudownie i dobrze w łóżku.

Ale Ralph nie zrezygnował z długiego przesiadywania w jej pokoju. Podobał mu się. Unosił się tam ładny zapach, Ralph czuł się bezpiecznie i przytulnie wśród kobiecych artefaktów Jem. Przebywanie tam było najmiłszym zajęciem — na drugim miejscu zaraz po przebywaniu w jej obecności. Czuł się blisko niej, kiedy znajdował się w jej pokoju.

Teraz siedział na jej łóżku, przeglądając stary plan miasta, zwracając uwagę na uliczki, które zakresliła, i zastanawiając się, po co to zrobiła. Imprezy? Rozmowy w sprawie pracy? Wynajmowane mieszkania?

Była druga po południu. Claudia wyjechała. Wszyscy jego kumple poumawiali się ze swoimi dziewczynami. Piątkowy wieczór w domu. Ralph czuł się niekochany i przygnębiony, więc skierował się prosto do pokoju Jem.

Odłożył plan miasta w powrotem do górnej szuflady, a jego wzrok znowu padł na stertę starych pamiętników pod stołem. Do tej pory udawało mu się oprzeć pokusie czytania ich — dzięki temu czuł się bardziej zdyscyplinowany, mniej nieetyczny, nieco zmniejszły się jego wyrzuty sumienia spowodowane tym niecnym postępkim. Popatrzył na zeszyt i znowu odwrócił wzrok. Nie — nie powinien. Znowu spojrział. Pieprzyć to, po-

myślał, i sięgnął po pamiętnik leżący na samym dnie, starą księgę rachunkową pokrytą naklejkami z University of California i uśmiechniętymi buźkami. Na okładce było napisane „1986”. Przewrócił okładkę i otworzył zeszyt na pierwszej stronie. Stary, szorstki papier zaszeleścił cicho. Zaczął czytać.

Przerwał po sześciu godzinach. Minął cały dzień i Ralph dowiedział się dużo więcej o Jem. Dowiedział się o jej okresie dojrzewania, o tym, że nienawidziła swych mocno skręconych włosów i anemicznej cery oraz faktu, że jest tak niska; że podczas gdy inne dziewczyny traciły dziewictwo, zachodziły w ciążę i przychodziły do szkoły z malinkami na szyjach, Jem przechodziła na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania z kimkolwiek, kto chociaż mgliście przypominał nastoletniego chłopca. Była koszmarnie nieśmiała i koszmarnie zalękniona, co noc płakała w poduszkę, bo wydawało się jej, że jest brzydka i żaden mężczyzna jej nie zechce. Pierwszy raz całowała się z chłopakiem dopiero kiedy skończyła piętnaście lat, a pocałunek ten był tak nieprzyjemny i odbył się z tak paskudnym okazem płci męskiej, że potem przez dobre dziesięć minut wycierała sobie usta wierzchem dłoni, aż się wzdrygając na samo wspomnienie.

Potem przez krótki czas chodziła z paroma brzydkimi chłopakami, rozpaczliwie pragnąc zachować cześć i dziewictwo — dopóki nie umówiła się z Justinem Jonesem. Justin Jones był, zdaje się, szkolnym podrywaczem, ciemnowłosym przystojniakiem mającym wszystkie dziewczyny u swych stóp.

„Dlaczego ja?” — spytała, mając na myśli kontrast między sobą a atrakcyjniejszymi uczennicami, które codziennie ustawiały się w kolejce, by zwrócić na siebie uwagę Justina. „Nie wiem” — odparł

z półuśmiechem. „Nie chodzi o twój wygląd, po prostu masz coś w sobie. Naprawdę mi się podobasz”. Tą jedną, bezceremonialną uwagą Justin Jones nieświadomie zaszczerpił w Jem pewność siebie, której nie zdołała zaszczerpić żadna ilość komplementów od zakonchanych zalotników. Pochwalił jej osobowość. Schlebił jej duchowi i Jem wiedziała, że przy nim może być sobą. Była atrakcyjną osobą, a ten, kto tego nie dostrzegał, niewart był znajomości z nią.

Od tamtej pory Jem chodziła z wieloma miłymi chłopcami, którzy robili z siebie skończonych pajaców, tłamsząc ją swą miłością i stawiając żądania nie do spełnienia. Aż do czasu, gdy pojawił się Smith.

Ralph przynajmniej zaczynał rozumieć, co takiego Jem widziała w Smisie, dlaczego tak się w nim zakochała. Smith nie wierzył na niej presji emocjonalnej, nie ograniczał jej ani nie kontrolował.

Co za ironia losu, że zakochała się w nim, chociaż w ogóle go nie obchodziła. Co za ironia, że uważała go za tak innego od reszty chłopców, chociaż tak naprawdę był dokładnie taki sam, a jedynym powodem, dla którego nie obsypywał jej prezentami, komplementami i oświadczeniami, było to, że kochał się w innej. Co za ironia...

Ralph wyjął piwo z lodówki i opadł na kanapę, szukając pilota w bałaganie panującym na stoliku. Właśnie przegapił *Simpsonów*, a teraz na Sky leciała *Real TV*, serial złożony z idiotycznych nagrań wideo z życia widzów, ukazujących, jak na przykład ktoś jest bliski utonięcia pod tratwą albo zostaje uratowany z płonącego budynku.

Smith wyszedł na jakąś imprezę prasową. Możliwe, że Ralph zostanie dziś sam z Jem. Może zamiast jak zwykle chować się po kątach, żeby uniknąć rozmowy, powinien wykorzystać tę okazję i sprawić, by się przed nim otworzyła. Dowiedzieć się o niej jeszcze więcej. Już teraz wiedział o niej więcej niż o którejkolwiek z dziewczyn, z którymi był w długotrwałych związkach. Znał wszystkie jej lęki, historię jej romansów, jej potrzeby i pragnienia. Teraz chciał poznać ją lepiej niż ktokolwiek do tej pory.

Usłyszał jakieś kobiece głosy dobiegające z zewnątrz i przesunął się na kanapie, by zerknąć przez odsłonięte story. Była to Jem, jak zwykle obładowana zakupami — nie znał dziewczyny, która by tyle czasu spędzała w supermarketach. Rozmawiała z tą jasnowłosą laską z góry. Nadstawił uszu, usiłując pochwycić ich słowa, ale głosy były stłumione. Uśmiechnął się na myśl, że Jem z taką łatwością znalazła się w sytuacji, o której od pięciu lat nadaremnie marzył Smith. Wstał i przejrzał się w lustro, zmierzwił krótko ostrzyżone włosy i znowu usiadł.

W końcu usłyszał, jak otwierają się drzwi frontowe i po paru sekundach do pokoju wpadła Jem — zawsze wpadała do domu jak burza, taka była siła jej entuzjazmu — okutana w wielki czarny płaszcz i ciemnofioletową futrzaną etolę. "

— Właśnie ucięłam sobie pogawędkę z tą dziewczyną z góry. Bardzo sympatyczna, prawda?

Ralph zawsze miał wręcz przeciwnie zdanie na temat Cheri, ale może Jem lepiej znała się na ludziach.

— Wiesz, ona jest tancerką. Uczyła się baletu, ale za bardzo urosła. To tłumaczy jej elegancję i postawę.

Ralph uważał, że Cheri to nadęta krowa, za bardzo wyniosła — nawet jak na niego.

— Co dzisiaj robisz, Ralph?

Wzruszył ramionami i podrapał się w głowę.

— Właściwie to wszystko do dupy. Niewesoło, jak na piątkowy wieczór.

— Super. Słuchaj, znajomi wystawili mnie do wiatru, więc pomyślałam, że może ugotuję curry, wypiję morze piwa, coś zapalę i wcześniej pójdę spać. Masz ochotę się do mnie przyłączyć? No, oczywiście poza wczesnym pójściem spać. — Zachichotała uroczo.

Ralphowi nie przychodziły do głowy żadne inne zajęcia na ten wieczór, lecz starał się ukryć swe podniecenie.

— Brzmi nieźle... bardzo chętnie. Nie obiecuję, że ci pomogę w kuchni, ale mogę zrobić skręta.

— Zgoda.

Kiedy Jem wyszła z pokoju, Ralph nie mógł się powstrzymać i triumfalnie wyrzucił ręce w powietrze.

— Dobra, już się zdecydowałam. — Jem wróciła boso, w grubych czarnych skarpetach i krótkiej, ciemnozielonej sukience z dzianiny z krótkimi rękawami i kokieterijną spódnicą. — Widziałeś kiedyś ten program *Nie umiem, nie będę gotować!*

Ralph miał pustkę w oczach.

— Ojej, na pewno go widziałeś, całymi dniami przesiadujesz w domu. Jest dla ludzi takich jak ty. — Wskazała na niego palcem. — Dla ludzi, którzy rezygnują z gotowania, nawet nie próbując. Ten szef kuchni bierze dwie ofiary, które pod jego nadzorem mają coś ugotować... takie tam bzdury, ale nie o to chodzi. Uważam, że każdy kawaler powinien umieć ugotować przynajmniej jedną potrawę, a ponieważ tak lubisz curry, pomyślałam, że cię nauczę. No, rusz się. — Wyciągnęła do niego rękę, uśmiechnęła się, a on poszedł za nią do kuchni, ciesząc się dotykiem jej drobniutkiej dłoni.

— Przecież mówiłem, że ja zrobię skręta, a ty ugotujesz.

— Tak, ale zmieniłam zdanie. OK, jak wiesz, istnieje wiele, wiele rodzajów curry. Dzisiaj przygotuję jał frezi z kurczaka. Ty

na razie zrób skręta, a ja ci wszystko wytłumaczę. Tak, dzisiaj robię jał frezi z kurczaka, to bardzo, bardzo proste. Możesz je przyprawić zgodnie z własnym smakiem — ja lubię, jak jest zielone i diabelnie ostre! Mam tu piersi kurczaka, pokroimy je później, i duży pęczek kolendry, mnóstwo ostrych zielonych małych chilli... te duże się nie nadają, możesz je zostawić. Nadążasz na razie?

— O tak, na razie to bardzo proste. — Ralph siedział przy stole, krusząc trawkę i układając ją na półprzezroczystej bibułce leżącej na pudełku Shreddies odwróconym do góry dnem. Był jak w transie: dlaczego żadna z dziewczyn do tej pory nie nauczyła go gotować?

— Można skorzystać z gotowego makaronu, ale lepiej zrobić go samemu, można dodać, co tylko się chce. OK, dodam mnóstwo kolendry, trochę świeżych liści kozieradki i korzenia kozieradki... powąchaj. — Podsunęła mu pod nos plastikową torebkę.

— Tak przez cały dzień pachną pachy po zjedzeniu curry... Niedługo potem Ralph siekał kawałki kurczaka i cebulę i miazdżył czosnek. Do tej pory w swoim życiu zjadł chyba z milion porcji curry, ale nie słyszał nawet o połowie składników. Masło z mleka bawolic? Kminek? Liście curry? Ze zdumieniem odkrył, że świetnie się bawi, nawet sugeruje dodatki, prosi o dodatkowe zadania i czuje się cudownie rozluźniony w towarzystwie Jem

— po raz pierwszy, odkąd dowiedział się o jej romansie ze Smithem. Gadali i śmiali się jak starzy przyjaciele, śpiewali razem z The Pogues i tańczyli po całej kuchni.

Razem nakryli do stołu, a Ralph w ekstazie przyniósł półmisek curry i ryżu, które pomagał ugotować. A wpadł w jeszcze większą ekstazę, gdy ich spróbował — były przepyszne.

— Ralph — zaczęła Jem. — Mogę cię o coś spytać?

O Jezuniu, jedno z najbardziej niepokojących pytań, jakie można usłyszeć.

— Co myślisz o mnie i o Smisie, ale tak szczerze?

O matko. I co on ma teraz powiedzieć? „Pragnę cię, pragnę cię, pragnę cię — to myślę o tobie i Smisie”. To by było szczerze. Smith nie zna cię tak dobrze jak ja, a ty nie znasz Smitha tak dobrze jak ja. Wszystko stoi na głowie, a ja jestem zazdrosny jak wszyscy diabli.

— Bardzo się cieszę — powiedział. Co za szczerłość.

— A więc nie czujesz się wyłączony, porzucony czy coś w tym stylu? Przecież tak długo mieszkaliście ze Smithem tylko we dwójkę, może ci przeszkadzam, zawadzam?

— Nieee, wcale nie, bardzo fajnie, że tu mieszkasz. — No, przynajmniej teraz mówił prawdę.

— Powiedziałbyś mi, gdyby był jakiś problem, prawda? Strasznie bym nie chciała, żebyś czuł się nieswojo we własnym domu.

— Słowo daję, że to żaden problem. Smith już tak dawno nie zainteresował się żadną kobietą. W pewnym sensie mi ulżyło. — Pinokio, zaraz ci serce pęknie. — Cieszę się, że jest szczęśliwy. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby był tak szczęśliwy, bardzo dobrze na niego działasz. — Ale jeszcze lepiej działałabyś na mnie.

— Oj, to dobrze, ciężar spadł mi z serca. A dlaczego dzisiaj nie umówiłeś się z Claudią?

Claudia, Claudia? Co za nagła zmiana tematu. Ralph musiał wyteżyć pamięć, żeby sobie przypomnieć, kim jest ta Claudia, już nie wspominając o tym, dlaczego się z nią nie umówił.

— A tak, pojechała na weekend do Paryża, w związku z pracą... jakiś pokaz mody czy coś w tym rodzaju.

— Ojej, jak fajnie. Jeszcze jej nie poznałam, jaka ona jest?

— Szczerze?

— Tak, przecież rozmawiamy szczerze, prawda? — Oddała kawałek papierowego ręcznika i wydmuchała nos, z którego jej ciekło od ostrego curry.

— Cóż, jest bardzo atrakcyjna, bardzo wysoka i szczupła. I niekiedy bywa urocza. Ale przeważnie to straszna jędza. Według niej wszystko robię nie tak. Jeżeli do niej dzwonię, to nie w porę, jeżeli nie dzwonię, to jestem skończonym draniem. Jeśli ją zaproszę na kolację z kumplami, narzeka, że ich nie lubi, jeśli idę bez niej, narzeka, że ją zostawiam w domu. Ciągłe powtarza, że się zapuściłem i powinienem bardziej dbać o siebie, a kiedy sobie kupuję coś nowego, mówi: „Stać cię na nowe ciuchy, ale nie masz pieniędzy, żeby mnie zabrać na kolację”. Nic jej się nie podoba.

— Kochasz ją?

— Nie.

— Lubisz ją?

— Czasami.

— To dlaczego z nią chodzisz?

— Chyba dla seksu.

— Przynajmniej uczciwie stawiasz sprawę. A nie wolałbyś być z dziewczyną, którą byś kochał?

Ralph sięgnął po papierowe ręczniki — i jemu zaczęło lecieć z nosa.

— Muszę przyznać, że dopiero od niedawna chcę czegoś więcej. Przez długi czas za bardzo się bałem, wiesz, zaangażowania emocjonalnego, braku bezpieczeństwa, zranienia.

— Zostałeś kiedyś zraniony?

— No, może nie tyle zraniony, ile za bardzo zaangażowany, niemal wydrenowany — to uczucie zawładnęło całym moim życiem i potem już nie chciałem ryzykować takiego uwikłania. Ale teraz, sam nie wiem, myślę, że jestem gotowy na coś prawdziwego... na wielką miłość. — Zaśmiał się nerwowo. Nie mógł uwierzyć, że mówi takie rzeczy, już od tak dawna nie rozmawiał o prawdziwych uczuciach.

— Jeszcze nie spotkałeś odpowiedniej dziewczyny?

Och, Jem, gdybyś tylko wiedziała.

— Tak, coś w tym rodzaju. — Czas nakierować rozmowę na właściwe tory. — A ty i Smith... to wielka miłość?

— O tak, zdecydowanie. — Jem się uśmiechnęła. — Bardzo, bardzo. Smith jest wszystkim, czego zawsze pragnęłam, naprawdę. Jest ideałem.

Nie, Jem, to nieprawda. To palant, który na ciebie nie zasługuje.

— No, to świetny facet. — Ralph chciał powiedzieć coś złego o Smisie, obmówić go, ale to by było naprawdę małostkowe i podłe. Chciał powiedzieć Jem o fatalnej w skutkach historii romansów Smitha, która zdjęłaby jej z nosa te różowe okulary. Chciał jej powiedzieć, że Smith uważa jej wiarę w sny i przeznaczenie za totalny absurd, ale i dobry sposób na dobranie jej się do majątek. Chciał jej powiedzieć, że Smith wyrzuciłby ją jak gorącego ziemniaka, gdyby Cheri raczyła na niego zerknąć. Tyle chciał jej powiedzieć, ale nie mógł. Jem wyrwała go z zamyślenia.

— Jak to się stało, że już nie malujesz?

No, powoli dochodzą do sedna sprawy.

— Fiu, to trudne pytanie. Nie powiedziałbym, że już nie maluję, raczej, że nie maluję w chwili obecnej. Próbowałem, ale

po prostu brakuje mi inspiracji. Może za dobrze mi się wiedzie. We wczesnej młodości byłem bardzo nieszczęśliwy, bardzo wsłuchany w siebie, wtedy łatwo było malować.

— Odciałeś się, prawda? Odciałeś się od swoich uczuć. Jestem pewna, że gdybyś poznał jakąś dziewczynę i się zakochał, wszystko by wróciło, wszystkie emocje by się wydostały na powierzchnię, a ty poszedłbyś prosto do pracowni. A malowanie wcale by nie oznaczało dla ciebie ciężkiej pracy, wysiłku. Tak, takie lekarstwo przepisuje ci doktor Jem. Znajdź sobie jakąś porządną kobietę i się zakochaj.

Niekiedy ironia losu bywa zbyt bolesna.

Teraz Ralphowi zaczęły łzawić oczy. Chilli zadziałało z opóźnieniem i Ralpa paliło w ustach, miał spuchnięte wargi, ciekło mu z nosa, a myśli kotłowały się w głowie. Chciał tyle powiedzieć, a nie mógł.

— Chyba nie za ostre, co, Ralph? Co zostało z twoich przechwałek, że żadne curry nie jest dla ciebie za ostre? — nabijała się z niego Jem.

— Absolutnie nie. — Kolejne kłamstwo, ale przecież nie mógł się przyznać tej dziewczynie! — Dokładnie takie, jakie lubię. Ty sama wyglądasz, jakbyś się strasznie męczyła, panno Twardzielko.

— Ależ skąd! To jest łagodne w porównaniu z curry, które zwykle jadam. Po prostu nie chciałam ci zaszkodzić.

— Ach, rozumiem, uważasz się za królową chilli, co?

— Nie uważam się, tylko wiem, że nią jestem. Jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by przełknął tak ostre potrawy.

— No to myślę, że właśnie spotkałaś równego sobie. — Ralpa aż rozsadzał zapał do współzawodniczenia. Odskoczył od stołu i wziął garść surowych chilli z torby na kontuarze.

— OK, po jednym dla każdego, w całości, bez odgryzania po kawałku. Oddzielmy ziarno od plew.

— Nie ma sprawy. No, dawaj.

Och, co za ból, co za słodki, piekący ból, gdy cierpkie olejki z chilli powoli spływają na ich języki. Najpierw chrupnięcie, kiedy lśniąca, zielona skórka pęka między zębami, potem zapowiedź smaku i wreszcie żywy ogień bezskutecznie gaszony przez gwałtowny ślinotok.

— Nie można połykać, musisz przeżuć całą i pokazać na języku — powiedział Ralph.

Języki ognia liżą ich po gardle, mózgi wysyłają gorączkowe sygnały do wszystkich części ciała. Jem i Ralph żuli, raptownie wciągając i wypuszczając powietrze przez ściągnięte w ciup wargi niczym prehistoryczne matki, i machając dłońmi przed ustami w bezowocnej próbie ugaznienia płomieni.

— O kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, wypaliło mi dziurę w języku!

— Mnie wypaliło dziurę w gardle!

Serce galopuje, pot płynie strumieniami. Ralph wali pięściami w stół, oczy prawie mu wychodzą z orbit, a lzy toczą się po policzkach.

— OK, OK, pokazujemy, pokazujemy... muszę to połknąć, zanim mnie zabije! — krzyknęła Jem z policzkami bardziej zaróżowionymi niż kiedykolwiek. — Proszę wyciągnąć język.

Ralph i Jem wyciągnęli języki, pokazując małe kupki zielonej papki, i przelknęli.

— Wody, wody!!! — ryknął Ralph.

— Nie, od wody będzie ci jeszcze gorzej. Piwa!

Łapczywie przypięli się do piwa, ale to niczego nie zmieniło.

— O Boże, chyba zaraz umrę! Ryz, zjedzmy trochę ryżu! Oboje rzucili się do kuchenki i palcami zaczęli nabierać ryż i wpychać go sobie do ust.

— Lód! Jest trochę lodu w zamrażarce?

Ralph otworzył drzwiczki zamrażarki i zaczął gorączkowo przeszukiwać jej zawartość.

— Mam, mam! — Odwrócił do góry nogami pojemnik z lodem, walnął nim mocno o blat i kostki lodu poleciały we wszystkie strony, na podłogę i do zlewu. Oboje wzięli po jednej, wepchnęli je sobie do ust i zaczęli ssać mocno, by wydobyć z nich każdą kroplę lodowego chłodu. — O Jezu! — krzyknął Ralph. — O Jezuniu! — Płomienie wreszcie zaczęły przygasać, lecz całe ciało wciąż znajdowało się w stanie lekkiego szoku, endorfiny przepływały przez niego niczym jakiś cudowny narkotyk.

— Boże! — Jem przesuwała kostką lodu po spuchniętych wargach. — Coś niesamowitego! Zupełnie jak seks!

W głowach im się kręciło, tętno skakało. Oboje bez powodu pękali ze śmiechu.

— To było lepsze niż seks — odparł Ralph.

Powoli z powrotem usiedli przy stole.

— To kto wygrał? — spytała Jem.

— Myślę, że jest remis!

— O nie, nie sędzę. Ktoś musi wygrać. Do trzech razy sztuka.

Kiedy Smith wrócił do domu, w mieszkaniu panowała niepomówiona histeria. Podążył za dźwiękiem szalonego śmiechu do kuchni i znalazł Ralpha i Jem z głowami w zamrażarce.

— Co wy, do diabła, wyprawiacie? — spytał, stawiając teczkę na stole pośród morza pustych puszek po piwie, brudnych talerzy i topniejących kostek lodu.

— Zawody w Jedzeniu Chilli — odparł Ralph, ssąc kostkę lodu i rozpaczliwie machając sobie dłonią przed ustami. — Po pięć na głowę... surowe... jest remis.

— Co?! Wy chyba, kurwa, powariowaliście — powiedział Smith, powoli kręcąc głową. Pochwycił wzrok Jem. — Wyglądasz jak wariatka. Jak umysłowo chora!

Ralph nie uważał, że Jem wygląda jak umysłowo chora, uważał, że wygląda absolutnie zachwycająco. Miała rozpuszczone włosy, czarne loki okalały jej rozpaloną, czerwoną twarz, emanowało z niej ciepło i euforia, gdy przytuliła się do Smitha.

Tuliła się do Smitha. Ralpha bolało, gdy zobaczył, jak szybko wyrwała się z kokonu szaleństwa, który razem utkali tego wieczora, i rzuciła w ramiona Smitha — jak dziecko, którym opiekował się przez cały wieczór, dopóki nie wrócił jego ukochany rodzic. On i Jem byli tak bliscy sobie, a potem wszedł Smith i zepsuł cały nastrój, jakby zmiażdżył żuka pod ciężarem swej głupiej, pieprzonej teczki. Była jedna krótka piękna chwila, kiedy Smith wszedł do kuchni i Ralph poczuł, że Smith jest tu nie do pary, zbędny, a Jem należy do niego.

Ale, ku jego rozpacz, wieczór się już skończył. Jem sprzątała śmietnik na stole w kuchni, Smith rozwiązywał krawat i opowiadał o spotkaniu ze szwajcarskimi bankierami. Było po wszystkim.

Ralpha przygwoździł do miejsca ciężar jego smutku.

— Yyy, to ja chyba będę się już zbierał do spania — wymruczał cicho. — Dzięki za piękny wieczór, Jem. Dzięki za Zawody w Jedzeniu Chilli, curry i za wszystko — było super.

Schylił się, by ją pocałować w policzek, ale akurat odwracała do niego twarz, i jego usta wylądowały na jej ustach. Od tego niespodziewanego pocałunku cały jego organizm przeżył potężny

szok, a dreszcz podniecenia przeszedł od jego ust, przez serce, wykonał pętlę w żołądku i zakończył swą podróż gorącą falą rozkoszy w kroczu. Był silniejszy niż chilli!

— To dobranoc. — Jego ciało nagle zawahało się między sprzecznymi pragnieniami: zostać i rzucić się na Jem albo uciekać co sił w nogach. Poczłapał do łazienki i opadł ciężko na opuszczoną deskę sedesu. Cały się trząsał.

Kochał ją. Był aż po uszy, idiotycznie i cudownie w niej zakochany. Cholera.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— Jeju-jeju, to dopiero życie, nie?

— A jużci, Siobhan, to niemożliwie pikny kraj.

Rosanne siedziała na tylnym siedzeniu embassy, wychylając pyszek przez lekko opuszczone okno i mrużąc oczy na ostrym grudniowym wietrze, na którym łopotały jej długie czarne uszy.

— Zważywszy, że to ty jesteś Celtem, masz pan dość kiepski szkocki acent, panie Kasparov.

— No cóż — odparował Karl — a słyszałaś kiedyś, jak Sean Connery naśladuje irlandzki akcent? Koszmar!

Siobhan i Karl zostawili za sobą miejskie obszary Szkocji i kraj-obraz stawał się bardziej urozmaicony, przechodząc z nudnego pofalowanego terenu na południu w pełni rozwinięte formacje utworzone przez fale pływów. Przemierzali niekończące się, puste drogi, na każdym zakręcie mijając cuda natury, zapierające dech w piersiach widoki. Przez ostatnie czterdzieści pięć minut, odkąd wjechali na wyżyny, ich rozmowa składała się z samych „ochów” i „achów”, gdy ostre szkockie światło padało na skrzące się nitki srebrzystej wody spadającej kaskadą po gładkich, czarnych wzgórzach albo gdy pojawiała się jakaś maleńka czarowana wyspa artystycznie umiejscowiona pośrodku jeziora. Pyszny krajobraz, który wylaniał się z każdej strony, był miękki i kobiecy, wyłożony czymś, co z daleka wyglądało jak jaskrawozielony aksamit, a późnopołudniowe niebo łączyło się z ziemią w dole łagodnymi kłębam jasnyniebieskiej mgły.

Żadne z nich wcześniej nie było w Szkocji i czuli się teraz jak rozochocone dzieciaki, niemogące się doczekać, co znajduje się za następnym zakrętem, lecz ociągają się za każdym razem, gdy natknęły się na widok, który na zawsze miał pozostać w ich snach.

— Ciężko mi się do tego przyznać, ale to bije na głowę krajobrazy w Irlandii. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego — powiedział Karl.

Siobhan studiowała atlas leżący na jej kolanach.

— Jeszcze jedno jezioro i jesteśmy na miejscu — oznajmiła, odgarniając z twarzy rozwiane włosy.

— Jaka szkoda, mógłbym tak jechać całą wieczność.

— Z pewnością był to ich najlepszy okres od wielu tygodni.

Bardzo potrzebowali takiego wyrwania się z Londynu, nabrania dystansu do swoich problemów. Karl żałował, że nie spędzą tego weekendu tylko we dwójkę, ale z drugiej strony polubił tego Ricka de Largy. To fajny facet, może nie będzie tak źle.

Minęła czwarta i nisko wiszące północne słońce zaczynało zachodzić.

— Powinniśmy zajechać w samą porę, żeby zobaczyć zachód słońca nad jeziorem. Jeff mówi, że to oszałamiający widok.

— Karl nie przestawał się uśmiechać. Zdjął lewą rękę z kierownicy i otoczył nią ramiona Siobhan, lekko je ściskając. — Zderwowana?

— Nie, właściwie to nie. Może troszeczkę.

— Ja też. Ale wszystko będzie dobrze, zobaczysz. A jeżeli nie będziesz miała ochoty się do nas przyłączyć, możesz po prostu powiedzieć, że źle się czujesz, pójść do swojego pokoju i popoglądać widoki.

Siobhan zaśmiała się na siłę. Karl z bólem dosłyszał fałszywą nutę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio słyszał jej szczery, chrapliwy śmiech prosto z brzucha. Uwielbiał go: był to śmiech, który rezonował w restauracjach, na dźwięk którego ludzie w autobusach odwracali się i gapili na nią; śmiech, za który wyrzucano ją z bibliotek. Teraz był cieniutki jak papier, tak słabutki, jakby lada chwila mógł przejść w płacz.

Jechali jeszcze jakiś czas, pogrążeni we własnych myślach, a niebo wisiało nad nimi jak mieniąca się kolorami moskitiera, co sekunda zmieniając barwę.

— Do Glencoe jeszcze dwie mile. Jesteśmy już prawie na miejscu. Gotowa na imprezę, mała, hmm, hmm? Gotowa na narkotyki klasy A i dziki odjazd, hmm, hmm?

Szukali małego zjazdu z głównej drogi. Drzewa były tam pomalowane na biało — tylko w ten sposób można go było zauważyć.

— Tam, tam! — Siobhan wskazała na lewo.

Zjechali z drogi i podążyli krótką dziką drogą do rozwidlenia. Oblążący z farby zielony drewniany drogowskaz po prawej stronie oznajmiał: „St Colombas”.

— To tu.

Mały, czarny samochód przez jakiś czas podskakiwał na drodze w ciemnościach, ale po paru minutach Siobhan i Karl przemieśli się do Baśniowej Krainy: po obu stronach wąskiej alejki na gałęziach miniaturowych drzewek wiśniowych wisiały jaskraworóżowe i czerwone chińskie lampiony, ślicznie wytyczając w mroku krętą drogę prowadzącą do kaplicy.

— Boże, jak tu pięknie — szepnęła Siobhan.

Na końcu alejki czekało na nich jeszcze więcej niespodzianek: w jeziorze odbijały się ostatnie dramatyczne czerwone refleksy zachodzącego słońca, oszalowane ściany kaplicy jaśniały bajkowymi lampkami, a kręte drewniane schodki prowadzące z cmentarza w dół do brzegów jeziora również były obwieszane chińskimi lampionami, połyskując takim samym ciepłym szkarłatem jak tonące słońce. Do starej, drewnianej przystani była przycumowana malownicza drewniana łódka, podskakująca idyllicznie na nieruchomej, lodowatej wodzie. Z jednego z górujących w powietrzu kasztanowców wokół polany, na której stała kaplica, zahukała sowa, a dzwoneczki wiszące na framugach okien zadźwięczały cicho w lekkim podmuchu świeżego powietrza.

— Chcę, żeby mnie tu pochowano — powiedział Karl, któremu aż dech zaparło z wrażenia.

Nawet Rosanne była wyjątkowo cicha, najwyraźniej tak oczarowana niewiarygodnym pięknem tego miejsca, jak jej właściciele.

— Wiedziałam, że jest tu pięknie, ale nie że aż tak. Jeff musiał być prawdziwym hipisem, kiedy się tu urządzał.

Powoli odpięli pasy bezpieczeństwa i wyjęli torby z bagażnika. Przed kaplicą już stał jakiś samochód.

— OK. Gotowa, Shuv? — Karl wyciągnął do niej rękę.

— Jasna sprawa.

Karl zadzwonił wielkim miedzianym dzwonkiem wiszącym nad ogromnymi drewnianymi drzwiami. Otworzyły się po paru sekundach.

— Karl, stary, fajnie, że już jesteś. Co za miejsce! — Rick był boso, w dzinsach i obszernym swetrze. Trzymał kieliszek wina.

— To prawda! W życiu czegoś takiego nie widziałem. — Podali sobie ręce.

— Rick, to jest Siobhan, moja dziewczyna.

— Miło mi cię poznać, Siobhan... Karl ciągle o tobie opowiada.

Siobhan usiłowała się uśmiechnąć, ale ledwo mogła złapać oddech. Ten mężczyzna był absolutnie cudowny! Był piękny. Kolana miała jak z waty. Dlaczego faceci nigdy nie wspominają o takich rzeczach? Nigdy nie mówią: „A tak przy okazji, on jest bardzo przystojny”. Żałowała, że Karl jej nie uprzedził.

— Ja też się cieszę. — Nagle sobie przypomniała, jak należy się zachować w towarzystwie. Uśmiechnęła się najpiękniej jak potrafiła, po czym stanowczo i mocno uściśnęła mu dłoń. Nie zamierza być grubą ciotką w obecności takiego anioła, w tak czarodziejskim miejscu. — To chyba najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. — Była szczupła, piękna i pociągająca. Potrząsnęła głową, by włosy otoczyły jej twarz.

— Oszałamiające. Nie do wiary, że stary Jeff potrafił coś tak wspaniale urządzić. Myślałem, że zastanę tu jakąś starą chałupę, anteny satelitarne i sztuczny komin. No, ale wchodźcie, straszny mróz. Włączyliśmy ogrzewanie, a Tamsin właśnie rozpała ogień na kominku.

Weszli za nim do kaplicy — w holu z wilgotnego kamienia było pełno kaloszy, płaszczy przeciwdeszczowych i stert drewna — a potem przez korytarz do głównej części budynku. Oboje aż westchnęli. Olbrzymi pokój miał przynajmniej dziesięć metrów wysokości, górą biegły krużganki, a sufit był wzmocniony belkami. Podłoga ze starych desek była wyłożona dywanami

i oświetlona eklektycznym zbiorem lamp w stylu art deco oraz wiktoriańskimi świecznikami. Na drugim końcu stały trzy olbrzymie kremowe kanapy obite chińskimi tkaninami oraz stary dębowy stół bankietowy zastawiony kandelabrami i kwiatami w wazonach.

— O rany!

Dziewczyna, która klęczała przed monstrualnie wielkim kamiennym paleniskiem, wokół którego przycupnęły kanapy, wstała i otrzepała dzinsy na kolanach.

Była mała, wręcz drobniutka, miękkie, kręcone włosy koloru piasku miała ściągnięte w koński ogon, a nos i czoło upstrzone

jasnymi piegami. Nie była umalowana i — jak z satysfakcją zauważyła Siobhan — wyglądała zupełnie zwyczajnie, ładnie, lecz zwyczajnie.

— Siobhan, Karl — to jest Tamsin. — Karl i Tamsin podali sobie ręce i spojrzeli na siebie z zaskoczeniem, i nagle wszyscy poczuli się trochę niewyraźnie.

— Kurczę... Tamsin... co za przypadek! — powiedział Karl.

— O tak... cześć. — Tamsin wyglądała na nieco skrepowaną, przestępowała z nogi na nogę.

Siobhan, zdezorientowana, spojrzała na Karla. Rick, zdezorientowany, spojrzał na Tamsin.

— To wy się znacie? — spytał.

— Eee, latem zeszłego roku uczyłem Tamsin ceroca...

— Aaaa — powiedziała Siobhan.

— Aha. — Rick się uśmiechnął. — Super! Co za niesamowity przypadek. Nie wiedziałem, że uczyłeś tańca.

Powstało dziwne i przykre napięcie i Rick instynktownie zmienił temat.

— No dobra — powiedział i klasnął w ręce, jakby usiłował rozwiać ten nieprzyjemny nastrój. — Pokażę wam wasz pokój.

Karl i Siobhan wymienili spojrzenia i poszli za Rickiem schodami na krużganek.

— Co jest, Karl? — szepnęła Siobhan, kiedy rozpakowywali się w swej sypialni na samej górze, w stylu rokoko, wytapetowanej zakurzonym satynowym żakardem i pełnej żółknących fotografii z czasów wiktoriańskich i edwardiańskich w wyszczerbionych drewnianych ramkach.

— Chodzi o tę dziewczynę — odszepnął Karl. — Pamiętasz? To ta, o której ci mówiłem, ta nimfomanka, która bawiła się w menage a trois z dwoma Francuzami.

— Co? — Siobhan położyła dłoń na ustach, żeby stłumić pełen zachwytu okrzyk. — Boże, nic dziwnego, że wyglądała na tak skrepowaną. Myślisz, że wtedy chodziła z Rickiem?

— Bóg wie. Pewnie tak — powiedział Karl, starannie wieszając spodnie na ogromnym drewnianym wieszaku. — Mieszkają razem.

Siobhan poczuła nagle, że wszystko pójdzie dobrze. Dom był piękny, Rick — cudowny, a jego dziewczyna — zwyczajna, zwyczajna dziewczyna z nadzwyczajną tajemnicą, o której Rick z pew-

nością nie wiedział: w ten weekend to Tamsin powinna się czuć skrepowana, a nie ona. Uśmiechnęła się, gdy jej nadzieje na miły weekend niczym wielkie różowe balony wypełnione helem wzniosły się aż po belki przeżarte przez korniki. Zamierza się dobrze bawić. Będzie fajnie.

Opadła na olbrzymie łoże z czterema kolumnkami, a włosy rozszarpały jej się wokół głowy.

— Tu jest fantastycznie! Czuję się jak księżniczka na ziarnku grochu! — Zaczęła skakać po przestronnym łożu. Nagle ogarnął ją niewiarygodny entuzjazm.

— Ostrożnie, Shuv, to bardzo stare łóżko. Jeszcze się zarwie. Siobhan przestała skakać i z niedowierzaniem spojrzała na Karla.

— Och, jakie to czarujące! Nie powiedziałbyś tak, gdybym była jakąś małąlatą noszącą rozmiar poniżej ósemki.

— Powiedziałbym tak, nawet gdybyś była cienka jak patyczek, Shuv. Nie bądź taka przewrażliwiona, na miłość boską. To pewnie jakiś antyk i lepiej po nim nie skakać — tylko tyle chciałem powiedzieć! — Karl zasunął suwak w torbie i wepchnął ją za wysoką komodę.

Parę różowych baloników Siobhan pękło, pozostawiając żal i irytację.

— Bardzo przystojny ten Rick, prawda? Nie mówiłeś, że jest taki przystojny. — Siobhan miała potrzebę rozruszać Karla, wywołać w nim jakąś reakcję.

— No, to prawda. Zwłaszcza jak na producenta radiowego!

Typowe — żadnej reakcji. Siobhan nigdy przedtem nie próbowała wywołać u Karla zazdrości. Nigdy nie miała potrzeby, by poddać jego miłość próbie, popchnąć go i sprawdzić, do czego się posunie, ile zdoła znieść. Ale po ostatnich dwóch miesiącach, od tamtego wieczora w Sol y Sombra, Siobhan już mu nie ufała.

Pieprzyć to. Z pewnością nie pozwoli, by postawa Karla zepsuła jej zabawę, na jaką się zanoszi po raz pierwszy od, och, nawet nie pamięta od kiedy. Będzie flirtować z Rickiem, nawali się jak świnia, spróbuje każdego narkotyku, jakim zostanie poczęstowana, i będzie błyszczeć — nawet jeżeli ma to trwać tylko przez półtora dnia.

Postanowiła się przebrać, nagle poczuła się głupio w starych legginsach i rozpinanym swetrze od Arana. Umaluje się i upnie

włosy. To, że Karl nienawidzi jej tuszy, nie musi oznaczać, że inni mężczyźni też jej będą nienawidzić.

Wyciągnęła z torby dawno już zapomnianą kosmetyczkę i usiadła przed toaletką pod ogromnym witrażowym oknem. Miejsce to oświetlały dwie różowe lampki, rzucając miękki blask, w którym wyglądała wyjątkowo korzystnie. Delikatnie pudrując twarz dużym, miękkim pędzlem i ostrożnie malując tuszem kreskę na górnych powiekach, Siobhan czuła się ładniejsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Ten dom był czarodziejski: już nie było roku 1996, panowała zupełnie inna epoka — z przeszłości lub przyszłości — lecz taka, w której strój nie miał znaczenia; epoka, w której kobieta mogła być piękna dzięki miejscu, w którym się znajdowała, dzięki szczególnemu światłu ładnej różowej lampki. Bajkowe światła, bajkowe lampy.

Karl przyglądał się jej z łóżka.

— Chyba powinniśmy zostawić już ten temat — powiedział.

— Co? — wymruczała Siobhan, wyrwana z zamyślenia.

— Tamsin. Nie powinniśmy nic mówić o Tamsin ani o lekcjach tańca.

— Tak, masz rację. Zresztą i tak nie mam ochoty gadać o Londynie. Chcę się zatracić w uroku tego miejsca. — Właśnie skręcała swą bujną grzywę w skomplikowany węzeł złotym pasem i upinała go energicznie z tyłu za pomocą spinek, które zdejmowała z tekturowej podkładki.

— Pomóc ci, Shuv? — spytał z zapalem Karl. Kiedyś Siobhan zawsze go prosiła, żeby jej upinał włosy, kiedy stale nosiła je zaczesane do góry. Uwielbiał to robić, była to taka kobieca czynność, i uważał się za uprzywilejowanego, iż wolno mu było odgrywać tak żywotną rolę w strojeniu Siobhan.

— Nie, poradzę sobie, dzięki, już prawie skończyłam. Jeżeli chcesz, możesz już iść na dół, ja się jeszcze muszę przebrać.

— Mogę poczekać.

— Nie, naprawdę, możesz iść. Oszczędzę ci tego przykrego widoku. — Siobhan nie zamierzała tak powiedzieć, te nieposkromione, dzikie słowa same popłynęły z jej ust. Myślała o tym z milion razy w ciągu ostatnich paru tygodni, właściwie to nawet miesięcy i nigdy, przenigdy nie zamierzała o tym mówić, a teraz ta myśl uwolniła się zupełnie niezależnie od jej woli.

Przez ułamek sekundy ze wstrzymanym oddechem czekała na reakcję.

— Shuv, o co ci, kurwa, chodzi? — spytał Karl z niedowierzaniem. — Myślisz, że nie lubię cię oglądać nago? Jezu, ależ ty się mylisz, uwielbiam, jak jesteś nago.

Jasne, mów mi tak jeszcze, Karl — pomyślała Siobhan. — I ja mam w to uwierzyć?

— Karl, idź na dół. Pogadamy o tym innym razem.

— Nie! Zostanę tu i pogadamy teraz. To stąd ten, ten... smutek między nami?

— Karl, idź na dół. W tej chwili idź na dół, albo zacznę krzyczeć. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę słuchać twoich bredni. Wynos się!

Kłamstwo w żywe oczy. Gówno prawda. Gówno prawda, Karlu Kasparov. Gdybyś lubił moją tuszę, to dlaczego byś się pocił i rumienił na widok tej dziewczyny z góry, dlaczego byś się bał, że pode mną się łóżko zarwie, dlaczego byś chciał, żebym zaszła w ciążę? Kłamca.

Karl powoli wyszedł z pokoju, a Rosanne wybiegła za nim, zaniepokojona tą dziwną atmosferą i wystraszona gniewem na zazwyczaj pogodnej twarzy Siobhan.

Siobhan nie czuła żalu. Już ona mu dzisiaj pokaże. Znowu będzie dawną Siobhan, zadowoloną, zrównoważoną, zabawną i atrakcyjną, ale nie dla Karla — nie był wart takiego przedstawienia — lecz dla Ricka.

Wybrała czarną tunikę — tę, którą sama sobie uszyła — z odważnym dekoltem z przodu odsłaniającym dobre parę centymetrów rowka między piersiami. Pierwszy raz miała odwagę ją nałożyć. Do tego włożyła spodnie do kompletu, a stopy wsunęła w sandały na wysokich obcasach.

Otworzyła drzwi na krużganek i spojrzała na pokój w dole. Karl, Rick i Tamsin siedzieli na kanapach, pijąc wino i rozmawiając cicho i uprzejmie. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, cała trójka odwróciła się i podniosła głowy. Siobhan zauważyła, że Rick przełyka ślinę.

— Siobhan. — Rick wstał. — Przyszłaś w samą porę. Właśnie miałem otworzyć szampana.

Siobhan tak elegancko, jak tylko potrafiła, zeszła po schodach. Jej obcasy stuknęły kobieco na drewnianej podłodze. Czuła się jak uczestniczka konkursu piękności.

— Chyba się za zwyczajnie ubrałam — rzuciła lekko Tamsin, wskazując na swe dżinsy i top z dzianiny. — Wyglądasz fantastycznie.

Rick podał Siobhan kieliszek szampana.

— Wypijmy za dziki i odlotowy weekend!

— Za Jeffa!

— Za Szkocję!

Czwórka prawie obcych sobie ludzi stuknęła się kieliszkami. Siobhan dotknęła kieliszka Ricka z uśmiechem, który emanował prawie całkowicie spod jej rzęs.

— I za nowych przyjaciół. — Uśmiechnęła się promiennie.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pierwsza butelka szampana skończyła się jakieś pół godziny później, druga — po dwudziestu minutach, a trzecia, tuż po otwarciu. Siobhan czuła, że jest zarumieniona i żegna się z ostatnimi przyczólkami swych zahamowań. Ona, Karl i Rick z ożywieniem i szczerze rozmawiali o pracy, a Tamsin w kuchni podgrzewała warte fortunę potrawy z M&S. Kiedyś Siobhan natychmiast zgłosiłaby się na ochotnika do pomocy — a i teraz przemknęło jej to przez myśl — ale nie miała ochoty, nie tym razem. Chciała zostać tutaj, z tymi mężczyznami, eleganckim ruchem zakładać nogę na nogę i uczestniczyć w rozmowie. Pochłonięta była zachowywaniem właściwej postawy, z wyprostowanymi plecami, wypchniętą klatką piersiową i wciągniętym brzuchem. Czasami odgarniała do tyłu włosy lub bawiła się pierścionkami, obserwując cały czas mowę ciała i reakcje Ricka, skupiając na sobie jego zainteresowanie, a potem odwracając się do Karla, ciekawa, czy już coś zauważył.

Pojawiła się Tamsin, obładowana talerzami ze skrzydełkami kurczaka, kawałkami pizzy i pałeczkami smażonego pstrąga. Z niepotrzebnym trzaskiem postawiła je na stole, mając nadzieję, że zwróci uwagę na siebie i swój wysiłek, ale żadne z nich nawet na chwilę nie przerwało rozmowy.

— Gdyby kogoś to zainteresowało — zaczęła, ale zaraz zrezygnowała z nieatrakcyjnego sarkazmu w głosie — to przyniosłam jedzenie... dobra podkładka pod szampana.

— Super — wymruczał ktoś, ale nikt się nie ruszył. Dalej siedzieli, śmiejąc się, żartując i kręcąc się wokół Siobhan niczym chorągiewki na wietrze.

Rick wlał resztkę szampana do kieliszka Siobhan.

— O — powiedziała Tamsin, łapiąc swój pusty kieliszek.

— Nie ma już szampana?

— Przepraszam, kochanie — powiedział Rick. — Została tylko kropelka. W kuchni jest wino, przynieść ci?

— Nie, nie trzeba — odparła Tamsin, bezwstydnie udając męczennicę. — Ja przyniosę. A przy okazji, jedzenie stygnie — do-dała tak miłym tonem, na jaki tylko było ją stać.

— Jedzcie — powiedziała Siobhan. — Ja nie mam apetytu. — Mowy nie ma. Istnieje tylko jedna rzecz bardziej nieatrakcyjna od grubej baby — gruba baba, która się obżera. Doskonale jej szło z Rickiem, czuła, że w cudowny sposób panuje nad sytuacją, już zdążyła zapomnieć, jak łatwo zawrócić facetowi w głowie. Nie chciała teraz wszystkiego zepsuć, opychając się kurczakiem i pizzą.

— Na pewno nie chcesz, żeby ci coś podać? — spytał Rick, wstając.

— Nie, naprawdę, po drodze zjedliśmy duży lunch. Może później.

Kiedy Tamsin i Rick podeszli do stołu, Karl nieśmiało przysiadł się do Siobhan.

— Wszystko w porządku? — spytał czule, pochylając się w jej stronę, żeby szepnąć jej to do ucha, i przy okazji ocierając się czubkiem nosa o jej szyję.

— Nigdy nie czułam się lepiej — odparła sztywno, usiłując zignorować falę smutku i gorzko-słodkiej miłości, która przepłynęła przez nią pod wpływem jego dotyku, oraz potrzebę pocieszenia Karla, uspokojenia go.

— Wyglądasz o wiele lepiej — szepnął.

— Świetnie się bawię. Rick jest fantastyczny.

— Tak, jest super, nie? Mówiłem, że go polubisz.

Siobhan z irytacją zazgrzytała zębami.

— Pójdę po wino — powiedziała. Kiedy wstała, nagle poczuła, że lekko się chwieje na nogach, i uświadomiła sobie, że jest pijana. Szybko oszacowała w myślach odległość między kanapą a drzwiami kuchni i liczbę przeszkód, jakie mogła napotkać po drodze. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, było potknięcie się o coś lub przejście walczykiem przez pokój niczym rozklekotany wózek sklepowy.

Niestety, była już zbyt pijana, by panować nad dalszym pićciem. Ale w końcu wszyscy byli pijani. Około jedenastej pojawiła się torebeczka białego proszku i Siobhan pierwsza wzięła od Ricka zwinięty w rulonik banknot pięcioletni i kwadratowe lusterko. Na wszelki wypadek nieco się odwróciła, żeby nie

zdmuchnąć proszku na resztę grupy, po czym lekko otarła nos, usuwając kilka drobnych kryształków, zanim przekazała lusterko Karlowi.

— Chyba już czas na dziki odlot — powiedziała.

— Dobrze zapamiętałaś — przytaknął Rick. — Przywiozłem dyktafon. — Poszedł do holu i wrócił z malutkim cacuszkciem. — Pomyślałem sobie, że wymyślimy całą masę błyskotliwych rzeczy, ale będziemy tak narąbani, że potem niczego sobie nie przypomnimy. Ta maszyna jest niesamowita, nagrywa przez sześć godzin, a jakoś dźwięku zapiera dech w piersiach. — Postawił dyktafon na kominku. — Już odlatujemy?

Przyjęli to z aplauzem i Rick włączył urządzenie.

Jeff nie mylił się co do Ricka. Był bardzo zabawny, a jego poczucie humoru udzielało się pozostałej trójce. Przez trzy godziny siedzieli i gadali kompletne bzdury, wymyślali kwizy, udawali różne postaci i grali różne role. Siobhan i Tamsin udawały, że są słuchaczkami, które dzwonią do radia. Rzeczywiście zadziało. Jeff najwyraźniej wiedział, co robi — nie ma mowy, by wpadli na tyle świetnych pomysłów, siedząc w pokoju pracowniczym gmachu ALR. Koka dodała im pewności siebie, dzięki której przedstawiali pomysły, których mogliby się wstydzić w innych okolicznościach, a alkohol dodatkowo usunął ich zahamowania i uwolnił wyobraźnię.

Siobhan bawiła się jak nigdy dotąd. Rick uważał, że jest cudowna, a jej pewność siebie sięgała niebios: wiedziała, że jest dowcipna, dowcipniejsza niż Tamsin, i z dreszczem podniecenia przekonała się, że nie utraciła umiejętności flirtowania, owijania sobie mężczyzn wokół małego palca. Rick był cały jej. Siedziała blisko niego na kanapie, z ręką niedbale położoną na oparciu za jego plecami, nie dotykając go, niemniej jednak biorąc go w swoje posiadanie. Już zapomniiała, jakie to wspaniałe uczucie znajdować się w centrum uwagi.

W końcu szampański nastrój zaczął przygasać. Było już prawie rano, działanie koki ustawało, a rozmowa zaczęła utykać. Siobhan wstała i przeciągnęła się.

— Jak myślisz, mamy wystarczająco dużo materiału? — spytała Ricka.

— Starczy na następne pięć lat — odparł radośnie.

— Muszę lyknać trochę świeżego powietrza — powiedziała.

— Świetny pomysł — powiedział Rick, wstając szybko. — Wezmę tylko płaszcz i przejdę się z tobą. — Idziecie? — Jakby po namyśle odwrócił się do Karla i Tamsin.

Siobhan poszła na górę do swojego pokoju po kożuszek. Szybko przejrzała się w lustrze, poprawiła włosy, wygładziła brwi i nałożyła świeżą warstwę szminki. W jej ciele krążyła adrenalina. Co się teraz wydarzy? Czy Rick będzie próbował wykorzystać szansę? Jak ona zareaguje? Pomyślała o Karlu i szybko odsunęła daleko od siebie tę myśl. Da się ponieść fali, zobaczy, co się stanie — w najgorszym razie dojdzie do pocałunku. Na zewnątrz było za zimno na cokolwiek więcej.

Nocne powietrze spadło na nich niczym zimny prysznic, gdy zamknęli za sobą drzwi kaplicy. Zerwał się wiatr, lekki wiatr tuż nad ziemią, który ocierał się o ich nogi jak zimny, upiorny kot. Poszli w milczeniu w stronę jeziora i usiedli na drewnianych stopniach prowadzących na pomost, słuchając dzwonek i otulając się płaszczami, by się ogrzać.

— Ale błogo, co? — wymruczał Rick.

— Bosko — zgodziła się Siobhan, wspierając łokcie na kolanach, a twarz na dłoniach i patrząc, jak powierzchnia wody marszczy się w różowej poświacie chińskich lampionów.

— Można się tutaj zakochać.

Siobhan nieco się najeżyła.

— Tak — powiedziała. — Pewnie tak.

Znowu zamilkli.

Rick odchrząknął.

— Jesteś wspaniałą dziewczyną, Siobhan, naprawdę. Nigdy nikogo takiego nie spotkałem. Karl to ma szczęście.

— On chyba raczej tak nie myśli — powiedziała z nerwowym śmiechem.

— O nie — zaprzeczył Rick. — Karl uważa, że jesteś cudowna. Ciągłe o tobie opowiada, wychwala cię i wcale nie przesadza.

— Ojej. — Poczula się skřępowana.

— Nie, poważnie. Uważam, że jesteś fantastyczna... — Urwał. — Nie przeszkadza ci, że tak mówię?

— Nie, mów dalej. Nie zamierzam zaglądać komplementowi w zęby. — Nie mogła spojrzeć na Ricka, bo dostrzegłby jej bezbronność.

— Po prostu wydaje mi się, że jesteś... że jesteś... oszałamiająca. Taka dowcipna i ciepła, i mądra, i piękna. Boże, nie powinienem tak mówić, Siobhan, ale gdybym był sam i gdybyś ty była sama...

Odwróciła się do niego twarzą.

— Mów dalej.

— Wiesz, gdybym był sam i gdybyś ty była... gdybyś była sama, to teraz miałbym straszną ochotę cię pocałować.

Całe ciało Siobhan aż drżało z podniecenia i zdenerwowania. Rumieniec oblewał jej ciało od kolan aż po twarz.

— Myślisz, że to by było coś niewłaściwego? — spytał, całym ciałem odwrócony do niej, oczami szukając jej aprobaty.

— No, zawsze możemy spróbować i sprawdzić, a potem przestać, gdybyśmy się źle poczuli.

— Ale co z Karlem? — Rick założył jej za ucho parę kosmyków.

— A co z Tamsin? — odparła. Każdy najmniejszy włoszek na jej ciele stawał pod jego dotykiem.

— Prawdę mówiąc, to ostatnio nie najlepiej nam się układa. Tamsin... Tamsin jest niezbyt zrównoważona i niezbyt szczęśliwa. Niekiedy mi się wydaje, że być może związuąc się z nią, porwałem się z motyką na słońce. To trudny orzech do zgryzienia... — Teraz wierzchem palców głaskał ją po policzku.

— Boże, jaką ty masz piękną skórę — szepnął. — Jak jedwab.

Siobhan miała wrażenie, że jej krocze zostało podłączone do prądu. Zajęczała cicho.

Rick przybliżył twarz do jej twarzy.

— Zupełnie jak u dziecka. — Lekko potarł nosem jej czoło i zaczął je drażnić wargami. Położył jedną dłoń na jej karku, a drugą masował jej policzek. W końcu ich usta się spotkały i Siobhan uległa. Odwróciła się i przywarła do niego ciałem i ustami. Na całym ciele wyskoczyła jej gęsia skórka, czuła leciutkie ukłucia i potężne, gorące fale podniecenia seksualnego i pożądania. Nie czuła się tak od lat. Otworzyła usta i wpuściła do środka język Ricka. Jego wargi były miękkie i ciepłe, a oddech pachniał czerwonym winem i świeżym powietrzem. O Boże, francuskie pocałunki są takie cudowne. Dlaczego ludzie po latach bycia razem przestają się w ten sposób całować? Dlaczego ten intymny i erotyczny akt jest zarezerwowany tylko dla ob-

cych? Owijała jego język swoim i wędrowała nim po jego zębach. Przyciskała się do niego, on zaś przechylił ją na stopnie i włożył ręce pod jej płaszcz, a potem pod jedwabisty materiał tuniki. Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i zaczęła pieścić jego plecy, czując pod palcami twarde, napięte mięśnie. Wiedziała, że Rickowi jest tak dobrze, bo naprawdę jej pragnie.

Zatraciła się w pocałunku, najzupełniej niebaczna na świst wiatru i pohukiwanie sów, i na Karla, paręset metrów dalej, w kaplicy. Rick włożył ręce pod jej top i odszukał biustonosz. Wydał z siebie zduszone jęknięcie, kiedy znalazł piersi. Siobhan czuła jego frustrację wywołaną więżącym je materiałem i lekko pochyliła ramiona, by mógł zsunąć ramiączka i ściągnąć stanik. Zajączał znowu, kiedy jego ręce wyczuły jej nagie ciało wylewające się spod stanika. Czuła jego podniecenie i rozumiała je: na jego miejscu też by się podnieciła. Rick delikatnie ugniatał jej piersi, wciąż ją całując, jego język wyprawiał coraz większe brewerie, aż jej wargi cudownie spuchły i bolały. Chciała, by ją całował, aż zaczną krwawić.

Nagle oderwał od niej usta i wtulił głowę w jej ciało pod płaszczem i tuniką, między piersiami. Wzdychał i jęczał, lizał jej piersi i ssał sutki.

— O Boże, Siobhan. — powtarzał. — O Boże, Siobhan.

Siobhan pochyliła się lekko, by go widzieć — do tej pory wpatrywała się w gwiazdy, zupełnie zatracona w pożądaniu

— i gdy jej wzrok padł na czubek jego głowy, na jego włosy barwy piasku połyskujące brzoskwiniowo w świetle lampionów, cały czar prysł. Co ona, do diabła, wyprawia? Dlaczego pozwala, by ten mężczyzna, ten blondyn, ssał jej sutki? Przez piętnaście lat patrzyła na czarną strzechę na głowie Karla, mój Boże

— Karl! — co ona robi?!

Nagle wytrzeźwiała i stała się chłodna, fizycznie chłodna. Ręce Ricka przesuwwały się po jej ciele, w stronę elastycznego paska spodni, zaczął ciągnąć go palcami, które potem zawędrowały w stronę majtek, ale ona była już w pełni przytomna, rozbudzona, świadoma swego otoczenia i okoliczności. Była z innym mężczyzną na brzegu jeziora w mroźną grudniową noc, z rozwichrzonymi włosami, obolałymi plecami, zziębnięta. Czuła, jak opuszcza ją ostatni poryw namiętności, a jej miejsce zajmuje niepokój. Jej ciało stężało i odsunęła się nieco. Chciała, by i Rick

się opanował, by przestał, ale wołała mu tego nie mówić. Znowu spojrzała na niego w dół. Był całkowicie oszołomiony, poniosło go, nie zdawał sobie sprawy ze zmiany nastroju Siobhan. Wszystko było nie tak, wszystko nie tak, mieli się tylko pocałować — pocałunek dałaby radę ukryć, wróciłaby do kaplicy pewna siebie i opanowana. Teraz wszystko wymknęło się spod kontroli, jak zdoła to ukryć przed Karlem? Wszystko nie tak! O kurde! Co ona zrobiła?!

Usiadła, a Rick cofnął głowę od jej piersi i znowu usiłował znaleźć jej usta.

— Och, Siobhan, tak cię pragnę. — Wziął jej dłoń i położył ją sobie na kroczu. — Zobacz, jak bardzo cię pragnę.

Miarka się przebrała.

— Rick! — powiedziała stanowczo. — Musimy przestać.

— Och, nie, Siobhan, róbmy to dalej. Chcę być w tobie, jesteś taka słodka, tak pięknie pachniesz. — Pocierał jej ręką o twarde zgrubienie w swoich dżinsach.

Cofnęła dłoń, naciągnęła stanik i tunikę, zapięła płaszcz.

— Nie, Rick, musimy przestać. Tam jest Karl i Tamsin. A jak przyjdą i nas znajdą?

— Możemy się gdzieś schować... chodźmy do lasu. — Rękę wciąż trzymał na jej majtkach.

Delikatnie odepchnęła jego dłoń.

— Nie, wystarczy. Ja chcę, naprawdę bardzo chcę, ale nie mogę, nie mogę. Źle robimy. — Próbowała przyglądać włosy.

Na twarzy Ricka pojawiła się mina ucznia, który niechący kopnął piłkę do cudzego ogrodu. Siobhan wzięła go za rękę.

— Przepraszam — powiedziała łagodnie. — Gdyby okoliczności były inne, gdybyśmy tu nie byli, gdybym ja nie miała Karla, a ty Tamsin... ale dziękuję.

— Za co? — spytał z niedowierzaniem.

— Dziękuję, że mnie chciałeś, że przy tobie poczułam się seksowna i piękna.

— Dlaczego miałabyś się czuć tak tylko przy mnie? Przecież ty jesteś seksowna i piękna! — powiedział, całując ją po rękach.

— Nie jestem, Rick, ale przy tobie taka się poczułam. Wiesz, nie zawsze byłam gruba, kiedyś byłam szczupła. Nie jestem przyzwyczajona do takich słów.

— Wcale nie jesteś gruba!

— Och, Rick, nie zachowuj się jak typowy mężczyzna. Oczywiście, że jestem gruba.

— OK, może i nie jesteś Kate Moss, ale masz wspaniałe ciało, naprawdę. Jest... jest miękkie i ciepłe i pięknie pachnie, i jest mile w dotyku i, OK, może i nie wyglądałabyś dobrze w krótkiej spódniczce, ale dla mnie jesteś cudowną, prawdziwą kobietą. Pierwsza dziewczyna, z którą uprawiałem seks, była zaokrąglona i seksowna. Miała na imię Drew, była taka ładna, pełna życia i miłości, i — wiesz — tak naprawdę to nigdy nie przestałem jej kochać. Ludzie po prostu są uprzedzeni, Siobhan, może dlatego, że sami nigdy nie mieli okazji docenić osoby, która nie spełnia wymogów ideału. Moim zdaniem nie wiedzą, co tracą. Spójrz na Tamsin, jest szczuplutka, świetnie wygląda w lycrze i tak dalej, ale mnie nie podnieca, jest bardzo niepewna, zahamowana. Wolałbym otyłą kobietę, która lubi seks, niż chudą, której na nim nie zależy. A poza tym masz bardzo jędrne ciało, w ogóle nie obwisłe. Uważam, że jest idealne. — Pocałował ją w policzek. — Uważam, że ty jesteś idealna.

Siobhan uśmiechnęła się półgębkiem i uściśliła Ricka za rękę.

— Dziękuję — powtórzyła, powstrzymując łzy. — Dziękuję, jesteś bardzo, bardzo miły.

— A więc tylko o to chodziło? — Uśmiechnął się. — Czuję się jak terapeuta.

Siobhan się speszyła.

— Och, nie, to znaczy... no... bardzo chciałabym cię poznać bliżej... ale... sam wiesz...

— Tak, chyba wiem. Naprawdę kochasz Karla, tak?

Kiwnęła głową.

— To po co to wszystko? O co w tym wszystkim chodziło? — spytał czule.

— O Boże. Już sama nie wiem. Wydawało mi się, że Karl interesuje się inną. Właściwie to nadal tak mi się wydaje. Chyba. Nie wiem. Myślałam, że się zmienia, odsuwa się ode mnie, że już mu się nie podobam. Czułam się taka zaniepokojona, tak okropnie zaniepokojona...

— Rozmawiałaś o tym z Karlem? — Rick otulił ją ciasniej płaszczem, gdy od powierzchni wody uderzył w nich poryw wiatru.

— Nie, po prostu nie potrafię. Czuję jakiś opór, nie wiem, jak zacząć. Zawsze byłam taka pewna siebie i nie wiem, czy

Karl dałby sobie z tym radę, gdyby poznał prawdę o moich uczuciach.

— Posłuchaj, Siobhan. Nie znam Karla zbyt dobrze, ale z tego, co zdążyłem zaobserwować, i z tego, jak on na ciebie patrzy i jak o tobie mówi, sądzę, że poradziłby sobie. Natomiast nie poradzi sobie, jeśli mu o niczym nie powiesz. Chciałbym, żeby było inaczej, naprawdę. Chciałbym zabrać cię do lasu i kochać się z tobą przez całą noc, a potem wziąć cię do domu i dalej się z tobą kochać, ale nie możemy, więc uważam, że powinnaś wykorzystać to, co się tutaj wydarzyło jako szansę na nowy początek z Karlem. Porozmawiaj z nim, powiedz, co czujesz, zanim będzie za późno. — Poważnie spojrzał jej w oczy. — Naprawdę, mówię serio. Nie odkładaj tego, zrób to teraz, jeszcze tej nocy, dopóki się tak czujesz. No, wracajmy do domu.

Wstali, poprawili ubranie i powoli ruszyli w stronę kaplicy.

— Dzięki — powiedziała niezręcznie Tamsin do pleców Karla, który grzebał w ogniu. Odwrócił się. — Dzięki, że nie powiedziałeś o mnie, wiesz, o lecie zeszłego roku. To był... to był... dziwny okres... — Podniosła palec do ust i zaczęła obgryzać paznokcie.

— Ej. Nie ma za co. To nie moja sprawa. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Ciekawe, dokąd poszli — powiedziała Tamsin tak miłym tonem, na jaki tylko było ją stać.

— Och, pewnie oglądają widoki — odparł Karl, wracając na kanapę.

— Nie denerwujesz się? — spytała niecierpliwie.

— Nie... czym? Jest z nią Rick, zaopiekuje się nią.

— Nie to miałam na myśli. Na miłość boską, nie zauważyłeś, co się działo dzisiaj w nocy?

Karl miał pustkę w oczach.

— Twoja dziewczyna. Flirtowała z moim chłopakiem. Zupełnie jawnie. Nie mów, że niczego nie zauważyłeś.

— Och, nie ma się czym przejmować. Siobhan zawsze była straszną flirciarą, to nic nie oznacza. Cieszę się, że wreszcie dobrze się bawi.

Wszystkie żale, jakie Tamsin tłumila w sobie przez całą noc, teraz zaczynały wybuchać.

— Boże, aleś ty głupi! To nie był żaden flirt, kurwa, oni na twoich oczach uprawiali rytuał godowy! Teraz pewnie pieprzą się gdzieś jak króliki!

Karl się roześmiał.

— Bez obrazy, ale uważam, że masz lekką paranoję. Chyba za dużo było tej koki i alkoholu.

— Słuchaj, może byśmy wyszli i przekonali się sami! — krzyknęła, zrywając się na nogi.

— Siadaj, na miłość boską. Zachowujesz się idiotycznie. Tylko dlatego, że nie ufasz swojemu chłopakowi...

— To nie ma nic wspólnego z zaufaniem do mojego chłopaka! Kurde, ja nie ufam twojej dziewczynie. Jak jakaś pieprzona czarna wdowa przez całą noc zastawiała na niego pułapkę, snuła wokół niego sieć, jak wielki, tusty drapieżnik!

— Boże, ty chyba zwariowałaś! — powiedział spokojnie Karl. — Siobhan to najmiłsza, najserdeczniejsza osoba, jaką znam, a ty po prostu jesteś zazdrosna. I powinnaś się nauczyć ufać swojemu chłopakowi.

Luz i protekcyjnalne zachowanie Karla doprowadzały Tamsin do szału.

— Koniec! O wszystkim jej powiem! Kiedy wróci, o wszystkim jej powiem. O tobie. Sporo o tobie wiem. — Jej oczy błyszczały dziko, gdy dla podkreślenia swych słów dźgała powietrze palcem. — I ty mi mówisz, że nie ufam swojemu chłopakowi! Ty pieprzony hipokryto! Dlaczego miałabym komukolwiek ufać, skoro istnieją tacy faceci jak ty? Niewierne, obmierzłe, fałszywe palanty z kutasem zamiast głowy, które rzucają się na wszystko, co ma ładne nogi?!

Karl powinien był się domyślić, do czego dojdzie.

— O tak, myślisz, że nikt nie wie, co ty i Cheri robiliście w biurze w klubie? Uważasz nas za takich idiotów? Cheri mi o wszystkim powiedziała. Znam wszystkie twoje brudne sprawy. Powiedziała mi też o aborcji, o tym, że musiała się pozbyć twojego dziecka. Myślisz, że Siobhan jest inna? Myślisz, że Rick jest inny niż ty?! Cały świat się wokół tego kręci, ty zadufany w sobie dupku — seks, seks, seks! Siobhan go chce, Rick go chce, wszyscy go chcemy i nikomu nie można ufać. Więc nie mów mi, że mam paranoję, że jesteś inny od całej reszty, bo to nieprawda. Obudź się wreszcie, ty chodzący kutasie: twoja

dziewczyna chce uprawiać seks z moim chopakiem i pewnie właśnie w tej chwili to robią! — Tamsin płakała pełnymi gniewu łzami. — A jeśli nie robią, to na pewno o tym myślą!

Karl usiadł wygodniej i z zamyśleniem popatrzył na Tamsin. Nadal był w pełni opanowany.

— Muszę powiedzieć, że nie bardzo mi pasuje koncepcja szantażu — zaczął — więc po prostu uznajmy to za układ, OK? Ale jeżeli zamierzasz wspomnieć Siobhan o moim romansie z Cheri, to ja mógłbym pewnego dnia przy lunchu powiedzieć Rickowi coś, co z pewnością wołałabyś przed nim ukryć.

— Ha! — wykrzyknęła Tamsin, ocierając łzy. — W ogóle o niczym nie wiesz. Nie możesz niczego udowodnić.

— OK. OK. Słuchaj, nie jestem głupi. Wszyscy wiedzieli, co kombinujesz. Ci Francuzi na okrągło gadali o tej waszej zabawie w przekładańca. Nie ma sensu tego dłużej wałkować. Sprawa zamknięta. Uważam, że powinniśmy już zakończyć ten temat. Skoro się naprawdę tak martwisz, to dlaczego nie pójdziesz ich poszukać? Mogę cię jednak zapewnić, że tylko pogorszy ci się samopoczucie. Zaufanie do ludzi nie ma nic wspólnego z innymi ludźmi, istnieje tutaj. — Wskazał na głowę. — Możesz mówić, że to samozadowolenie albo zadufanie w sobie, ale ja to nazywam szlachetnością i szczęściem. Tylko w ten sposób można przeżyć życie i pozostać przy zdrowych zmysłach.

Na te słowa Tamsin nie znalazła żadnej odpowiedzi.

— No, zdaje się, że sobie dzisiaj nie pogadamy, więc chyba już pójdę spać — powiedział Karl. — Przepraszam, że atmosfera nieco się zwarzyła, to była męcząca noc. Myślisz, że rano moglibyśmy zacząć wszystko od nowa?

Tamsin wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w podłogę. Karl wyciągnął rękę, by uścisnąć jej dłoń. Bez przekonania podała mu swoją.

— Co będzie, to będzie, Tamsin. Śpij dobrze.

Powlókł się na górę w towarzystwie Rosanne, która do tej pory spała przed kominkiem, a Tamsin zwinęła się w kłębek na kanapie, zamierzając płakać, zamartwiać się i pograżyć w niepokoju. Ale zamiast tego ogromne ilości alkoholu w jej organizmie niemal natychmiast ukołysały ją do snu.

Nie słyszyła, jak Rick i Siobhan na palcach weszli do pokoju, i nie obudziła się, gdy Rick wziął ją na ręce jak dziecko i zaniósł po schodach do ich pokoju.

W całym domu zgasły światła, rozległy się odgłosy spuszczonej wody, zaskrzypiały deski i nagle zapadła cisza.

Tylko wiatr gwizdał, pohukiwały sowy i szumiał dyktafon nadal pracujący na kominku, gdzie go zostawili, zapomniawszy wyłączyć...

RS

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ralph obudził się przestraszony. Miał ciężkie, niepokojące sny, jakich nigdy przedtem nie miał. Próbował sobie je przypomnieć, ale szczegóły już uleciały z jego pamięci. Działo się coś dziwnego, coś innego niż zwykle. Budzik? Tak, radio, muzyka grzmiała z drugiego końca pokoju, gdzie je zostawił... Dlaczego?... Co?... Zeszłej nocy nastawił budzik. Która godzina? Wpół do ósmej — jasna cholera! Wyciągnął spod głowy płaską poduszkę i położył ją sobie na twarzy, usiłując stłumić muzykę i światło wlewające się przez wążutką szparę między zasłonami. Kiedy powoli i z trudem wróciła mu świadomość, zrozumiał słowa piosenki leżącej przez radio: „Czuję się tak źle, kiedy mówią sobie czule słówka... Chcę jej powiedzieć, że ją kocham, ale chyba nie ma sensu... Pragnę dziewczyny Jessiego...”

Jezu Chryste! Ralph zdjął poduszkę z głowy i usiadł powoli. Było wpół do ósmej rano i Ralph musiał przyznać rację Rickowi Springfieldowi — przedziwny początek dnia.

Wygramolił się spod ciepłej narzuty, podszedł do radia i zaczął szukać wyłącznika na tym obcym sprzęcie. W końcu, w desperacji, wyciągnął wtyczkę z sieci i usiadł na piętach, gdy do sypialni powróciła cisza.

Ktoś tu robi aluzje pod jego adresem. Po raz pierwszy od miesięcy Ralph nastawił budzik i obudziły go dźwięki tej pieprzonej *Dziewczyny Jessiego*. Nie do wiary!

Miał kompletny mętlik w głowie. O co, kurczę, chodzi? Pracownia — oczywiście! Dzisiaj wybierał się do pracowni. Dlaczego? Dlatego, że jest artystą? Tak jakby. Dlatego, że ma na to ochotę? Niezupełnie. Dlatego, że... dlatego, że Jem mu kazała... zgadza się. Dlatego, że Jem mu kazała. No, może nie kazała, ale namawiała go, radziła, chciała, żeby tam poszedł.

Obiecał, że pójdzie — tylko po to, żeby sprawić jej radość. „Masz rację” — powiedział. „Jutro, pójdę jutro, z samego rana”.

„Nie rób tego dla mnie — odparła — zrób to dla siebie, obiecuj”. „Obiecuję” — powiedział.

Tak więc zerwał się o wpół do ósmej w piątek, cały roztrzęsiony, wyczerpany, zmarznięty i zdezorientowany. Z całą pewnością nie robił tego dla siebie — tylko dla Jem, to jasne jak słońce, po to, by była z niego dumna, by się nim zainteresowała. Zostanie jej małym projektem, jeśli Jem tego chce: nie ma nic przeciwko temu, żeby udawać przed nią umęczonego artystę, jeśli to oznacza, że na jakiś czas zajmie jej myśli i zastąpi Smitha. Smith był bankierem, mniej więcej, nudnym, starym, cholerycznym bankierem, nie mógł pobudzić jej wyobraźni.

Odszedł do okien i odciągnął zasłony, gotów zmierzyć się z dniem — teraz, gdy przypomniiał sobie, dlaczego to robi. Co za piękny dzień! Dobrze się składa. Pożyczy od Smitha rower i pojedzie do pracowni, łyknie trochę tlenu, jak zwykła mawiać jego matka.

Ze sterty na podłodze wyciągnął parę bokserek i poszedł do przedpokoju, już rześki, nucąc pod nosem: „Pragnę dziewczyny Jessiego, pragnę dziewczyny Jessiego...”

— Nie wiedziałam, że jesteś fanem Ricka Springfieldda.

— Co? — Ralph aż podskoczył. To była Jem, która wyszła z pokoju Smitha w jednym z jego podkoszulków, który ledwo zasłaniał jej... majtki? Miała rozczochrane włosy, a twarz słodko zaspaną i opuchniętą. Wyglądała jak mała myszka. Ziewnęła.

— No — powiedziała. — Co ty wyprawiasz o wpół do ósmej rano? Pogańska godzina, nie?

Nie znowu taka pogańska — nie, kiedy widzi się Jem bez stanika i fantastycznie rozmemlaną, w fascynująco krótkim podkoszulku — gdyby tylko ociupinkę się schyliła, ukazałaby ostatni centymetr lub dwa pupy albo może... może... gdyby się nieco przeciągnęła, a przód podkoszulka by się... o Jezus. Odwrócił wzrok od jej nóg.

— Koszmar! — przytaknął.

— Specjalnie wstałam wcześniej, żeby dać ci moralne wsparcie. Mam nadzieję, że to doceniasz!

— O Boże, nie trzeba było. To bardzo miło z twojej strony. — Wstała wcześniej, tylko dla niego! Dla niego zostawiła Smitha samego w łóżku. Tak! — Chcesz pierwsza wejść do łazienki?

— Nie, ty idź pierwszy. Zrobię śniadanie, wyprawię cię do pracy! Ale najpierw szybciotko bym się wysusiała.

— Jasne, oczywiście.

Zszedł z drogi, żeby ją wpuścić do łazienki. Jej ciało lekko się otarło o niego, gdy go mijala, na tyle, by wywołać nieoczekiwaną erekcję w jego rozepchanych spodenkach. Wzniesiony penis radośnie przepchał się przez rozporek i ukośnie wychynał na świat niczym ciekawski kret. Cholera. Wepchnął go z powrotem do środka, nieporadnymi palcami szybko zapiął rozporek i skrzyżował dłonie na kroczu. Jem zostawiła lekko uchylone drzwi, więc słyszał, jak susia. Dziwny, tryskający, urywany dźwięk moczu uderzał w wodę, a potem rozległ się szelest, gdy odwinęła z drewnianego wieszaka papier toaletowy, złożyła go i podtarła się. Znowu wyszła, szeroko się do niego uśmiechając.

— Nie spuściłam wody, mam nadzieję, że się nie gniewasz. Do zobaczenia w kuchni!

Powędrowała przez przedpokój do kuchni. Ralph patrzył za nią, bo przy każdym kroku jej podkoszulek unosił się, choć nie dość wysoko. Wypuścił powietrze, które wstrzymywał, odkąd ich ciała się zetknęły, i wszedł do łazienki. Spojrzał do sedesu na siuski Jem i unoszącą się na powierzchni zmiętą kulkę różowego papieru toaletowego, który tonął, nasiąkając wodą. WyceLOWAŁ swój na wpół wzwiedziony penis w 'żółtą wodę, z zadowoleniem obserwując, jak ich płyny się łączą. Tak, podobało mu się to, że ich wydaliny stawały się jednością... i radował się myślą, że Jem w kuchni w skąpym podkoszulku robi mu teraz śniadanie... mmmmm! Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Zapowiada się obiecująco.

Mineły dwa tygodnie od ich wspólnego wieczoru, od słynnej nocy chilli, i Ralph niewiarygodnie ciężko pracował nad tym, by zachować więź, jaka wówczas między nimi powstała. Uświadomił sobie, że to coś więcej niż zadurzenie, więcej niż zazdrość czy pożądanie. Z całą pewnością był w niej zakochany i nie miał najmniejszego zamiaru ignorować tego uczucia, tłumić swoich emocji. Nigdy przedtem nie był zakochany i nie chciał, by taka szansa prześlizgnęła mu się między palcami. Rozegra to powoli i ostrożnie.

Nagle zaczęły go interesować towarzyskie i zawodowe sprawy Smitha, dyskretnie dowiadywał się, kiedy Smith wychodzi, i pilnował, żeby on, Ralph, miał trochę czasu na sam na sam z Jem. Kupił parę nowych koszulek i w końcu uprał dzinsy, z czym

zwlekaj już pół roku. Zaczął też regularnie kupować kwiaty na Northcote Road — oczywiście peonie — i tak to aranżował, że gdy Jem wracała z pracy, on artystycznie i delikatnie układał je w wazonie. Parę razy nawet coś ugotował. Mieli wspólny temat do rozmowy. „Och, koniecznie musisz pójść do takiej-to-a-takiej restauracji na Earlsfield/Bayswater/Brick Lane. Najlepsze vindaloo*⁷, jakie kiedykolwiek jadłem — bardzo, bardzo ostre” albo „Wiesz co? W Asda zaczęli sprzedawać chilli Thai Bird”. Ralph nawet znalazł na Northcote Road nasiona chilli i wspólnie je zasiali, a potem na zmianę podlewali i rozmawiali o kiełkowaniu, z troską, jak wystraszeni rodzice.

Był to szczególnie trafny rozwój sytuacji, gdyż dzięki niemu nie tylko Jem się do niego zbliżyła, ale również wyalienowany został Smith, który ucierpiał na swej tendencji do zamawiania pasandy*⁸ oraz potraw z migdałami i śmietaną. Był to maleńki, lecz bardzo istotny element w więzi, jaka powstawała między Ralphem i Jem. Mieli coś wspólnego, co istniało poza sferą nieromantycznego związku — własną płaszczyznę porozumienia. Poza tym pojawił się też element udreżonego artysty.

Kiedy poprzedniego wieczora podlewali nasiona, Jem poruszyła ten temat.

— Myślałeś znowu o malowaniu, Ralph?

— O malowaniu czego? — spytał z roztargnieniem, myśląc, że może Jem zmierza do konieczności liźnięcia farbą ścian w salonie.

— No, wiesz, o malowaniu. Ty — pracownia — artysta.

— Rozłożyła ręce, podkreślając jego głupotę.

— Nie. A miałem?

— Nie. Nie miałeś, ale myślałam, że może myślałeś, i to wszystko.

— Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Ostatnio się zmieniłeś. Jesteś bardziej... bardziej... konkretny. Bardziej ożywiony. Nawet się zastanawiałam, czy nie poznałeś jakiejś dziewczyny! — dodała żartobliwie, dźgając go pod zebro.

⁷ * *Vindaloo* — jagnięcina z ziemniakami w ostrym sosie z pomidorów i cebuli

⁸ * *Pasanda* — jagnięcina z egzotycznymi przyprawami i orzeszkami w łagodnym sosie śmietanowym.

— Nie, nie „poznałem” żadnej dziewczyny — odparł i ze śmiechem również dał jej sówkę w bok. — Pamiętaj, że już mam dziewczynę.

— A tak, piękną Claudię.

— Co masz przeciwko Claudii? — Ralph był zdziwiony i trochę zadowolony z delikatnego sarkazmu w jej głosie.

— Nic. — Jem wzięła głęboki oddech. — Poza tym, że nie jesteś z nią szczęśliwy i mógłbyś lepiej trafić. — By pokryć zmieszanie, lekko poklepała wilgotną ziemię w małych plastikowych doniczkach.

— Och, wielkie dzięki, Jemima. Nie wiedziałem, że tak ci na tym zależy. — Ralph przybrał bez troski ton, ale serce galopowało mu w klatce piersiowej z prędkością samochodu formuły pierwszej. Wreszcie zaczęła się łamać — zależy jej, zależy!!! — To jak myślisz, kto byłby dla mnie lepszy? — spytał, lekko unosząc jedną brew, usiłując przybrać wyraz nieśmiałości.

— Och, nie wiem. Ktoś, przy kim czułbyś się lepiej, ktoś, kto by docenił to, jakim jesteś świetnym facetem, a nie zrzęda, ktoś, kto by cię inspirował do tego, w czym jesteś najlepszy, a nie traktował cię jak... jak... jak głupiego żigolaka! — Teraz, lekko zaczerwieniona, machinalnie ugniatała już gładką ziemię.

Ralph roześmiał się głośno.

— Głupi żigolak! Boże, jakie to zabawne. Nigdy przedtem nie myślałem o tym w ten sposób, ale chyba masz rację! Zdaje się, że ona dokładnie tak mnie widzi! Żigolak!

— Nie, naprawdę, Ralph, mówię poważnie. Na świecie istnieje rozpaczliwy niedobór fajnych facetów, a ty się marnujesz z Claudią. Uwierz mi, tysiące dziewczyn, miłych dziewczyn, z radością umówiłoby się z takim facetem jak ty. A gdybyś miał miłą dziewczynę, mniej czasu spędzałbyś na zamartwianiu się, co znowu zrobisz nie tak, że znowu zachowasz się niewłaściwie i nie będziesz dość dobry dla jakiejś zarozumiałej mieszczki, a częściej zaczniesz robić to, w czym jesteś dobry. Chodzi mi o malowanie. Naprawdę. Mówię poważnie — zakończyła, zamykając drzwiczki suszarki i skierowała się do kuchni. Ralph podążył tuż za nią, nie chcąc stracić ani sylaby. — Takie dziewczyny mnie wkurzają, psują reputację innym dziewczynom. Rzuć ją i zacznij malować, Ralph. Proszę.

O kurczę. Robiło się poważnie.

— Czy mogę najpierw zacząć trochę malować, a potem sprawdzić, czy mimo to muszę rzucić Claudię?

Uderzyła go żartobliwie.

— Boże, ty się nie możesz obejść bez seksu, co?

— Nie zaprzeczam, jestem nienasyconą bestią. — Uśmiechnął się, opierając się plecami o blat kuchenny.

— Nie chcę, żebyś postąpił tak tylko dlatego, że ja tak ci radzę

— powiedziała Jem, zmieniając spryskiwacz pod zlewem — ale jeżeli się zdecydujesz, powinieneś spróbować i zobaczyć, jak ci idzie. W życiu zawsze tak jest: im dłużej z czymś zwlekasz, tym trudniej się potem do tego zabrać... — Ściszyła głos. — Zrób to, Ralph, idź tam jutro. Wstań wcześniej, pojedź do pracowni i zobacz, co się będzie działo. Może niczego nie namalujesz, może od razu wrócisz do domu, ale przynajmniej wyrwiesz się z tego zakłętego kręgu beczynnego przesiadywania w domu, co? — Stała przed nim, spoglądając na niego przez rzęsy z poważnym, lecz przyjaznym wyrazem twarzy, dzięki któremu Ralph nie miał wrażenia, że Jem wywiera na niego presję, lecz że się o niego troszczy. Poczul wewnątrz przyjemne ciepło. Już dawno tak się nie czuł.

— OK — powiedział, udając, że ulega naciskowi. — OK. Jeszcze tylko jedno, co to znaczy „wcześnie”?

— Och, nie ma sensu iść na łatwiznę. O siódmej?

— Nie ma mowy! O ósmej — zaproponował.

— Dobra. O wpół do ósmej i koniec dyskusji!

— OK, ale to straszne przegięcie. Nawet ty nie musisz zrywać się tak wcześnie.

Jem się uśmiechnęła.

— Zobaczysz, spodoba ci się. Będziesz się czuł bardziej zadowolony z siebie.

I wtedy przyszła ta aż nadto znajoma chwila — przygnębiający chrobot klucza Smitha w zamku, ukłucie bólu w sercu Ralpha, gdy twarz Jem rozjaśniła się niczym na reklamie Terry's All Gold, i Jem odeszła, odeszła od niego i zniknęła w objęciach Smitha.

* * *

Ale teraz znowu była tylko jego — na tych parę rozkosznych chwil, zanim Smith wstał. Robiła w kuchni śniadanie dla niego

— Smithowi nigdy nie szykowała śniadania — i miała na sobie

tę skąpą, króciutką koszulkę. Czym prędzej wziął prysznic, nie chcąc stracić ani chwili, szybko, ale starannie ubrał się w najczystsze ciuchy, lekko spryskał się płynem po goleniu (prezent od swojej eks), wzburzył włosy i wszedł do kuchni.

Jem wygrzebywała z dna puszki ostatnie ziarna pieczonej fasoli.

— Zawsze czuję się podle, kiedy zostawiam parę zabłąkanych fasolek — powiedziała. — Zupełnie jakby czuły się odrzucone czy coś. — Zapaliła ogień na palniku i szybko zamieszała fasolę. — Mógłbyś nakryć do stołu? — poprosiła. — Ja się muszę skupić na mieszaniu.

Nałożyła fartuszek na podkoszulek, troczki związała z tyłu na kokardę, przez co T-shirt leciutko zadarł jej się do góry, ale nadal... nadal nie dość wysoko. Może gdyby musiała sięgnąć po coś z wysokiej półki kredensu, na przykład... ketchup!

— Jem, czy mogłabyś mi podać ketchup? Jest na tej półce tuż nad twoją głową.

Obserwował ją, wstrzymując oddech. Podkoszulek Smitha przez cały ranek uparcie czepiał się ud Jem jak pruderyjna niania, ale teraz nadeszła odpowiednia pora. Żadną miarą nie da rady pozostać na miejscu, gdy Jem będzie sięgać po ketchup.

Jem wspięła się na palce, jej plecy zaczęły się rozciągać, lewa ręka rozpoczęła podróz do kredensu, podkoszulek ruszył się o milimetr, dwa milimetry, trzy milimetry i — jest! Prawie. O Boże, jeszcze jeden milimetr... Ralph siedział jak przygwożdżony do krzesła w bolesnym oczekiwaniu... Jeszcze jeden milimetr... Cholera! Cholera! Wolna ręka Jem nagle złapała rąbek znienawidzonego podkoszulka i gorliwie obciągnęła go w dół, sama Jem zaś wyciągała się dalej i wreszcie złapała butelkę. Ralph nie wierzył własnym oczom.

— Proszę. — Podała mu butelkę, najwyraźniej nieświadoma jego wielkiego rozczarowania i frustracji.

Spójrzmy prawdzie prosto w oczy, pomyślał, nie było mi dane ujrzeć jej pupy, nie ma szans, zapomnij. Ale, Boże święty, tak strasznie chciał zobaczyć jej pupę. Jeżeli była choć trochę tak urocza jak jej jedwabiste uda, to absolutnie musi ją zobaczyć.

— Przepraszam, Jem. Musztarda? — Wskazał oczami na tę samą szafkę.

Zahuczwała dobrotliwie i raz jeszcze sięgnęła do półki. Musztarda stała głębiej, więc Jem musiała się wyciągnąć nieco bar-

dziej, wolną ręką przytrzymując się blatu. Ralph znieruchomiał i znowu wbił w nią wzrok: jeden milimetr... dwa milimetry... trzy, cztery, pięć — Jezu! Jest! Sześć, siedem... w ustach mu zaschło, oczy wyszły z orbit... o słodki Jezuniu... najpiękniejsza, najbardziej apetyczna, ponętna pupcia, jasna, gładka i... pupciowata... i, o Boże, mógłby się w nią wgryzać i wgryzać...

— Mam nadzieję, że się nie gapisz na moją pupę, Ralfie McLeary! — Roześmiała się Jem, odwracając się.

— Co? Ja? — wybelkotał Ralph.

— Tak, ty. Masz tu swoją musztardę.

Ralph wyciągnął drżącą rękę, usiłując zachować pozory niewzruszenia i niewinności, ale odwrócił się zbyt gwałtownie i w ogóle nie trafił w słoiczek. Ten upadł na podłogę i — wbrew wszelkim przypuszczeniom Ralpha na temat tego, co się dzieje, kiedy upuści się na linoleum słoiczek musztardy — roztrzaskał się na kilka kawałków, obryzgując brudnożółtą pastą bose stopy Jem.

— O Boże, Jem, strasznie cię przepraszam. — Rzucił się po papierowy ręcznik, za mocno pociągnął za koniec, powodując lawinę papieru, który wpadł do zlewu i zaczął nasiąkać wodą pod kurkiem. — Wytrę cię. Strasznie cię przepraszam.

Padł na kolana przed Jem i zaczął usuwać musztardę.

— No i proszę — powiedział. — Schodzi.

— Oczywiście, że schodzi. Przecież to musztarda, a nie kreozot! Ralph czule trzymał kostkę Jem, wycierając jej maleńką białą stopkę.

— No i już — powiedział, przesuwając rękę nieco wyżej po łydce. Cały zeszytniał od podniecenia wywołanego przebywaniem w tak niewielkiej odległości od rąbka jej podkoszulka i mając twarz zaledwie parę centymetrów od jej nagiego krocza, rękami obejmując jej nogi i stopy. Musztarda nagle stała się erotycznym balsamem; chętnie by ją zlizął z jej ciała. — Już. Prawie skończyłem.

Oddał kawałek ręcznika i delikatnie osuszył nim jej stopy, przesuwając papier między jej palcami, a drugą ręką nadal powoli przesuwając po jej nodze, już prawie sięgając kolana. Z rozczarowaniem stwierdził, że wszystko już wytarł, zeszała cała musztarda. Poklepał ją po nodze i powoli wstał z klęczek, pochylając się nieco, by zbliżyć nos do jej ciała i głęboko wciągnąć jej zapach. Nagle jego wzrok padł na parę małych żółtych plamek na jej nogach.

— O — powiedział na przydechu. — Tu jeszcze jest trochę.
Z powrotem owinął sobie palec papierem i starł plamki,
chwiejąc się lekko na zmęczonych kolanach i szybko łapiąc ją
za górną część nogi, by zachować równowagę. Ciepłe, miękkie,
piękne, piękne nogi. Jem ani drgnęła, stała zupełnie nieruchomo,
z uśmieżkiem spoglądając w dół na niego.

— Jesteś bardzo dokładny — powiedziała.

— Wszystko starte — odparł nerwowo, powoli, bardzo powoli
wstając, nosem niemal się ocierając o piersi sterczące pod pod-
koszulkiem. Stał niebezpiecznie blisko niej, a serce tak mu dud-
niło, że słyszał je w uszach.

Nie ruszała się.

— Dziękuję — powiedziała.

Nie ruszał się.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedział.

— Nie będziesz miał musztardy do kielbasek — powiedziała.

— Raczej nie — powiedział.

Żadne z nich nie zrobiło nic, by wrócić do swoich zajęć. Stali
w miejscu, mając wrażenie, że trwa to całą wieczność, choć mi-
nęło zaledwie parę sekund.

— Ralph?

— Jem.

— Pamiętasz, co powiedziałam wczoraj, no, wiesz, o tym, że
zasługujesz na lepszą dziewczynę i że jesteś wyjątkowym face-
tem?

Ralph ledwo ważył się oddychać. Miał wrażenie, że w pozycji
wyprostowanej trzyma go tylko i wyłącznie magnetyczna siła
emanująca z Jem i gdyby Jem odeszła, opadłby na podłogę.

— Tak? — odparł z oczekiwaniem. O Boże. Co ona zamierza
powiedzieć?!

— Chciałam tylko powiedzieć... o cholera! — Na jej twarzy
pojawiła się panika i Jem raptownie się odwróciła. — Cholera,
bekon! — Ściągnęła patelnię z ognia i otworzyła okno nad zle-
wem.

W kuchni było aż siwo od dymu, gryzącego dymu, bekon
został unicestwiony, a dno patelni bezwstydnie pokrywały grud-
ki chropawego czarnego węgla.

— Jasna cholera! — wykrzyknęła ze śmiechem. — No to po
bekonie.

— Nie szkodzi — powiedział Ralph. — I tak najbardziej lubię fasolę. Nie przejmuj się. No, o czym mówiłaś, wiesz, przed chwilą?...

— A tak. Chciałam tylko powiedzieć, że...

Jej wypowiedź przerwało ogłuszające wycie, wysoki pisk wydobywający się gdzieś z głębi mieszkania.

— Kurde, co to?! — krzyknął Ralph, starając się przebić przez hałas.

W drzwiach stał Smith w zielonym szlafroku frotte, zaspany, z rozczochranymi włosami.

— Co się dzieje? — wymamrotał z irytacją. — Dlaczego alarm się włączył?

— O Boże. Spaliłam bekon — powiedziała Jem. — Szybko, Smith, dmuchaj, dmuchaj na alarm!

Cała trójka zebrała się w przedpokoju. Smith wdrapał się na stół i zaczął dmuchać na urządzenie alarmowe, rękawem odganiając niewielką chmurę dymu.

— Po co w ogóle robiłaś ten bekon? — spytał, jeżąc się z irytacji.

— Dla Ralpha. Na śniadanie — dodała niepotrzebnie.

Smith dalej dmuchał i wachlował, aż w końcu nieznośna syrena ucichła.

— Jezu — powiedział, schodząc ze stołka i przyglądając włosy.

— Przepraszam, kochanie! — powiedziała Jem, wyciągając do niego rękę. — Przynajmniej wiemy, że działa.

— Hmmmm — mruknął naburmuszony Smith. — No, ale i tak musiałem już wstać. Jest dla mnie jakieś śniadanie?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Oczywiście. Już się robi!

Smith poszedł pod prysznic, a Ralph i Jem wrócili do kuchni. Jem wbiła jajka na czystą patelnię i zmniejszyła ogień pod już prawie zbryloną fasolką.

— Jem — powiedział Ralph, wykładając noże i widelce.

— O czym zaczęłaś mówić?...

— Później ci powiem. — Dalej robiła śniadanie.

Później. Później? To znaczy godzinę, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, DZIESIĘĆ godzin później. Jak on da radę przeczekać dziesięć godzin, żeby usłyszeć, co Jem ma mu do powiedzenia? To niemożliwe.

— Nie możesz mi dać jakiejś podpowiedzi? — Aż się skrećai z ciekawości.

— O Boże, Ralph! To nic takiego. Później ci powiem, OK?

— OK — powiedział, siadając przy stole i patrząc, jak Jem sprawnie przygotowuje ostatnie fazy tłustego, aromatycznego śniadania.

Do kuchni wszedł Smith i podano śniadanie.

— Proszę bardzo odpowiednie śniadanie dla ciężko pracujących mężczyzn — powiedziała Jem, stawiając przed nimi talerze z jajkami i kiełbaskami, fasolką, grzybami i ogromnymi pajdami ręcznie krojonych tostów ociekających masłem. — Zabierajcie się do jedzenia!

— Jesteś aniołem, jesteś świętą, jesteś chodzącym ideałem! Dziękuję! — W danych okolicznościach Ralph mógł obsypać Jem pochwałami i komplementami, nie wzbudzając niepokoju i podejrzeń (przez żołądek do serca mężczyzny i tak dalej), a Jem wzięła to za dobrą monetę i uśmiechnęła się radośnie do swego zadowolonego klienta.

Jego wszechogarniająca potrzeba zaspokojenia, pobudzona przez poranny łańcuch dziwnie zmysłowych wydarzeń, skupiła się na jedzeniu i rzucił się na jajka jak zwierzę, w parę chwil pochłaniając ogromną porcję. Zresztą i tak chciał już wyjść. Smith i Jem tręcali się stopami pod stołem i uśmiechali do siebie nad talerzami. Zaniósł swój talerz do zmywarki, zapakował do plecaczka radio, parę marsów, dodatkowy sweter, złapał rower i kask Smitha i ruszył w drogę. Smith i Jem pomachali mu uroczym pożegnaniem ze szczytu schodów, obejmując się i wyglądając niemal jak dumni rodzice. Na tę myśl zrobiło mu się niedobrze i cała atmosfera dojrzałego pożądania i erotyki, która przesycała jego poranek, ulotniła się.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ralph pedałowal szybko malowniczą trasą wzdłuż rzeki. Przejechał przez most Battersea, minął imponujące rezydencje przy Cheyne Walk i zjechał Grosvenor Road w stronę Millbank.

— „Gdzie znajdę taką kobietę jak dziewczyna Jessiego...” — śpiewał głośno sam do siebie, nie przejmując się, że ktoś usłyszy. Aż pękał w szwach z tłumionych uczuć — pożądania, zazdrości, cierpienia, podniecenia, rozczarowania. To było nie do zniesienia, absolutnie nie do zniesienia. Jak da radę żyć tak dalej: pod jednym dachem z tą dwójką? Jem będzie mu pokazywać swoją pupę, mówić, że jest „wyjątkowy”, a potem trącać się nogami ze Smithem, jakby Ralph nie istniał? Czy ona robi to celowo? Może jednak jest nimfomanką. Nie. Nie. To nie tak. W tym jest coś więcej, o wiele więcej. Między nimi pojawiło się coś, coś... duchowego. Och, co za bzdury. Duchowego! Nie, po prostu dobrze im się gada ze sobą — i nic poza tym. Świetnie, doskonale się czują w swoim towarzystwie, ich znajomość jest „wyjątkowa”. Gdyby tak bardzo mu się nie podobała, mogliby się zaprzyjaźnić — to by było coś nowego, dziewczyna przyjaciółka. Ale teraz to niemożliwe, zwłaszcza po tym ranku, zwłaszcza po tym siusianiu w toalecie, podkoszulku, musztardzie i całej reszcie.

Co takiego chciała mu powiedzieć? Nie mógł przestać o tym myśleć. Och, co tam, na domyślenie się ma przed sobą zaledwie cały jeden długachny, niekończący się dzień.

Skreślił w prawo, a potem w lewo na Parliament Square, a następnie pojechał wzdłuż rzeki w stronę Victoria Embankment, nadal pedałowując z samobójczą prędkością, nie zważając na ból w mięśniach nóg oraz możliwość, że na jego drodze wtargnie jakiś pieszy.

Dzień był fantastyczny, chłodny w wyjątkowo przyjemny sposób, niebo miało nieskalanie błękitną barwę, budynki parlamentu połyskiwały niczym świeżo uprana pościel.

Pieprzony Smith. Pieprzony, cholerny Smith. Smith zawsze miał więcej szczęścia. Od samego początku. Miał elegancki dom w Shirley, miłych, liberalnych rodziców, najfajniejszych przyjaciół, najładniejsze dziewczyny, odlotowy samochód na osiemnaste urodziny, wakacje, pracę, pieniądze, mieszkanie, karierę. Ralph dopiero zaczynał wychodzić spod swej skorupy niepewności i lęków.

Jego rodzice byli starzy, o wiele starsi od innych rodziców, oraz nieśmiali z natury. Nie mógł zaprosić nikogo do swojego domu w Sutton — matka podawała biszkopty Viscount, smakujące jak tektura, kanapki z dżemem i chciała gawędzić z jego „młodymi przyjaciółmi” o szkole i pogodzie. Ojciec wycofywał się do ogrodu, gdzie w swej wełnianej czapce grzebał w ziemi grabiami, motyką i czym tam jeszcze, wyglądając jak stary ogrodnik w okazałej posiadłości. Telewizor był wyłączony — niegrzecznie oglądać telewizję przy gościach — a mały beżowy salonik wibrował od tykania starego, drewnianego zegara na ścianie bez końca odmierzającego sekundy.

Musiał się bardzo starać, żeby trafić do świata Smitha. Kiedy za pierwszym razem przyjechał do Shirelle, dosłownie przeżył moralny szok na widok postawy jego rodziców, którzy często przeklinali i wydierali się, przekrzykując telewizję, oraz pozwalali, by znajomi syna wchodzili i wychodzili, w ogóle się nie interesując, kim są, jak im idzie w szkole oraz czy zaraz będą w wolnym pokoju uprawiać seks ze studentką z wymiany zagranicznej.

Początkowo nie zagrzewał tam miejsca. Szybko obsługiwał Shirelle, co chwila zerkając na drzwi. Nie mógł pojąć faktu, że rodziców Smitha nic nie obchodzi. Wychodził szybko, ubierając się po drodze, nie rozglądając się na boki w obawie, by nie nawiązać kontaktu wzrokowego z jedną z wielu osób, które najwyraźniej nieustannie się kręciły po tym ogromnym, wygodnym domu.

A potem oczywiście poszedł na ten pamiętny spacer ze Smithem i przekonał się, że to całkiem niezły gość, na którym nieproporcjonalnie duże wrażenie zrobiły domniemane wyczyny seksualne Ralpa, i tak oto Smith przyjął go do swego życia.

Przez jakiś czas Ralph czuł się nieswojo, obawiał się, że stał się obiektem jakiegoś żartu, ale wkrótce nauczył się wyluzowy-

wać i zaczął doceniać zalety posiadania bogatych, szczęśliwych przyjaciół. Zazdrość, jaką zawsze czuł wobec Smitha, zaczęła blednąć, i w miarę upływu lat ich przyjaźń przemieniła się w iscie braterskie przywiązanie, początkowe rozbieżności się zatarły i obaj chłopcy stali się sobie równi. Teraz i Ralph był luzakiem, i on potrafi imponować innym — był gwiazdą Royal College, pisano o nim w prasie, otaczały go piękne blondynki, miał szeroki krąg przyjaciół i dostawał zaproszenia na elitarne imprezy.

Ale teraz wszystkie te stare uczucia znowu zaczynały wypływać na powierzchnię: uczucie nieprzystosowania, wrażenie, że jest szarą myszką, nieciekawą osobą, społecznym wyrzutkiem, parodią dowcipu. A to dlatego, że Smith miał jedną rzecz, której istnienia Ralph nawet nie podejrzewał, dopóki sam jej nie zapragnął — prawdziwy związek z prawdziwą kobietą, która naprawdę go kochała.

Pieprzony Smith. Pieprzony, cholerny Smith. To. Kurwa. Nie-sprawiedliwe.

Popędził wzdłuż Thames Street w stronę lawy samochodów niecierpliwie czekających w czterech rzędach na zmianę świateł. Jechał coraz szybciej Lower Thames Street i w kierunku Tower Hill. Ból w nogach ustał całe wieki temu i teraz Ralph zachowywał się jak automat, rower jechał niemal samodzielnie. Po raz milionowy tego ranka usłyszał klakson samochodu.

— Spierdalał! — krzyknął, unosząc środkowy palec.

Zdjął ręce z kierownicy, stanął na pedałach i zamknął oczy na wietrze, który chłostał go po twarzy niczym skórzana rękawica. Łyknął potężny haust powietrza, niemal większy niż jego płuca, i otworzył usta tak szeroko, aż poczuł powiew powietrza na migdałkach.

Już miał krzyknąć, lecz jego głos zgubił się w ogłuszającym ryku jeszcze jednego klaksonu, pisku opon na tłuczniu, zgrzytania metalu o metal, gdy rower Ralpha uderzył w maskę lśniącego, czerwonego mercedesa 350SL kabriolet, jego wymarzonego auta, i jego ciało wystrzeliło wysoko w powietrze, przeleciało nad zaparkowanym samochodem, nad parkometrem i wreszcie ze złowieszczym łupnięciem grzmotnęło o ścianę biurowca na Minories.

Jego ciało wkrótce otoczyła grupka zaniepokojonych obcych ludzi, którzy zaczęli „achać” i „ochać” i pytać, czy jest wśród nich lekarz, zastanawiać się, czy nie powinni przypadkiem za-

dzwonić po pogotowie, i przykładać uszy do jego ust, by sprawdzić, czy oddycha.

— Ćśśś! — syknął jakiś mały grubas, który z nieoficjalnego i dziwnego powodu przejął kontrolę nad sytuacją. — Ćśśś, on próbuje coś powiedzieć.

Przybliżył swą galeretowatą twarz na parę centymetrów do ust Ralpha, a policzki aż mu poczerwieniały z wysiłku, jaki włożył w pochylenie się. Potem wyprostował się, wypuścił powietrze i przebiegł wzrokiem po zaciekawionych twarzach gapiów zgromadzonych wokół niego.

— Mówi, że pragnie dziewczyny Jessiego — oznajmił z dezorientacją. — W kółko powtarza: „Dziewczyna Jessiego”.

— „Pragnę dziewczyny Jessiego...”

— Cholera, dlaczego on to w kółko śpiewa? — szepnęła Smith. Jem wzruszyła ramionami i znowu ścisnęła Ralpha za rękę.

— O Boże, jak on wygląda! — zaskomlała. — To wszystko moja wina! Gdyby nie ja, o tej porze jeszcze by spał. — Położyła głowę na skraju łóżka Ralpha i zaczęła szlochać.

— Nie płacz, Jem. Nie wiń siebie. — Smith pogłaskała ją po małej, drżącej głowie. — To nie twoja wina. Przypomnij sobie, co powiedział tamten kierowca. Ralph jechał niewiarygodnie szybko, z zamkniętymi oczami, to był nie tylko pech... — Umilkł, gdy w jego umyśle znowu pojawił się obraz jego biednego, pogiętego roweru. Miał go zaledwie od dwóch miesięcy, a teraz rower nadawał się na śmietnik, zdechł. Wielkie dzięki, Ralph.

Lekarz poinformował ich, że Ralph ma pęknięty nadgarstek, mocno posiniaczony lewy bok, złamane żebro i lekki wstrząs mózgu. Już wkrótce, łąda dzień, wróci do zdrowia. Miał wielkie szczęście — ściana paradoksalnie zamortyzowała jego upadek. Gdyby najpierw upadł na chodnik, uszkodziłby sobie kręgosłup albo złamał nogę.

Siedzieli z Ralphem w ciszy oddziału, po obu stronach łóżka. Jem trzymała go za ręce, Smith opierał swoje, splecione, na kolanach. Czekali, aż Ralph coś zrobi, cokolwiek, zamiast leżeć tak bez ruchu, błądy i posiniaczony, śpiewając na okrągło tę cholerną piosenkę.

— Przyniosę ci herbaty. — Westchnął Smith. Wstał i przeciągnął się, zerkając szybko na zegarek. Miał jeszcze masę roboty.

Jem nadal obserwowała Ralpa. Wyglądał tak słodko, z otartą, fioletową twarzą, z zamkniętymi wielkimi, okrągłymi oczami, lewą ręką w gipsie i bandażem na piersi, przytrzymującym złamane żebro. Wyglądał jak dziecko, bezbronne, kochane, słodkie, chore dziecko — a to wszystko jej wina. Nieważne, co mówi Smith, co mówią inni, to ona skierowała Ralpa na tę konkretną ścieżkę losu, i nieważne, czy on sam naraził się na niebezpieczeństwo. Gdyby nie ona, nadal leżałby w łóżku w tej strasznej chwili, gdy jego rower uderzył w maskę tamtego samochodu. Tamtego piątkowego ranka to ona zdeterminowała jego przeznaczenie, ona i nikt inny.

— „Dziewczyna Jessiego... pragnę dziewczyny Jessiego”

— Ralph znowu zanucił tym dziwnym ochrypłym głosem.

— To ja, Jem. Ralph, słyszysz mnie?

— „Gdzie ja znajdę taką kobietę?”

— Och, Ralph, to ja, Jem. Proszę, Ralph, otwórz oczy, spójrz na mnie.

Ralph leżał nieruchomo.

— Ralph, Ralph, to ja!

Ralph się ocknął.

— Jem... — Miał słaby, zmęczony głos.

— Ćśśś... ćśśś — powiedziała Jem, przykładając dłoń do jego policzka. — Nic nie mów.

— Jem. — Uśmiechnął się i znowu zamknął oczy, wtulając policzek w jej dłoń. — Jem.

W tej chwili wrócił Smith z dwoma plastikowymi kubkami z herbatą.

— Smith, Smith, on się obudził! Odezwał się do mnie!

Smith postawił kubki na stoliku koło łóżka i szybko z powrotem usadowił się na krześle.

— Ralph, Ralphie, słyszysz mnie?

Ralph kiwnął głową i powoli otworzył oczy. Uśmiechnął się do Smitha.

— Co się, kurwa, dzieje? — zaskrzeczał.

— Ty mi to powiedz. — Roześmiał się Smith, szczerząc zęby do Ralpa i biorąc go za rękę. — Ty cholerny, zwiariowany kamikadze! W co ty się, kurde, bawisz?

— Nie... nie pamiętam — odparł, bardzo powoli wymawiając słowa. — A tak, już wiem! Śpiewałem. Śpiewałem. Jechałem twoim rowerem. Tak, zgadza się.

— Pójdę po pielęgniarkę — szepnął Smith do Jem. — Trzeba ich powiadomić.

— Jem — powiedział Ralph po wyjściu Smitha. — Tak miło cię widzieć. Wyglądasz... cudownie.

— Och, Ralph, dziękuję, ale prawdopodobnie w tej chwili jesteś odrobinę niepoczytalny.

— Czy Smith poszedł do domu?

— Nie, poszedł po pielęgniarkę. Przez parę godzin leżałeś nieprzytomny.

Patrzyła, jak Ralph odpływa w błogą drzemkę. Zalała ją fala czułości i uczucia. Ni z tego, ni z owego zapragnęła go przytulić, chronić go, opiekować się nim, kochać go?... To był taki dziwny poranek. Ten incydent z musztardą zupełnie ją wytrącił z równowagi. Było w tym coś miłego; podobał jej się dotyk jego rąk na jej nogach, jego palców między jej palcami u nóg... a zanim bekon zaczął się palić, była taka chwila, kiedy cały świat zniechęcił się na sekundę. Ralph stał tak blisko niej, a jej serce waliło tak mocno, że miała wrażenie, iż bębny w uszach jej eksplodują, a teraz... teraz... z jakiegoś powodu miała kompletny mętlik w głowie.

Spojrzała na Ralpa. Jego policzek wciąż spoczywał na jej dłoni, posiniaczone ciało leżało nieruchomo, a świadomość błędziła gdzie indziej. Wyglądał tak krucho, tak potrzebował miłości i troski.

Serce boleśnie się jej ścisnęło.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dla Siobhan i Karla były to bardzo szczęśliwe dwa tygodnie, najlepsze od wielu miesięcy. Tamtej nocy w kaplicy Siobhan skorzystała z rady Ricka i przeprowadziła z Karlem szczerą, absolutnie szczerą rozmowę. A Karl, jak zwykle z uwagą i współczuciem, wysłuchał jej i zrozumiał ją — nawet ten fragment o Ricku.

— Całowałaś się z nim — stwierdził rzeczowym tonem, siedząc z nagim torsem pod kołdrą na olbrzymim łożu z czterema kolumnkami. U jego boku, z głową na jego kolanach, leżała zwinięta w kłębek Rosanne.

— Yhm. — Siobhan kiwnęła głową, gapiąc się ponuro na podłogę. Długie pasma potarganych złotych włosów wysunęły się ze spinek, które przez całą noc przytrzymały ją na miejscu, pod oczami miała smugi rozmazanego tuszu i eyelinera, delikatne obcasy butów były oblepione błotem z brzegów jeziora.

Karl poczuł lekkie ukłucie zdziwienia. Tamta wariatka, Tamsin, miała rację — tak jakby. Całowali się. Rick całował się z Siobhan. Siobhan całowała się z Rickiem. Zrobiło mu się trochę niedobrze.

— Jezu. Co... co... yyy, jak... jak długo... dokładnie jak długo się całowaliście? — spytał powoli, pocierając brodę. Czuł się dość niezręcznie w tej sytuacji, ale wiedział też, że powinien zachować się dojrzałe.

— Dziesięć, dwadzieścia minut, nie wiem. Pomyślałam o tobie

— dodała, chcąc skierować rozmowę na właściwe tory, czyli na nich samych. — Pomyślałam o tobie i przestałam...

— Dlaczego? Bo... bo... bo byłaś pijana, na haju, dlaczego?

— Karl mówił spokojnie, racjonalnie, szczerze próbując zrozumieć, co się wydarzyło tamtej nocy, wciąż jednak był wstrząśnięty wizją Siobhan, jego Siobhan, w objęciach innego mężczyzny, całującej się z nim, z językiem w jego ustach...

— Częściowo, ale nie, właściwie to nie. Myślałam... myślałam o tym, jeszcze zanim w ogóle zaczęliśmy pić, właściwie to w chwili, kiedy go zobaczyłam. — Urwała, czując, że może wyznała zbyt wiele, lecz uświadomiła sobie, że to zaledwie początek wszystkiego, co należało wyznać.

— No tak. To bardzo przystojny facet...

— Och, Karl, przestań! Nie bądź taki cholernie rozsądny. Wydaje ci się, że chodzi tylko o to? Wydaje ci się, że mi się spodobał, i nagle, po piętnastu latach z tobą, pomyślałam sobie: „Och, co tam, pójdę z nim”? Tak, jest przystojny, oczywiście, że jest przystojny, ale... ale nie o to chodzi.

— No to powiedz mi, Siobhan. Powiedz mi, proszę. Dlaczego?

— Żeby ci pokazać, że wciąż jestem atrakcyjna, że inni mężczyźni, przystojni mężczyźni, uważają mnie za atrakcyjną. Chciałam wzbudzić w tobie zazdrość, Karl. Wiem, jakie to niedojrzałe, jakie... jakie głupie. Chciałam, żebyś mnie powstrzymał, kiedy z nim flirtowałam, chciałam, żebyś się wkurzył, żebyś był zaborczy, żebyś pomyślał: „To moja dziewczyna i jeżeli nie będę uważać, pójdzie do łóżka z innym”, ale ty tego nie zrobiłeś. Byłeś taki jak zwykle, Karl, spokojny, wyluzowany, niczego nie podejrzewający, tak cholernie zadowolony z siebie! Nie przyszło ci do głowy, co, Karl? Nie powstało ci w głowie, że inny facet mógłby mnie chcieć? Tobie się wydaje, że jestem jakąś wielką, tłustą słoniacą, grubą babą, za którą żaden facet by się nie obejrzał na ulicy... — Wybuchnęła gniewnym płaczem.

— O Boże, Siobhan, rozmawialiśmy o tym przedtem, zanim zeszliśmy na dół. Cholera jasna. Chciałem wtedy z tobą porozmawiać, ale ty byłaś taka wściekła, taka nieprzystępna, że w ogóle nie chciałaś gadać. — Karl czuł, że pod powiekami wzbierają mu łzy. — Chodź do mnie, Shuv. — Poklepał miejsce na łóżku koło siebie. — Proszę. Chcę być blisko ciebie.

Wstała od toaletki i powoli podeszła do łóżka. Usiadła ostrożnie. Też chciała być blisko Karla, lecz nadal buzował w niej tak niekontrolowany gniew i żal, że nie potrafiła całkowicie ustąpić.

— Shuv — zaczął. — Nie będę cię okłamywać. Sporo przytyłaś. Nie wspominałem o tym wcześniej, bo nie wydawało mi się to istotne. Naprawdę — dodał, rejestrując uniesione brwi i sceptycyzm na twarzy Siobhan. Wziął ją za rękę. — Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie powiem „dla mnie”, bo

to nieprawda. Jesteś dla mnie piękna, ale widzę, że również inni ludzie uważają cię za piękną. Widziałem, jak faceci na ciebie patrzą, kiedy idziesz ulicą. Tak, masz nadwagę, ale to bez znaczenia. Patrzę na ciebie — jesteś cudowna, Siobhan — na twoje włosy, te niebieskie oczy, na to, jak się poruszasz, jak rozmawiasz z ludźmi, jak się śmiejesz. A nago jesteś taka zmysłowa, kobieca, zaokrąglona...

Siobhan teraz uśmiechała się przez łzy, w brzuchu poczuła przyjemne ukłucie.

— Nie pragnę cię mniej niż kiedyś, Siobhan, jeżeli już, to więcej. Tamtej nocy, kiedy się to wszystko zaczęło, po imprezie w Sol y Sombra, pragnąłem cię bardziej niż kiedykolwiek, bardziej niż wtedy, gdy się poznaliśmy.

O tak, tamtej nocy. Siobhan musiała poruszyć tę sprawę, dopóki była w stanie rozmawiać szczerze. Wzięła głęboki oddech.

— Karl, jeśli chodzi o tamtą noc. Chciałabym coś wyjaśnić. Zachęcającym gestem ujął ją za rękę.

— Chodzi mi o tamtą dziewczynę, tę Cheri, wiesz, tę z góry — ciągnęła. — Kiedy ją zobaczyłam na twojej imprezie, taką młodą, szczupłą i piękną, a ty byłeś nią tak wyraźnie... tak zachwycony, po prostu poczułam się nie na miejscu i brzydka, a potem, kiedy wiesz, kiedy chciałeś się ze mną kochać, ciągle mi się wydawało, że wyobrażasz sobie ją, że wyobrażasz sobie, że jestem młoda, zgrabna, gładka i... i... i dlatego cię odepchnęłam — po prostu nie mogłam tego znieść. Czułam się tak koszmarnie, jak jakiś potwór, dziwka, czy coś w tym rodzaju, jak wielka, tłusta kurwa. Wydawało mi się, że jesteś taki namiętny, bo ciągle myślisz o niej, a nie o mnie i — o Boże — strasznie to wszystko żalosalne, co?

Karlowi zrobiło się niedobrze. Co on zrobił! To jego należy winić. Po co się zbliżał do tej wstrętnej, ohydnej suki? Przecież ma najcudowniejszą dziewczynę na świecie, która go kocha, ufa mu i której na nim zależy. A jego egoistyczne, żalosalne zachowanie wepchnęło ją w objęcia innego mężczyzny. W pewnym sensie zasłużył sobie na to. Od miesięcy czuł wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił Siobhan. Nadeszła pora zapłaty za zdradę, za kłamstwa.

— Nie... nie — westchnął, przyciągając ją do siebie. — To wcale nie jest żalosalne, wcale nie. To ja jestem żalosalny, Siobhan, nie ty.

— Co masz na myśli? — spytała Siobhan.

— Nic. Nic. Po prostu to ty zawsze byłaś silniejsza. Zawsze. Przez tyle lat polegałem na tobie. To ty podejmowałaś najlepsze decyzje w naszym związku. Gdyby nie ty, nadal byśmy mieszkali w tej norze w Brighton, ja bym nadal usiłował zostać gwiazdą rocka i grał dla bandy nawalonych osiemnastolatków w jakimś śmierdzącym barze po kolana w wódzie i rzygowinach, wma- wiając sobie, że się dobrze bawię, że moje życie jest coś warte. Dorosłem dzięki tobie. Dzięki tobie jestem lepszym człowie- kiem, Siobhan. I słowo daję, naprawdę słowo daję, Siobhan, że kiedy tamtej nocy wróciliśmy do domu, kiedy byliśmy w łóżku, pragnąłem ciebie, to ciebie widziałem, gdy zamknąłem oczy, to ciebie czułem, gdy cię dotykałem palcami, ustami, językiem. Tyl- ko ciebie. Tamta dziewczyna, ta Cheri, oczywiście jest bardzo ładna, ale — o Boże, Siobhan, ja pragnę tylko ciebie, zawsze pragnąłem tylko ciebie, czy wazysz pięćdziesiąt czy sto pięćdzie- siąt kilo... No, może nie sto pięćdziesiąt! — Roześmiał się, a Siobhan żartobliwie dała mu sójkę w bok i pozwoliła, by ją przytulił, kochał i pocieszał.

„No, jeśli chodzi o Cheri, to aż tak bardzo nie skłamałem”, pomyślał z wyrzutami sumienia. Mówił półprawdy, kłamał, by chronić ich związek, ich miłość, wspólną przyszłość. Ale, o Boże, czuł się okropnie, czuł się tak bardzo, bardzo okropnie. Pogłas- kał ją po włosach.

— Jezu, Shuv, masz we włosach pełno śmieci, połamanych gałązek, trawy i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Na pewno tylko się całowaliście?

— No wiesz, całowaliśmy się na leżąco. — Zachichotała ner- wowo. — Karl, wybaczysz mi? Przecież wiesz, że to nic nie znaczyło, prawda? Zachowałam się dziecinnie i wykorzystałam biednego Ricka, żeby się na tobie odegrać...

— Och, z pewnością nie miał nic przeciwko temu. Jaki męż- czyzna by się oparł, ty diabelnie piękna kobieto, ty?!

Przytulili się mocno i rozmawiali jeszcze do późnej nocy o ostatnim roku, o przynębieniu Siobhan i robili plany, dzięki którym Siobhan miała w przyszłości poczuć się szczęśliwa, a ich związek już nigdy nie miał być pełen niewyrażonych myśli. A potem się kochali, po raz pierwszy od prawie dwóch miesięcy. Kiedy Karl zsunął się między jej piersi, Siobhan spojrzała na

burzę jego czarnych, kręconych włosów, potem położyła się i uśmiechnęła.

Wczesnie rano usłyszeli dźwięk silnika peugeot — Rick i Tam-sin najwyraźniej postanowili, że nie zostaną, by zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie — i spędzili błogi dzień i noc sami w zaczarowanej kaplicy, gadając, spacerując, jeżdżąc i kochając się.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła w poniedziałek po powrocie do Londynu, był telefon do ginekologa, by się umówić na rozmowę w sprawie możliwości leczenia bezpłodności. Podczas tamtej nocnej rozmowy w kaplicy wyszło na jaw, że Siobhan od lat wypierała kwestię swojej bezpłodności. Od dawna marzyła o dziecku, robiła plany na całe życie, a kiedy się dowiedziała, że nic z tego, wepchnęła swoje marzenia pod dywan jak zasuszonego, martwego pająka, kupiła Rosanne i postanowiła żyć dalej, nie biorąc nawet pod uwagę walki o to, co zawsze uważała za swoje naturalne prawo. Teraz zrozumiała, że nie było to działanie zdecydowanej, pragmatycznej kobiety, lecz zachowanie kobiety w szoku, kobiety, która nie wiedziała, co jeszcze może zrobić. Tamtej nocy doszli do wniosku, że byłiby świetnymi rodzicami. Tak wielu jest na świecie okropnych rodziców, tak wielu nie zasługuje na swoje dzieci, nie chce ich, krzywdzi, tłamsi, psuje i niszczy swoje potomstwo. Kiedy tak gadali i kapali się w ciepłe swego odrodzonego związku, zrozumieli, że zasługują na dzieci, że są na nie gotowi i pragną ich bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Następną rzeczą, jaką zrobiła Siobhan — przewidując, że taką radę dostanie przed podjęciem leczenia — było zapisanie się do miejscowej grupy Strażników Wagi. Zabawne, ale teraz, gdy wiedziała, że Karl kocha ją niezależnie od jej wyglądu, o wiele łatwiej było jej się zdecydować na zrobienie czegoś ze swoją wagą. Dla samej siebie, nie tylko dla Karla: dla ich przyszłości, dla ich dziecka. I, co bardziej praktyczne, by mogła odwołać z wczesnej emerytury swoje śliczne, stare ciuchy i wyrzucić te wstrętne legginsy. To nuda doprowadzała ją do przejadania się: godziny spędzone w domu z lodówką pełną niezdrowej żywności, samotne jedzenie posiłków, ogromne porcje wielkości stosu pogrzebowego oraz brak ludzi, przed którymi mogłaby się tego wstydzić.

Razem postanowili, że powinna się czymś zająć, żeby nie mieć czasu na jedzenie, więc zamieściła ogłoszenie w magazynie dla

panien młodych, w którym zareklamowała swoje usługi szycia sukien ślubnych. Zaledwie w ciągu tygodnia dostała aż trzy zamówienia. Codziennie dzwonił telefon z pytaniami od przyszłych panien młodych, a Siobhan przerobiła wolny pokój na szwalnię sukien ślubnych.

Odkryli, że spokój, który zawsze stanowił podłoże ich związku, również był jego zgubą. Nigdy nie analizowali niczego dogłębnie, bo uważali, że nie muszą. Siobhan zawsze decydowała, kiedy zrobić kolejny krok, a Karl, uległy i pełen wiary w jej zdolność przewidywania i mądrość, ślepo za nią podążał. Był zbyt ślepy, aby dostrzec, że nadszedł czas, by przejąć kontrolę, stanowczo ująć Siobhan za rękę i poprowadzić ich we wspólną przyszłość.

Trudno było Karlowi pogodzić się z tym, co tamtej nocy nad jeziorem wydarzyło się między Rickiem i Siobhan. Musiał powstrzymać wiele dość nieprzyjemnych odruchów zazdrości, a naprawdę nie lubił tego uczucia — było mu zupełnie obce, wbrew jego naturze. Ale jakoś mu się udało i teraz wzruszały go wyznania z tamtej nocy w kaplicy, poruszało go to, że choć raz to Siobhan potrzebowała jego. Odwołała się do jego męskich cech, dosłownie dostał powołanie — z tym że w potrzebie był nie kraj, lecz jego kochanka, czuł się więc dumny, silny i gotowy zrobić wszystko, co konieczne.

Czuł się też bardzo dorosły i było to wspaniałe. Chciał teraz wydawać więcej pieniędzy na dom, pozbyć się wszystkich studenckich artefaktów i starych gratów, które przywieźli ze sobą z Brighton, zdjąć plakaty ze ścian, kupić parę abażurów na gołe żarówki, jakąś ładną narzutę, może pozbyć się tego paskudnego wyposażenia łazienki z pomarańczowego plastiku i wstawić coś drogiego i włoskiego.

Nie mógł być do końca życia rockandrollowcem. Miał trzydzieści pięć lat: jeżeli urodzi im się dziecko, to koledzy ze szkoły będą się śmiać, że ma ojca, który wygląda jak Bill Haley. Z bólem serca postanowił pójść do fryzjera i poprosić o ścięcie swej ulubionej grzywy i zgolenie baczków. Dobra strona tego jest taka, że rano nie będzie musiał tak długo szykować się przed wyjściem do pracy, a poza tym przestanie używać żelu Black and White, którego Siobhan tak nie cierpi. Może też zbije parę stojaków na swoją wielką kolekcję płyt. Teraz ich salon zagracały

całe metry rzędów schludnie poustawianych płyt niczym jakaś wątpliwa wystawa sztuki współczesnej w Tate Gallery. Stanowiły trofeum, testament jego przeszłości. Teraz nadszedł czas, by je schować, niektóre może nawet sprzedać. Czas ruszyć do przodu.

Karl i Siobhan tak długo byli szczęśliwi, że zapomnieli wcisnąć przycisk „Play” po przygnębiającej „Pauzie” w ich życiu — od lat tkwili w stop-klatce, utrwaleni przez jej perfekcję, przez uśmiechy na twarzach ludzi z ich otoczenia. Trzeba było dopiero tej nocy w Szkocji, by sobie przypomnieli, że istnieją też nowe sceny, innowacje, które należy wprowadzić, i że ważne, najważniejsze na świecie, jest uruchomienie tego filmu — niezależnie od tego, czy zakończy się on szczęśliwie czy nie.

W pracy też szło Karlowi lepiej. Po powrocie do studia w poniedziałkowe popołudnie został wezwany do gabinetu Jeffa, który powitał go uśmiechem. Właśnie dostał ostatnie statystyki i okazało się, że wzrosła liczba słuchaczy programu Karla — zaledwie o parę procent, lecz na tyle, by Jeff postanowił przez parę tygodni niczego nie zmieniać w jego audycji, dać jej szansę na stabilizację i zobaczyć, jak będą wyglądały wyniki sondaży.

— Ale zatrzymaj tę taśmę z Glencoe — powiedział. — Rick mówił, że wpadliście na jakieś niesamowite pomysły, zatrzymaj ją, tak na wszelki wypadek.

Karl miał jednak pewność, że nie będą już potrzebowali tej taśmy. W następnym tygodniu statystyki wykazały dalszą tendencję zwykłą i Karl był przekonany, że ten trend się utrzyma. Nie miał nic przeciwko sporadycznemu puszczeniu kawałków z listy przebojów, by przyciągnąć młodych słuchaczy, jeśli miało to oznaczać, że mógł ich trochę poduczyć, puszczać również klasyczne utwory pop.

Od samego początku Karl zdecydował się na szczerość z Rickiem w sprawie wydarzeń z Glencoe. Lubił go, szanował i chciał podtrzymać tę znajomość.

— Rick — powiedział raz w radiowej kafeterii po poniedziałkowym programie. — Wiem, co się stało w Szkocji. Wiem, co w sobotnią noc zaszło między tobą i Siobhan.

Rick wyraźnie się cofnął na swoim krześle i wbił wzrok w nagle nieapetyczną porcję zapiekanki z brokułów i cheddara.

— Och — wydukał w odpowiedzi głosem o parę oktaw wyższym od swego normalnego basu.

— Słuchaj, Rick, ja nie jestem zazdrośnikiem. Byłem trochę zaszokowany, muszę to przyznać. Ale podobno zachowałeś się bardzo miło wobec Siobhan, dałeś jej parę bardzo mądrych rad i, no, szczerze mówiąc, bardzo nam się one przydały. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że nie gniewam się w związku z tym, co się stało, wiesz, tamtej nocy... — Nie była to prawda. To wcale nie była prawda. Na myśl o tamtym incydencie Karl aż dostawał mdłości, wiedział jednak, że jeśli dopuści do siebie zazdrość, cała sytuacja zakończy się bardzo nieprzyjemnie. Musiał myśleć pozytywnie, to było jedyne wyjście.

Rick w końcu wypuścił powietrze i przestał się kurczyć.

— Wiesz, Karl, to świetna dziewczyna, naprawdę, bardzo...

— powiedział nerwowo.

— Tak, wiem. Wiem. — Karl nie miał ochoty tego słuchać, nie interesowało go zdanie Ricka na temat jego dziewczyny. Zacerpnął powietrza, by nie stracić panowania nad sobą.

— Słuchaj, chciałem tylko powiedzieć, że zasadniczo nie żywię urazy. Szanuję cię i nie chcę, żeby to stało między nami, zwłaszcza że ostatecznie wyszło... wyszło na dobre — dla nas obojga, dla mnie i Siobhan. Potrzebowaliśmy kopa w tyłek, wiesz, trochę zatechliśmy, utknęliśmy w schemacie, przestaliśmy się starać, no i tak... — Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Ricka, który ujął ją niepewnie, lecz z wdzięcznością, i mocno ją uściśnął. — Zapomnijmy o wszystkim, co?

— Dobra — powiedział Rick, wciąż nieco speszony szczerością Karla i swoim udziałem w tej sytuacji.

— To jak ci się układa z Tamsin? Trochę się zdenerwowała tamtej nocy? — spytał Karl, smarując grubo masłem mdłą bułkę i zastanawiając się, ile może powiedzieć Rickowi o jego wyraźnie niezrównoważonej dziewczynie.

— Yyy. — Rick przełknął ślinę. — Odeszła... ona odeszła.

— Mówił szybko tym dziwnym, wysokim głosem.

— O Jezu, stary, strasznie mi przykro. Co się stało?

— No, powiedziałam jej, co się stało.

— Powiedziałeś jej! Dlaczego?

— Właściwie to sama się domyśliła. Następnego dnia rano obudziłem się, a ona siedziała w nogach łóżka i gapiała się na mnie. — Zadrżał. — To było straszne. Trzymała ciuchy, które miałem na sobie poprzedniej nocy, i były trochę... brudne.

Wiesz, plamy od trawy i takie tam. — W tej chwili odwrócił wzrok od Karla. Oddychał głęboko i powoli przez zaciśnięte usta. — Okropnie się wkurwiła, zupełnie oszalała, wiesz? Powiedziała, że jestem pierdolonym synem matkojebcy i francowatej zdziry, coś w tym rodzaju. Dziwne, że nie słyszeliście, jak się darła.

— Jezu — powtórzył Karl.

— Wiesz, byłem z Tamsin przez pół roku, ale nawet nie podejrzewałem, co ją doprowadza do wściekłości. U niej pod powierzchnią wiele się dzieje, wiesz, co mam na myśli? Ta dziewczyna ma mnóstwo sekretów, całą masę.

— Hmmmm — mruknął Karl. To niezaprzeczalna prawda.

— Może i lepiej, że dowiedziałem się o tym wcześniej, nie?

— dodał Rick z nerwowym chichotem.

— Jak się z tym czujesz?

— Przede wszystkim się martwię. Nie wiem, jak ona teraz da sobie radę.

— Słuchaj, gdyby potrzebowała pomocy, skontaktowała by się z tobą. Pewnie zmieni zdanie i będzie próbowała wrócić. Zawsze okazuje się, że ludzie, którzy wydają się słabi, są zdumiewająco silni, a ci silni są nieoczekiwanie słabi. Nic jej nie będzie.

— Tak, mam nadzieję, naprawdę. O, a tak przy okazji...

— Rick zanurkował w swej skórzanej teczce. — Przyniosłem... eee... przyniosłem to. — Podał Karlowi mały srebrny dyktafon, którego używali tamtej nocy w Glencoe. — Jeszcze nie przesłuchiwałem taśmy, zresztą zdaje się, że już nie będzie ci potrzebna, ale i tak weź ją sobie. — I przekazał urządzenie Karlowi, który podziękował kiwnięciem głowy i schował je do tylnej kieszeni.

Wstał, by wyjść, i podali sobie ręce. Na razie operacja oczyszczania atmosfery była zakończona, wszystko, co miało być powiedziane, zostało powiedziane. Karl cieszył się, że to zrobił, że zachował się z takim opanowaniem, tak dojrzałe. Wciąż jednak nie mógł się pozbyć uczucia, że miałby ochotę poprosić Ricka na zewnątrz i złamać mu szcękę.

Ostatnie dwa tygodnie były dla Karla i Siobhan po prostu fantastyczne. Zbliżały się święta. Karl wyszedł z gmachu ALR w Olympii i ruszył Kensington High Street. Było ciemno, ulice

tonęły w fosforyzującej, pomarańczowej poświacie, a pod sklepami wzdłuż jezdni tłoczyli się ludzie robiący przedświąteczne zakupy. Na chodnikach leżała breja powstała ze śniegu, który spadł w porze lunchu i stopniał w jasnym, białym słońcu, które wkrótce potem wyszło zza chmur. Przed Barkers zespół Armii Zbawienia grał kolędy, a przyjemne dźwięki lśniących instrumentów dętych i śpiewających głosów jeszcze poprawiały już i tak świetne samopoczucie Karla. Jakimś cudem znalazł miejsce do parkowania na Derry Street i szybko oraz z takim wdziękiem, jak to tylko było możliwe, przepchnął się przez gęstą ciżbę klientów w stronę sklepu, niezmiernie wdzięczny za cudowny powiew ogrzanego powietrza, które uderzyło w niego przy wejściu. Przemierzył różnym krokiem dział perfumeryjny, unikając ekspedientek o plastikowych twarzach, demonstrujących ogromne flakony perfum o zapachach przyprawiających o ból głowy, i skierował się do cichego sanktuarium działu jubilerskiego. Do niczego, pomyślał, wędrując wzrokiem po rzędach ogromnych kawałów złota, bursztynu i sześciennych cyrkonii, są zbyt teatralne, krzykliwe i niegustowne.

— Przepraszam pana — zagadnął przyjaźnie wyglądającego młodego mężczyznę za ladą. — Przepraszam. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mogę znaleźć prawdziwą biżuterię?

Mężczyzna wskazał Karlowi właściwą gablotę. O tak, pomyślał Karl, te są już lepsze, o to mi chodziło.

— Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Tak, proszę — powiedział z zapalem Karl. — Tak. Czy mógłby mi pan pokazać wybór pierścionków, w granicach...

— szybko obliczył w myślach, na ile go stać — ...w granicach od tysiąca do tysiąca pięciuset funtów. Nie, przepraszam, może od dwóch tysięcy? — Uśmiechnął się szeroko. Warto.

— Oczywiście, proszę pana. A jakiego rodzaju pierścionka pan szuka?

Karl myślał, że to oczywiste — przecież jest tylko jeden rodzaj pierścionka, prawda?

— Poproszę o pierścionek zaręczynowy.

Tak! Ożeni się z nią. Ożeni się ze swoją piękną, piękną Siobhan. Był tak podekscytowany, że ledwo mógł oddychać. Dla czego wcześniej mu to nie przyszło do głowy? Spojrzał w dół na połyskującą gablotę, całe rzędy lśniących, maleńkich, skrzę-

cych się symboli miłości. Och, który wybrać? Który już na całe życie wylądje na rozkosznym paluszku Siobhan? Po raz pierwszy perspektywa bycia z Siobhan do końca życia wydała mu się niezmiernie romantyczna — już nie było to tylko nieuchronne przeznaczenie, niewartykułowana pewność, lecz najcudowniejsza, najbardziej fantastyczna romantyczna wizja, jaką tylko można sobie wyobrazić. Tylko pomyśleć, będą razem już na całą wieczność, dzieci, wnuki, ładny domek w... w... może w Chelsea, błyskotliwe kariery i ich dwoje, zawsze ich dwoje — Karl i Siobhan Kasparov, ta bajecznie dojrzała, szczęśliwa para, wciąż tak w sobie zakochana po pięćdziesięciu, stu, trzystu latach wspólnego życia... aaaaach. Miód na serce, nie?

Musiał wziąć pod uwagę to, co mogłoby się spodobać Siobhan, nie zaś to, co się podobało jemu. On by wybrał jakiś wielki kamień, Siobhan wolałaby coś subtelniejszego, delikatniejszego, może pierścionek z kolorowym oczkiem, może niebieskim — pod kolor jej oczu, albo żółtym — pod kolor włosów. Sprzedawca cierpliwie pokazał mu wszystkie gabloty w dziale, obliczając w myślach prowizję od każdego pierścionka, na który spozjrzał Karl, zachęcając go i dzieląc jego entuzjazm. W końcu Karl zobaczył — ten jeden, jedyny pierścionek, pierścionek, który aż krzyczał: „Siobhan!"; misterna kiść maleńkich perełek, diamentów i szafirów na obrączce z białego złota, kobiecy i niebanalny, w nieco celtyckim stylu i całkowicie bezpretensjonalny — jak sama Siobhan.

Podeksytowany sprzedawca włożył pierścionek do ślicznego pudełeczka z czerwonej skóry, Karl opuścił sklep uboższy o dwa tysiące funtów i czym prędzej udał się do domu. Na kolację zaprosili swoich przyjaciół, Toma i Debbie, nic wymyślnego, zwykle spaghetti, potem może obejrzą film na wideo. Teraz miał nadzieję, że jednak nie będą chcieli zostać na to „ewentualne wideo" i wyjdą tak wcześnie, jak to tylko możliwe, dając mu czas na oświadczyzny, zanim oboje z Siobhan będą zbyt zmęczeni, by to uczcić.

Mało nie pękł, gdy tego wieczora kręcił się w kuchni wokół Siobhan, obserwując ją, a raczej jej przeszkadzając, gdy przygotowywała wieczorny posiłek: siekała wielkie, płaskie grzyby i płaty prażkowanego bekonu na sos carbonara (z niemal beztłuszczową creme fraiche, jak go nie omieszkała poinformować).

— Tom i Debbie trochę się spóźnią — powiedziała. — Dzwonili tuż przed twoim przyjściem.

— O Boże. Ile? — spytał niecierpliwie.

— Nie wiem, chyba z pół godziny.

— O Boże.

— Co się z tobą dzieje? Odkąd to tak ci zależy na czyjejś punktualności? — spytała Siobhan, śmiejąc się z dziwnej irytacji Karla.

— Nic takiego, po prostu chciałbym, żeby ten wieczór już się skończył, i to wszystko. Chcę zostać z tobą sam, a nie mogę się doczekać, bo jestem niecierpliwym skurczybykiem, i już — odparł, łapiąc ją od tyłu i wyciskając na jej karku wampirzy pocałunek.

— Opanuj się, Karlu Kasparov! — zachichotała. — Pół godziny cię nie zbawi!

— A mogłoby, a mogłoby...

Karl dosłownie pękał w szwach. To Jeff, właśnie Jeff natchnął go tym pomysłem. Nie zrobił ani nie powiedział nic szczególnego, tylko przez cały czas wspominał o swojej żonie — Jackie to, Jackie tamto. I o dzieciakach, gadał o nich bez przerwy, mówił o nich „dzieciaki”, chociaż pewnie już były po dwudziestce. „Jackie i dzieciaki”. „Siobhan i dzieciaki”. Wyglądało na to, że Jeff i Jackie to wspaniałe małżeństwo. Przetrawało już ponad trzydzieści lat, a oni nadal nie mogli żyć bez siebie, ściśle spletały się ze sobą niczym nitki w drogim jedwabiu, a nie w takim starym, strzępiącym się, zeszmacowanym płótnie, jakim jest wiele małżeństw. Ich małżeństwo odznaczało się cudowną, pełną godności ostatecznością oraz niezmienną trwałością. Nie utknęli w ślepej uliczce, lecz wciąż podążali do przodu, rozwijali się i zmieniali, szli tą samą ścieżką, w stronę tego samego horyzontu, ręka w rękę. Brzmiało to dość staromodnie, ale właśnie tego Karl pragnął. Pragnął wspaniałego małżeństwa.

W końcu przyjechali Tom i Debbie i cała czwórka spędziła miły wieczór. Nim się obejrżeli, zrobiła się jedenasta, za późno na oglądanie wideo i, jeśli chodzi o Karla, najwyższa pora na pożegnanie się, najwyższa pora na wielką chwilę. Już wystarczająco długo hamował swe podniecenie, wyobrażał sobie wyraz twarzy Siobhan, plany związane z weselem, gośćmi, wyborem kościoła i tekstu przysięgi oraz pogaduchy do późnej nocy. Po-

tem zaś będą się kochać i radować wspólną przyszłością. Przeszłość była ważna, oczywiście, ale teraz nie istniało nic ważniejszego od przyszłości.

W końcu Tom zaczął ziewać, wyglądał tak, jakby już zbierał się do wyjścia.

— Wezwać wam taksówkę? — spytał Karl.

Odprowadzili ich do drzwi, gdy taksówka już przyjechała, przesywając warkotem silnika cichą, grudniową noc. Siobhan też ziewnęła, gdy za gośćmi zamknęły się frontowe drzwi.

— Idę umyć zęby — oznajmiła.

— Nie! Czekaj! — wykrzyknął Karl z uśmiechem tak żywym, że jednocześnie rozciągnął on jego twarz w setkach różnych kierunków naraz. — Poczekaj chwilę. Nie ruszaj się stąd. — Dał jej znak ręką.

— Co ty kombinujesz? — spytała Siobhan. Karl zaraził ją tym zwariowanym uśmiechem.

Wrócił z holu, trzymając ręce z tyłu.

— Siobhan — zaczął — to najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Jest to również najważniejsza rzecz, jaką zrobię kiedykolwiek, i modlę się tylko, żebyś się ze mną zgodziła!

— Zaśmiał się nerwowo, a Siobhan spojrzała na niego z zaciekawieniem, rozbawieniem i niepokojem. — Siobhan McNamara, najpiękniejsza kobieto na świecie... — Wyjął zza pleców czerwone pudełeczko i niezdarnie je otworzył. — Siobhan McNamara, czy zostaniesz moją żoną?

Wydawało mu się, że stoi tak całą wieczność, wyciągając przed siebie rękę z pudełeczkiem i szukając reakcji na twarzy Siobhan.

— O Boże, Karl, ty wariatuńciu! Co ty wyprawiasz? — Ostrożnie wzięła od niego pudełeczko.

Mina mu zrzedła i na jego twarzy pojawił się wyraz paniki.

— Och, tak! — Zarzuciła mu ręce na szyję. — Och, tak!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Smith wyjechał na cały weekend. Pewnie był to pomysł Jamesa, wyjazd mający na celu „wzmocnienie więzi w zespole” — absolutnie niedorzeczny, zważywszy na to, iż członkowie tego małego biura tak bardzo różnili się od siebie, że żadne „wzmocnianie” nie miało szans stworzyć z nich zespołu. Ale Jamesa omamiła czarująca, długonoga przedstawicielka firmy doradczej, która mu wmówiła, że po weekendzie „umotywowanej, pobudzającej dekonstrukcji i rekonstrukcji” jego mała spółka nie tylko przekształci się we wzór stosunków panujących w pracy, ale że również on sam będzie żył dłużej, zainteresują się nim kobiety i nagle mu odrosną dawno utracone włosy.

Tak więc w piątek rano wkurzony Smith spakował małą torbę i razem z Dianą, Jamesem, trójką starzejących się księgowych, dwiema sekretarkami idiotkami i agresywną recepcjonistką wcisnęli się do wynajętego renault espace i potoczyli się szosą A1 do hotelu w Hertfordshire. Jem była szczerze ubawiona całą tą sytuacją, chociaż oczywiście okazała mu współczucie i przed wyjściem przytuliła go mocno. Smith stał z kamienną twarzą, mamrocząc: „Kurwa, w tygodniu jest zaledwie jeden weekend, a ja go muszę spędzać z bandą psycholi”.

Tego wieczora Jem umówiła się ze znajomymi w Falconie na St John's Hill, gdzie mieli obchodzić czyjeś urodziny, a po pracy przysłała do domu, żeby się przebrać.

Ralph był w domu. Nie wychodził na dwór, odkąd przed dwoma tygodniami wrócił ze szpitala. Nadal był trochę obolały, zwłaszcza w okolicach żeber, gdzie kłuło go jak cholera, gdy się śmiał, lekarz jednak był zadowolony z jego postępów — Ralph był młody, silny i stłuczenia dobrze się goiły.

Jem z puszką piwa przysiadła obok na kanapie. Ralph spojrzął na nią z dziwnym uśmiechem błakającym się na ustach.

— Co jest? — spytała.

Ralph dalej się uśmiechał.

— Wiesz co?

— Co?

— Zrobiłem to!

— Co zrobiłeś?

— Jestem grzecznym chłopczykiem. — Uśmiechnął się promiennie. — Porządkuję swoje życie.

— Tak? To znaczy?

— To znaczy, że skończyłem z Claudią — powiedział, zadowolony z siebie.

— Co?! — wrzasnęła. — Co to znaczy „skończyłem z Claudią”?

— A jak ci się wydaje? Skończyłem z Claudią, i już.

— Boże święty. Nie mogę w to uwierzyć! Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Spotkałeś się z Claudią — tą Claudią z długimi u nogami, z Claudią o twarzy anioła, z Claudią, z którą możesz uprawiać seks — spotkałeś się z nią i powiedziałeś: „Przepraszam, ale to już koniec. Myślę, że nie powinniśmy się już spotykać”, ot tak?!

— Tak jest — odparł, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i uśmiechając się z satysfakcją.

— I nie dodałeś: „To już koniec, ale w imię starych, dobrych czasów możemy czasami pójść razem do łóżka”?

Pokręcił głową.

— Nie powiedziałeś: „To już koniec, ale czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym się przespał z twoją najlepszą przyjaciółką”?

Znowu pokręcił głową.

Zarzuciła mu ręce na szyję i szybko go przytuliła.

— Jasna cholera, Ralph, jestem z ciebie taka dumna! Jak ona to przyjęła?

— Och, typowo. „Robisz to tuż przed weselem mojej siostry, jesteś egoistą, i z kim ja teraz pójdę, wszystkie moje siostry będą z chłopakami i mężami, a ja wyjdę na smętną starą pannę... Boże, jak ja cię nienawidzę!” — Zakończył swe przedstawienie pełnym irytacji machnięciem ręki. — A potem się rozplakała. Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem: stara Claudia ryczy. Wiesz, myślę, że trochę udawała, ale chyba rzeczywiście się zdenerwowała.

— I co dalej? — spytała Jem. — Jak zamierzasz kontrolować swój popęd seksualny? Co będziesz robił w piątkowe wieczory? Kto zostanie twoją następną dziewczyną?

— Dlaczego myślisz, że musi być jakaś następna dziewczyna? Nie, chyba przez jakiś czas będę się dobrze prowadził, „znajdę trochę czasu tylko dla siebie”. — Powiedział to obrzydliwym tonem amerykańskiego terapeuty. — Nie byłem sam od... od... od zarania dziejów. Nigdy, przenigdy nie byłem sam, teraz może mi to dobrze zrobić. I sądzę, że przez pewien czas dam radę bez seksu. Jeśli wpadnę w desperację, mam jeszcze swoje źródła, mam swój mały kajecik!

— No cóż — powiedziała Jem, robiąc taki ruch, jakby chciała wstać. — To jakiś początek, doskonały początek. Dobra robota. Teraz tylko musimy znaleźć kogoś, w kim mógłbyś się zakochać...

W tej chwili ogarnął ich jakiś dziwny nastrój i przez sekundę siedzieli jak zawieszeni w powietrzu. Ralph z niejaką satysfakcją odnotował pewne ulotne napięcie. Uświadomił sobie, że Jem sądziła, iż jest smutny, bo chodzi z dziewczyną, na której mu nie zależy i z którą jest tylko dla seksu, zaczął więc wdrażać nowy plan: operacja Dojrzałość i Otwartość. Jego decyzja, by porzucić Claudię, nie była całkowicie racjonalna i przemyślana. Ostatnio było mu ciężko, gdy spędzał czas z Claudią, marząc, by bardziej przypominała Jem. Wszystko, co robiła i mówiła, irytowało go swą przesadną dziewczynością i irracjonalną kobiecą „logiką”.

Głównie jednak zakończył ten związek dlatego, że Jem tego chciała, dlatego, że Jem miałyby o nim wyższe mniemanie i — ponad wszystko — dlatego, że pragnął jej szacunku. Od wypadku dużo rozmyślał i zrozumiał, że nie ma sensu wdychać do Jem, usiłować zrobić na niej wrażenie właściwie dobranymi kwiatami czy nową odmianą vindaloo. Jem miała dwadzieścia siedem lat, osiągnęła wiek, w którym kobieta, świadomie lub nie, zaczyna szukać u mężczyzny zupełnie innych cech, wiek, w którym sama charyzma nie wystarczy, by dobić targu, gdy solidne konto w banku, pewna przyszłość i praktyczna natura stają się równie atrakcyjne co modna fryzura, odlotowe poczucie humoru i romantyczny urok przegranego artysty.

Był to kolejny powód, dla którego wybrała Smitha, i Ralph naprawdę jej za to nie winił, zawsze go pociągała myśl o tym,

by zostać utrzymaniem jakiejś bogatej kobiety, więc rozumiał, że Jem mogła ulec czarowi mężczyzny, który był w stanie spłacać hipotekę, podczas jej urlopu macierzyńskiego kupować ciuchy w Baby Gap, mężczyzny, którego można sobie doskonale wyobrazić na szkolnej wywiadówce, mężczyzny, który bez kwękania zbije parę półek na książki, mężczyzny, który należy do Stowarzyszenia Wędkarzy Amatorów. Tak więc nie ma sensu pogrążyć się w goryczy i żalu z powodu Smitha i jego nieprzyzwoitego fartu. Ralph musi po prostu podnieść poprzeczkę rywalizacji. Z pewnością każda dziewczyna wolałaby bajecznie wziętego artystę niż bajecznie wziętego bankiera.

Pozostawał w kontakcie ze swym „mentorem”, Philippe'em, który mile się zdziwił, gdy Ralph po tylu miesiącach nieoczekiwanie się do niego odezwał. Dyskutowali na temat przyszłości, rynku, gwiazd robiących karierę, jego obrazach sprzed lat, stanu jego umysłu, i Ralph wyszedł z przyjemnym uczuciem, że jest człowiekiem potrzebnym i wartościowym, i aż go świerbiło, by już zdjąć gips z nadgarstka i móc wrócić do malowania. Podjął jeszcze jedną, mniej obfitującą w wydarzenia, podróż do swojej pracowni i przez jakiś czas się tam pokręcił: usunął pajęczyny i odchody szczurów, wyrzucił wyłysiałe pędzle i wyschnięte tubki z farbami, na nowo zaczął się zżywać z tą starą norą, gdzie hulały przeciągi.

Doszedł do wniosku, że lepiej się nie narzucać i w ciągu tych dwóch tygodni po wypadku zaczął się nieco oddalać od Jem, spędzał więcej czasu ze swoimi znajomymi, nawet kiedy wiedział, że Jem zostanie sama w swoim pokoju, rozmyślnie zaniebdywał sadzonki chilli i zarzucił nieustanne kupowanie kwiatów oraz obsypywanie jej komplementami. Z satysfakcją odnotował, że im bardziej on się oddalał, tym bardziej ona się zbliżała do niego. Częściowo wynikało to z poczucia winy, dobrze o tym wiedział. Ale brakowało jej też porozumienia, jakie między nimi powstało, to oczywiste — rozmawiała z nim o sadzonkach chilli, przedstawiała mu sprawozdania z ich rozwoju, jak smutna matka wiecznie nieobecnemu ojcu, któremu trzeba przypominać o dzieciach. Przejęła zadanie kupowania kwiatów i zносиła do domu rzadkie gatunki chilli, które wynajdywała na bazarach i w azjatyckich supermarketach.

Gdy już Ralph ustalił, że Jem na nim zależy, naprawdę zależy, nadszedł czas na krok drugi w operacji Dojrzałość i Otwartość:

skończyć z Claudią. A teraz jeszcze pojawiła się ta świetna okazja: Smith wyjechał na weekend, na całe dwa dni. Nie wiedział, co się w tym czasie wydarzy, był jednak pewien, że coś się wydarzy. Z całą pewnością. Czuł to przez skórę.

Jem też czuła coś przez skórę. Od dnia wypadku nie miała ani chwili spokoju. Przez ostatnie dwa tygodnie zmagala się z uczuciami, jakich nie doświadczyła nigdy przedtem. Zawsze zakochiwała się bardzo rozsądnie, była seryjną monogamistką — jak w tamtych czasach nazywano podobnych jej ludzi — dwa lata tu, rok tam, sami mili chłopcy i spokojne rozstania.

Pomimo faktu, że z takiego czy innego powodu zazwyczaj to ona łamała mężczyznom serce, nie działo się tak dlatego, że była okrutna czy zła lub że miała coś przeciwko mężczyznom. Nie chciała ich ranić, czasami po prostu musiała. Nigdy żadnego nie zdradziła i, o ile wiedziała, żaden nie zdradził jej. Nigdy nie była w „złym” związku, związki te nie wychodziły po prostu dlatego, że jej partnerzy chcieli więcej, niż mogła im dać. Nie należała do tych dziewczyn, które zawsze pociągali nieodpowiedni mężczyźni, które cierpiały z powodu nieodwzajemnionej miłości, nie potrafiły się zaangażować lub „kochały za bardzo”. Nigdy nie przeżyła namiętnego romansu, nie zżerało jej pożądanie. Nigdy nie doświadczyła nieodpartej żądz. Kochała albo przynajmniej lubiła każdego chłopaka, z którym chodziła, a oni odwzajemniali jej miłość. Wszystkie jej związki były dla niej ważną lekcją, sposobem na spędzenie czasu, dopóki nie pojawi się ten jeden jedyny. A teraz, kiedy wreszcie wydawało jej się, że ta chwila nadeszła, kiedy była szczęśliwa i widziała przed sobą wspólną przyszłość ze Smithem, nagle zaczął ją szalenie pociągać inny mężczyzna. Ralph. Kompletna bzdura. To do niej zupełnie niepodobne.

Jem nie była głupia, czytała w ludziach jak w książce, zawsze to potrafiła, i było dla niej oczywiste, że i ona pociąga Ralpha. Wzruszało ją, jak się cieszył, gdy mu gratulowała doboru kwiatów, które kupował co tydzień, wzruszały ją jego miłe uwagi na temat jej ubrań oraz to, że lubił z nią siedzieć w domu, kiedy Smith wychodził, i gadać o sprawach, które teraz były „ich” sprawami — na przykład o chilli, muzyce i przepisach kulinarnych. Początkowo ignorowała te sygnały, składała je na karb własnej próżności. Dlaczego Ralph, ze swym upodobaniem

do strzelistych blondynek z klasy wyższej, miałby się nią zainteresować? Na pewno to sobie wmówiła, schlebiała sobie. Ale potem przyszedł ten szczególny poranek, dzień, w którym wydarzył się wypadek, a ona w skandaliczny sposób złamała swe zasady. Wiedziała, że podnieciła go jej przykrótka koszulka, i pamiętała, że nie ma na sobie majtek. Gdzieś w głębi ducha wiedziała, że Ralph celowo prosi ją o sięganie po przedmioty z górnej półki, żeby zobaczyć jej pupę. Chętnie spełniała jego prośby, podniecona jego podnieceniem.

Oczywiście wtedy nie uświadamiała sobie tego w pełni. Ludzie nigdy sobie nie uświadamiają takich rzeczy. Jem uważała, że bardzo niewiele osób, robiąc coś złego, robi to z takim wyrachowaniem, o jakie ich posądzają inni. Rzeczy po prostu dzieją się same i dopiero potem można spojrzeć wstecz i dostrzec chwile', w których pozwoliła sobie stracić kontrolę, podjęła niewłaściwą decyzję, źle się zachować. Zainteresowanie, jakim ją obdarzał Ralph, było przyjemne, a tego nie mogła ignorować. Przedtem wstydziała się, gdy na myśl o spędzeniu weekendu sam na sam z nim czuła dreszczyk podniecenia. Ale nic, absolutnie nic nie stanie się w ten weekend. Nic. Nie ma mowy. Nigdy w życiu.

Jego dzisiejsze obwieszczenie w związku z Claudią rozpełtało całą gamę niemiłych emocji. Był wolny, był osiągalny. Jem nie miała pojęcia, dlaczego uznała to za coś ważnego, ale w chwili, gdy jej o tym powiedział, coś w jej brzuchu wykonało fikolka do tyłu i potrójną pętlę. Ucieszyła się, bo przez te dwa i pół miesiąca, odkąd mieszkała na Almanac Road, bardzo polubiła Ralpha i chciała, by był szczęśliwy, a nie pod pantoflem u wiecz- nie niezadowolonej, sztywnej jędzy. Ucieszyła się, że wreszcie zaczął brać życie we własne ręce. Ale ucieszyła się również dlatego, że jest wolny, że już nikogo nie ma. I wtedy napomknęła, że powinien sobie znaleźć dziewczynę, w której mógłby się zakochać, i ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie, przez sekundę czuła się niezadarna i podenerwowana. Po prostu głupia. W końcu nie zakochała się w nim, tylko marzyła na jawie. Kochała Smitha i koniec. Ralph jej schlebiał, lubiła go, zależało jej na nim. Ale nie była w nim zakochana. On zaś nie był zakochany w niej.

— Co robisz dzisiaj wieczorem? — spytała go raptownie, by rozwiać ten szczególny nastrój, jaki ją ogarnął. — Twoja pierwsza noc na wolności — dodała, wreszcie wstając.

— Nic szczególnego — odparł. — Zamierzałem zostać w domu i zrobić parę szkiców, skoro nadgarstek już mnie tak nie boli.

Jem spojrzała na jego zabandażowany nadgarstek i zaczęła się śmiać.

— Co cię tak rozśmieszyło?! — spytał Ralph, również się śmiejąc.

— Po prostu coś mi się skojarzyło.

— Co? — Ralph uśmiechnął się szeroko.

— Pomyślałam sobie, że wybrałeś nieodpowiednią porę na zerwanie z Claudią! Żadnego seksu i trzepania konia! Będziesz strasznie sfrustrowany!

Ralph popatrzył na swoją unieruchomioną prawą dłoń i na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

— Cholera — wymamrotał. — Nie pomyślałem o tym, Ale to mi dobrze robi, prawda? — dodał, rozpromieniając się. — Odrobina abstynencji, zaoszczędzę trochę nasienia. To się przyda mojemu umysłowi i ciału. Ale i tak... cholera...

Jem dalej się śmiała z miny Ralpa.

— Zdaje się, że została ci już tylko rura od odkurzacza — zapiała, klepiąc się dłońmi po udach.

Ralph zamrugał.

— Chodź z nami, Ralph, wybieramy się do Falcona. Przestanieś myśleć o swoim pechu!

— Kto to jest „my”?

— Och, paru znajomych. Są urodziny Becky, pewnie zejdzie się sporo osób.

Ralph szybko rozważył wszystkie za i przeciw: samotny wieczór kontra wieczór poza domem, ale z Jem.

— OK. To o której mamy tam być?

Ralph zrobił na drogę skręta z trawki, którą niedawno kupił od swojego znajomego.

— Nie wiem, jaka jest — powiedział, wydłubując ją czubkami palców z torebki — ale była cholernie droga i fantastycznie pachnie.

— Wygląda na skuna*⁹ — zauważyła Jem. — Nie szalej.

⁹ * *Skun* — chemiczne wzmocniony haszysz.

— Nie, nie — powiedział Ralph ze złym uśmieszkiem i usypał trawkę na bibułce z hojnością człowieka, który ma nowiuteńką torbę zióła.

Wzięli skręta i puszkę piwa, opatulili się w ogromną liczbę ciuchów i wyszli na mróz na St John's Road, paląc po drodze. W połowie drogi oboje nagle sobie uświadomili, że są kompletnie naćpani.

— Cholera — powiedziała Jem. — Jestem kompletnie upalona.

— Ja też — przytaknął Ralph. — Zupełnie odleciałem.

— Mówiłam, żebyś nie szalał!

St John's Road była pusta i barwnie udekorowana: w sklepach lśniły bajkowe lampki i reklamy, co jakiś czas mijaly ich grupki zataczających się, pijanych kolędników. Był ostatni weekend przed Bożym Narodzeniem.

Podeszli do świateł, śmiejąc się ze swojej przygody. Szybko dokończyli piwo i znaleźli kosz, żeby wyrzucić pustą puszkę. Na St John's Hill było więcej ludzi, zmarznięci pasażerowie wciąż wylewali się ze stacji na Clapham Junction, ściskając pudełka z kasetami wideo i mając nadzieję, że zdążą przed zamknięciem do Marks&Spencer. Ralph i Jem przecięli ulicę, otworzyli drzwi do Falcona, gdzie w wejściu powitała ich fala ciepłego powietrza, muzyki Oasis i głośnych męskich rozmów przerywanych kobiecym śmiechem. Ogromny pub w kształcie litery U, pełen wiktoriańskich sprzętów i urządzeń, aż pękał w szwach, więc musieli się przepychać do baru.

— Ja zamówię — powiedziała Jem. — Co chcesz?

Stała na listwie do opierania stóp, by zyskać parę centymetrów — lata doświadczenia nauczyły ją, że to jedyna szansa na bycie obsłużoną w zatłoczonym barze obstawionym przez rosnących mężczyzn — i uśmiechnęła się do barmanki, która realizowała czyjeś zamówienie. Barmanki zawsze najpierw obsługiwały dziewczyny.

— Poproszę dwa razy Lowenbrau! — krzyknęła Jem, kiedy przyszła jej kolej.

Wzięli piwa i Ralph podążył za Jem, która zaczęła manewrować swą drobnutką figurką między grupkami urzędników w garniturach i koszulach, kręgami przyjaciół w swetrach i dżinsach. Szukała wzrokiem znajomych twarzy.

W końcu w jej oku pojawił się błysk rozpoznania, uniosła dłoń, nastąpiła oficjalna prezentacja, Ralph ujrzał morze obcych

twarży, usłyszał salwę imion, które od razu zapomniał, odbijające się echem pytanie: „Gdzie Smith?”, pojawiły się zaintrygowane spojrzenia, przyjazne uściski dłoni i grupka stopniowo zaczęła wracać do rozmów, które na chwilę przerwało ich przybycie.

— Jem mówiła, że jesteś malarzem.

O Boże. Ralph odwrócił się do jakiegoś architekta, który w ten straszliwy sposób zagaił rozmowę, szczupłego, młodego mężczyzny o niesymetrycznej twarzy, w podkoszulku z „Wściekłymi psami”, pijącego jakieś mętne piwo, które wyglądało tak, jakby zawierało żabi skrzek.

— Yyy, no... ostatnio miałem przerwę, ale próbuję. — Zmusił się do chichotu, spojrzał w swoją szklanę i upił potężny łyk piwa.

— Właściwie to i ja jestem artystą... tak jakby — odparł Wściekle Psy, niezrażony brakiem zainteresowania Ralpa.

— Jestem grafikiem komputerowym. Jem mówiła, że ty też trochę się bawisz starym Makiem. — Mówiąc to, szczyrzył zęby i aż skręcał się z podniecenia. Ralph wiedział, co teraz nastąpi:

— Wiesz, uważam, że Maki wreszcie wychodzą na swoje...

I ruszyła lawina. Ralph wymiękł. Uwielbiał komputery, ale nie cierpiał o nich gadać. Poza tym był upalony. Okropnie upalony. Mógł tylko słuchać tego, co mówił Wściekle Psy, bo wszystko, co mu przychodziło do głowy, zabrzmiałoby, jakby właśnie wyskoczył z wehikułu czasu, który wrócił z roku 3000 p.n.e. Było głośno, muzyka ryczała, więc cały czas musiał prosić Wściekle Psy o powtórzenie, a potem się zastanawiał, po co w ogóle to robi. Nie potrafił nawiązać kontaktu wzrokowego. Co jakiś czas zerkał w stronę Jem, która też spoglądała na niego, odrywając się od rozmowy, którą prowadziła z jakąś nieatrakcyjną dziewczyną z obfitym biustem, i widział, że i ona się nieźle męczy. Uśmiechał się, chichotał, jeżeli taką reakcję sugerował ton głosu Wściekłych Psów, potakiwał, przecząco kręcił głową, ciągle powtarzał: „Tak, wiem”. Ale nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi ten człowiek, i w ogóle go to nie obchodziło. Musiał się stąd wyrwać, to był jakiś koszmar. Dokończył piwo. Pił je zaledwie dziesięć minut.

— Przynieść ci drinka? — spytał, wolną ręką wskazując na pustą szklanę, na wypadek gdyby jego głos utonął w hałasie.

— Tak, dzięki. Poproszę Parson's Codpiece.

Ralph z wdzięcznością ruszył do baru. Fatalny pomysł. Po co on wypalił tego skręta? Dostawał paranoi, był cały rozedrgany, wrak człowieka. Rozwibrowany pub tętnił kolorami, ruchem i głosami. Ralph miał wrażenie, że siedzi na wirującej karuzeli i wszyscy, ale to wszyscy, gapią się na niego. Chciał do domu.

— Jak sobie radzisz?

Odwrócił się. Och, dzięki Bogu. To była Jem.

— Jestem kompletnie rozpieprzony, już nie daję rady. Co to za facet? Strasznie pokrecony.

— Co, Gordy?! Wcale nie jest pokrecony, jest super, po prostu się upaliłeś.

— A jak u ciebie?

— Och, ja też jestem rozpieprzona. Usiłowałam rozmawiać z Becky, ale nie mam pojęcia, o czym ona mówi, i nie mogę przestać się gapić na jej cycki.

— Nic dziwnego, to już lepsze niż patrzeć na jej twarz! Jem z udawanym oburzeniem kuksnęła go pod żebro, po czym się roześmiała.

— Słuchaj, Jem, miałybyś coś przeciwko temu, gdybym wyszedł po tym piwie? Dla mnie to nie najlepszy wieczór na poznanie nowych ludzi.

— To nie najlepszy wieczór nawet na przebywanie w kręgu najbliższych przyjaciół. Pójdę z tobą.

Wrócili z piwami do swojego towarzystwa. Gordy klepnął Ralpha w ramię: „Dzięki, stary, to miło z twojej strony”. Rozpoczęli dziwną, chaotyczną rozmowę z ludźmi o nadmiernie ekspresyjnych twarzach i grzmiących głosach, starając się nadażyć, co chwila tracąc wątek i zamartwiając się, że ich puste twarze bez wyrazu aż krzyczą: JESTEM KOMPLETNIE UPALONY! Dokończyli piwo, przeprosili i zaczęli się przepychać przez tłum do wyjścia. „Mega mega white thing”^{*10}, chmury dymu, twarze, plecy, głosy krzyczące: „Przepraszam, przepraszam bardzo”, „Piwo piwo piwo”, aż wreszcie dotarli do drzwi, otworzyli je i, zostawiając za sobą parę ostatnich taktów piosenki zespołu Underworld, wypłynęli w chłodną, cudną, pustą ciszę.

¹⁰ * „Mega mega white thing” — fragment utworu zespołu Underworld, psychodelicznej piosenki z filmu *Trainspotting*.

— Aaaaaaaa! — wykrzyknęli unisono.

— Koszmar — powiedział Ralph.

— Cholera — powiedziała Jem, poprawiając futrzaną etolę i nakładając rękawiczki. — OK, teraz chcę się znaleźć w jakimś bardzo cichym i bardzo spokojnym miejscu, gdzie nie będę musiała gadać z nikim, kogo nie znam.

— Pójdziemy do domu? — spytał Ralph, wypuszczając w dłonie kłęby parującego oddechu.

— Nie, wykorzystajmy okazję. Chodźmy do miasta i zaszaļemy. Udawajmy niemieckich turystów i chodźmy gdzieś, gdzie normalnie nasza noga by nie powstała. Patrz! Dziewiętnastka! To znak! Szybko! — Złapała go za rękę i pobiegli na przystanek autobusowy na Falcon Road. Wskoczyli do autobusu, gdy ten zaczynał odjeżdżać.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zaczęli na Piccadilly Circus i po raz pierwszy w życiu usiedli z turystami pod Erosem. Duet afrykańskich bębniarzy dostarczał im lekko nierytmicznej ścieżki dźwiękowej, gdy tak siedzieli i obser-

wowali światła Piccadilly z, jak się oboje zgodzili, o wiele lepszego punktu obserwacyjnego niż ulice, którymi do tej pory chodzili. Łazili z otwartymi ustami wokół Trocadero, mrugając w jaskrawym oświetleniu i oglądając wystawy rozmaitych sklepików. Poszli do Emaginata*¹¹ i darli się jak opętani, pędząc milion mil na godzinę w otchłań bez dna i ślepe zaułki. Pospacerowali Gerrard Street, ulicą, którą Jem przemierzała każdego dnia swego życia, a która w jej obecnym stanie umysłu nabrała charakteru planu filmowego pełnego dziwnych i cudownych statystów. Londyn żył, pachniał Gwiazdką. Wszędzie, dokąd poszli, przepełniał ich zachwyty. Co za fascynujące miasto, jaki ciekawy sklep, spójrz na tego człowieka, patrz, jaka restauracja, te kluski muszą być pyszne. Świat był pełen barw, ruchu, dźwięków, muzyki i niezwykłych ludzi.

Weszli do chińskiego supermarketu i całą wieczność wędrowali między półkami, ochając i achając nad paczkami różnych rodzajów Bóg Wie Czego. Spotkali zaprzyjaźnionego rzeźnika Jem z Manchesteru.

— Cześć, Jem — powiedział.

— O, cześć, Pete! — odparła. — Czy nigdy nie masz wolnego dnia?

— Nie, uwielbiam tę robotę. Nigdy nie mam dość babrania się w surowym mięsie i podrobach.

Właśnie kończył pracę, zaraz zamykali, a mieszkał dosłownie parę kroków dalej. Zaprosił ich do siebie na piwo i dymka. Ten wieczór robił się coraz dziwniejszy.

¹¹ * Emaginator — kino interaktywne, wirtualna przejażdżka na roller-coasterze.

Mieszkał nad Bankiem Hongkongu. Mieszkanie to należało do jego szefa, kierownika supermarketu i pewnie większej części Chinatown. Pete nie dał się wciągnąć w rozmowę o Triadzie*¹², ale Jem i Ralph sami doszli do właściwych wniosków. Mieszkanie nie należało do najbardziej eleganckich, schody pokrywała błyszcząca emalia koloru wielbłądziej wełny i farbowane szmaciane dywany z wyświeconymi śladami butów, a umeblowanie w wysokim salonie było wyraźnie drogie, lecz skąpe i niegustowne.

Podążyli za Pete'em przestronnym holem wyłożonym beżową tapetą w bambusy i oświetlonym brudnymi kinkietami ze sztucznymi świecami. Otworzył białe drzwi ze sklejkki na końcu korytarza.

— Oto mój buduar — oznajmił z dumą.

Ralph i Jem wybuchnęli głośnym śmiechem. Pokój był ogromny, jaskrawe światło z Gerrard Street wpadało przez trzy wielkie okna, a zmieniające się kolory odbijały się od wyłożonych lustrami ścian i sufitu. Najbardziej jednak rozśmieszyło ich łóżko. Miało przynajmniej dwa i pół na dwa i pół metra i zwieńczone było olbrzymim, wygiętym w łuk wezglowiem, które dzięki błyskającym białym lampkom i ogromnej liczbie rozmaitych gałek i przełączników przypominało pulpity sterownicze statku kosmicznego Enterprise z filmu *Star Trek*.

— Cholera — powiedział Ralph. — Masz prawo jazdy na ten pojazd?

— Odlot, nie? — Roześmiał się Pete. — Macie ochotę na przejażdżkę?

Ralph i Jem popatrzyli po sobie. Nagle przyszło im do głowy, że w piątkową noc znaleźli się w mieszkaniu obcego rzeźnika, który właśnie się rozbiera i zaprasza ich do swego potencjalnie zбочzonego łóżka.

Pete wyczuł ich niepokój.

— Nie należy do mnie — uśmiechnął się — tylko do mojego szefa. To jest taki Pałac Miłości, tutaj przyprowadza swoje dziewczynki. No, chodźcie, jestem absolutnie zdrowy na umyśle. Słowo daję. To tylko dla jaj.

Skoczył na łóżko, które zafalowało jak brzuch jakiejś grubaski.

¹² * *Triada* — zorganizowana chińska grupa przestępcza.

— To łóżko wodne! — wrzasnęła z zachwytem Jem. — Zawsze chciałam poleżeć na łóżku wodnym!

— No to właśnie masz szansę. Zdejmuj buty.

Zrzuciła buty, dołączyła do niego i zaczęła lekko podskakiwać.

— Chodź, Ralph! — zawołała. — To jest strasznie fajne! No, chodź.

Ralph nadal nie był przekonany. Czul się mniej upalony niż przedtem, ale wciąż był nieco podenerwowany, na skraju hysterii. Może w tych wyłożonych lustrami szafach kryje się banda psychotycznych fetyszystów. Może ten cały Pete regularnie przyprowadza do tego chorego mieszkania łatwowiernych nieznajomych, żeby razem z kumplami móc się zabawić ich kosztem. Może to Triada. Może w ten sposób płaci szefowi za wynajmowanie mieszkania. Przebiegał wzrokiem pokój w poszukiwaniu kamer wideo, łańcuchów, sznurów, kajdanek, narzędzi tortur, ale widział tylko tysiące odbić dziwacznej mozaiki, którą tworzył on sam, Jem oraz rzeźnik, i kalejdoskop kolorowych świateł. Miał okropny odlot.

— Yyy, nie, dzięki — wymamrotał, wsuwając ręce do kieszeni płaszcza i nerwowo przestępując z nogi na nogę.

— Jak tam sobie chcesz — powiedział rzeźnik.

— Do czego służą te guziki? — spytała Jem.

Uśmiechnął się i wcisnął jedną z gałek.

Łóżko zaczęło wibrować. Wcisnął drugą. Łóżko zafalowało jak brzuch tancerki. Pstryknął włącznik i zamigwały lampki, a łóżko zaczęło grać jakąś melodię. Z wbudowanej w wezgielnie konsoli wyskoczył stolik ze złotym pojemniczkiem pełnym papierosów, zapalniczką i popielniczką. Otworzyła się klapka, ukazując półeczkę z miniaturowymi buteleczkami ginu i dwiema szklankami.

— Ale to jest najlepsze — powiedział Pete, coś gmerając przy joysticku.

Z cichym hydraulicznym sykiem łóżko uniosło się parę centymetrów i powoli odwróciło o 180 stopni, aż stanęło tyłem do przodu.

— Ojej! — roześmiała się Jem.

— Super, nie? — powiedział Pete. — A oto mój sekretny schowek. — Uniosła się kolejna klapka, odsłaniając małe drewniane pudeleczko. Pete wyjął je, otworzył i podał Jem. Było peł-

ne bibulek do skrętów, tekturek i wielkiej bryły czegoś czar-
nego. — Poczęstujcie się. Ja się szybko umyję i ogolę...
później wychodzę. Rozgoście się na łóżku, wracam za se-
kundkę.

Zamknął za sobą drzwi, a Jem zerknęła przez ramię na Ralpa,
który nadal tkwił w tym samym miejscu.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— Nie, właściwie to okropnie się boję. Co my tu robimy?
Tu jest naprawdę niebezpiecznie, przecież my go w ogóle nie
znamy. Tu się może ktoś ukrywać. — Zaczął chodzić po pokoju
i otwierać oraz zamykać lustrzane drzwi.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz, Ralph? — spytała Jem, wsta-
jąc z łóżka i idąc w jego stronę.

— Tylko sprawdzam — odparł, nieco zawstydzony swoim pa-
ranoicznym zachowaniem.

Jem skrzyżowała ręce i popatrzyła na niego, uśmiechając się
czule.

— Co? — spytał naburmuszony. — Z czego się śmiejesz?

— Z ciebie.

— Dlaczego?

— Bo jesteś taki słodki.

— Och, przestań. — Ale w kącikach jego ust pojawił się nie-
znaczny uśmieszek.

— Chodź tu — wyciągnęła ręce, wciąż się uśmiechając.

Żołądek Ralphowi podskoczył do góry. Ona chce go przytulić!

Nieśmiało podszedł do niej, już z prawie pełnym uśmiechem.
Boso była taka malutka. Miała rozpuszczone włosy. W tle cicho
leciała piosenka *Creep* Radiohead. Lampki na wezglówiu łóżka
migaly do rytmu. Pokój był ciemny, lecz żywy od światła i barw.
Wydawało mu się, że buduar wiruje wokół nich. Nigdy w życiu
nie zapomni tej chwili.

Otoczył szyć Jem ramionami. Chciał coś powiedzieć, ale
w ogóle mu się nie chciało otwierać ust. Ona objęła go w pasie.
Mocno przytulili się do siebie. Jem stanęła na palcach i przycis-
nęła twarz do jego piersi. Jeszcze nigdy w życiu przytulenie
kogoś nie sprawiło mu takiej radości. Chwila ta była magiczna,
zaczarowana. Jem pachniała szczęściem. Gdyby tylko... gdyby tyl-
ko była wolna, gdyby mogła podnieść głowę i podać mu swe
dojrzałe, czerwone, słodkie usta...

— Ralph...

— Hm?

— Pamiętasz tamten dzień, kiedy miałeś wypadek?

— Yhm.

— Kiedy byliśmy w kuchni, a ja ci chciałam coś powiedzieć?

Odsunęli się od siebie i wzięli się za ręce.

— Tak. — Wreszcie. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim Jem sobie przypomni o tej niedokończonej sprawie.

— Chciałam tylko powiedzieć...

— Tak?

— Chciałam tylko powiedzieć, że uważam, iż jesteś niezwykle ciekawym człowiekiem...

Tak cholernie niezwykle.

— ...i że bardzo, bardzo się cieszę, że cię poznałam i że... że... no, dziewczyna, w której się zakochasz, będzie miała wielkie szczęście. Naprawdę lubię twoje towarzystwo i jesteś mi bardzo, bardzo bliski. Mam nadzieję, że czujesz to samo.

Ralph uśmiechnął się i ucisnął dłonie Jem.

— O Boże, tak, naprawdę. Bardzo, bardzo. Ja... ja... ja... — Czy to odpowiednia chwila? Czy to odpowiedni moment, by postawić sprawę jasno, by powiedzieć Jem, że jest w niej beznadziejnie zakochany? — Ja... ja...

— Co? — popędzała go Jem. — Wyrzuć to z siebie! Wypuścił powietrze.

— Nic... nic. Ja też się bardzo cieszę, że cię poznałem, to wszystko. Też uważam, że jesteś wyjątkowo niezwykle. Smith ma wielkie szczęście. — Zaśmiał się nerwowo. Nie, to nieodpowiednia chwila. Jeszcze nie teraz.

Jem pocałowała go w policzek i znowu wskoczyła na łóżko.

— No, Ralph! — Wyszczrzyła zęby. — Wyluzuj się. To jedno z tych wspaniałych, surrealistycznych doświadczeń w życiu, nie przegap go!

Uśmiechnął się, wreszcie poddając się duchowi tej nocy, rozwiązał buty i przyłączył się do Jem.

— Ale to będzie twoja wina, jeżeli zgwałci nas jakaś banda albo Triada posieka nas na kawałki maczetami i sztucznymi penisami z nierdzewnej stali.

Jem zrobiła skręta i usiedli na lekko falującym łóżku, patrząc z okna na Chinatown. Czuli się jak na pokładzie wielkiego, bia-

łego jachtu dryfującego na samym środku Soho. Do pokoju wrócił Pete z naręczem puszek z piwem. Podali mu skręta.

— Co za miejsce — powiedziała Jem, otwierając puszkę.

— Będzie co opowiadać wnukom.

— Niewątpliwie — odparł, zaciągając się. — Ale ma też swoje wady. Muszę stąd spadać w ciągu paru sekund, jeżeli szef chce sobie przyprowadzić dziwkę. A potem mam zmieniać prześcieradła. A gdybym chciał rzucić robotę, to po mieszkaniu. Ale masz rację, to niesamowite doświadczenie. — Podeszedł do jednej z szaf, pogrzebał w niej przez chwilę i wrócił z paroma wieszakami.

Patrzyli, jak nakłada fioletowe spodnie z żakardu, jedwabną koszulę w lilie z monstrualnym kołnierzem i olbrzymimi, łopoczącymi, podwójnymi mankietami, płaski, pomarańczowy satynowy krawat i czarny surdut z absurdalnymi klapami.

— No — powiedział, obracając się przed nimi. — I jak? Odlot, nie?

— Nie do wiary — powiedziała Jem, oszołomiona tą transformacją. Wyglądał zachwycająco. Jak gwiazda muzyki pop.

— Wyglądasz zachwycająco — dodała. — Jak gwiazda muzyki pop.

— Dziękuję — odparł, uśmiechając się radośnie. Najwyraźniej reakcja Jem była odpowiednia. — Wiecie, to ciuchy z lumpeksu. Kupuję je na straganie na bazarze w Greenwich — powiedział, wpinając w mankiety ogromne spinki nabijane diamentami.

— No jak, macie ochotę na imprezę? Nie wybieram się na koniec świata, to tuż za rogiem — dodał, dostrzegając ich puste spojrzenie. — To naprawdę fajne miejsce, bezpretensjonalne i tak dalej.

Ralph i Jem popatrzyli po sobie. Oboje wiedzieli, że żadne z nich w ogóle nie ma ochoty, więc pokręcili głowami.

— Nie, dzięki, Pete. Jesteśmy nieodpowiednio ubrani, nie?

— powiedziała Jem, spoglądając na Ralpha.

— Ale i tak dzięki, stary — dodał Ralph, który w końcu uwierzył, że za chwilę nie staną się poszatkowanymi ofiarami rzeźnika, na widok których twardzi detektywi z Soho pozelenią na twarzy i będą rzygać w dłonie. Psychopatyczni mordercy po prostu nie noszą liliowych jedwabnych koszul i spinek do mankietów z diamentami.

Pete stanął przed lustrem, przyglądał baczki, nastroszył włosy i poprawił spinki. Zaproponował, by zostali w tym mieszkaniu na noc, bo on wróci dopiero późnym rankiem. Kiedy odmówili, uparł się, żeby chociaż wzięli skręta i parę piw na drogę.

— Jak tylko będziecie w pobliżu, wpadnijcie do mnie do supermarketu albo tutaj, pójdziemy na drinka — powiedział.

— Zawsze wpuszczasz obcych do swojego mieszkania? — spytał Ralph.

— Oczywiście, stary — parsknął Pete. — W życiu nie spotka cię żadna przygoda, jeśli nie będziesz ufał ludziom, nie? Żadne doświadczenie. Ciężko pracuję, ostro imprezuję i nawet jeśli umrę jutro, to już wolę to, niż skończyć jak mój tata. Nienawidzi zmian, narzeka, jeśli zmieniają rozkład działów w Tesco albo jeżeli teleturniej *Countdown* zaczyna się z pięciominutowym opóźnieniem. Nikomu nie ufa, myśli, że wszyscy są przeciwko niemu. Nigdy nie był w Londynie, już nie wspominając o reszcie kraju. Ja to widzę tak: niektórzy ludzie mają żylkę podróżniczą, nie? Chcieliby pojechać do Tajlandii i Afryki, przeżyć jakąś przygodę, chodzić w starych łachach i z całym dobytkiem w wielkim worze na plecach. — Pokręcił głową i skrzywił się. — Ale nie ja. Ja mogę przeżyć wszystkie przygody tu, na miejscu. Po prostu trzeba mieć właściwe nastawienie. Patrzcie, jesteśmy w najwspanialszym mieście na ziemi... mieszkają tu ludzie z całego świata. Ubodzy chodzą w starych, używanych ciuchach, bogaci jeżdżą samochodami, które kosztują tyle co domy... artyści, bankierzy, modelki, handlarze narkotyków, najbrzydsi ludzie świata, najpiękniejsi ludzie świata, mieszkańcy Kambodży, Ghany, Szwedzi, Nikaraguańczycy, Izraelici, Portugalczycy. Idźcie do Stamford Hill i popatrzcie na tamtejszych chasydów — to dopiero przygoda. Bogaci Amerykanie na St John's Wood albo South Kensington. Japończycy na Finchley Central. Arabowie na Edgware Road. Irlandczycy na Kilburn. Greccy Cypryjczycy w Finsbury Park. Turcy na Turnpike Lane. Portugalczycy w Westbourne Park. No i Chinatown, najbardziej hałaśliwe, agresywne otoczenie, w jakim kiedykolwiek się znalazłem. Ale uwielbiam je. Jestem otwarty na wszystko, co się dzieje w tym mieście.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców tego miasta chodzi po ulicach jakby w małej bańce. Tak jak ty, Jem. Widuję cię przynajmniej dwa razy w tygodniu, ucinamy sobie małą po-

gawędkę i widzę, że jesteś naprawdę świetną dziewczyną, że masz iskrę bożą, żyłkę awanturniczą, ale wciąż boisz się posunąć za daleko, prawda? Nawiazaliśmy ze sobą kontakt, tobie to wystarczyło i gdyby nie dzisiejsza noc, ciągnęlibyśmy to w nieskończoność.

Nie — życie jest za krótkie, żeby mieszkać w Beckenham, co noc wracać pociągiem o szóstej piętnaście, zamykać drzwi na klucz i nie wpuszczać obcych do swojego mieszkania. Założę się, że nigdy byście nie pomyśleli, że wyładujecie na olbrzymim łóżku wodnym, patrząc, jak jakiś rzeźnik szykuje się na balangę. Ale na pewno się z tego cieszyacie, nie?

Roześmiał się.

— Widzieliście film *Po godzinach* o takim porządnym facecie, który śledzi Rosannę Arquette do centrum Nowego Jorku, łąduje tam w środku nocy bez pieniędzy i spotyka po drodze całą bandę świrów i wyrzutków? Może niektórzy ludzie obejrzeni ten film

i pomyśleli sobie: „O Boże, co za koszmar. Mam nadzieję, że coś takiego nigdy mi się nie przydarzy”. Ale nie ja. Ja chcę, żeby moje życie wyglądało właśnie tak, codziennie — po godzinach. Zawsze chcę o nim myśleć w ten sposób: idziesz ulicą i mijasz budkę telefoniczną. Telefon dzwoni. Są dwa rodzaje ludzi: ludzie, którzy sobie pomyślą: „Nie będę się w to mieszał”, i idą dalej, oraz ludzie ciekawi świata, wścibscy, którzy odbiorą ten telefon. Prawdopodobnie okaże się, że to pomyłka. Ale zawsze jest szansa na to, że wplączesz się w jakieś tajemnicze rendez-vous, w schadzkę kochanków, cokolwiek. Telefon, który dzwoni na ulicy — to może oznaczać wszystko. To może być początek filmu albo książki... — Urwał dla większego efektu. — I ja to uwielbiam! — Zerknął na zegarek i klepnął się po udach. — No, ale dosyć tego filozofowania. Trzeba trochę poimprezować.

Ruszyli za nim ponurymi schodami i z powrotem wyszli na jasne, wielobarwne i rojne Chinatown.

— Gdybyśmy się już nie spotkali wcześniej, to wesołych świąt i tak dalej, wszystkiego najlepszego — powiedział Pete, drżąc lekko na lodowatym nocnym powietrzu.

Pocałował Jem w policzek. Pochylił się do ucha Ralpha, gdy podawali sobie dłonie.

— Ale z ciebie farciarz, Ralph — szepnął. — Wielki farciarz.

Ralph już miał go poprawić, powiedzieć: „Och nie, to nie moja dziewczyna”, ale się powstrzymał. Chciał, żeby Pete uważał go za wielkiego farciarza. Chciał, by Pete myślał, że Ralph ma w sobie coś wyjątkowego.

Po czym Pete odszedł. Jem i Ralph stali w miejscu, nie wiedząc, co zrobić, by nie zepsuć nastroju po tym dość szczególnym doświadczeniu oraz inspirującym filozoficznym wywodzie Pete'a na koniec.

— O kurde — powiedziała Jem.

— No — przytaknął Ralph.

— Zjemy coś? — spytała.

— Chyba tak — odparł.

Nagle jej twarz rozjaśnił figlarny uśmiezek.

— Ralph. — Złapała go za rękę. — Czy możemy przedtem zrobić coś, co zawsze chciałam zrobić?

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się i poszedł za nią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Koło budek telefonicznych w kształcie pagody gruby Meksykanin w sombrero grał na fletni Pana, nieoglądany i nieoklaskiwany przez nikogo. Restauracje już pozamykano na noc, chudzi mężczyźni w brudnych kombinezonach wytaczali na ulicę ogromne kontenery pełne odpadków. Dwóch pijanych transwestytów w pierzastych boa i jaskrawym makijażu minęło ich hałaśliwie, a następnie zniknęło w barze nad chińskim salonem fryzjerskim z czerwonymi, aksamitnymi zasłonami w oknie i lampkami wokół drzwi. Pod Dive Bar stała jakaś para, zatracona w niekończącym się pocałunku.

Przecięli Shaftesbury Avenue, przeciskając się przez nieustanny korek i tłumy ludzi opatulonych w płaszcze, szaliki i czapki.

— Dokąd idziemy? — spytał Ralph,

— Zaraz zobaczysz! — Uśmiechnęła się Jem.

Skęcili w lewo z Greek Street w Old Compton Street. Ralph tak dyskretnie, jak to tylko było możliwe, zerkał przez zaporowane okna chromowo-szklanych barów dla gejów w świat, w którym nie było miejsca dla niego, w ekskluzywny świat. To zabawne, pomyślał, że słowo „ekskluzywny” zaczęło oznaczać „szykowny”, „modny”, „prywatny”, „wybrany”, chociaż jego pierwotne znaczenie jest takie, że nie masz do niego wstępu, że jesteś z niego wyłączony. To doprawdy straszliwe słowo.

W prawo i w lewo na Brewer Street.

— To tutaj — powiedziała Jem, zatrzymując się pod ciemnym sklepem z zasłoną z koralików w drzwiach i amatorską wystawą pełną wyblakłych od słońca opakowań i fikuśnej bielizny z nylonu. Tablica oznajmiała SPRZEDAJEMY POPPERSY*¹³. Groteskowy manekin ze skórą poobdzieraną jak ofiara potwornego po-

¹³ * *Poppers* — środek odurzający w postaci ampulki z amylem lub azotanem butylu.

zaru trzymał w artretycznych palcach skórzany gorset i wywijał pejczem. Na półce, jeden przy drugim, stały sztuczne penisy monstrialnych rozmiarów — niczym podejrzani podczas konfrontacji.

— Tutaj? — spytał Ralph, zdradzając drobnomieszczańską dezaprobatę. — Po co?

— A tak dla jaj. Nigdy jeszcze nie byłam w sex-shopie. — Była podniecona, trochę podenerwowana. — No, chodź — popędzała go.

Weszli do sklepu, usiłując sprawiać wrażenie zblazowanych, jakby często w piątkowe noce włóczyli się po sex-shopach w Soho. Amazonka z zaczesanymi do tyłu czarnymi włosami z nylonu aż po uda, umalowana większą ilością eyelinera, niż przeciętna kobieta zużyłaby w ciągu całego życia, oraz w obcisłej, skórzanej sukience, do włożenia której musiała sobie chyba usunąć parę żeber, zerknęła na nich z wyćwiczoną obojętnością, po czym wróciła do komiksu, który rozłożyła przed sobą na ladzie. Jej skóra była trupioblada i wyglądała tak, jakby ją nałożono sprejem. Brakowało jej tylko kłów.

Wielki czarny facet w T-shircie i džinsach stał w milczeniu przy wejściu, z rękoma założonymi na piersi i nogami rozstawionymi co najmniej na metr. Ochrona. Na drugim końcu sklepu jakaś nieprawdopodobna para grzebała w kostiumach francuskiej pokojówki i kolekcji skórzanych strojów dla dominujących kobiet. Ona była wysoka, młoda, nieskazitelnie jasnowłosa, ubrana w kosztowne ciuchy. Wyglądałaby fantastycznie na ogromnym, czarnym koniu, w bryczesach i siateczce na włosy. On był mały, stary, prawie całkiem łysy, ubrany w kosztowne ciuchy. Wyglądałby onieśmielająco za ogromnym konferencyjnym stołem. Może zresztą para ta nie była aż tak nieprawdopodobna. Robili to już wcześniej. Bez uśmiechu po cichu rozmawiali o niedorzecznych łaskach z tandetnego nylonu i winylu, które wisały na tanich, plastikowych wieszakach niczym ubranka przerośniętej lalki — była to transakcja handlowa. Kim byli? Szefem i sekretarką, klientem i luksusową dziwką, mężem i drugą żoną? Może to przyjaciółka jego córki ze szkoły z internatem? Inna para przeglądała półki z kasetami wideo. On był gruby i niechlujny. Ona tak samo. Znowu żadnej wesołości. Równie dobrze mogliby przeglądać katalogi w miejscowej bibliotece.

W sklepie panowała cisza, żadnej muzyki, żadnej telewizji, niekiedy rozlegały się jedynie stonowane, rzeczowe uwagi, w których pobrzmiwało skrepowanie. Nie tego się Jem spodziewała.

Podeszła do półki z kasetami wideo i gruba para przesunęła się nieco w lewo, żeby zrobić jej trochę miejsca. Wzięła jakieś pudełko. Tleniona blondyna z zaszokowaną miną i ustami jak wagina ścisnęła swe kopulaste piersi, mężczyzna bez twarzy, torsu i rąk wyłaniający się zza niej penetrował ją analnie, a drugi, który najwyraźniej składał się tylko z sześćdziesięciocentymetrowego penisa i gęstej czupryny na głowie, nadziewał ją od przodu. Nic dziwnego, że blondyna była wstrząśnięta. Jem odstawiła pudełko. Obejrzała wybór niezwyklej skórzanych i chromowych akcesoriów do krepowania, które wisiały pod sufitem jak mięso na wystawie rzeźnika. Maski, kaptury, kajdanki, pasy, pejce i łańcuchy, urządzenia do wieszania pod sufitem, przywiązywania do łóżka, kneblowania, unieruchamiania, wykręcania, biczenia. Na ścianie rozkraczał się jednoczęściowy kombinezon z lateksu z małym otworem na usta. Wyglądał dziwnie, jak spocony.

Jem podeszła do Ralpha, który kartkował magazyn pełen źle sfotografowanych spoconych mężczyzn i kobiet w niewygodnych pozach i erotycznej garderobie.

— Kupię sobie wibrator — szepnęła do niego, osłaniając jego ucho dłonią.

— Co?! — wykrzyknął niemal bezgłośnie.

Wibratory znajdowały się w oszklonej gablocie służącej za ladę wampirzycy z komiksem. Jem czuła się nieco niezręcznie, oglądając asortyment i usiłując sprawiać wrażenie znawcy i nie zdradzić się ze swym skrepowaniem przed dziwną sprzedawczynią. Nie była pewna, czego szuka. Czy chciała dwudziestocentymetrowy, lśniący i czarny, czy dyskretny, kremowy model mieszczący się w torebce? Skinęła na Ralpha, który odłożył egzemplarz miesięcznika „Dom Poprawczy” i skulił się koło niej przed gablotą.

— Jak myślisz? — szepnęła.

Ralph wzruszył ramionami. Czuł się jak znudzony chłopak w sklepie odzieżowym w sobotnie popołudnie. To dziewczynskie sprawy — skąd on ma wiedzieć? Czuł się niezdarne. Już kiedyś

był w sex-shopie, jasne, że tak. Z kumplami, kiedy był młodszy, żeby się pośmiać, kupić poppersa, pogapić na nieprzyzwoite magazyny. Ale wtedy było inaczej, zupełnie inaczej. Teraz miał głowę pełną obrazów — Jem na nieposłanym łóżku, w szlafroku z chińskim smokiem, z majtkami wokół kostek, z podciągniętą koszulą, rozłożonymi nogami, wypróbująca nowy wibrator. O Boże, coś wspaniałego. Ale nie chciał tak o niej myśleć. Choć wizja ta była niezwykle erotyczna i podniecająca, nie życzył jej sobie. Wolał sobie wyobrazić tamto przytulenie w sypialni Pete'a. Chciał subtelnie erotycznej wizji bosych palców u nóg Jem usmarowanych musztardą, miękkiej, białej pupy, która ledwo mu mignęła przed oczami. Chciał zobaczyć jej twarz, szczerą, uśmiechniętą, promienną i radosną. Chciał sobie wyobrazić ich razem, w przyszłości, zakochanych, roześmianych, kochających się, spacerujących z psem.

Spojrzał na jej uśmiechniętą twarz, na zaróżowiony i zziębnięty czubek nosa, na oczy spoglądające na niego promiennie i naiwnie, i niechciany obraz zniknął. Oto Jem, cudowna, piękna, wspaniała, anielska Jem. Nie chciał być jak Smith. Nie chciał być starym, zacofanym nudziarzem. Prosiła go o otwartość, o to, by dał się ponieść fali. Uśmiechnął się i skierował wzrok na gablotę.

— Myślę, że wielkość nie ma znaczenia, ważne, żeby wibrował. Oczywiście, chyba że chcesz go sobie włożyć do środka

— zasugerował.

— To prawda — szepnęła z zamyśleniem Jem. — Raczej nie wezmę czarnego czy tego z żyłkami. Są nieco wulgarne, nie?

— No — przytaknął Ralph. — Myślę, że powinnaś wybrać z tych tańszych. Nie ma sensu wydawać dużo kasy.

— Hmm. A co z przystawkami? — spytała, wskazując na sterujące języki, wypustki w kształcie kaktusa, plastikowe palce w stylu E.T. i gumowe kulki.

— Nie — odparł Ralph, wciągając się w temat, bo już nie był speszony. — Gadżety, marnowanie pieniędzy. Ten jest fajny

— powiedział, wskazując na niewinnie wyglądający szczupły kre-

mowy model bez żyłek, nakładek, języka, kulek i niewykonujący nienaturalnego pulsującego ruchu. — I kosztuje tylko 7,99 funta. Ja bym wybrał ten.

— OK — powiedziała Jem, prostując się. Nagle pożałowała, że modele nie leżą na półkach, jak w supermarkecie — wtedy

nie musiałyby prosić tej przerażającej androidki nad nią o podanie przedmiotu. Wzięła głęboki oddech i zebrała się na odwagę. Potraktuje to jak pobranie wymazu. Nieprzyjemne dla pacjentki, ale rutynowe dla wykonującego. Stara Morticia na pewno już widziała różne rzeczy — miła dziewczyna z klasy średniej kupująca w piątkową noc zwykły wibrator to dla niej nie dziwota. Zresztą i tak wyglądała jak po czołowej lobotomii.

— Czy mogę poprosić taki? — spytała niskim głosem z taką pewnością siebie, na jaką tylko było ją stać.

Morticia pochyliła się, by zobaczyć model, który wskazywała Jem, otworzyła gablotę, wyjęła pudełko, otworzyła je, pokazała Jem zawartość, poczekała na aprobujące kiwnięcie głową, z powrotem włożyła penis do pudełka, pudełko schowała do białej, plastikowej torby, wzięła od Jem banknot dziesięciofuntowy, wydała jej dwa funty i pens reszty oraz instrukcję obsługi i wróciła do czytania komiksu. Cała transakcja odbyła się w martwej ciszy.

— Bardzo dziękuję — powiedziała Jem i aż się wzdrygnęła na dźwięk własnego uprzejmego głosu, który tak nie pasował do tego miejsca.

Czarny ochroniarz stał jak przyrośnięty do ziemi, gdy go mijali przy wejściu. Ralph przytrzymał dla Jem trzaskające drzwi i wyszli na ulicę z ulgą, że okolica nagle nie zmieniła się w dziwne, opustoszałe upiorne miasto, że po ulicach wciąż przelewają się tłumy normalnych przechodniów, pod klubami stoją kolejki, a na rogach ludzie czekają na nieobecne taksówki, które ich zabiorą do domu.

Wrócili w stronę Lisie Street i ze smakiem zjedli bogatą w glutaminian sodowy chrupiącą wołowinę z chilli, kurczaka w sosie z chilli i czarnej fasoli oraz wieprzowinę chilli Kung Po, a wszystko to w niemal całkowicie pustej restauracji pod uważnym wzrokiem znudzonej młodej kelnerki, którą najwyraźniej zdezorientowało ich zamówienie na „ekstrapikantne” dodatki i która teraz obserwowała ich z zaciekawieniem, czekając na objawy samozapłonu lub szaleństwa, podczas gdy oni gawędzili o Pecie, sex-shopie i tym dziwnym wieczorze.

— To, co Pete powiedział tuż przed naszym wyjściem, naprawdę dało mi do myślenia — powiedziała Jem, wlewając do szklanki resztkę piwa Tsingtao. — O tych przygodach, o ufaniu ludziom i tak dalej. Wiesz, on ma rację. Chciałabym się uważać

za „wolnego ducha”. — Wykonała palcami w powietrzu umowny znak cudzysłowu. — Chciałabym wierzyć, że jestem gotowa na wszystko, otwarta na przygody. Ale Pete ma rację. Wszyscy w tym mieście się boją, prawda? Mieszka tu mnóstwo świrów, ale chyba niewielu może cię zabić albo porwać, nie?

Pewnie mijasz czasami ludzi na stacji metra albo na ulicy, grupkę przyjaciół, którzy się spotkali i gadają o swoich znajomych — „Och, a jak się ma ten czy inny?” — o swoim życiu i widzisz, że są sobie bliscy, znają się od dawna, mają wspólne doświadczenia. Czy czasami nachodzi cię refleksja, że coś tracisz? Bo jak to się stało, że ich ścieżki się skrzyżowały, a nasze nie, może to wspaniali ludzie, a ty ich nigdy nie poznasz? Na ulicy jestem dla nich tylko obcym człowiekiem, mam własnych przyjaciół, własne sprawy z innymi ludźmi, których oni nigdy nie poznają. Trochę to smutne. Wiesz, co mam na myśli? Na świecie żyje tylu ludzi, a rachunek prawdopodobieństwa mówi, że możesz poznać zaledwie niewielki ich procent. A ze strachu poznasz ich jeszcze mniej. Dlaczego tak się boimy siebie nawzajem? Ktoś z pracy zaprasza cię na kolację, a ciebie ogarnia przerażenie, wpadasz w pociągu na starego znajomego, ten proponuje, żebyście się umówili na drinka, wymieniacie się telefonami, a potem się modlisz, żeby do ciebie nie zadzwonił, masz swój miły, bezpieczny krąg przyjaciół, wtorkowego przyjaciela, czwartkowego przyjaciela, weekendowych przyjaciół, poniedziałkowe wieczory spędzasz w domu, w środy idziesz na siłownię i nagle okazuje się, że zabrakło miejsca na nowych ludzi. Czy taki był cel Boga? Czy tak powinno wyglądać życie? Na pewno wszyscy korzystamy zaledwie z ułamka procentu tego, co nam oferuje życie. Mam dopiero dwadzieścia siedem lat... jaka będę, gdy skończę pięćdziesiątkę? Nie uważasz, że to smutne?

— Szczerze mówiąc, uważam, że patrzysz przez różowe okulary, Jem. Przyjaciele to inwestycja, nie zawsze są łatwi. To nie tylko zabawa, śmiech i świetne wspólne przeżycia. Przyjaciele mają swoje potrzeby, problemy, żądania, lęki, oczekiwania, a żeby się stać dobrym przyjacielem, musisz przynajmniej się starać zaspokoić wszystkie te rzeczy, a nie tylko dobrze się bawić. Po prostu nie wydaje mi się, by można było nawiązać tego rodzaju relację z każdą osobą, którą mijasz na ulicy. Myślę, że jesteśmy zmuszeni do dokonywania wyborów. Możemy skosztować tylko

kilku czekoladek z całej bombonierki i zostawić parę truskawkowych i orzechowych dla innych.

— O — powiedziała Jem, której spodobała się ta analogia Ralpha. — Ale kto dostanie nugat?

— Myślę, że nugaty kończą w sex-shopach w Soho, a potem wracają do pustych domów, cali w odchodach nietoperzy.

— Ralph się uśmiechnął i wziął rachunek, który sokolooka kelnerka zawczasu położyła na ich stoliku.

— Tak, chyba jestem idealistką. Przyjaciele potrafią być upierdliwi. Ciągłe czegoś chcą i potrafią nieźle dać w kość. Ale może dlatego, że to nieodpowiedni przyjaciele. Kiedyś przeczytałam taki cytat, nie pamiętam, kto to powiedział, ale było tam napisane, że przyjaciele to niekoniecznie ludzie, których najbardziej lubisz, lecz ci, których poznałeś najpierw. Przez całe życie szukasz właściwego partnera, ale może zbyt wcześnie wybierasz sobie przyjaciół, a potem do końca życia się z nimi męczysz, nawet nie wiedząc, co tracisz. Och, już sama nie wiem — westchnęła, wsparła głowę na dłoniach i uśmiechnęła się do Ralpha.

— Może gadam kompletne bzdury. Po prostu czuję... przez Pete[^] czuję, jakbym coś traciła, jakbym nie żyła tak, jak powinnam. Tęsknię za wszystkimi obcymi, których nigdy nie poznałam! — Odwróciła rachunek na talerzyku, żeby sprawdzić sumę.

— Pete jest jeden na milion — powiedział Ralph. — Wszyscy nie mogą być tacy jak on. Naprawdę mielibyśmy wtedy nieźle kłopoty, ludzka natura nie wytrzymałaby takiego poziomu otwartości, jest nas zbyt wielu, nie jesteśmy na to przygotowani. Ewoluwaliśmy w tę stronę z jakiegoś powodu: przetrwanie, najbardziej podstawowy ze wszystkich instynktów, zaadaptowaliśmy do życia w ośmiomilionowym mieście. W tym jest jakiś sens.

— Ralph wysupłał z portfela dziesięciofuntowy banknot.

— Myślę, że zawsze byłam taką osobą, która nie może znieść myśli, że coś traci. Jeżeli mam do wyboru dwie imprezy, zawsze jestem przekonana, że wybiorę tę denną, a ta, na którą nie pójdę, okaże się imprezą, którą ludzie będą wspominać jeszcze przez wiele lat. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma...

Urwała raptownie i spojrzeli na siebie. Na chwilę zapadło milczenie. Jem przestała bawić się serwetką.

— Czy to odnosi się również do twoich związków? — spytał Ralph, pół żartem, pół serio.

— Nie zawsze — odparła Jem, spuszczać wzrok na dłonie i przyglądając się im nerwowo.

— Nie zawsze? — Ralph zapatrzył się w przestrzeń ponad jej głową. — Ale czasami tak?

Atmosfera nagle zrobiła się rozkosznie niezręczna.

— Tak, czasami tak. — Jem lekko uniosła głowę i uśmiechnęła się znad dłoni.

Ralph czuł, że wiszą nad przepaścią, trzymając się krawędzi jedynie czubkami palców — jeszcze jeden milimetr i spadną. Nie może teraz dać ciała, nie może powiedzieć jakiegoś głupstwa. Wziął głęboki oddech i odczekał chwilę, na wypadek, gdyby Jem chciała coś dodać. Nie odzywała się. Gapił się na siebie ponad stołem, wstrzymując oddech. Jem otworzyła usta, spuściła oczy. Ralphowi serce przestało bić. Nadal nic nie mówiła. Teraz jego kolej.

— Kiedy? — spytał łagodnie. Skacz, Jem, pomyślał. Złapię cię. Nic ci się nie stanie. Tylko skocz, proszę, spróbuj...

Jem złożyła serwetkę w wachlarzyk.

— Och, czasami, nie zawsze.

— A więc czułaś, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, kiedy byłaś z kimś? I co, rzeczywiście tak było? Dobrze?

Kelnerka zabrała rachunek i dziesięciofuntowy banknot, lecz żadne z nich nawet tego nie zauważyło.

Jem wzruszyła ramionami i dalej składała serwetkę.

— Nie wiem.

— Nigdy się nie przekonałaś? — sondował ją Ralph. Jem zostawiła serwetkę i spojrzała na niego.

— Nie — powiedziała. — Nigdy się nie przekonałam. Idziemy? — Gwałtownie podniosła się z krzesła, które straciło równowagę i przewróciło się do tyłu. Speszyła się i chciała je podnieść, ale zaczęła torebką o jego nogę. Ralph pomógł jej się wyplątać i podniósł krzesło. Stałi parę centymetrów od siebie. Jem niezręcznym ruchem poprawiła pasek torebki na ramieniu. Spojrzała na Ralpha. Gapił się na nią z intensywnością, która kazała jej natychmiast odwrócić wzrok.

— Przepraszam — powiedziała, bezskutecznie usiłując go wyminąć.

Wziął ją za ramiona i spojrzał prosto w oczy.

— Jeszcze się nie przekonałaś, tak powiedziałaś. Myślisz, że kiedyś się przekonasz? Kiedykolwiek? W przeszłości? Może?

Proszę, powiedz „tak”, proszę, na miłość boską, powiedz „tak”.

— Nie. — Spuściła wzrok. — Nie wydaje mi się. To chyba nie działa w ten sposób.

— Masz na myśli Smitha?

— Nie, nie mam na myśli Smitha. Nie mówimy o Smisie, prawda? Mówimy o sytuacji hipotetycznej.

— Jasne, rozumiem. — Ralph poczuł, że cały się kurczy.

— Sprawa zamknięta! — Zdobył się na cichy śmiech. Pieprzony Smith. — Chyba lepiej już chodźmy. Może złapiemy taksówkę.

Żadne z nich nie próbowało podtrzymywać tej atmosfery. Ta rozmowa, choć przedtem dość jednoznaczna i dosłowna, teraz zdawała się coraz bardziej niejasna.

Zręcznie zmienili temat, gdy zajęli tylne siedzenie w ogrzanej taksówce i patrzyli, jak o tej wczesnej porze Londyn skrzy się wielobarwnymi lampkami. Zanim wrócili do domu, znowu zachowywali się jak przyjaciele. Ale była to dość słaba fastryga, tymczasowy ścieg, gdyż oboje w głębi ducha wiedzieli, że wcale sobie nie wyobrazili tej rozmowy — sprawa wcale nie była zamknięta.

Tej nocy Ralph leżał w łóżku, płasko na plecach, z kódrą podciągniętą aż pod brodę, z dłońmi złożonymi na piersi i gapił się w sufit. Był zmęczony, ale nie chciał zamykać oczu. Gdyby to zrobił, jego głowa wypełniłaby się obrazami, które teraz sprawiały mu zbyt wielki ból. Obrazami równoległego wszechświata, w którym to on przyniósł do domu peonie, bardziej się starał, tamtego fatalnego wieczora nie poszedł pierwszy spać, bardziej dbał o swoją karierę, los; równoległego wszechświata, w którym Jem podjęła właściwą decyzję, wybrała jego. Dzisiejsza noc była jedną z najlepszych nocy w jego życiu. Jeszcze nigdy tak świetnie się nie bawił z dziewczyną, nigdy nie przeżył takiej przygody. Cała noc przypominała film — magiczny, surrealistyczny, cudowny. I zakochał się w Jem jeszcze bardziej niż przedtem.

W kąciku jego oka uformowała się łza, zamrugał i spłynęła wzdłuż nosa. Jem powiedziała „nie”. Nic z tego nie będzie. Jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak smutno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Dzień dobry, Jem — zaszczębiotała Stella.

— Dzień dobry, Stella — odpowiedziała Jem.

— Nowa kurtka?

— Nie, właściwie to bardzo stara. — Może Stelli wreszcie wyczerpywał się repertuar komplementów?

— Sliczna, bardzo ci w niej do twarzy. Jak ci minął weekend? Jak się czuje ten twój biedny współlokator?

— Och, o wiele lepiej. Siniaki już zeszły, nadgarstek zaczyna się goić, a lekarze mówią, że nie będzie trwale uszkodzony.

— Oj, to dobrze. Doskonała wiadomość. Moja ciocia Kate kiedyś też złamała rękę w nadgarstku — nigdy się nie zagoiła, bolała ją do końca życia, już nie odzyskała sprawności, ale w końcu ciocia miała osiemdziesiąt dwa lata, a stare kości są takie słabe. Tak jak biodro mojej mamy — złamała jedno i musieli jej wstawić protezę, trzy lata czekała na tę operację, a potem złamała kolano i musiała czekać kolejne dwa lata na protezę, potem chodziła jak kaczka: buju-buju-buju i...

Jem zaczęła błądzić myślami — jak zwykle w takich rzadkich chwilach, gdy Stella mówiła o własnym życiu. Cofnęła się pamięcią do weekendu, tego dziwnego, acz cudownego weekendu. Noc w Soho była isticie czarodziejska. A potem nadeszła ta wielo-Boże. Zbliżyli się tak bardzo do miejsca, w którym Jem nie chciała się znaleźć. Nigdy.

Jem nie mogła się rozeznąć we własnych uczuciach. Nagle złapała się na tym, że podświadomie robi listę wszystkich za i przeciw:

Smith: uroczy, hojny, przystojny, peonie, jej znajomi go lubią, ona lubi jego znajomych, dobra praca, mnóstwo pieniędzy, ładne mieszkanie, odpowiedzialny, uczuciowy, łatwy w obcowaniu, męczyczna jej marzeń?

Ralph: uroczy, przystojny, seksowny, mają wiele wspólnego, ogromne poczucie humoru, świetnie się z nim gada, zawsze w dobrym nastroju, twórczy, namiętny, wrażliwy, ma potencjał do życia jak w *Po godzinach*, mężczyzna jej marzeń?

Smith: nieco na dystans, tendencje do zmienności nastrojów, niezbyt pomysłowy w łóżku, przewidywalny, lubi łagodne curry, uważa, że dziewczyny powinny pić białe, wytrawne wino, niezbyt twórczy, introwertyczny, ustabilizowany, żadnego potencjału na „po godzinach”.

Ralph: niestabilizowane życie zawodowe (ale próbuje), zły gust, jeśli chodzi o kobiety (ale zerwał z Claudią), nadmierne nastawiony na seks (nie, to wykreśliła ze swej listy)... przeczesywała umysł w poszukiwaniu dalszych przeciw... kalesony (nie, już ich nie nosi).

Lekko zadrzała, usiłując pozbyć się tych myśli. Stella skończyła swoją opowieść o operacjach stawów. Przyszedł Jarvis, jej szef, z całą lawiną papierów i skarg wypowiedzianych afektywnym tonem.

— Och, Jemmy, kochanie, proszę, czy mogę sobie ulżyć na twoim biurku, jestem zrozpaczony — zaskamlał, rzucając przed nią grubą teczkę. — Ta wstrętna szkocka wiedźma jest w nastroju na latającą miotłę, chce, żebym dla niej wynegocjował kolejne pięć centów od Carltona za ten okropny teleturniej. Proszę cię! Ma szczęście, że w ogóle ktokolwiek chce ją zatrudnić — gęba jak dupa nosorożca z zaparciem. Czy mogłabyś, czy zrobiłabyś to dla mnie, Jemmy, kochanie? Mam koszmarnego kaca, a plecy tak mnie bolą, jakby przez całą noc tańczył mi na nich Roy Castle w szpilkach... dziękuję, dziękuję. — Posłał jej pocałunek, pobiegł do swojego gabinetu i padł na kanapę, żeby się przespać.

Jem i Stella spojrzały na siebie ze słabym uśmiechem. Jem westchnęła i otworzyła teczkę. Co za początek tygodnia. Nie cierpiała negocjować stawek, zwłaszcza z tymi ludźmi z Sin'n'Win, którzy notorycznie mieli napięty budżet. Telefon uratował ją od konieczności pogrążenia się w tej nieprzyjemnej robocie.

— Dzień dobry, Smallhead Management — powiedział jakiś dziwny, nosowy głos. — Mam dość małą głowę, która trochę mi się popsowała, i zastanawiałem się, czy mogliby ją państwo wymienić. A tak przy okazji, czy macie duże uszy i grube kostki?

Jem uśmiechnęła się i odwróciła w stronę swojego biurka.

— Cha, cha, cha, McLeary... ale dowcipas, bardzo, bardzo zabawne.

— Za szybkie tempo, jak na mnie, panno Catterick. Jakże się pani miewa dzisiaj? — Przybrał żartobliwy ton, ale słychać było, że jest nieco podenerwowany, mówił na lekkim przydechu.

— Nieźle, nieźle, nie najgorzej. Jakże się pan miewa i czemu zawdzięczam ten wielki zaszczyt? — Serce waliło jej mocno. To Ralph, na miłość boską, kochany, stary Ralph. Dlaczego, u diabła, tak... tak... tak jej się kręci w głowie?

— Och, zmordowany, znudzony, nieszczęśliwy bez ciebie. — Wydał z siebie dziwnie zduszony śmiech, który zdradzał, że Ralph nie powinien był tego mówić — takie rzeczy mówi się swojej dziewczynie, a nie współlokatorce, nie dziewczynie swojego najlepszego przyjaciela.

— Nie wybierasz się dziś do pracowni? — odparła Jem, rozmyślnie ignorując jego ostatnią uwagę.

— Tak, tak, już tu jestem. Siedzę tu od dziewiątej. Paluszki mam dziś całkiem sprawne, może się do czegoś przydadzą... w każdym razie spróbuję.

— Co za hart ducha.

Na sekundę zapadło milczenie, niemalże niezręczne.

— Chciałem ci tylko podziękować za weekend... świetnie się bawiłem. — Ralph przerwał ciszę.

— No, było fajnie, prawda? Ja też się dobrze bawiłam.

— Pomyślałem sobie, że może...

— Yhm...?

— No, na Bayswater jest taka restauracja... a wiem, że Smith dzisiaj pracuje do późna... mają tam najlepsze jal frezi*¹⁴ w mieście... więc może... pewnie gdzieś wychodzisz albo wolałabyś zostać w domu, ale gdybyś miała ochotę, to moglibyśmy się później umówić... eee...

— Yhm...

— Tak sobie tylko pomyślałem. Wiesz, nic specjalnego, tylko curry... i... yyy...

— OK.

— Tak?

¹⁴ * *Jal frezi* — pikantne curry z kurczaka.

— Zgoda. O której?

— Zaraz po pracy? Może o wpół do siódmej. Możemy się umówić koło metra. Na Bayswater, nie na Ojueensway.

— OK.

— Świetnie. Doskonale. To... miłego dnia i... eee... do zobaczenia później.

— Do zobaczenia. Pracuj wytrwale.

— Dobrze. Ty też. To cześć.

— Cześć.

— Cześć.

Jem odłożyła słuchawkę. Musiała parę razy głęboko zaczerpnąć powietrza, żeby jej serce wróciło do normalnego rytmu w stanie spoczynku. Jasna cholera. Jeżeli się nie myliła, to Ralph właśnie zaproponował jej randkę — a ona się zgodziła. No nieźle. Początek końca.

Zignorowała zaciekawione spojrzenie Stelli i zaczęła przeglądać teczkę leżącą na biurku.

Cholera. Co ona zrobiła? I dlaczego jest tak strasznie podniecona?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dyktafon wydał z siebie syczenie, potem warkot i wreszcie kliknięcie. W pokoju zapadła cisza. Siobhan lekko podskoczyła. Ciężkim ruchem podniosła rękę i założyła włosy za ucho. Schowała twarz w dłoniach. Wstała. Zaczęła chodzić po pokoju. Znowu usiadła. Na zegarze było wpół do dziewiątej. Wstała. Rozmasowała sobie skronie i wbiła wzrok w podłogę. Na zewnątrz zaparkował samochód. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. To nie on. Spojrzała w lustro, poprawiła włosy i wytarła upiorne smugi tuszu, które od płaczu powstały pod jej oczami. Wtedy kiedy cierpiała. Zanim poczuła gniew. Na długo, zanim zaczęła nienawidzić Karla.

W bałaganie na podłodze zaczęła szukać szczotki, odsuwając kawałki połamanego winylu, podnosząc poduszki i zaglądając pod przewróconą do góry nogami choinkę i strzaskane zdjęcia w ramkach. Znalazła ją w przedpokoju, gdzie wyrzuciła zawartość ich szuflady z różnymi drobiazgami. Dywan skrzył się od wielokolorowych zagranicznych monet i spinek do włosów, kosetek do gry na gitarze i kluczy. Wyplątała włosy z elastycznej gumki i zaczęła je energicznie czesać, aż zalsniły i każdy kosmyk znalazł się na swoim miejscu. Starannie związała je z powrotem, tak by nie powstały żadne załamania czy nierozczesane pasma, i przyglądała dłońmi. Teraz czuła się spokojniejsza.

Na zewnątrz zaparkował kolejny samochód. To nie on. Znowu zaczęła przemierzać pokój. Pieprzony skurwysyn. Pieprzony irlandzki bufon. Kutas. Kutas kutas kutas kutas. Siobhan była gotowa na jego przyjście. Stała przy oknie, czekając. Zobaczyła, że z mieszkania w suterenie wychodzi ten ciemnowłosy facet z dziewczyną. Oboje ściskali puszki z piwem i śmiali się. Wypad w normalny piątkowy wieczór — co za szczęściarze.

Wracaj do domu, ty skurwysynu, wracaj do domu.

Zabębniła paznokciami w parapet. Wracaj do domu.

Wreszcie rozległ się znajomy warkot starego embassy. Patrzyła, jak samochód zwalnia, szuka miejsca do zaparkowania, nie znajduje — i dobrze — Karl cofa się z brodą na ramieniu i jedną ręką na fotelu dla pasażera i jednym gładkim ruchem wślizguje się na wolne miejsce — zawsze świetnie parkował — potem sięga na tylne siedzenie po teczkę i torbę z zakupami ze sklepu monopolowego, zamyka drzwi i rusza Almanac Road. Patrzcie ludzie, pomyślała, patrzcie ludzie. Za kogo on się, kurwa, ma? Kutas. Teraz energicznie wskakuje na schody. Kurwa. Została przy oknie, czekając na chrobot klucza w zamku.

— Cześć. — Skurwysyn.

Przez sekundę cisza, a potem jego głos z przedpokoju.

— Cholera. Co tu się stało? Shuv, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Co te rzeczy robią na podłodze? Shuv? Shuv? Cholera! — Wszedł do salonu i pod jego stopą trzasnęła jakaś matka błyskotka z różowego szkła. Zrobił krok w bok i ze zgrozą rozejrzał się po pokoju. — Jezu Chryste, Shuv, co się stało?

— Niepewnym krokiem podszedł do niej. — Nic ci nie jest?

— Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Wyszarpnęła się.

— Zabieraj ode mnie swoje brudne łapska. Nie waż się mnie dotykać!

Cofnął się.

— O Jezu, co się stało? Kto to zrobił? Czy ktoś ci zrobił krzywdę?

Siobhan zaśmiała się gorzko.

— Ty mi to powiedz.

— Kto? Powiedz. — Spróbował znowu jej dotknąć.

— Ty, ty wstrętny gnojku. Zostaw mnie!

— Ja? — spytał z niedowierzaniem. — Jak to?

— Tak, ty! Byłbyś zachwycony, gdyby chodziło o kogoś innego, co? Mógłbyś się wkurzyć, zadzwonić na policję i przeczesać okolicę w poszukiwaniu zemsty. Ale nie ma na kogo zwalić winy. To ja rozpieprzyłam cały dom i to twoja wina, ty pieprzony skurwysynu. — Odepchnęła go i jak burza popędziła do sypialni.

— O czym ty mówisz? Shuv, proszę, porozmawiajmy. — Poszedł za nią do sypialni. — Co ja takiego zrobiłem?

Siobhan odwróciła się do niego. Twarz miała czerwoną z gniewu. Powoli uniosła głowę do sufitu i wskazała palcem w górę.

Drugą rękę położyła na biodrze i wbiła w niego wzrok.

— Co?! — krzyknął Karl z rozpaczą. Co się, do diabła, dzieje? To jakieś szaleństwo. Przez cały dzień nie mógł się doczekać powrotu do domu. Przez cały dzień czuł się jak w młynie, sprawa na sprawie, ale na końcu tunelu znajdowała się Siobhan, Rosanne, mieszkanie i błogi weekend: odpoczynek, ciepło, telewizja i pub. A nie to. Co to ma znaczyć?

— To! — syknęła, wciąż wskazując w górę. — To zrobiłeś. Z tą małą suczką z góry. Pewnie w biurze w klubie tańca...

Karlowi szczeka opadła, a serce zaczęło mu walić o żebra. To niemożliwe. Nie teraz. Przez jego głowę w ciągu paru sekund przemknęły miliony możliwych odpowiedzi. Wyprzeć się wszystkiego? Przyznać się? Rozplakać? Skąd, do diabła, ona wie? Czyżby zostawił jakiś ślad w mieszkaniu? Nie. To pewnie ta mściwa dziwka. Na pewno jej powiedziała. Dlaczego? Dlaczego teraz, po tak długim czasie?

— Powiesz coś, czy będziesz tak stał jak jakiś kretyn? Wiesz, o czym mówię, prawda? Nie zaprzeczysz, co? Znienawdziłabym cię jeszcze bardziej, gdybyś się wszystkiego wyparł. — Splotła ręce i spojrzała na niego z lodowatą pogardą.

Karl poczuł, jak żołądek mu się ściska, a jego zawartość wiruje, powodując mdłości. Opadł ciężko na łóżko i z trudem wypuścił powietrze.

— Shuv, o Boże, ja... yyy... kto ci powiedział? — Spojrzał na nią, zrozpaczony.

— Ty. Ty mi powiedziałaś, ty głupi, pieprzony, nieostrożny skurwysynu. Zaczekaj tu — dodała, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Karl usłyszał dźwięk szkła i winylu trzaskających pod stopami Siobhan, gdy przechodziła przez salon. Miał wrażenie — jak to często słyszał z ust ludzi występujących w talk-show i filmach — że jego życie legło w gruzach. Wiedział, bez cienia wątpliwości, że to najgorsza rzecz, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła.

Siobhan wróciła sekundę później, trzymając w ręku coś małego i srebrzystego: bajerancki dyktafon Ricka. Karl przewijał w myślach do przodu i do tyłu swoje wspomnienia, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Tamtej nocy w kaplicy, kiedy Siobhan i Rick wyszli na dwór, i on został z Tamsin. Usłyszał w głowie głos Ricka, słowo po słowie: „To istne cudencko, nagrywa przez

sześć godzin bez przerwy". Siobhan nieco cofnęła taśmę, wcisnęła przycisk „Play” i Karl usłyszał głos Tamsin, przenikliwy od goryczy i alkoholu: „...myślisz, że nikt nie wie, co ty i Cheri robiliście w biurze w klubie? Uważasz nas za takich idiotów? Cheri mi o wszystkim powiedziała. Znam wszystkie twoje brudne sprawy. Powiedziała mi też o aborcji, o tym, że musiała się pozbyć...” Zacisnął powieki. Co za głupota. O Boże, co za straszna głupota.

— OK, więc już wiesz — powiedziała Siobhan, machając przed nim urządzeniem. — Ty pieprzony skurwysynu. — Rzuciła dyktafon na łóżko koło niego. — Chcę, żebyś sobie poszedł, Karl. Chcę, żebyś się spakował, w tej chwili, i wyszedł. Jutro jadę do mojej matki. Wtedy możesz tu wrócić. Ja już nie mogę żyć pod tym dachem, nie mogę mieszkać w jednym domu z tą kurwą. Nie chcę o tym gadać i nigdy, przenigdy nie chcę cię już widzieć. — Dławiąc się od łez, wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Karl przez chwilę siedział odrętwiały na łóżku. To się nie dzieje naprawdę. W brzuchu coś go ścisnęło, a głowa bolała od łez, których z szoku nie mógł wypłakać. To niemożliwe. Ale to się stało. To prawda. To straszliwa, straszliwa prawda. Musi to przerwać!

Zerwał się na równe nogi i popędził do salonu. Siobhan siedziała na kanapie, ich nowej kanapie, gapiąc się przed siebie. Rosanne niepewnie leżała na jej kolanach, strzelając oczami po pokoju. Karl padł na kolana i zaczął zbierać małe kawałki kolorowego szkła i czarnego winylu.

— Zostaw to, Karl!

— To niebezpieczne — szepnął. — Rosanne może sobie pokaleczyć łapy.

— Ja to zrobię — warknęła Siobhan — jak sobie pójdziesz. A właśnie, czy mógłbyś już wyjść? — Nie mogła na niego spojrzeć.

— Siobhan, proszę, czy możemy o tym porozmawiać?...

— Dlaczego, do diabła, miałabym chcieć o tym rozmawiać?! Posłuchaj swoich wymówek. Co za brudy. To żalosne. Ty jesteś żalony! Nic już nie ma znaczenia. Idź sobie!

— O Boże, Siobhan! Nie! Proszę! Proszę, nie rób tego! Kocham cię. Potrzebuję cię. Ja...

— Och, przestań, na miłość boską, przestań, jesteś żaloszny! Słuchaj, Karl, mówię poważnie. Chcę, żebyś sobie poszedł. Nie chcę o tym rozmawiać!

Karl się skrzywił i wybuchnął płaczem.

— Shuv, nie! — Poczłogał się na kolanach do jej stóp, objął jej nogi, całe jego ciało trzęsło się od cichego szlochu. — Nie... nie! Nie pójdę... nic się nie stało, to był błąd, idiotyzm, bzdura, byłem głupi, byłem słaby. To... jedna wielka pomyłka. Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam...

Na widok płaczącego Karla skulonego u jej stóp Siobhan się otworzyła. Widok ten złamał zimną, twardą skorupę, którą zdecydowała się otoczyć. Również zaczęła szlochać.

— Tak ci ufałam. Zawsze ci ufałam. Pytałam cię o nią, pa-miętasz, w Szkocji? A ty zrobiłeś ze mnie małą, głupią dziewczynkę. Jak mogłeś?! Byłam z tobą szczerą, powiedziałam ci o Ricku. Dlaczego i ty nie mogłeś być szczerzy ze mną? To mnie najbardziej boli. Kłamstwa. Brudne, brzydkie, cuchnące kłamstwa. Popełniłeś błąd. Ja popełniłam błąd. Dlaczego nie mogłeś się do tego przyznać? I dlaczego, Karl, dlaczego to zrobiłeś? Bo jestem gruba, dlatego! „Och, nie Shuv, jesteś piękna, kocham cię niezależnie od tego, jaki rozmiar nosisz”. Brednie! Okłamałeś mnie! Pewnie myślałeś, że jestem cholernie głupia. Nienawidzę cię, Karl, tak strasznie cię nienawidzę! — Łzy popłynęły po jej twarzy, a ramiona zaczęły drżeć. Karl jeszcze mocniej chwycił jej nogi i rozplakał się jeszcze bardziej.

— Tak cię przepraszam! Tak bardzo cię przepraszam! O Boże, co ja zrobiłem?

— Wszystko zniszczyłeś, oto, co zrobiłeś, ty głupi kutasie.

— To słowo, którego nigdy nie używała, spłynęło z jej ust niczym trucizna. — Zniszczyłeś absolutnie wszystko.

Przez parę sekund siedzieli nieruchomo. Karl nadal obejmował nogi Siobhan. Płakali tak rozdierająco i z takim bólem, że żadne z nich nie mogło wydobyć z siebie głosu. Rosanne spoglądała to na jedno, to na drugie ciemnymi oczami pełnymi troski i dezorientacji. Zaskamlała cicho i powąchała czubek głowy Karla. Karl podniósł głowę i spojrzał na nią. Pocałował ją w czubek łebka. Pochwycił wzrok Siobhan, po raz pierwszy, odkąd przyszedł do domu, nawiązali kontakt wzrokowy. Już wiedział, co ma zrobić. Jego twarz nieco pojaśniała. Wziął Siobhan za rękę.

— Nie musimy tego niszczyć, Siobhan. Możemy nad tym pracować. Będziemy silni. Przebrniemy przez to. Innym parom się nie udaje. Ale my nie jesteśmy jak inne pary. My jesteśmy wyjątkowi, damy sobie radę. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, wszystko. Wyprowadzę się na jakiś czas, jeśli tego chcesz. Ale proszę, walczmy o to. Nie możemy się poddać z powodu czegoś... czegoś tak... tak głupiego. Jeżeli się poddamy, to będzie najtragiczniejszy błąd, jaki można sobie wyobrazić, już do końca życia będziemy tego żałować — proszę. — Mocno uściśnął jej dłoń i spozjrzał na nią błagalnym wzrokiem. — Wyobraź to sobie, Shuv. My, rozdzieleni. Ja sam tutaj. Ty gdzie indziej. Osobno. Wyobraź sobie, jak to będzie naprawdę. Wyobraź sobie. Nie możemy tego zrobić, nie możemy do tego dopuścić, prawda?

Siobhan spojrziała na jego głowę leżącą na jej kolanach. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Myśl ta przepelniała ją zgrozą i bólem. Ale nie potrafiła sobie też wyobrazić, by mogło się im udać. Już mu nie ufała. Uprawiał seks z ich sąsiadką, zapłodnił ją, kłamał, nie był mężczyzną, za którego go brała, uczciwym Jerzym Waszyngtonem niezdolnym do wypowiedzenia kłamstwa. Ile takich kłamstw miał jeszcze w zanadru? Zostałby z niej wrak człowieka, nieustannie by się zamartwiała, gdzie jest — jak te kobiety, którym zawsze współczuła. Przeszukiwałaby kieszenie jego kurtki, wypytywała, co robił w ciągu dnia, węszyła zapach perfum, gdy wracałby z pracy, otwierała nad parą podejrzaną pocztę, podsłuchiwała jego rozmowy telefoniczne, przez cały czas szukałaby jego miłości, zainteresowania. Nie chciała stać się taką kobietą. Nie mogłaby żyć z kimś, komu by nie ufała. Już woli zostać sama do końca życia. Odwróciła wzrok od intensywnego spojrzenia Karla i cofnęła dłoń. Każdy mięsień w jego ciele był napięty od oczekiwania. Ze smutkiem pokręciła głową.

— Nie — powiedziała cicho. — Za późno. To już koniec.

— Nie! — zaskamlał Karl. — Boże, proszę, nie! Nie mów tak. To nie koniec, nie możemy do tego dopuścić. Jesteśmy bratnimi duszami. Musimy być razem, Siobhan, po prostu musimy!

Delikatnie zepchnęła go z kolan i podniosła się ciężko.

— Już ci nie ufam, Karl. Nie mogę żyć z kimś, komu nie ufam. Proszę, błagam cię, spakuj się i idź. Jeżeli naprawdę ci na mnie zależy, to wyjdiesz. Proszę!

Karl bardzo powoli wstał.

— Jutro — westchnął. — Wyprowadzę się jutro. — Siobhan znowu pokręciła głową. Jak otepiały, poszedł do sypialni, Siobhan zaś została w salonie, słuchając żalosnych odgłosów otwieranych i zamykanych drzwiczek kredensu, wysuwanych i wsuwanych szuflad, zamka otwieranego na walizce Karla, a następnie zasuwanego. Najsmutniejsze dźwięki, jakie kiedykolwiek słyszała. Po jej twarzy popłynęły łzy.

Karl stanął bezwładnie w drzwiach, przygarbiony pod ciężarem walizki i cierpienia. Siobhan chciała go spytać, dokąd jedzie, ale się rozmyśliła. To by było zbyt troskliwe, zbyt osobiste, zbyt... zwykle. Przez sekundę zobaczyła, jak zaledwie pół godziny wcześniej lekko wskakiwał po schodach, gotowy rozpocząć weekend. W innym świecie teraz by jedli, oglądali wideo, wypili butelkę wina, leżeli zwinięci w kłębek na kanapie, skapani w jasnej, migoczącej poświacie z lampek na choince, którą postawili w poprzedni weekend. Jak co wieczór rozmawialiby o jego audycji, a Siobhan by mu opowiedziała o swoich postępach w szyciu ślubnych sukien. Jedno z nich wyprowadziłoby Rosanne na spacer, a potem poszliby do łóżka i przed snem przez chwilę tuliliby się do siebie, żeby się ogrzać.

Ale to był inny świat, świat, w którym po południu, znudzona, znalazła dyktafon Ricka. Włączyła go i słuchała taśmy, śmiejąc się na głos. Ponieważ właśnie gotowała, nie mogła go wyłączyć na końcu. I wtedy rozpoczęła się psychodelia. Początkowo myślała, że to jakiś żart, że Tamsin i Karl się wygłupiają, więc przewinęła taśmę do tyłu i puściła znowu. Wówczas zrobiło jej się niedobrze, ogarnęły ją mdłości i wyładowała nad muszlą klozetową, cała się trzęsąc i zanosząc płaczem. Potem spryskała twarz zimną wodą, szok przerodził się w gniew i przez kwadrans zachowywała się jak obłąkana, niszcząc cały dom. To był świat, w którym znajdowała się teraz. Oto rzeczywistość: Karl stoi w drzwiach z walizką i lada chwila opuści ten dom. Łzy nie przestawały jej płynąć po twarzy.

— Zadzwoń później — powiedział cicho.

— Nie. Nie. Nie dzwoń do mnie.

— Zadzwoń później — powtórzył. Rosanne zeskoczyła z kanapy i podeszła do Karla. Schylił się i przytulił ją, mamrocąc łzawe słowa pożegnania w jej miękkie uszy, po czym wstał,

spojrzał na Siobhan i wyszedł. Trzaśnięcie drzwiami odbiło się echem po pustym mieszkaniu.

Siobhan powoli podeszła do okna i patrzyła, jak Karl otwiera bagażnik małego, czarnego samochodu, wrzuca do środka walizkę, siada na przednim fotelu, zapuszcza silnik i odjeżdża.

Kiedy samochód przejeżdżał pod oknem, Karl zwolnił i spojrzął w stronę okna ich mieszkania. Ich wzrok się skrzyżował na niespełna sekundę i wymienili spojrzenia pełne bólu nie do zniesienia. Embassy wydał z siebie cichy, mrozący krew w żyłach pisk opon i zniknął jej z oczu i z Almanac Road.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ralph po raz setny w ciągu ostatniej godziny sprawdził godzinę na zegarze zawieszonym na nagiej, białej ścianie swojej pracowni. Była 17.18. Już prawie czas iść. Jeżeli nie będzie się śpieszył, jeszcze trochę zamarudzi, to właściwie może już powoli się zbierać. Nie szkodzi, jeśli przyjedzie na Bayswater trochę wcześniej. Wieczór był przyjemny, może poczekać przy zejściu do metra. A w ten sposób, gdyby Jem też przyszła trochę za wcześniej, spędzą więcej czasu razem.

Wyłączył małe radyjko, nałożył plecak, wziął sweter i płaszcz z krzesła koło grzejnika, gdzie je suszył, szybko narzucił je na siebie, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Zimny betonowy korytarz był zastawiony mnóstwem maszyn z pracowni krawieckiej znajdującej się tuż obok i rozbrzmiewał dźwiękami drum'n'bass z odtwarzacza CD. Przeskakując po dwa stopnie naraz, wyszedł na ciemne podwórze, minął Murraya, wiecznie narąbanego ochroniarza, i wypadł na ponurą, zakorkowaną Cable Street.

Kolejny zmarnowany dzień. Kolejny całkowicie zmarnowany dzień. Nawet nie wziął pędzla do ręki. Przez pierwszą godzinę chodził tam i z powrotem po pracowni, zbierając się na odwagę, by pójść do automatu telefonicznego na korytarzu i zadzwonić do Jem. A potem, kiedy wreszcie to zrobił, przez resztę dnia chodził po pracowni tam i z powrotem, czekając na spotkanie, licząc minuty, które powoli mijały na zegarze, a żołądek z podniecenia, strachu i przerażenia zacisnął mu się w węzeł. Cholera. Nie wiedział, co, do diabła, robić, jak sobie z tym poradzić. Łamał wszystkie swoje zasady.

Smith, ty dupku, ty głupi, głupi skurwysynu. Dlaczego musiałeś mi o wszystkim mówić? Na tym polega ironia całej sytuacji. Smith powiedział Ralphowi, bo Ralph był jego najlepszym przyjacielem — komu miał powiedzieć? Odkąd Jem się wpro-

wadziła, Ralph zupełnie o tym zapomniał. Przez ostatnie trzy miesiące już nie uważał Smitha za swojego koleżę, najlepszego kumpla. Był jego rywalem, przeciwnikiem. Ralph zapomniał, zupełnie zapomniał, że przede wszystkim i ponad wszystko, jeszcze przed Jem, Smith był jego najlepszym przyjacielem. Żałował swojego zachowania, choć nie aż tak bardzo jak tamtego żalosego wybuchu dziecinnego zapału, gdy poprzedniego wieczora Smith wrócił z weekendu, podczas którego wzmacniał więź z resztą firmy.

Smith był nabuzowany od chwili, gdy tamtego niedzielnego wieczora wrócił do domu: ożywiony, rozentuzjzmowany, hałaśliwy i irytujący, w kółko nadawał o tym weekendzie. Jem poszła się wykapać. Smith odczekał chwilę, aż usłyszał trzaśnięcie drzwiami łazienki, po czym konspiracyjnym ruchem pochylił się ku Ralphowi.

— Stało się! — powiedział, niemal pękając w szwach z zachwytu i podniecenia.

— Co się stało?

— Wreszcie, wreszcie! — ciągnął Smith, nie bacząc na dezorientację Ralpa. — Wiedziałem. A nie mówiłem? Nie mówiłem? — Żartobliwie uderzył pięścią Ralpa w udo i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wyrzuć to z siebie, Ralph, na miłość boską. O czym, ty, do diabła, bredzisz?

— Oczywiście o Cheri! — Kołysał się do tyłu i do przodu.

— Ma Cheri amour! Ha!

— Co? O czym ty mówisz?

— Cóż, Ralph, przyjacielu. Moja cierpliwość się opłaciła. Jak to się mówi, sprawa jest już przesądzona. Dziś wieczorem na stacji metra na Sloane Square wpadłem na cudowną pannę Dixon. Ju-hu! Przez jakiś czas razem czekaliśmy na autobus i sobie gadaliśmy... — Z udawaną nonszalancją uniósł brwi, po czym znowu uśmiechnął się absurdalnie. — Dasz wiarę? Ja i Cheri. Gadaliśmy sobie! Nie jąkałem się, nie robiłem głupich min, niczego nie zepsułem, nie spociłem się ani nie potknąłem. Po prostu... gadaliśmy. Ha! Ona jest zaledwie jakieś trzysta osiemdziesiąt pięć razy piękniejsza, kiedy się z nią rozmawia, niż kiedy się tylko ją widzi przelotem. Boże! Coś niesamowitego.

W każdym razie całą wieczność czekaliśmy na autobus, jak już wspomniałem, gadaliśmy, a potem zaproponowałem, żebyśmy wpadli na szybkiego drinka do Oriela, żeby się ogrzać i może później wezwać taksówkę. Ekstra, nie?! Tak też zrobiliśmy. Spytałem, na co ma ochotę, a ona zamówiła butelkę wina. Całą butelkę! Zrozumiałem więc, że jest nie tylko uprzejma — bo wtedy zamówiłaby sok pomidorowy czy coś takiego, nie? I wiesz, ona jest strasznie miła, naprawdę. Wiem, że uważasz ją za zarozumiałą krowę, ale to nieprawda. O Jezu, Ralph. Jest taka piękna. Jest taka piękna. W życiu nie widziałem takiej skóry. I ma idealne dłonie, a jej włosy są jak... jak...

Ralphowi na moment odjęło mowę. Głęboko wciągał powietrze, czując, że w jego sercu radość miesza się ze zgrozą. Smith wciąż kochał Cheri! Pomimo Jem, pomimo wszystko. To cudowna wiadomość. Ale też straszna. Biedna Jem. Nie zasługuje na to. Co prawda bardzo pragnął, by Jem i Smith się rozstali, dla jego własnego dobra, ale nie mógł znieść myśli, że ktoś ją tak podle potraktował.

— O Boże, Smith. Myślałem, że już z tym skończyłeś. Myślałem, że to przeboleałeś. W co ty, kurwa, grasz? — Spojrzał na Smitha ze zgrozą i odrazą.

— Mnie się też tak wydawało. Myślałem, że to już koniec. Ale dzisiaj ją zobaczyłem i... Boże drogi. Jaka ona piękna. I można z nią porozmawiać, Ralph. Naprawdę można z nią porozmawiać...

— Ale co z Jem? Z Jem też można porozmawiać. W życiu nie spotkałem kobiety, z którą by się tak dobrze gadało...

— Jasne, wiem. Ale Jem to Jem, a Cheri to zupełnie inna bajka...

— Kto, Smith? Kto to w ogóle jest ta Cheri? Co tu się, kurwa, dzieje?

— OK. OK. Wyluzuj. Słuchaj. Sam nie wiem. Nie wiem, w porządku?! — Smith ukrzył twarz w dłoniach. — Chryste, jak można tak komuś podcinać skrzydła. Jezu...

— Posłuchaj, Smith. Nie zamierzam ci podcinać skrzydeł. Chcę ci tylko przypomnieć, że masz dziewczynę. Pamiętasz? Jem? Słodką, ufną, lojalną, wierną, kochającą Jem? Chryste...

— Z oburzeniem odwrócił wzrok. — Więc — westchnął z rezygnacją — co się stało potem?

Smith nieco się rozpromienił i wyprostował.

— No więc siedzieliśmy w Orielu, gadaliśmy, piliśmy wino, świetnie się bawiliśmy. Opowiadała mi o sobie, o tym, że miała mnóstwo facetów, ale wszystkich się pozbyła, bo — i tu uważaj — szuka Tego Jedyne! Niesamowite, nie? Szykuje miejsce dla właściwego mężczyzny. To na pewno ja! Czekam pięć lat, od pięciu lat pragnę tej kobiety, marzę o niej, myślę o niej, nawet... Cholera, nawet ją sobie wyobrażam, kiedy jestem w łóżku z Jem...

Ralph skrzywił się z odrazą.

— Ale z ciebie kutas.

— Jem pomogła mi dotrzeć do celu. Pozwoliła mi oderwać się myślami od Cheri tak długo, by moja obsesja skurczyła się do rozsądnych rozmiarów, żebym, gdy spotkam Cheri, niczego nie spieprzył. Rozumiesz? Mówię o synchronizacji w czasie. O przeznaczeniu.

— Myślałem, że nie wierzysz w takie rzeczy.

— Nie wierzę... nie wierzyłem. Teraz wierzę. Nie wierzę w przeznaczenie Jem, ale wierzę we własne. To jest to, Ralph. To jest to!

— Co?! Czy mógłbyś mi uprzejmie wyjaśnić, co się tu, kurwa, dzieje? Idziesz na drinka z tą dziewczyną z góry, ona ci mówi, że w tej chwili z nikim nie chodzi, a ty już snujesz plany na przyszłość. Co jest?! — Wzruszył ramionami i ze zdenerwowaniem uniósł ręce. — Rzucisz Jem, co? Po prostu wyrzucisz ją jak zużytą chusteczkę?

— Kurwa, Ralph, nie mogę uwierzyć, że reagujesz w ten sposób! Myślałem, że będziesz zadowolony, że się ucieszysz. Wiesz, od jak dawna kocham tę kobietę, wiesz, przez jakie piekło przeszedłem. Chryste, zanim pojawiła się Jem, przez pięć lat nie uprawiałem seksu. Przez pięć lat! Masz pojęcie, jakie to uczucie? Jem była świetna, naprawdę. Przebudziła mnie, przypomniła o wspólnych doznaniach zmysłowych, o dzieleniu się. I nie, nie zamierzam jej rzucać. W każdym razie jeszcze nie teraz. To dopiero początek mojego związku z Cheri. Muszę sobie zasłużyć na jej zaufanie. Samo to, że ja wiem, że jesteśmy sobie przeznaczeni, nie oznacza, że i ona wie. Nie, muszę działać powoli...

— ...a tymczasem będziesz się zabawiał z dobrą, starą Jem, tak? Smith, jestem przerażony. Budzisz we mnie przerażenie

i wstręt. Prawdę mówiąc, taki wstręt, że nie chce mi się już z tobą gadać. — Ralph wstał i spojrzął w dół na przyjaciela. — Jem jest chyba najlepszym człowiekiem, jakiego znam... nie, właściwie to jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem, i nie życzę sobie siedzieć tu i patrzeć, jak ją traktujesz. Powiem jej o wszystkim, i to zaraz!

Smith zerwał się na równe nogi.

— Kurwa, ani mi się waź! Ani mi się, kurwa, waź! Jeśli jedno słowo, choć jedno słowo padnie z twoich ust, łądujesz na ulicy, stary. — Jego twarz znalazła się zaledwie parę milimetrów od twarzy Ralpa. — Mówię poważnie. Jedno słowo i wynosisz się stąd. Jesteś moim kumplem, Ralph — powiedział, przeczesując włosy palcami. — I mam nadzieję, że nim pozostaniesz. Ale kumple trzymają się razem, nie? Nie stają po stronie dziewczyn. Znamy się od piętnastu lat. Jem znasz od piętnastu minut. Twój wybór. OK? Ale niech ci się nie zdaje, że bym tego nie zrobił. Bo zrobię.

Wziął pilota, oparł nogi na stoliku i włączył telewizor.

Ralph spojrzął na Smitha, który siedział na kanapie w wymiętym garniturze i krawacie, z przystojną twarzą całkowicie wyzutą z uczuć, i przez chwilę z osłupieniem zastanawiał się, jak dziewczyna tak spostrzegawcza, mądra i rozsądna jak Jem w ogóle mogła dopuścić do siebie myśl, że takie emocjonalne warzywo jak Smith to mężczyzna odpowiedni dla niej, mężczyzna, o którym śniła od szesnastego roku życia.

Powoli i ze smutkiem wyszedł z pokoju i skierował się prosto do swojej sypialni.

Tej nocy nawet nie zmrużył oka. Targały nim sprzeczne uczucia. Podniecenie, bo wiedział, że wkrótce coś położy kres głupiemu zadurzeniu Jem. Frustracja, bo wyznanie jej wszystkiego oznaczałoby katastrofę. Uczucie hipokryzji, bo sam nie był święty. Współczuł Smithowi, bo ten był gówniarzem, i współczuł Jem, bo Smith robił z niej idiotkę. W pewnym sensie spełniały się jego marzenia, uzyskał potwierdzenie tego, co zawsze podejrzewał — że Smith nie jest wart Jem i jej bezwarunkowej miłości. Potwierdzenie, że Smith nie zasługuje na dziewczynę taką jak Jem.

Rzucał się i przewracał na łóżku, myśli szalały w jego głowie niczym kulki do gry, wstał wcześniej, jeszcze przed Jem i Smi-

them i z ciężkim sercem udał się do pracowni. Jeszcze się nie zdecydował, co powie, kiedy zadzwoni do Jem, wiedział tylko, że musi z nią porozmawiać. Spędzili razem taki cudowny weekend i, pomimo wczorajszej sceny ze Smithem, nie chciał, by czar ten przysł.

A teraz stał na ponurym peronie stacji Limehouse DLR, czekając niecierpliwie na rzadko jeżdżące pociągi, a w jego umyśle nadal panowało istne pandemonium, gdy tak się zastanawiał, co, do diabła, robić. Powinien? Nie powinien? Straszny kanał, jeśli jej powie. Smith zorientuje się, że to Ralph jej o wszystkim powiedział, i wyrzuci go z mieszkania. Ale w końcu już dość długo jechał na gapę. Kiedyś Smith i tak chciałby zamieszkać na stałe z jakąś dziewczyną, czy byłaby to Cheri, Jem czy inna, i zostawiłby Ralpha na lodzie.

Może nadeszła pora, by spróbował stanąć na własnych nogach, przestać używać Smitha jako laski inwalidzkiej. Ale stracił przyjaciela, najlepszego przyjaciela. Czy to jeszcze ma jakieś znaczenie? Z niejasnym zdziwieniem poczuł ból w sercu, gdy się nad tym zastanawiał. Ból ten jednak był niczym w porównaniu z potwornym cierpieniem, które przeszywało całą jego istotę, gdy wyobraził sobie, że mógłby utracić Jem. Większej straty nie potrafił sobie wyobrazić. Może Jem znenawidzi go za to, że jej o wszystkim powiedział, że zniszczył jej szczęście i rozwiął marzenia. Może wyładuje na nim swój gniew na Smitha, by powetować sobie cierpienie i rozczarowanie. To byłby najgorszy scenariusz — wtedy straciłby wszystko.

Uświadomił sobie, że najbezpieczniejszym wyjściem z możliwych jest nie mówić nic. Smith to kupa gówna, już to udowodnił, a najlepsza decyzja jest taka, by nie pisać ani słowem, uzbroić się w cierpliwość, inwestować w cudowny związek z Jem, a potem być przy niej, pomóc się pozbierać, kiedy jej życie legnie w gruzach, co musi się stać w pewnym momencie w przyszłości.

Istniał jednak problem — niejasność tej koncepcji: „w pewnym momencie w przyszłości”. Co to za sposób na życie — czekać, aż twojej ukochanej pęknie serce, bo wtedy spełni się twoje przeznaczenie, wtedy będziesz szczęśliwy? No i może cała ta brednia z Cheri w ogóle nie wyjdzie na jaw i Smith już do końca życia będzie trzymał Jem na podorędziu? Może spieprzy

wszystko dopiero po dziesięciu latach, kiedy dorobią się już czwórki dzieci, domku na wsi i będą z litości raz lub dwa razy w roku zapraszać do siebie Ralpa? Nie. Nie mógł do tego dopuścić. Nie chciał, mając czterdzieści lat, spoglądać tęsknie i znacząco na Jem ponad stołem przy kolacji, wciąż żywiąc urazę do Smitha.

Pociąg wreszcie zakradł się ze skrucą na peron i Ralph wsiadł, zbyt wdzięczny za ciepło, by gniewać się na opóźnienie.

Była też kwestia zasad moralnych. Niektórym ludziom, może również Jem, czytanie czyjegoś pamiętnika może się wydawać jednoznaczne ze zdradą. Czy naprawdę miał prawo prawić morały na temat postępów Smitha? Czy miał jakiegokolwiek prawo, by wyjawiać Jem jego sekret, nie oczyściwszy się uprzednio ze swego podstępного, nieuczciwego zachowania? Nie bardzo. Ale jak miał to zrobić? Jak mógł podczas jednego krótkiego spotkania powiedzieć Jem, że: a) kiedy jest w łóżku ze swoim chłopakiem, ten snuje fantazje na temat nieosiągalnej kobiety, w której kocha się od pięciu lat, b) jej współlokator przeczytał jej pamiętnik i wiele razy w ciągu trzech miesięcy myszkował po jej pokoju i c) wspomniany wyżej współlokator jest w niej beznadziejnie, namiętnie i bez pamięci zakochany i chce z nią spędzić resztę swojego życia. A tak przy okazji, jak ci smakuje to jale frezi? Cholera.

Kiedy kierował się w stronę linii Circle, ani trochę nie zbliżył się do podjęcia decyzji. Każda opcja zawierała same wady, ani jednej zalety czy choćby czegoś pośredniego. A gdzie ta opcja, w wyniku której Jem uświadomiłaby sobie, że jest do szaleństwa zakochana w Ralfie, bez słowa zostawiłaby Smitha i wszyscy żyliby długo i szczęśliwie? Nie istnieje, otóż to.

Będzie musiał działać na wyczucie. Sprawdzić, jak się będzie czuł z Jem w restauracji. Może i ona coś podejrzewa, nigdy nic nie wiadomo. Wówczas on tylko potwierdzi jej przypuszczenia, nie sabotując złośliwie życia Smitha. Tak, tak właśnie robi. Niczego nie będzie planował, niczego nie postanowi. Działać Na Wyczucie...

Metro wreszcie wjechało na stację Bayswater, Ralph wygramolił się z wagonu i poczłapał schodami w stronę jasnych świateł i atmosfery całonocnego bazaru na Queensway na górze. Jem jeszcze nie przyszła. Rozejrzał się w poszukiwaniu zegara — by-

ło dwadzieścia trzy po szóstej. Stał na skraju stacji, ręce wcisnął głęboko w kieszenie. W zimnym nocnym powietrzu dostał lekkiego kataru. Stanowczo odsuwał od siebie myśli, które wdzierały się w jego umysł, powtarzając sobie mantrę: „Działać Na Wyczucie, Działać Na Wyczucie...”

Staruszka na przeciwległym rogu mamrotała pod nosem jakies sprośności i powoli zadzierała całe metry brudnej, szarej spódnicy. Zażenowany odwrócił wzrok, ale nie mógł się powstrzymać i raz jeszcze szybko zerknął na nią. Pokazywała mu pomarszczoną jak suszona śliwka, bezwłosą cipkę i uśmiechała się, odsłaniając poczerńiałe pieńki zębów.

— Masz ochotę, nie, kochanieńki? — mamrotała. Ralph znowu odwrócił wzrok. Co za obrzydlistwo...

Queensway nigdy nie zasypiała, ale tylko dlatego, że nie mieszkali na niej Anglicy — znajdowały się tam same biura wynarjmowane przez firmy, i hotele, w których płaci się raz na tydzień, australijskie, arabskie i afrykańskie sportowe puby z dużymi telewizorami, całonocne kafejki, hałaśliwe restauracje, i wszędzie rozbrzmiewały dźwięki głośnych rozmów w obcych językach. Za każdym razem, gdy człowiek się znalazł na Queensway, miał niejasne wrażenie, jakby wyjechał na wakacje. Nie było to przytulne miejsce, w którym można siedzieć w kapciach przed telewizorem, popijając kakao i jedząc zapiekankę pasterską.

Ralph znowu zerknął na zegar, uważając, by nie zwrócić na siebie uwagi odrażającej ekshibicjonistki, która wciąż stała na przeciwko niego, i teraz, jak podejrzewał, sikała na ścianę. Było dwadzieścia dziewięć po szóstej.

Działać Na Wyczucie. Działać Na Wyczucie.

— Na kogo czekasz?

Ralph odwrócił się, słysząc tuż przy uchu cichy kobiecy głos. To była Jem.

— O cholera. Dzięki Bogu. To ty. Myślałem, że to moja znajoma bez majtek.

— Śliczna, nie? Pokazała ci już swoją cipkę?

Ruszyli przed siebie.

— Jak ci minął dzień? — spytała Jem.

— Och, do dupy. Nic nie zrobiłem...

— O, jaka szkoda. Dlaczego?

— Miałem mnóstwo do przemyślenia.

— Na przykład?

— Och, nic takiego. Wiesz, takie tam...

— Chciałbyś o tym porozmawiać?

— Nie, raczej nie. Może później. — Tak, dobrze, pomyślał Ralph. Położyć podwaliny pod ewentualną późniejszą rozmowę.

— A co u ciebie? — Spuścił wzrok i uśmiechnął się do niej. Niezwykle mu się podobało to, że aby się do niej uśmiechnąć, musiał spoglądać w dół. To takie... takie... rozczulające...

— Okropnie, po prostu okropnie. Poniedziałek z piekła rodem. Ale to za nudne, żeby o tym rozmawiać. No to opowiedz mi o tym jal frezi.

Gawędzili po drodze o curry, o tym i o owym, o niczym w szczególności. Ralph miał wrażenie, że zaraz wykipi jak wrzące mleko, a nie mógł przykręcić ognia. Nie miał ochoty na gadkę-szmatkę. Nie miał ochoty udawać, że są tylko przyjaciółmi. Nie miał ochoty iść na curry z Jem, a potem wrócić do domu i patrzeć, jak Jem znika w obrzydliwych ramionach Smitha. Chciał... chciał... Działać Na Wyczucie, przypomniał sobie, Działać Na Wyczucie. Ale to na nic. Cały czas działał na wyczucie, a to wyczucie mówiło mu, żeby się odważyć, postawić na szali całe swoje życie, zagrać *va banque*. Tak, panie krupierze, postawię na czerwone swoje limuzyny, jacht i dom w Kolorado...

Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze. Doszli do restauracji. Gwałtowna zmiana atmosfery na parę chwil ostudziła jego wrzenie.

— Ojej! — wykrzyknęła Jem. — Co za miejsce!

Dziesiątki kelnerów bez uśmiechu, w obcisłych, czarnych spodniach, uwijało się zręcznie w gąszczu stolików, trzymając w górze ogromne srebrne tace z czerwonym, zielonym, brązowym i kremoworóżowym curry oraz z poduchowatym, białym chlebem *naan* tworzącym miniaturowe krajobrazy księżycowe. Setki głośno rozmawiających gości siedziały na tle kolonialnych malowideł w tonacji miętowej zieleni i lodowego błękitu, między olbrzymimi palmami z kutego żelaza i pod dwumetrowymi wiatrakami wirującymi rozpaczliwie pod sufitem, by nieco ochłodzić potworny skwar, który panował wewnątrz.

Frenetyczny kelner zaprowadził ich do stolika, rzucił im dwie karty i zniknął bez uśmiechu.

— Raczej nie jest to najprzytulniejsze miejsce na świecie

— szepnął Ralph — ale tylko spójrz na te ceny.

Przeczytali menu, wybrali potrawy i zaledwie sekundę po tym, jak zamknęli karty, pojawił się ten sam żyłasty kelner, z naburmuszoną miną przyjął zamówienie i znowu szybko zniknął. Po trzydziestu sekundach pojawiło się ich piwo Cobra.

— Szybki przerób — roześmiał się Ralph, nagle sobie uświadamiając, że wybrał nieodpowiednie miejsce na rozmowę w cztery oczy; jeżeli w tym miejscu siedziałeś dłużej niż piętnaście minut, do twojego stolika wysyłano oczekujących klientów, by stali nad tobą jak kat nad dobrą duszą.

— Cóż — powiedziała Jem, uśmiechając się do Ralpa znad szklanki z piwem. — Ładnie tu, prawda?

Ralph był zaskoczony. Już zapomniał, jak tu ładnie. Teraz to miejsce kojarzyło mu się tylko z czyścem.

— Tak — powiedział radośnie. — Chyba tak... rzeczywiście bardzo ładnie.

— Mmm. — Jem odwróciła wzrok od Ralpa, po czym znowu na niego spojrzała. — Jaka... jaka to okazja?

— Co masz na myśli?

— Po prostu — mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiesz — kiedy dzisiaj do mnie dzwoniłeś, żeby się umówić, miałam takie wrażenie, że... że chcesz mnie zaprosić na randkę.

— Naprawdę? Dlaczego tak pomyślałaś? — Ralph zakrztył się się cobrą.

— Och, sama nie wiem. Byłeś trochę podenerwowany, a rozmowa nieco utykała. Trochę mi to przypominało umawianie się na randkę. I to tyle — zakończyła, czekając na odpowiedź.

Gadka-szmatka się skończyła.

— Dobra. — Ralph podrapał się po brodzie. — Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Zadzwoiłem do ciebie w zupełnie niewinnym celu: nudziłem się i nie miałem nic lepszego do roboty, niż zadzwonić do nudnej, starej Jemimy Catterick, zaprosić ją na curry, żeby nie siedzieć tu sam jak palec, a ty pomyślałaś, że chcę się z tobą umówić na randkę. Co za tupet!

— Och, przestań! — roześmiała się.

— Ty zaś — Ralph zaczynał się rozkręcać — całkowicie błędnie uznał, że zapraszam cię na randkę, co jest oczywiście absurdalne, zamiast powiedzieć: „Ależ panie Ralph, jakże bym mogła, moje serce należy do innego, jesteś pan łotr i drań”, przyjęłaś ofertę, którą bezwstydnie wzięłaś za zaproszenie natury

romantycznej, i oto znalazłaś się tutaj i siedzisz ze mną przy jednym stoliku, bez przyzwoitki! Jak mam to rozumieć?

— Och, Ralph, ty wariacie! — Jem zaczerwieniła się intensywnie.

— Przepraszam. — Roześmiał się. — Twoja twarz. Jest jak obraz. Wyglądasz tak słodko. — Spuścił wzrok na swe duże dłonie o długich palcach, przykrywające maleńkie białe dłonie Jem, i poczuł ciepło w żołądku. Ich dłonie wyglądały tak dobrze razem. Chciał je widzieć razem już do końca życia. Kciukiem pogładził brzeg jej dłoni. Nie zrobiła żadnego ruchu, by ją cofnąć. — Takie drobnutkie dłonie — wymruczał. Ucisnął je i spojrzął na Jem, posyłając jej nieco oblesny uśmiech, bo tylko na tyle było go stać, po czym znowu spojrzął w dół na ich dłonie. — Miałaś rację. — Zerknął na nią nieśmiało spod rzęs.

— Rzeczywiście chciałem się z tobą umówić na randkę. To praw-

da. — Znowu się uśmiechnął, unióśł brwi i rzucił jej spojrzenie, które mówiło „Przyłapałaś mnie”. — Ja... tak dobrze się bawiliśmy w weekend, to był... to był jeden z najfajniejszych weekendów w moim życiu, słowo daję. I chciałem się znowu z tobą spotkać, poza domem, bez Smitha i w ogóle. Po prostu... po prostu uwielbiam z tobą przebywać, naprawdę i... — Przelknął ślinę i szybko zerknął na Jem, która przyglądała mu się ciepło i wyczekująco. Wyprostował się i spojrzął jej prosto w oczy.

— Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza — dokończył, znowu odwracając wzrok.

— Oczywiście, że nie — odparła. — Już ci mówiłam, że ja też bardzo lubię twoje towarzystwo. Znamy się zaledwie od trzech miesięcy, ale już cię uważam za jednego z moich najlepszych przyjaciół.

— O Boże, Jem, ogromnie mi miło. Ale ja nie o tym mówię. Mówię o miłości. Prawdziwej miłości. Nie takiej na pół gwizdka, nie kumpelskiej, ja naprawdę, naprawdę uwielbiam z tobą przebywać. Ja... — Na chwilę się zawahał, a gdy pękła tama, po jego czole zaczął spływać łaskoczący strumyczek potu. — O Boże, Jem. Kocham cię. Jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedziałem. Mówię poważnie. Szaleję za tobą. Uważam, że jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam. Cały czas o tobie myślę i już nie mogę udawać, że nic do ciebie nie czuję. Jestem potwornie zazdrosny o Smitha. Nigdy dotąd nie myślałem poważnie o mi-

łości, o odpowiedniej kobiecie, o stałym związku z jedną osobą. A potem ty się wprowadziłaś i początkowo... początkowo w ogóle sobie nie zdawałem sprawy, jaka jesteś niezwykła — byłaś po prostu współlokatorką, której w ogóle sobie nie życzyłem. A potem cię poznałem, przywykłem do twojej obecności i stopniowo zacząłem coraz bardziej cię lubić. I pewnej nocy zrozumiałem — tej nocy, kiedy zrobiliśmy sobie te zawody w jedzeniu chilli. Nagle zrozumiałem, bez cienia wątpliwości, że się w tobie zakochałem. Jem, jesteśmy sobie przeznaczeni. Pasujemy do siebie. Bylibyśmy najbardziej niesamowitą parą na świecie, wiesz... magia, to istna magia, kiedy jesteśmy razem, zauważyłaś to? Już nie mogę się z tobą tylko przyjaźnić, Jem, rozumiesz? Nie chcę, żebyś lubiła mnie jako przyjaciela. Chcę, żebyś czuła to samo do mnie, co ja do ciebie, a niekiedy... niekiedy wydaje mi się, że już to czujesz. — Odetchnął powoli z ulgą i uniesieniem. Czuł się jakies sześćdziesiąt kilo lżejszy, zrzucił z serca ciężar uczuć i emocji, które przytłaczały go od ostatnich dwóch miesięcy. — Wiem też, że kiedyś już to wszystko słyszałaś. Wiem o Nicku i Jasonie, i innych. Wiem, że usłyszałaś tyle miłosnych wyznań, że starczyłoby ci do końca życia...

— Co?! — Jem miała oczy jak spodki.

— ...ale słowo ci daję, że ja nie jestem taki. Ja bym cię nie chciał zmieniać, kontrolować. Chcę, żebyś była dokładnie taka, jaka jesteś. Tak więc, jeżeli ci się nie narzucam, nie zasypuję cię kwiatami, wierszami i listami miłosnymi, to nie dlatego, że cię nie kocham, ale dlatego, że właśnie kocham. Rozumiesz?

— Co?! Wróć! Cholera jasna, skąd wiesz o Nicku i... i Jasonie, i innych?

Ralph spojrział na rozwścieczoną twarz Jem i ciężko wypuścił powietrze. Oj, co tam, pomyślał. Teraz nie mam już nic do stracenia. Równie dobrze mogę się do wszystkiego przyznać. Wziął głęboki oddech.

— O Boże, Jem. Proszę, nie przejmuj się tak, spróbuj mnie zrozumieć. To zabrzmiało strasznie, ale... ale... przeczytałem twoje pamiętniki. Najmocniej cię przepraszam. Czytam je, odkąd się wprowadziłaś. Właściwie to nie tylko, robiłem jeszcze coś więcej. Godzinami przesiadywałem w twoim pokoju, po prostu, żeby odetchnąć jego atmosferą, побыć wśród twoich rzeczy. Wiem o tobie wszystko. Wiem, że w okresie dojrzewania czułaś się

brzydka, wiem o wszystkich tych zakochanych w tobie chłopcach, o tych zaborczych, wymagających mężczyznach, którzy próbowali cię zmienić, kontrolować. Wiem o tobie wszystko i uważam, że i ty powinnaś się dowiedzieć wszystkiego o mnie.

Wiem, że zrobiłem źle, nigdy przedtem nie robiłem takich rzeczy, słowo daję. Po prostu... ciągnęło mnie... ciągnęło mnie do ciebie. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale to prawda. I dzięki temu stałaś mi się taka bliska. Tak bardzo chciałem się zbliżyć do ciebie. Nie potrafię stworzyć intymnej więzi, Jem. Umiem tylko w ten sposób. Bardzo, bardzo, bardzo cię przepraszam.

Naprawdę. Tak bardzo cię przepraszam, Jem. — Na jego twarzy pojawił się ten wspaniały krzywy, leniwy uśmiech biegnący od lewej do prawej strony. — Proszę, Jem, powiedz coś. — Wstrzymał oddech i czekał na jej odpowiedź.

Twarz Jem była sinofioletowa.

— Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę uwierzyć, że czytałaś moje pamiętniki! To... to straszne! Chryste, Ralph. Myślałam, że jesteś moim przyjacielem! Słuchaj. Możesz sobie dać spokój, możesz sobie dać spokój ze wszystkim. Nie niszczy się prywatności swoich przyjaciół, nie myszkuje się w ich osobistych rzeczach. Na samą myśl robi mi się niedobrze...

— Proszę... Jem... proszę, spróbuj mnie zrozumieć...

— Nie, Ralph. Nie rozumiem. I od tego dnia, od tej chwili, ty i ja jesteśmy tylko współlokatorami, ni mniej, ni więcej, żadnych curry, żadnych pogaduszek, nic poza tym. Trzymaj się z daleka ode mnie, a wszystko będzie dobrze. Zapomnijmy, że to w ogóle miało miejsce, OK?!

— Nie! Jem! Błagam! Nie chcę, żebyśmy o tym zapomnieli. Cieszę się, że to się stało. Chciałem, żeby to się stało. Proszę, porozmawiajmy.

— Ralph, nie słyszałaś, co powiedziałam? Dosyć tego. Koniec. Chcę iść do domu. Zapłaćmy.

Schyliła się, żeby wziąć torebkę, zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu portmonetki, a jej pierś gwałtownie unosiła się i opadała od powstrzymywanych łez. Świat wirował wokół jej głowy jak zepsuty helikopter. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka skołowana. Była wściekła, tak bardzo wściekła na to, że Ralph czytał jej pamiętnik, myszkował w jej pokoju. Ale czuła jeszcze coś poza tym. Mogła przeboleć to, że przeczytał jej pa-

miętnik. Nie była zbyt skryta, nie miała niczego do ukrycia. Straszne, że to zrobił, ale mogła sobie z tym poradzić. Nie mogła sobie natomiast poradzić z lawiną uczuć wywołanych przez jego wyznanie miłości, wyznanie tego, o czym — gdyby miała być uczciwa wobec siebie — wiedziała przez cały czas. Ralph był w niej zakochany. Otworzył worek, z którego wysypała się cała masa tajemnic. Zabawa się skończyła. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Chciałaby móc roześmiać się beztrudnie, poklepać Ralpha po dłoni i powiedzieć mu słodko, że i ona go kocha, ale nie w ten sposób, że jej serce i przeznaczenie należy do Smitha, a od Ralpha chce tylko przyjaźni. Ale nie potrafiła. Bo to była nieprawda.

O żeż w mordę. Kochała go. Kochała Ralpha. Kochała to, że w jednej ręce trzymał jednocześnie szklankę z piwem i papierosa. Kochała to, że w każdy niedzielny poranek oglądał w łóżku *Waltonów*. Kochała to, że zawsze zatrzymywał się na ulicy, żeby pogłaskać mijanego pieska. Kochała to, że wrzeszczała na ludzi występujących w telewizji, kiedy się z nimi nie zgadzała. Kochała jego dłonie i długie, kościste stopy. Kochała jego leniwy uśmiech i to, jak zaczynał świszczeć, kiedy zanosił się od histerycznego śmiechu. Kochała to, że mogła mu powiedzieć absolutnie wszystko, a on robił z tego temat do rozmowy, choćby był to największy idiotyzm lub banał. Kochała jego fascynację codziennością, to, że zawsze dostrzegał piękny zachód słońca, niezwykle układ chmur, chimere*¹⁵ ukrytą z boku budynku lub oczko w czyichś pończochach. Kochała lukę między jego zębami, powstałą w wyniku wybicia zęba na meczu futbolowym, i kochała malutką bliznę weinającą mu się pod włosy, która mu została po koncercie Clash w 1979 roku, gdy przypadkowo dostał w głowę wzmacniaczem.

Kochała go, a teraz okazało się, że i on kocha ją. Mogli być razem, mogli po prostu wziąć się za ręce, odejść w stronę zachodzącego słońca i żyć długo i szczęśliwie. Mogli się kochać.

Szybko spojrzała na niego. Siedział odwrócony od niej, nadermnie usiłując zwrócić na siebie uwagę kelnera. Spojrzała na słodki trójkącik włosów u nasady jego karku, którego zawsze chciała dotknąć, na przygarbione z rezygnacją ramiona. Był taki

15 * Chimera — rzeźba na dachu budynku.

uroczy. Nawet gdy z gniewu zalała ją fala adrenaliny, nawet gdy zatamowała swe uczucia do niego, nawet wtedy pragnęła odwrócić się, wziąć go w ramiona i porządnie wycałować. Kochała go. Pragnęła go. Nigdy go nawet nie pocałowała...

Ale nie mogła go kochać. Po prostu nie mogła. Co ze Smithem? Śluza znowu się zamknęła.

Ralph odwrócił się i ich spojrzenia się skrzyżowały.

— Jem... — zaczął błagalnie.

— Nie! — warknęła.

— Proszę...

— Nie!

Wyszli z restauracji spowici w ciężką chmurę milczenia, zatrzymali taksówkę i pojechali do domu, a po drodze atmosfera gęstniała między nimi niczym cement.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tamtej nocy, gdy Siobhan go wyrzuciła z domu, Karl pojechał prosto do Toma i Debbie, skąd dzwonił do niej co dziesięć minut, za każdym razem słuchając z niedowierzaniem własnego głosu na automatycznej sekretarce informującego, że nie ma go w domu, ale może zostawić wiadomość. Oczywiście, kurwa, że go tam nie było!

Następnego dnia co pół godziny dzwonił do jej matki, aż w końcu pani McNamara warknęła, że zadzwoni na policję, jeżeli będzie nadal ją nagabywał. Siobhan nie chciała z nim rozmawiać. Teraz niewiele sobie przypominał z ubiegłego wieczora, wszystko stanowiło wielką, czarną, pijaną plamę. W poniedziałek po południu powłókł się do pracy.

I wtedy stało się — wszystko się zmieniło.

Niczego nie planował. Ostatnią rzeczą, o jakiej myślał w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin, była jego audycja. Był jednak DJ-em. Nie mógł wymigać się chorobą. Pojechał więc jak otepiały, pozwalając, by automatyczny pilot zmieniał biegi.

— Wszystko w porządku, stary? — spytał producent John, gdy Karl z nieprzytomnym wyrazem twarzy wtoczył się do studia.

— Tak, tak. — Wszystko się zmieniło. Jego studio było jakieś inne, John był mu zupełnie obcy. Przejrzeli listę piosenek. To zabawne, pomyślał, jest DJ-em, człowiekiem, który puszcza płyty, nadaje piosenki z tekstami, które poruszają struny w sercach nieszczęśliwie zakochanych w całym Londynie. Zastanawiał się, ileż to już razy nastawiał *The Sun Ain't Gonna Shine Any More* i ile razy jakiś biedny, zrozpaczony, samotny palant włączał radio w swym pustym mieszkaniu, słyszał tę piosenkę i czuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż przedtem. Robił to ludziom, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. A teraz przyszła jego kolej. Jednak mógł to kontrolować, mógł zmienić listę utworów.

Mógł puścić Spice Girls, *I Will Survive* i *Aga-fucking-doo* i stłumić swój ból. Mógł się zabawić w Boga.

Ale nie chciał. Wolał trzymać się listy i stawić czoło konsekwencjom. Zresztą komu by się chciało być Bogiem?

Przejrzał listę, szukając niebezpiecznych min, lecz wiedział, że emocje dopadną go dopiero, kiedy zacznie słuchać piosenki, kiedy jej słowa zabrzmiały w jego uszach.

— Na pewno wszystko w porządku? — powtórzył John.

— Tak, tak.

Dlaczego nic nie czuje? Niczego nie czuł. Tylko otepienie, wrażenie nierealności i pustkę. Nie chciało mu się płakać. Nie chciał uciekać. Nie chciał tu siedzieć. Rzeczy same się działy, słowa padały z jego ust, ręce się poruszały, ujmując filiżankę kawy, nogi krzyżowały i prostowały, oczy czytały i odszyfrowywały tekst, ale on nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, to się działo samo. Zastanawiał się, czy jego twarz dałaby radę się uśmiechnąć, czy jego gardło wydobyłoby głośny śmiech. Może i tak.

Mr *Pitiful*^{*16} Otisa Reddinga — to pierwsza piosenka. Pamiętał ją. Była na taśmie, którą nagrał dla Siobhan tuż po tym, jak się poznali. Wiadomo, kiedy ludzie są za młodzi, by dobrze znać samych siebie, nagrywają dla przyjaciół kasety, mówiąc w ten sposób: „Taki jestem, oto ja, a ponieważ bardzo cię lubię, chcę, byś i ty to polubiła”, zanim znajdą pracę, kupią sobie samochód czy mieszkanie i zbudują historię swojego życia lub osobowość, które będą mówiły same za siebie. Tak więc nagrał dla niej niezliczone mnóstwo kaset, całymi godzinami starannie przeglądał swoją kolekcję płyt, szukając odpowiednich utworów, nagrywał je na dziewięćdziesiątki, które kupował w hurtowych ilościach u Woolies. Potem dawał je Siobhan z dumą, pragnąc, by i ona je pokochała, by pokochała jego muzykę, tak jak i on ją kochał. Tak też się stało. Dzięki temu pokochał ją jeszcze bardziej niż przedtem...

Wiadomości zostały odczytane, prognoza pogody zapowiedziana, zdano raport ze stanu ruchu ulicznego. Karl miał pustkę w głowie. Co ma powiedzieć? Co zazwyczaj mówił? Nie mógł sobie przypomnieć. Nie pamiętał nawet, jaki jest dzień, miesiąc.

¹⁶ * *Mr Pitiful* (ang.) — dosłownie „Pan Żaloszny”.

Zegar odmierzał sekundy. Pięć... cztery... trzy... dwie... jedna. Karlowi kompletnie zaschło ustach. Głos ugrzązł mu w gardle. Karl przestał istnieć... Rozległ się jego dżingiel, na ułamek sekundy zapadła cisza spotęgowana przez obecność dziesięciu tysięcy słuchaczy. John wytrzeszczył na niego oczy, asystent sięgnął po mikrofon, gotów wkroczyć do akcji i wtedy, wreszcie, Karl otworzył usta.

— Dobry wieczór, Londynie, słuchacie ALR, najlepszej stacji w mieście, mówi Karl Kasparov. Jest wpół do czwartej, w stolicy kraju nadajemy audycję „Radio kierowcy”. Do świąt zostały tylko trzy dni na zakupy, tak mi przynajmniej powiedziano, a oto moja ulubiona piosenka — dla wszystkich leniuchów, którzy nie kupili jeszcze ani jednego prezentu. Jest zatytułowana... *Mr Pitiful*.

Zsunął słuchawki z uszu i rozejrzał się wokół ze zdumieniem. Nie poświęcił nawet jednej myśli na to, co ma powiedzieć, kiedy znajdzie się na antenie, a jednak mu się udało — to była jego druga natura. John z ulgą pokazał mu wzniesione kciuki. Karl to profesjonalista. Wszystko pójdzie dobrze.

I szło dobrze. Przez następne przynajmniej piętnaście minut był zdumiewająco dobry. Jak burza przemknął przez przerywniki, prześlizgnął się przez REM i Manie Street Preachers. *Olliver's Army* to bułka z masłem. *Respect* Arethy — nie ma sprawy. *Wonderwall* nawet odrobinę nie podkopał jego profesjonalizmu. Trochę pożartował sobie na antenie z Johnem, wypił kawę, uśmiechnął się, a nawet trochę pośmiał. Po prostu prowadził swój program. Znowu zaczął się czuć niemal normalnie.

I wtedy... nie spodziewał się tego, ta piosenka nie należała do jego ulubionych, w ogóle mu się nie kojarzyła z Siobhan czy choćby z jego młodością: *The Bitterest Pill*^{*17} zespołu Jam.

Coś w tej piosence siłą wdarło się w jego uczucia. Uwielbiał Jam. Siobhan też uwielbiała Jam. I, to prawda, musiał przelknąć najbardziej gorzką pigułkę, to był koniec wszystkiego, początek nicości. A wszystko przez niego. Jego umysł mimowolnie wypełnił się wizjami Siobhan, uśmiechniętej, śmiejącej się. Poczul jej zapach i dźwięk jej głosu.

I wtedy zaczął płakać. Początkowo powoli, lży ledwo ciekły mu po obu stronach nosa. Odwrócił się od Johna i reszty ekipy,

¹⁷ * *Bitterest pill* (ang.) — dosłownie „gorzka pigułka”.

otał je i wziął parę głębokich oddechów. Zostało czterdzieści pięć sekund do końca piosenki. Zaczął oddychać coraz szybciej, a strumień łez przybrał na sile. Jeszcze tylko trzynaście sekund.

Cały aż zanosił się od płaczu i nagle sobie uświadomił, że nie da rady powstrzymać fali rozpacz. John rozmawiał z kimś przez telefon, asystent wyszedł do toalety, nikt nic nie zauważył. Trzy sekundy... dwie... jedna. Powinien był nastawić kolejną piosenkę, przejść do kolejnego utworu, dać sobie czas na dojście do siebie. Ale nie zrobił tego, nie przyszło mu to do głowy. W eterze zaległa cisza przerywana jedynie jego ciężkim oddechem, gdy Karl próbował wziąć się w garść. Przypominała niezręczne milczenie na przyjęciu, z tym że była tysiąc razy gorsza. John odłożył słuchawkę i gapił się na niego ze zgrozą. Cisza trwała dalej. Karl płakał.

I w końcu przemówił. Wiedział, że nie powinien. Wiedział, że w końcu John puściłby jakiś dżingiel, reklamę, cokolwiek. W radiu nie wolno sobie pozwalać na takie zachowanie. W radiu najważniejszy jest profesjonalizm, brak przerw, technologia, muzyka. Nie było tam miejsca na złamane serce czy nieszczęście. Nie było miejsca dla niego.

— Prze... przepraszam — zaczął niebezpiecznie drżącym głosem, grubym i matowym od płaczu. — Ja... ja...

Wszystko w studiu zamarło. John stał jak wryty z szeroko rozdziawionymi ustami i ręką przyklejoną do policzka. Ustała wszelka krzątanina, zwykłe czynności, został tylko nieszczęśliwy mężczyzna, który cicho przemawiał do mikrofonu, jak do najlepszego kumpla w pubie, a łzy lały mu się strumieniami po policzkach.

— Miałem fatalny weekend... rzuciła mnie dziewczyna. John zamrugał i zakrył twarz dłońmi.

— O Jezu kochany — wymamrotał. — On się bawi w Blackburna*¹⁸, w cholernego Tony'ego Blackburna.

— Siobhan, moja dziewczyna. Piętnaście lat. I... i to już koniec... i... o Boże, przepraszam. Myślałem, że dam radę, ale... ale tak mi ciężko. Boże, tak mi ciężko. To się stało tak niedawno, wiecie. Odeszła. Siobhan odeszła! — Wydal z siebie potężne szlochnięcie. — O Boże! Gdybyście ją znali. Była... była jak

¹⁸ * *Tony Blackburn* — słynny angielski prezenter radiowy z lat 60.

anioł. Normalnie jak anioł. Tak bardzo jej pragnąłem, nigdy w życiu niczego nie pragnąłem tak jak jej i rzeczywiście — zdobyłem ją — nie wiem jak, nie zasługiwałem na nią. Była dla mnie za dobra, o wiele za dobra, zupełnie inna klasa. Była taka piękna. I, Boże, powinniście zobaczyć jej włosy, czyste złoto, wiecie? Mogła mieć każdego, ale wybrała mnie. Nie wiem, co ja bez niej robiłem przez tyle lat, bez jej uśmiechu, bez jej dobroci i mądrości. Boże, jaka ona była mądra. A jej miłość! Tak bardzo mnie kochała, rozumiecie? Wiecie, jak to jest — być tak kochanym przez kogoś tak pięknego i tak... tak dobrego. A ja... ja... — Głos znowu zaczął mu się łamać. — Nigdy nie uważałem, że to mi się należy, naprawdę. Nigdy. Zawsze dziękowałem Bogu za tę kobietę, zawsze ją doceniałem.

Ale... ale, ale... słuchajcie! Posłuchajcie mnie teraz, wy tam, mężczyźni. I kobiety. To ważne! To cholernie ważne, musicie mnie wysłuchać uważnie. Jeżeli macie faceta czy kobietę i kochacie ich, i jesteście kochani, nie róbcie skoków w bok, nie zdradzajcie. Proszę. Nie róbcie tego. Ja to zrobiłem. Wykorzystałem zaufanie najbardziej niezwyklej, najpiękniejszej kobiety na świecie i zrobiłem pośmiewisko z naszej miłości. I po co? Po nic! Po to, by uprawiać seks z jakąś puszczałką, która znaczy dla mnie mniej niż zero. Dacie wiarę?! Dacie wiarę, że można zrobić coś tak głupiego?! To było żalosne nadmuchiwanie własnego ego. Teraz to rozumiem. Zawsze uważałem, że Siobhan jest dla mnie zbyt dobra, zbyt piękna, zbyt niezwykle. Próbowałem udawać, że się tym nie przejmuję, ale zawsze czułem się gorszy niż ona, a potem pojawiła się ta druga dziewczyna i sprawiła, że poczułem się przy niej jak Mężczyzna, rozumiecie? Byłem od niej mądrzejszy, miłszy, lepszy, a przynajmniej tak mi się wydawało. No i chciała mnie. Tak więc moje smętne, małe męskie ego wzięło, co mu oferowano, i złapało to bez namysłu. O Boże! Nawet szczególnie się nie ubawiłem, wiecie?! Ale przynajmniej poczułem się wyjątkowy — tym razem to ja byłem wyjątkowy. Kiedy ten romans się skończył, jeszcze bardziej zacząłem doceniać Siobhan. Uświadomiłem sobie rzeczy na temat miłości i związków, nad którymi się wcześniej nie zastanawiałem. Ciągłość, starzenie się razem. To równie romantyczne jak zakochanie się. Wtedy zapragnąłem ożenić się z Siobhan, zostać z nią już na zawsze. Ale było za późno. Dowiedziała

się o moim romansie i o tym, jaki jestem' naprawdę. To znaczy żaloszny, egoistyczny i słaby. Zasluzgiwała na kogoś lepszego. Więc odeszła. I teraz jestem sam. To już koniec. Dzisiaj wieczorem wracam do naszego domu, gdzie mieszkaliśmy razem a jej tam nie będzie. Zastanę mieszkanie puste. I... i... i ^{me} wiedziałem, że można czuć taki smutek i takie cierpienie. Tak bardzo ją kochałem, ale nadużyłem jej zaufania, a teraz przelżykam tę gorzką pigułkę, na którą sobie zasłużyłem. Więc... więc nie róbcie tego, OK? Po prostu nie róbcie. Bo jeżeli jesteście z kimś, kogo kochacie i kto kocha was, to jesteście największymi szczęściarzami na świecie. Zignorujcie tego seksownego faceta z działu marketingu albo tę podniecającą dziewczynę, która mieszka piętro wyżej. Bo nie warto. Słyszycie? Nie... nie... nie warto. — Karl wziął głęboki oddech i wyprostował się. Łzy przestały mu płynąć. — No dobra — zaczął, oglądając się ostrożnie na asystentów, sekretarki i producentów, którzy pozłazili się ze wszystkich kątów budynku ALR i stali teraz, rozdziawiając usta, niektórzy z zaszklonymi oczami, inni zakłopotani, jeszcze inni przerażeni. Jakaś młoda dziewczyna otarła łzę z kącika oka i odwróciła wzrok od Karla. Panowała absolutna cisza. — Ja... tego... przepraszam. Yyy... przepraszam. Bardzo przepraszam. — Zaśmiał się cicho i znowu spojrział na swą skamieniałą widownię. Jeff stał teraz z przodu, ze skrzyżowanymi ramionami, spoglądając na Karla wzrokiem, który trudno było zdefiniować. — Mam wrażenie, że to może być mój ostatni program w ALR... puszczę jeszcze jedną piosenkę. I przepraszam...

Zwiększył głośność, zsunął słuchawki z uszu i mocno potarł dłońmi twarz. Cholera. Co on, kurwa, zrobił? Stracił panowanie nad sobą. Jedyną rzeczą, jaką sobie uświadamiał, był hipnotyzujący, kojący dźwięk własnego głosu w słuchawkach — i nic poza tym. Nie myślał o słuchaczach w domach ani o zaszokowanych ludziach napływających do jego studia, a już na pewno nie o fakcie, że właśnie żegna się ze swoją karierą. Rozmawiał sam z sobą, układał sobie w głowie pewne rzeczy, na falach eteru, i dzielił się nimi z tysiącami obcych ludzi. Poczul się lepiej. To było lepsze od tej straszliwej, otepiającej pustki, która go prześladowała przez cały weekend. Teraz przynajmniej wszystko znowu stało się rzeczywiste... boleśnie, potwornie rzeczywiste.

— Karl. — Poczul na ramieniu czyjaś ciepłą dłoń i odwrócił się. To był John. — Cholera, Karl. To coś zupełnie nowego. Wszystko OK?

— O Jezu. John. Cholera.

— Jest tu Jules. Przejmie prowadzenie. No, zabieram cię stąd.

— Cholera. Wywałą mnie? Tak? Czy i z tym już koniec?

— Podniósł się ciężkim ruchem i niezdarnie obciągnął brzeg dżinsowej kurtki.

— Nie, nie, nie. No, Karl. Chodźmy. Jules jest na miejscu.

— Łagodnie otoczył go ramieniem i wyprowadził przez drzwi wahadłowe na korytarz.

Karl czuł się jak w filmie: ludzie przystawali i bezwstydnie gapili się na niego, wyciągając szyje nad ściankami działowymi i zza drzwi. Za nim podążał szmerek rozmów. Czuł się tak, jakby za chwilę komandosi mieli mu zarzucić koc na głowę, a potem wepchnąć do furgonetki. Minęli recepcję.

— Karl, Karl! — June jedną ręką zasłoniła mikrofon i wołała przez cały korytarz, dając mu znaki oczami.

O Boże. Co znowu? Karl chciał iść dalej, opuścić ten budynek, wyjść na ulicę i wsiąść do swojego samochodu.

— Karl, zatrzymaj się! — June rozkołysanym krokiem szła po marmurowej posadzce w swych botkach do kostki na cienkiej szpilce. — Zatrzymaj się, to Jeff, na linii.

Karl spojrział bezradnie na Johna. To już koniec. Wywałą go z roboty. Wziął telefon od June.

— Karl, stary, wracaj w tej chwili.

Karlowi serce zamarło w piersi.

— Telefony się urywają, Karl... hmm, hmm... ludzie chcą, żebyś wrócił. Zabieraj się z powrotem.

I Jeff, jak zwykle, w pół zdania rzucił słuchawkę — jak to robią tylko ludzie u władzy.

— To prawda — zaszczębiotała June z niezwykłym, jak na poniedziałkowe popołudnie, ożywieniem. — Telefony dzwonią bez przerwy od dziesięciu minut, wszyscy chcą, żebyś wrócił. Co ty kombinujesz, Karl? — spytała z uwodzicielskim uśmiechem szczęśliwej mężatki w średnim wieku.

Karl znowu odwrócił się do Johna. John wzruszył ramionami, uśmiechnął się i poprowadził go z powrotem korytarzem do windy i do studia. Panował tam istny młyn. Sprawdzono trzy

dotatkowe sekretarki do pomocy przy odbieraniu telefonów. Atmosfera była naładowana elektrycznością. Kiedy Karl powoli wszedł do pokoju, rozległy się ciche brawa.

— Karl, stary. — Podeszedł do niego Jeff, uśmiechając się szeroko. Zarzucił mu rękę na ramię i ścisnął tak, że o mało co nie połamał mu kości. — Kurwa, spodobałeś się! Jesteś gwiazdą, stary! W ciągu dziesięciu minut odebraliśmy dwieście telefonów! Wracaj na antenę, daj im to, czego chcą, powiedz im, co czujesz.

— Zaprowadził go z powrotem na jego fotel.

Jules się uśmiechnęła, zsunęła słuchawki, wstała, pocałowała Karla w policzek i podała mu słuchawki.

Karl usiadł i rozejrzał się po morzu ciepłych twarzy, na których malowała się sympatia do niego.

— Nie wiem, czy potrafię — wymamrotał.

— Co? — powiedział Jeff. — Oczywiście, że potrafisz, oczywiście, że tak. Po prostu mów dalej, tak jak przedtem.

— Ale... Już powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia.

— To powtórz! Oni tego chcą, stary. Możesz mówić, co chcesz. Po prostu gadaj. Połączymy cię parę razy, paru popieprzeńców identyfikuje się z tobą, chcą z tobą pogadać. Dasz radę, Karl... hmm, hmm. Jules tu zostanie na wypadek, gdybyś potrzebował pomocy. No, bądź sobą, żadnych zasad... — Znowu ścisnął go za ramiona i zaczął się wycofywać z pokoju. — Żadnych zasad...

Karl był przerażony. Chciał do domu. Wszystkie te... oczekiwania. Ci ludzie, którzy się na niego gapią. Popieprzeńcy, którzy chcą z nim gadać przez telefon. Jeff mrugnął do niego. John przyniósł mu następną filiżankę kawy. Zegar mówił, że Karl ma czterdzieści dziewięć sekund. Cholera. Czuł się taki samotny...

Zegar odmierzył ostatnie trzy sekundy. Karl głęboko zaczerpnął powietrza i wstrzymał oddech. Odchrząknął.

— Ja... — zaczął. — Poproszono mnie, żebym wrócił. Ha!

— Zaśmiał się nerwowo. — Zdaje się, że wolicie, jak jestem nieszczęśliwy! Yyy, postaram się poprowadzić dalej program i może uda nam się razem posmucić. Nie jestem pewien, czy to wyjdzie... ale... może puszczę następną piosenkę. Dla Siobhan. Dla nas. Przypomina mi ona uniwersum z czasów jeszcze zanim ją poznałem, kiedy tylko ją obserwowałem, wiecie, i ma-

rzytem o niej. Kiedy należała tylko do świata fantazji i była poza moim zasięgiem. To jedna z najlepszych popowych piosek ostatnich dziesięciu lat. Śpiewa La, *There She Goes*.

Wszyscy wzniesli kciuki. Karl odetchnął z ulgą. Złapał listę utworów i zaczął po niej bazgrać, poprawiać ją i pisać od nowa. Ten program zadedykuje Siobhan. Nie obowiązują go żadne zasady — tak powiedział Jeff. Żadne zasady. Więc dedykuje całą audycję Siobhan, ich związkowi, puści wszystkie ich ulubione piosenki. Wytarza się w nich. A skoro ludzie chcą słuchać, jak to robi, to proszę bardzo. Nie miał nic przeciwko temu.

Tak więc przez dwie godziny opowiadał o Siobhan, puszczał potwornie smutne i rozdzierająco wesołe piosenki. Odbierał telefony od słuchaczy, którzy popełnili taki sam błąd, niektórzy zalewali się łzami, oraz od osób, które tylko chciały mu życzyć wszystkiego najlepszego. Spełniał ich prośby, nadawał ich ulubione piosenki.

Były to dwie godziny czystych uczuć, szczerości i ludzkości. Telefon dzwonił nieustannie, były łzy, cierpienie i gniew, smutek, nieszczęście i żal. Wszyscy smutni, samotni ludzie w Londynie powyłazili ze swych skorup i znowu poczuli się częścią świata. Straszna żenada. Koszmarny wyciskacz łez. Jak Oprah w zły dzień. Ale najwyraźniej ludzie tego chcieli. I tego potrzebował Karl.

Kiedy tej nocy Karl wyszedł z budynku, na chodniku ustawiły się kolejki ludzi z kwiatami i pamiętnikami. Czekali na niego. Odlot, jakiś obłęd. „Dziękuję” — powtarzali. „Głowa do góry”. Ładne dziewczyny w ciężkich butach dawały mu swoje telefony, bladzi mężczyźni z ciemnymi oczami ściskali mu dłoń. Panowała szczególna atmosfera. Karl przeciskał się przez tłum, ciągle mówił: „Dziękuję”, brał numery telefonów, przyjmował kwiaty, rozdawał autografy i w końcu dotarł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Jezu — wymamrotał pod nosem. — Co się, kurwa, dzieje?

Nie przypuszczał, że to dopiero początek szaleństwa. Przez następnych parę dni był ulubieńcem Londynu. Napisano o nim w „Newsroom South East”, jego zdjęcie ukazało się na trzeciej stronie „Evening Standard” w towarzystwie artykułu o niewierności w stolicy, pod gmachem ALR codziennie ustawiało się coraz więcej ludzi, chcących z nim porozmawiać lub choćby podziękować.

Karlowi jednak wszystko to wydawało się całkowicie absurdalne. Niczego nie zmieniło: Siobhan nadal nie dzwoniła.

Tej nocy, następnej i jeszcze następnej zatrzymał się u Toma i Debbie. Nie potrafił wrócić do domu. Siobhan wiedziała, gdzie nocuje — zostawił u jej matki wiadomość, dwa razy podyktował adres, by mieć pewność, że zapisała go poprawnie. Nie oddzwoniła. Na pewno czytała gazety, słuchała radia, oglądała wiadomości, ale najwyraźniej w ogóle jej to nie poruszyło. Nie po to przyjął rolę ulubionego męczennika stolicy, ale wydawać by się mogło, że skoro cała reszta metropolii tak bardzo mu współczuje, to i Siobhan się do niej dołączy. Ona jednak najwyraźniej w ogóle się tym nie przejęła.

Tak więc przez trzy dni chodził do pracy, wracał do domu, upijał się, rozmawiał z Tomem i Debbie o Siobhan, o tym, jakie to uczucie być samotnym i bezdzietnym trzydziestoparolatkiem bez pary, któremu zawsze się wydawało, że jego życie niczym nie będzie się różnić od życia innych ludzi. Zastanawiał się, w którym momencie zaczęło się psuć.

Kiedy minął trzeci dzień, zaczął ogarniać go gniew. Do kurwy nędzy — przecież Siobhan poszła z Rickiem, nie? Ona też nadużyła jego zaufania. W końcu jaka to różnica: całować się z kimś przez pół godziny a pieprzyć się z kimś przez pięć minut? Co tak naprawdę jest bardziej intymne? Załóżmy, że powiedziałałby jej o Cheri, zanim sama to odkryła, czy wtedy by mu wybaczyła? Czy powiedziałałaby: „Karl, zrobiłeś rzecz straszną, ale ponieważ do wszystkiego się przyznałeś i nie musiałam dowiadywać się o tym sama, wybaczam ci i wiem, że mogę nauczyć się znowu ci ufać”? Oczywiście, że nie. Czułaby się tak samo, tak samo okropnie, tak samo niezdolna do wybaczenia. I tak by się wyprawiała.

Wreszcie, po programie w czwartkowy wieczór, wypadającym w Wigilię, wziął się w garść i postanowił wrócić do domu, na Almanac Road.

Usiadł na tylnym siedzeniu taksówki, wyglądając przez okna w ponurą, mokrą, ciemną noc, a w głowie aż mu dudniło od frustracji, gniewu, smutku, poczucia straty, złości i osłepiającego, zderającego, przyprawiającego o palpitacje serca przerażenia.

Jego klucz dziwnie zachrobetał w zamku. Niczym odległe echo z przeszłości, cień wspomnienia zapomnianego snu. Nigdy wcześ-

niej nie zwrócił uwagi na ten dźwięk, na ostre, metaliczne kliknięcie i gładki hydrauliczny ruch. Dźwięk ten był tak znajomy, a jednak tak nowy.

W mieszkaniu panował chłód. Centralne ogrzewanie od pięciu dni było wyłączone. Siobhan zawsze nastawiała je na maksimum, twierdząc, że bardziej niż inni odczuwa zimno, że ma to coś wspólnego z jej krążeniem. On zawsze wolał, żeby było chłodniej, narzekał, otwierał okna, kiedy nie patrzyła, albo nieco przykręcał termostat. Teraz było zimno, a on żałował, że nie ma takiego skwaru, od którego stopiłaby się farba na ścianach.

Posprzątała cały bałagan. W kuchni stały trzy wielkie, czarne worki na śmieci pełne jego połamanymi płytami, na schodach przeciwpożarowych przy kuchennych drzwiach znalazł nagą i żalostnie wyglądającą choinkę, a to, co zostało z bombek, Siobhan zebrała w torbę na zakupy i zostawiła przy kominku. Zabrała wszystkie bibeloty, które tworzyły nastrój ich domu, wazony, zegary, indyjski dywan. Panował idealny porządek. Wszystko znajdowało się na miejscu. Mieszkanie pachniało płynem do czyszczenia mebli i mycia okien. Koszmar.

Miał ochotę się odwrócić i wyjść w chwili, gdy tylko wszedł. Parszywy wiklinowy kosz, w którym spała Rosanne i który zawsze stał pod drzwiami sypialni, zniknął, a na wieszaku w przedpokoju już nie wisiała jej smycz. Mieszkanie było ciche, zimne, martwe i puste.

Karl ciężko opadł na kanapę, ich kanapę. Tam, gdzie Siobhan siedziała sześć nocy wcześniej, mówiąc mu, że to już koniec, a on kurczowo obejmował jej nogi i błagał, by pozwoliła mu zostać. Oparł głowę na rękach i pozwolił, by pochłonęła go cisza i przejmująca dreszczem pustka. Po raz pierwszy od odejścia Siobhan przyszło mu do głowy, że już nie wróci. Nie zrobili sobie krótkiej przerwy, nie zamierzali trochę od siebie odpocząć. To już koniec. Siobhan nie wróci do domu.

Po raz pierwszy w życiu Karl został zupełnie sam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Cheri widziała, jak wrócił do domu w Wigilię, czyli już przed dwoma miesiącami. Wtedy pierwszy raz przyszedł do domu po tamtym programie. Stała w nieskazitelnie białym, puchatym szlafroku i obserwowała go z okna. Wyglądał szaro, nudnie i monotonicznie — nie tak jak ten Karl w technikolorze, którego pamiętała. Patrzyła, jak wkłada klucz do zamka, i niemal dostrzegła skurcz bólu, który przemknął po jego twarzy, gdy pozwoli otworzył drzwi...

Mogła sobie wyobrazić, co Karl czuje. Oczywiście, że tak, cały kraj wiedział, jak on się czuje, na miłość boską. Był gwiazdą

— cholernie typowe. Kiedy go poznała, był tylko podrzędnym nauczycielem tańca. Potem go rzuciła, a teraz z powodu ich romansu, z jej powodu, stał się sławny, krzyczały o nim wszystkie gazety, a jego twarz z irytującą regularnością pojawiała się na stronach brukowców i telewizyjnych talk-show. Udzielił wywiadu — na tę myśl Cheri poczuła, jak krew się w niej gotuje

— Richardowi i Judy. Richardowi i Judy! Najpierw Londyn, a te-

raz cały kraj był zachwycony, zadurzony, po same uszy zakochany w Karlu cholernym Kasparovie. Biedny Karl Kasparov.

Biedny Karl, w morde, pomyślała Cheri. Biedny Karl, który brał ją tak gwałtownie i regularnie na krzesła w Sol y Sombra. Biedny Karl, który pieścił i lizał każdy centymetr jej ciała, każdy zakamarek, każdy miękki, jędrny, rozkoszny kącik i załamanie jej prężnego, dojrzałego ciała, niczym zwierzę jęcząc i stękając z nieskrywanej żądz. Biedny Karl, który okłamywał, zwodził i zdradzał kobietę, której publicznie wyznał miłość. Cheri naprawdę nie bardzo mu współczuła.

OK, to ona się za nim uganiała. Karl był trudniejszym przypadkiem niż cała reszta. Właściwie to był jej największym podbojem. Chciała go mieć, bo uważała, że jest nie do zdobycia, bo w każdy sobotni poranek wyglądała przez okno i widziała,

jak Karl z Siobhan i ich ślicznym pieskiem wracają ze sklepu, obładowani torbami, śmiejąc się i gawędząc o swych cudownie domowych sprawach, wspólnych znajomych i planach na dzień; Karl od niechcienia trzymał rękę na ramieniu Siobhan i patrzył na nią, jakby była jedyną kobietą na świecie, jakby nie była gruba, jakby jej waga nie miała żadnego znaczenia. Karl najwyraźniej nie miał pojęcia, co traci. Był przystojnym mężczyzną. Jego włosy i baczki wyglądały dość idiotycznie, a niektóre koszuły były tandetne, ale widziała, że jest w dobrej formie: miał mocny kark, szerokie bary, świetny tyłek podkreślony przez dżinsy bardziej obcisłe, niż to nakazywała obecna moda, oraz wspaniałe, gęste, czarne włosy lśniące od żelu. I po prostu uwielbiała ten irlandzki akcent, nigdy nie potrafiła mu się oprzeć. Doszła do wniosku, że mógłby lepiej trafić. Ktoś lub coś powinno mu to uświadomić. Wyświadczała mu przysługę.

Początkowo trudno było zwrócić na siebie jego uwagę. „Chodź tu!” — miała ochotę krzyknąć do niego. „Spójrz na prawdziwą kobietę, patrz, co tracisz, możesz mnie mieć, jestem twoja. Obiecuję, że już nigdy nie obejrzysz się za siebie, już nigdy nie będziesz szczęśliwy z grubą babą”. Ale bezskutecznie. Spoglądał na nią, uśmiechał się, mówił dzień dobry, kiedy ją mijał w wejściu albo na ulicy, ale jej nie „zauważał”. A im mniej zwracał na nią uwagę, tym bardziej go pragnęła. Niemal obsesyjnie co rano rozważała, w co ma się ubrać, nasłuchiwała trzaśnięcia drzwi, pilnując, by ich ścieżki skrzyżowały się przynajmniej raz dziennie. Raz poszła za nim, zastanawiając się, dokąd chodzi codziennie o szóstej wieczorem, w swej hawajskiej koszuli i pumphach, i odkryła, że prowadzi kurs tańca. Przynajmniej znalazła jakiś punkt styczny, drzwi, przez które mogła wejść do jego życia. Potrafiła tańczyć jive'a, ojciec ją nauczył, kiedy była mała. Zaczekała do końca zajęć, a potem poszła za nim do domu, gdzie zderzyła się z nim w drzwiach i tak pokierowała rozmową, że ją zaprosił na następne zajęcia.

Ale nawet wtedy szło ciężko. Pojawiała się w każdy wtorek i mobilizowała każdy gram swej pasji, by włożyć ją w dziecięce kroki tańca, zawsze starała się zostać partnerką Karla, każdy jej ruch krzyczał o seksie, uwodziła go wzrokiem, kołysaniem bioder i uśmiechem. Uśmiechała się przez cały czas. I nic. Chwalił jej taniec, dziękował, że wreszcie ma partnerkę, która naprawdę

docenia ceroca, stawiał jej piwo, po zajęciach odprowadzał do domu. Wciąż nic. Siobhan to, Siobhan tamto, mówił o niej cały czas, aż wreszcie zrozumiała, że jeżeli naprawdę go pragnie, to musi go sobie wziąć. Tak też zrobiła. Ale wkrótce zaczął ją nudzić.

Teraz zaś stał się sławny — bogaty i sławny. A gdzie jej zasługa, jej chwała? Co by teraz robił Karl, gdyby nie ona? Byłby kolejnym podrzędnym, anonimowym DJ-em w lokalnej stacji radiowej.

To nie fair. Cheri przez całe życie marzyła o sławie, o tym, by zostać primabaleriną — dopóki nagle nie osiągnęła 178 centymetrów wzrostu i nie zrozumiała, że nie zostanie drugą Margot Fonteyn, że nie będą jej obsypywać różami, a milionerzy nie będą się za nią uganiać. Świącie wierzyła, że tylko i wyłącznie z powodu jej wysokiego wzrostu ta suka Darcey Bussell zrobiła karierę. To Cheri powinna się znaleźć na jej miejscu.

To nie w porządku, że Karl był sławny, a ona nie, że ona nie uzyskała żadnego poklasku, że utknęła w chóрку podrzędnych musicali w mniej olśniewających teatrach Londynu, Karl zaś imprezował z gwiazdami w całym mieście. Miała dwadzieścia sześć lat, była utalentowana i piękna, lecz uroda nie trwa wiecznie. Któregoś dnia będzie za późno. Cheri zestarzeje się i zbrzydnie, a jej szanse znikną.

Im więcej myślała o Karlu i jego nagłym skoku w sławę, tym bardziej pragnęła zaistnieć. W końcu to o niej była mowa we wszystkich wywiadach z Karlem, w artykułach, to ona była tą „puszczalską”. W pewnym sensie już była sławna — zasłynęła jako ta wstrętna dziwka, która rozbiła małżeństwo.

I wtedy, pewnego dnia, doznała objawienia. Właśnie oglądała telewizję, jakiś program o kobiecie, która żałując, iż rozbiła czyjś związek, zaplanowała, że ponownie połączy tę parę, i nagle wszyscy uznali, że jest cudowna. I ona może to zrobić! Oczywiście, że tak. I wówczas to ona stanie się sławna. Zasłynie z tego, że jest dobra, z tego, że na nowo połączyła Karla i Siobhan. Zostanie bohaterką, wszyscy ją pokochają. Już sobie wyobrażała te opisy w gazetach: „Piękna Cheri o wymiarach 86-61-86 powiedziała, że już dłużej nie może dźwigać ciężaru winy. «Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić» — powiedziała dzisiaj w swym penthausie w Battersea. «Po prostu byłam samotna. Teraz prag-

nę tylko tego, by Karl i Siobhan znowu byli szczęśliwi». Cheri wiedziała, jak działają media — nękany wyrzutami sumienia DJ publicznie odsłaniający swą duszę to świetna, świetna reklama, lecz anonimowa ekskochanka, która pojawia się ni z tego, ni z owego, by wyleczyć jego serce, to istny medialny nektar.

Cheri poczuła, jak po kręgosłupie przebiega jej lekki dreszczyk podniecenia — to może wyjść! Musiała tylko dopracować logistykę. Gdzie się podziewa Siobhan? Jak może się z nią skontaktować? Jak ma ją przekonać, że pragnie jej dobra? Wiedziała, że to oznacza udawanie „miłej dziewczyny”, ale doszła do wniosku, że da radę.

Zaciągnęła zasłony i zwinęła się w kłębek na kanapie z kubkiem wonnej herbaty miętowej i buteleczką lakieru do paznokci w kolorze ostrygowego rózu. Musiała sobie przemyśleć parę rzeczy.

* * *

Siobhan była jednym kłębkim nerwów, kiedy się rozstała z Karlem i gdy zaczynała sobie w pełni uświadamiać, co się stało. To już koniec, ona i Karl skończyli ze sobą. Przez pierwszy tydzień cały czas tylko tuliła do siebie Rosanne i płakała w jej futro. Karl ciągle wydzwaniał, a ona nie chciała z nim rozmawiać, chociaż serce jej się do niego rwało i w głębi ducha pragnęła usłyszeć jego łagodny głos i pozwolić się pocieszyć. Słyszała tamten program radiowy i wysłuchiwała każdej piosenki, jaką dla niej puścił. Siedziała w swej starej sypialni, obejmując kolana, gdy Karl z połową Londynu dzielił się swoimi najbardziej intymnymi wspomnieniami. Rozmawiała z jego głosem płynącym z radia, z nadzieją, że jej odpowie, a ponieważ nie odpowiadał, płakała i płakała.

Matka próbowała jej przemówić do rozumu, namówić ją, by odbierała telefony od Karla. To błąd, kochanie, mówiła, ten chłopak naprawdę cię kocha, może daj mu jeszcze jedną szansę? Siobhan wiedziała, że pragnienie matki częściowo wynika z instynktownej macierzyńskiej obawy, że jej córka ma trzydzieści sześć lat, a Karl może być jej ostatnią szansą, ale wiedziała też, że matka myśli rozsądnie. Kiedy minęła zgroza wywołana odkryciem sekretu Karla i Siobhan została sama w swym starym, pełnym przeciągów pokoju w domu matki na Potters Bar, przy-

szło jej do głowy, że powinna wybaczyć Karlowi, że może jednak umiałaby znowu mu zaufać, że rzeczywiście kocha ją tak, jak na to zasługuje, i że mogliby odbudować swój związek i stworzyć piękne wspólne życie w mieszkaniu w Battersea. Ale coś hamowało jej proces myślowy i nie pozwalało wyjść poza te niejasne rozważania, coś ją powstrzymywało przed odbieraniem telefonów, skontaktowaniem się z nim lub spakowaniem się, powrotem do domu i wypowiedzeniem słów: „Kochanie, wróciłam”.

Nękały ją obrazy Karla nagiego i spoconego, kochającego się z Cheri. Za każdym razem, kiedy zamykała oczy, wyobrażała sobie taką scenę: pośladki Karla zwierające się i rozwierające, drżące, trzęsące się i pchające, jego męskość wnikająca w Cheri, coraz głębiej, mocniej i szybciej. Na tę myśl robiło jej się niedobrze. Napawało ją to wstrętem. Choć bardzo się starała, nie mogła się pozbyć tych wizji. Towarzystwo jej w każdej chwili, nierozzerwalnie złączone z jej myślami o Karlu, uniemożliwiając każdą próbę zachowania rozsądku w całej tej pożałowania godnej sytuacji. Zupełnie jakby ktoś wylał butelkę atramentu na wszystkie cudowne wspomnienia z ich wspólnego życia.

Nie zadzwoniła więc i nie wróciła, tylko została w swym pokoju na Potters Bar, coraz bardziej nieszczęśliwa, czekająca — jak jej się później wydawało — niczym księżniczka w wieży na Karla, który przyjedzie i ją uratuje. On jednak nie przyjeżdżał. Opowiedział o niej połowie mieszkańców Londynu, o ich związku, próbował porozmawiać z nią przez telefon. Ale nie przyjechał.

Któregoś niedzielnego wieczora pod koniec stycznia poszła do telefonu w przedpokoju i zadzwoniła do Ricka. Zupełnie tego nie planowała. W ogóle nie myślała o tym, nawet nie zdążyła poczuć tremy, po prostu podniosła słuchawkę i wykręciła jego numer. Myśląc o tym później, doszła do wniosku, że potrzebowała wtedy słów pocieszenia, czegoś, co by wzmocniło jej ego. Jej poziom pewności siebie nigdy jeszcze nie był tak niski, a jedyną rzeczą, jaka ją podnosiła na duchu, było wspomnienie tamtej nocy w Szkocji, tego, jak Rick na nią patrzył, jak jej dotykał i jak się czuła w jego obecności.

Gadali przez pół godziny, o brzydkiej pogodzie, o tym, jak jest ponuro na Potters Bar, o Bożym Narodzeniu i Nowym Roku, o rodzinie i przyjacielach, o Fulham i jedzeniu. Była to zwy-

kia rozmowa, Waha gadka-szmatka, lecz pełna ciepła, i zbliżyła ich do siebie dzięki niewypowiedzianym zapewnieniom o przyjaźni i trosce, a kiedy Siobhan odłożyła słuchawkę, czuła się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni.

Potem gawędzili jeszcze parę razy i w końcu któregoś dnia w połowie lutego Rick zaproponował, żeby wyrwała się na wieczór z Potters Bar i przyjechała na Fulham. Zabierze ją do Niebieskiego Słonia, bo wspomniała, że to jej ulubiona restauracja, a potem Siobhan może przенocować u niego, oczywiście w wolnym pokoju.

Nie zabrzmiało to jak propozycja randki, a jedynie zaproszenie od przyjaciela martwiącego się, że jego przyjaciółka zanudzi się na śmierć. Wpadł na herbatę i całkowicie oczarował matkę Siobhan. „Co za uroczy, uroczy młody człowiek” — powiedziała nieco dziewczęcym głosem. „I taki przystojny. I chciało mu się przyjechać po ciebie aż z Fulham na Potters Bar. Niewielu mężczyzn by się na to zdobyło”.

Rick zachwycał się, że Siobhan tak bardzo schudła. Rzeczywiście wyszczupiała — kiedy była nieszczęśliwa, traciła apetyt i teraz zeszła do zdrowego rozmiaru czternaście. „Oczywiście wtedy też świetnie wyglądałaś!” — Uśmiechnął się. W drodze do Londynu niewiele rozmawiali, tylko słuchali muzyki i ciągle się do siebie uśmiechali. „Jak to dobrze cię widzieć” — powtarzał Rick. „Jak dobrze”.

A Siobhan uśmiechała się i odpowiadała, że ona też się cieszy. Bo tak było w istocie. Czuła się po prostu cudownie. Rick położył dłoń na jej dłoni, uścisnął ją z promiennym uśmiechem, po czym zaczął się uśmiechać do samego siebie.

Z perspektywy czasu Siobhan widziała, jak dziwna była cała ta sytuacja. W końcu w ogóle się nie znali, przedtem spotkali się zaledwie raz, ale było między nimi tyle ciepła, że czuli się jak starzy przyjaciele. Tak miło było siedzieć w nowym bmw Ricka, nic nie mówić i tylko słuchać muzyki i uśmiechać się. Zupełnie jakby wiedzieli, że mają przed sobą mnóstwo czasu, że to dopiero początek.

Rick zaparkował przed swoim domem, objęli się i, jak świeżo upieczeni kochankowie, bardzo powoli ruszyli Fulham Broadway w stronę Niebieskiego Słonia. Łatwo odgadnąć krótki staż dwojga ludzi po tym, jak powoli idą razem. Siobhan i Karl już parę

lat wcześniej osiągnęli średnio szybki cwał starej pary, ich motywacja w chodzeniu przerodziła się w pragnienie, by przeprawić się z punktu A do punktu B, zamiast po prostu spędzić razem trochę czasu.

Ale chociaż każdy mijany przechodzień mógłby założyć, że są kochankami w pierwszych porywach namiętności, z punktu widzenia Siobhan nie byli na randce. Nie i już. Nadal była cała rozorana i cierpiąca, a sama idea randki, zaangażowania się w kolejny związek w ogóle nie wchodziła w rachubę. Lubiła towarzystwo Ricka bardziej, niż mogłaby to sobie wyobrazić, ale nadal kochała Karla.

Dlatego też, kiedy już malutka tajska kelnerka przyjęła ich zamówienie i zabrała menu, pierwsze pytanie, jakie Siobhan zadała Rickowi, brzmiało:

— Co u Karla?

Rick obojętnie wzruszył ramionami.

— Ty mi to powiedz.

— Co, nie rozmawiałeś z nim?

Rick pokręcił głową.

— Naprawdę?

— Oczywiście, że nie. Przecież to mnie za wszystko obwinia, prawda?

— Za co? — Siobhan miała mętlik w głowie.

— Za to, że dowiedziałeś się o jego romansie. Bo to ja mu dałem ten dyktafon.

— Co?! Boże, jakie to żalosne! Jakie niesprawiedliwe. Przecież nie zmusiłeś go, żeby wziął dyktafon do domu, nie zmusiłeś mnie, żebym wcisnęła „Play”, i z całą pewnością nie wepchnąłeś jego kutasa w tę dziwkę! — Siobhan rozejrzała się wokół, uświadomiwszy sobie, że krzyczy. — Przepraszam — powiedziała i zaczęła płakać. — Przepraszam. Po prostu... po prostu to tak strasznie boli...

Rick podał jej papierową chusteczkę, powiedział jakiś żart i zmusił do tego, by się uśmiechnęła przez łzy. Zamówił szampana i całą noc przegadali o Karlu, Tamsin, o miłości, o życiu, o wszystkim. Po raz pierwszy miała szansę tak naprawdę opowiedzieć o swoich uczuciach, ubrać w słowa całe to obrzydzenie, jakie czuła na myśl o tym, co Karl robił z Cheri. Żadna z jej koleżanek nie była samotna, a poza tym wszystkie znały Karla.

Nie chciała ich stawiać w niezręcznej sytuacji. Ale z Rickiem było zupełnie inaczej. On był inny.

— OK — powiedział Rick, kiedy trzy godziny i dwie butelki szampana później wyszli z restauracji. — Dość już tej rozmowoterapii, musisz się trochę rozerwać. Powinnaś wypić więcej szampana i urznąć się w trupa.

— Och, Rick, sama nie wiem. — Siobhan się roześmiała. — Pamiętaj, co się stało, kiedy ostatnio wypiliśmy za dużo szampana?

Zachichotali, ale po chwili Rick odwrócił się, ujął dłoń Siobhan i spojrzał jej prosto w oczy.

— Siobhan — powiedział. — Wiesz, co do ciebie czuję. I muszę stwierdzić, że nic się nie zmieniło. Nadal uważam, że jesteś najbardziej niesamowitą kobietą na świecie. Jesteś... jesteś... no... sama wiesz. Ale teraz nie potrzebujesz ode mnie takich zapewnień. Potrzebny ci przyjaciel. Hej! — Uśmiechnął się. — Zostanę twoją przyjaciółką, jeśli chcesz!

— Co? — Siobhan się roześmiała.

— A tak! No, wracajmy do mnie, wypijmy parę Sea Breezes, upijmy się, a potem pójdziemy do klubu, poderwiemy dwie najbardziej brzydsze osoby, wrócimy do domu, przeberzemy się w koszule nocne i będziemy narzekać na facetów nad filiżanką kawy bezkofeinowej! Będzie super!

Tak też zrobili. Rick nastawił płytę Boyzone, wypili więcej niż dwa landrynkoworóżowe Sea Breezes i zaczęli się szykować do wyjścia, tańcząc po całym pokoju. Rick wygłupiał się na całego.

— Jak myślisz, czy mój tyłek wygląda w tym grubo? Beżowe spodnie czy khaki, a może nie pasują mi do włosów?

Złapali taksówkę i wpadli do klubu na uliczce odchodzącej od New King's Road, pełnego zagranicznych studentów, Australijczyków i Południowoafrykańczyków. Rick zamówił przy barze białe wino rozcieńczone wodą sodową.

— Mmmmmm — wymruczał. — Nigdy jeszcze tego nie piłem, ale pycha, nie?

Tańczyli bez końca, przy dźwiękach muzyki Oasis, Counting Crows i REM, gawędząc, śmiejąc się i oglądając wszystkich na parkiecie.

— Widzisz tamtego faceta? — spytał Rick. — Gapi się na ciebie.

— Który?

— Ten wysoki w białym podkoszulku, ten z brązowymi włosami, tam. — Wskazał mężczyznę ruchem brwi.

— Nie, nieprawda, nie wygłupiaj się.

— Ależ tak! Patrz, nie spuszcza cię z oczu. Chesz, żebym do niego podszedł i coś mu powiedział?

— Nie! — Siobhan złapała go za rękę. — Nie! Ani mi się waż! Proszę, nie!

Ale było już za późno. Rick już się przepychał przez zatłoczony parkiet. Siobhan odwróciła się ze zgrozą i stanęła jak wryta, mając nadzieję, że podłoga otworzy się i ją pochłonie. Parę minut później poczuła na ramieniu rękę Ricka.

— Ma na imię Mike, jest Amerykaninem, studiuje inżynierię, ma dziewiętnaście lat i uważa, że jesteś przepiękna.

— Och, nie wygłupiaj się.

— Wcale się nie wygłupiam! Patrz! Macha do ciebie.

I rzeczywiście — machał. Siobhan mu odmachnęła słabym ruchem i znowu się odwróciła.

— Nie porozmawiasz z nim?

— Nie ma mowy!

— Och, daj spokój!

— Nie. Naprawdę. Nie mogę. Po prostu nie mogę. Nawet mi się nie podoba.

— Co?! Jak może ci się nie podobać? Spójrz na niego. Jest przystojny, inteligentny i ma tylko dziewiętnaście lat!

— Właśnie! Co ja mam, do diabła, wspólnego z chłopcem, który pewnie nigdy nie oglądał telewizji czarno-białej, nigdy nie miał winylowej płyty i który uważa, że całonocny program telewizyjny to prawo dane od Boga?

Wtedy oboje wybuchnęli histerycznym śmiechem, a Rick już nie naciskał.

— Święte słowa — powiedział. — Święte słowa!

Zanim o trzeciej rano wrócili do jego mieszkania, zdążyli wypić jeszcze pięć kieliszków wina z wodą sodową, pogadać z kilkudziesięcioma osobami, tak młodymi, że mogłyby być ich dziećmi, dwukrotnie wymienić się numerami telefonów, Rick dwa razy został wyrzucony z damskiej toalety, a Siobhan śmiała się tak bardzo, że ledwo mogła złapać oddech.

— Och, Rick. — Chichotała. — Naprawdę jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką mogłabym sobie wymarzyć! — Nie bawiła się

tak dobrze od czasów Brighton, jeszcze zanim poznała Karla. W tym mieście nigdy nie była samotną dziewczyną. Razem przeprowadzili się do Londynu i razem poznawali nowych ludzi, a ponieważ Siobhan nigdy nie pracowała w biurze, nigdy też nie miała „koleżanek”, tylko garstkę znajomych. I chociaż ten wieczór był tylko żartem, ubawem, dał jej pojęcie o tym, co traciła przez ostatnie piętnaście lat. Traciła zabawę. Spontaniczność. Dziecinne zachowanie. Głupie żarty. Było fantastycznie.

— Trochę ci weselej? — spytał, podając jej kawę i przysiadając się do niej, w koszuli nocnej, na kanapę.

— Cóż, zastanówmy się. Zostałam zaproszona do swojej ulubionej restauracji, piłam szampana, wódkę i białe wino z wodą sodową, byłam obiektem pożądania dziewiętnastoletniego Amerykanina, dwudziestoletniego Afrykanina i dwudziestodwuletniego Estończyka, tańczyłam jak wariatka przez trzy godziny, szłam do domu w deszczu, śpiewając na całe gardło, a teraz siedzę otulona w ciepłutki szlafrok jak prosto z suszarki, na mięciutkiej kanapie w pięknym mieszkaniu i pijam sobie prawdziwą kolumbijską kawkę. Tak, można powiedzieć, że już mi trochę weselej.

— Zawsze do usług.

Na chwilę zamilkli i z zakłopotaniem wbili wzrok w filizanki z kawą, czując, że powinni powiedzieć coś jeszcze, że ta chwila jest wyjątkowa. Siobhan pierwsza podniosła wzrok i nagle wystraszyła się na widok spojrzenia niebieskich oczu Ricka, miękkości jego skóry, powagi w spojrzeniu, łagodnego wykroju ust i ciepła w uśmiechu.

— Och, Rick — powiedziała. — Kim ty jesteś? Zawsze pojawiaasz się we właściwym miejscu i o właściwej porze, mówisz właściwe rzeczy. Przy tobie zawsze czuję się tak dobrze, tak jak zawsze chciałabym się czuć. — Spojrzała mu głęboko w oczy. — Jesteś aniołem?

Uśmiechnął się, odstawił filizankę i ujął dłoń Siobhan.

— Nie — odparł. — Nie, nie jestem aniołem. — I instynktownie przysunęli się do siebie po kremowej adamaszkowej skórce kanapy i przytulili mocno, gorąco.

Przycisnęła go do siebie, przyłożyła głowę do jego głowy i wdychała lekko ziołowy zapach jego żelu do włosów, owocowy aromat szamponu, oleistą woń ciepłej skóry na jego głowie oraz,

przebijającą się przez to wszystko podstawową nutę, której nie potrafiłaby opisać słowami — jego zapach. Wsączył się w jej nozdrza i popłynął gardłem aż do serca. Wstrzymała oddech i przytuliła Ricka jeszcze mocniej.

Naprawdę nie spodziewała się, że się w nim zakocha. Wydawało się jej, że wciąż nie może przeboleć Karla. Może i tak było. Nie mogła jednak kontrolować uczuć, jakie za każdym razem w jego obecności przetaczały się przez nią niczym czarodziejski huragan. Przy nim czuła się tak niezwykle, jak jej to zawsze wmawiał Karl, przy nim była piękna, bezpieczna i nowiuteńka, jak dopiero co wyjęta z pudełka.

Szczerze wierzyła, że Rick to anioł. Oboje byli aniołami. Nigdy jeszcze nie czuła się tak pogodna, tak idealnie szczęśliwa jak w ciągu ostatniego miesiąca, odkąd zaczęła się spotykać z Rickiem. Lepiej być nie mogło.

Ale któregoś dnia, już niedługo, nie wiedziała kiedy, będzie musiała o wszystkim powiedzieć Karlowi...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

The „Evening Standard”, 27 lutego 1997
POWRÓT GWIAZDY

W dzisiejszym dziwnym, zmiennym świecie, w którym moda, sława, opinia publiczna i łaski są tak ulotne i zależne od kaprysu mass mediów oraz samozwańczych mędrców (i ja zaliczam się do tego dość niesympatycznego bractwa), miło jest przekonać się, że od czasu do czasu pojawia się talent tak niekwestionowany, tak nieprzeciętny, tak niezaprzeczalnie wybitny, że potrafi przetrwać atak ze strony kławiatury nawet najbardziej złośliwego pismaka. Chylę czoła.

Nazwisko na zaproszeniu brzmiało znajomo. Ralph McLeary. Czytelnicy obdarzeni pamięcią godną słonia być może przypominają sobie tego artystę — ja bynajmniej go nie pamiętałem. Notatka prasowa wypełniła tę lukę. Ralph McLeary był wybitnym absolwentem Royal College w 1986 roku, którego ja, w tymże dziale, z żenującym entuzjazmem opisałem jako „młodego człowieka trwającego w niemal kazirodczym związku ze swym środkiem przekazu, młodego człowieka, który w wieku lat dwudziestu jeden stworzył prace olejne tak wybitne i istotne, obdarzone tak przedwczesną dojrzałością, że czuję się zobowiązany użyć słowa „geniusz”. Nie byłem osamotniony w swej opinii. Prasa zjednoczyła się w powszechnym zachwycie. Teraz wszystko mi się przypomniało.

Niemniej jednak nie przypominam sobie jego prac, ani jednego pociągnięcia pędzlem, koloru czy kształtu. Szczegóły umknęły z mej starzejącej się i steranej pamięci, by zrobić miejsce dla zastępów świeżo upieczonych malarzy, którzy w ubiegłych latach paradowali przed moimi zmęczonymi oczami i których prace jestem zobowiązany codziennie opisywać.

Niestety, jestem słabym, starym człowiekiem: moją uwagę z łatwością przyciągają ładne płótna, a także lubię widok własnych słów na papierze. Ale, niczym porzucona żona, która robi dramatyczne wejście — lata po tym, jak została wymieniona na młodą modelkę, której wdzięki wkrótce przygasły — szczuplejsza, szczęśliwsza, bardziej pewna siebie i lśniąca wewnętrznym pięknem, tak i Ralph McLeary pojawił się na nowo, by nas wszystkich zawstydzić. Jego wystawa, obecnie do obejrzenia w galerii w Notting Hill należącej do jego niegdysiejszego mentora, Philippe'a Dauvignon, przypomina, że sztuka nie jest, i nie powinna być, ofiarą tej samej chwilowej mody, której ulega znacznie bardziej sprzedajny i kapryśny świat filmu czy muzyki pop, oraz że prawdziwy geniusz szczęśliwie przetrwa i, tak jak w przypadku McLeary'ego, rozkwitnie bez pochlebstw skostniałych pachółków z Fleet Street.

To pierwsze prace McLeary'ego od ponad pięciu lat. Moje palce nerwowo przebierają po klawiaturze, podczas gdy ja usiłuję nie ślinić się z zachwytu jak lubieżny starzec. Spróbuję się powstrzymać.

Prace McLeary'ego dojrzały we wspaniały sposób, jego wcześniejsze anarchistyczne ukłucia, dźgnięcia i pacnięcia pędzla na płótnie zastąpił miękki, niemal romantyczny realizm w serii portretów o rozdzierającej urodzie i fascynującej wymowności. Może poprzednie wcielenie McLeary'ego cierpiało z powodu opóźnionego i trudnego dojrzewania, lecz dzisiejszy McLeary jest dojrzały, nosi świeżo uprasowaną koszulę, ma elegancko przystrzyżone włosy i bez wątpienia jest miły dla swoich rodziców. I dobrze. W dzisiejszych czasach misek sedesowych, czekoladowych batoników i okaleczonych zwierząt udających sztukę, stary człowiek z radością ogląda kolekcję obrazów, które przemawiają w sposób tak tradycyjny i z których bije piękno prostego ujęcia miłości, szczęścia, światła i cienia. Nie dodam już nic więcej...

Ralph miał zeszywniałe plecy, obolałe ramiona, ręce jak polamane reumatyzmem. Z nosa mu ciekło, w gardle paliło, a w skroniach tak go kłuło, jakby miał w nie wbite haczyki wędkarskie. Ubranie wisiało na jego patykowatym, wychudzo-

nym ciele niczym wielkie płachty skóry, ciemne kręgi otaczały jego szare oczodoły, nie strzygł się od prawie dwóch miesięcy, a jego włosy były zbite w cienkie, brudne kosmyki oblepione tłuszczem, farbą i kurzem.

Wyglądał potwornie, czuł się potwornie, ale w ogóle się tym nie przejmował. Był jak opętany. Od Bożego Narodzenia ani razu nie wyspał się porządnie, nie wychodził, żeby coś zjeść, nawet nie tknął alkoholu, nie widywał się ze znajomymi, nie oglądał telewizji, nie chodził na zakupy, nie uprawiał seksu, nie kąpał się, nie czytał gazet, nie wylegiwał się na kanapie. Nic z tych rzeczy. Przez dziewięć tygodni nic, tylko malował i palił. Malował i palił. Malował i palił.

Żywił się pasztecikami Ginster's, plastikowymi kanapkami i hamburgerami z mikrofalówki kupowanymi na stacji Esso na rogu Cable Street. Jego życie towarzyskie ograniczało się do wypalenia z Murrayem i ochroniarzem skręta koło śmietnika.

Łóżko było ogromne, pachniało pianką i było przykryte starym pokrowcem, a za poduszkę służyło Ralphowi parę złożonych podkoszulków. Rozrywką był mu zachlapany farbą, stary pornos, a seks zastępowało sporadyczne przetrzepanie konia bez szczególnego zaangażowania.

Poza tym istniało tylko malowanie i papierosy.

Było to życie na pół gwizdka, niewygodne życie. Zimne, mroczne, samotne i niezdrowe. Nocami leżał na materacu, słuchając gwizdu wiatru w szczelinach okien, szurania szczurów za drzwiami, niekończącego się monotonnego mruczenia czteropasowego ruchu ulicznego na Cable Street. Co rano budził się

o piątej, mył się w toalecie na końcu korytarza, malował, wyśkakiwał na chwilę na stację Esso, coś zjadał, malował, malował i malował, szedł spać o północy, pierwszej, drugiej nad ranem, potem się budził i powtarzał wszystko od nowa.

Był niewytkle płodny. Płod-ny. Po tylu jałowych latach trwania w stagnacji, teraz nic go nie mogło powstrzymać. Zadzwonił do Philippe'a, który odwiedził go po pierwszych dwóch tygodniach, zobaczył, co Ralph już zdążył stworzyć, i od ręki wypisał mu czek na pięćset funtów, który Ralph zrealizował i wydał na płótno oraz farby.

Dzień po dniu ściany jego pracowni pokrywały się coraz większą liczbą obrazów — dokładnie dwudziestoma jeden obrazami,

małymi i dużymi, portretami i martwą naturą. Dwadzieścia jeden obrazów w sześćdziesiąt cztery dni. Niezły wynik. Philippe powiedział, że w życiu się z czymś takim nie zetknął.

Ralph nie wytłumaczył jednak Philippe'owi — bo wydawało mu się to zbyt żalosne — że inspiracją dla wszystkich obrazów był, o dziwo, pewien DJ, DJ o nazwisku Karl Kasparov.

Któregoś dnia Ralph zupełnie niechcący nastawił radio na stację ALR. Zazwyczaj nie słuchał stacji komercyjnych, wszystkich tych reklam i odmóżdżonych DJ-ów, lecz coś w pełnym rozpaczy głosie irlandzkiego DJ-a wstrząsnęło nim, a chwilę potem Ralph zrozumiał, o czym prezenter mówi — o utraconej miłości — i niemal do łez wzruszył się empatią, jaka go ogarnęła. DJ ten sprawiał wrażenie fajnego faceta, a jego szczerłość zapierała dech w piersiach. Po jakimś czasie na stacji benzynowej zobaczył jego zdjęcie na pierwszej stronie jakiegoś brukowca, wykonał proste dodawanie i zrozumiał, kim jest ten DJ. To facet z mieszkania piętro wyżej na Almanac Road, ten ze starowiecką fryzurą, spanielem i grubą dziewczyną, facet, któremu w przelocie dziesiątki razy mówił „cześć”, z którym jednak nigdy nie rozmawiał...

Odtąd, jak cała reszta Londynu, zaczął codziennie słuchać jego audycji, by sprawdzić, czy u Karla wszystko w porządku, i przekonać się, jak się ten stary drań czuje. I odkrył, że cierpienie Karla potęguje jego własne, motywuje go do pracy, inspiruje. Odcięty od ludzkich uczuć, od rzeczywistości i źródła własnego bólu, Ralph potrzebował Karla, by sobie przypomnieć, po co w ogóle istnieje. Wpół do czwartej po południu stało się najważniejszą porą jego dnia, szansą, by znowu coś poczuć, by od nowa stać się człowiekiem. Miał mu za co dziękować. Nigdy go tak naprawdę nie poznał, ale teraz czuł się jak jego stary kumpel, naprawdę dobry przyjaciel. Obiecał sobie, że gdy już będzie po wszystkim, postawi mu drinka, a właściwie to całą masę drinków.

Ralph siedział z papierosem palącym mu się w palcach, oparty obolałymi plecami o ścianę, z kolanami podciągniętymi pod pierś. Mocno zaciągnął się marlboro i wypuścił gęstą chmurę miękkiego, białego dymu. Skończył. Już nie mógłby wykonać choć

jednego pociągnięcia pędzlem, nawet gdyby chciał. Jego kolekcja była ukończona, a Ralph czuł satysfakcję. Rozejrzał się po pracowni i odetchnął z ulgą. Potem poczuł lekkie ukłucie smutku.

Boże, tak bardzo tęsknił za Jem. Tak strasznie za nią tęsknił. Nie mógł się doczekać powrotu do domu.

Przez dwa dni po tamtym katastrofalnym curry na Bayswater starał się prowadzić normalne życie, dwa dni ukrywał się w swoim pokoju, usiłując unikać Jem i Smitha, powstrzymywał pragnienie, by rzucić się na nią, potrząsnąć nią za ramiona i powiedzieć wszystko o Cheri, wyjawić, że Smith to kawał drania, lecz uświadomił sobie, że musi odejść. Jem ledwo go zauważała, atmosfera zrobiła się paskudna. Nie potrafił tak żyć. Spakował więc rzeczy w małą torbę i pojechał do pracowni, zaczął malować i skończył dopiero teraz. Boże Narodzenie i Nowy Rok spędził na malowaniu. Zadzwoił do Smitha i powiedział, że nie wie, kiedy wróci, zadzwonił do rodziców z życzeniami świątecznymi i noworocznymi i, poza Philippe'em, przez ponad dwa miesiące nie kontaktował się z nikim.

Ale teraz skończył i nadszedł czas, by zacząć życie od nowa. Poza tym musiał zorganizować przyjęcie. W czwartek wieczorem miała się odbyć premiera prasowa, lecz piątek należał tylko do niego. Zaproś, kogo chcesz, powiedział Philippe, przyjaciół, współlokatorów, mamę i tatę, wujka Freda. Zamów jedzenie, przynieś sprzęt stereo, zabaw się, zasługujesz na to i, na miłość boską, idź się ostrzyć, wyglądasz przerażająco.

Miał plan. Teraz wróci na Almanac Road. Wykapie się, u Culensa kupi pieczonego kurczaka za 3,99 funta, przyrządzi go z tłuczonymi ziemniakami i sosem i zje za pomocą sztucców! Myśl ta przepelniła go podnieceniem. Odszuka swój notes z adresami, wydrukuje na Maku jakieś odlotowe zaproszenia na imprezę, pójdzie na pocztę, kupi znaczki i roześle zaproszenia wszystkim znajomym. Jedno zostawi w pokoju Jem, a drugie w pokoju Smitha.

A potem pójdzie na górę. W drodze na pierwsze piętro zatrzyma się i włoży zaproszenie do skrzynki Karla Kasparova. Chociaż w ten sposób odwdzięczy się za to, co Karl — aczkolwiek zupełnie nieświadomie — dla niego zrobił.

Potem wejdzie na pierwsze piętro, zapuka do drzwi i spyta tę całą Cheri, czy może na chwilę wejść. Przyjmie jej zaproszenie

na herbatę, a potem poprosi ją o przysługę. Początkowo Cheri nie zrozumie, o co chodzi, ale on jej wytłumaczy, z malarskimi szczegółami, dlaczego chce, by to dla niego zrobiła, i wtedy Cheri się uśmiechnie i powie: „Jasne”, chętnie mu pomoże. Karl dokończy herbatę, podziękuje serdecznie, uściśnie jej dłoń, może nawet pocałuje ją w policzek i wróci na dół.

Następnie pójdzie do swojego pokoju, zdejmie buty, rozbierze się do samych bokserek, odgarnie miękką, ciężką narzutę i wślizgnie się do łóżka. Aaaa! Prześni calutką noc i większą część następnego dnia, aż słońce zacznie zachodzić, niebo przybierze barwę jagód i śliwek, a w radiu zaczną ogłaszać wyniki meczów piłkarskich. A wtedy... co wtedy?

Wtedy może uśmiechnie się od ucha do ucha, bo znajdzie się już w połowie drogi do szczęścia, w połowie drogi do celu, w połowie drogi do Jem.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jego płaszcz wisiał w przedpokoju, ciężkie buty z rozwiązanymi sznurówkami i lekko odchylonymi od siebie noskami — podobnie jak zawsze stawał stopy — stały obok siebie na słomiance. Serce Jem zamarło na ułamek sekundy. Powiesiła płaszcz na jego płaszczu i weszła do salonu, szukając dalszych znaków jego powrotu.

Popielniczka na stoliku kawowym była pełna niedopałków marlboro, a pilot leżał tam, gdzie Ralph zawsze go kładł — na poręczy kanapy. W kuchennym zlewie, niedbale oplukany, stał na sztorc talerz z rozsmarowanym stężalym tłuszczem i okrawkami chrupkiej skóry kurczaka. Na blacie koło czajnika leżała paczka tłuczonych ziemniaków w otoczeniu twardych, mączystych grudek. Drzwiczki zmywarki znowu były otwarte, zawsze je tak zostawiał, a na pokrywie kosza na śmieci wałała się torebka herbaty w kałuży esencji.

No, pomyślała Jem, Tajemniczy Czytelnik Pamiętników wrócił.

Łazienka była zawilgocona i śliska od skroplonej pary — na macie kąpielowej wciąż widniały wielkie, mokre ślady stóp, na brzegu umywalki leżała na boku jego stara zielona szczoteczka do zębów z od dawna wytartym włosiem. Na białej emalii zostały małe grudki pasty.

Jem pozwoliła sobie na uśmiech i poszła cicho przez przedpokój do pokoju Ralpha, z sercem mocno walącym z wyczekiwania. Nieśmiało zapukała do drzwi, a nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnęła je lekko. Zmarkotniała, kiedy ujrzała pusty pokój. Ralpha nie było. Teraz go nie było w domu, ale z całą pewnością wrócił! Ralph wrócił!

Bardzo, bardzo się za nim stęskniła. Brakowało jej wszystkiego, co z nim związane, tego, że spał rano za zamkniętymi drzwiami swego pokoju, gdy ona szykowała się do pracy, jego do połowy opróżnionych kubków ze starą, zimną herbatą z mle-

kiem porozstawianych po całym mieszkaniu w najmniej spodziewanych miejscach — kiedyś znalazła taki kubek w szafce w łazience — klaskania o podłogę jego bosych stóp, paczek marlboro poutykanych wszędzie jak w dziupli wiewiórki, ale przede wszystkim tęskniła za jego obecnością.

Robiła, co mogła, żeby zepchnąć w podświadomość całą tę kwestię miłości. To przecież jedna wielka głupota. Nie kochała Ralpa — jak mogłaby go kochać? Przecież nawet go nie znała, nigdy się z nim nie całowała, nigdy z nim nie spała — tylko go lubiła. A on sam też był głupi, jak wszyscy ci inni chłopcy, którzy wyznawali jej miłość. Była pewna, że już zrozumiał, jak głupio się zachowywał przez te ostatnie parę miesięcy, pewnie już sobie znalazł nową modnie wystrojoną, chudą dziewczynę. I już jej przeszła wściekłość spowodowana tym, że czytał jej pamiętniki. Dobrze, że Ralph odszedł z Almanac Road. Dzięki temu miała czas na uporządkowanie myśli i poukładanie sobie tego, co zaszło na Bayswater. Gdyby został, cały czas miałyby mętlik w głowie, ciągle porównywałyby Ralpa ze Smithem, zastanawiała się, co robić. Zamartwiałaby się osłabnięciem uczuć do Smitha, rosnącą intensywnością miłości do Ralpa. Może nawet zaczęłyby wierzyć, że Ralph ma rację, że powinni być razem, a Smith nie jest jej przeznaczony.

Co, zważywszy na stosunki, jakie między nimi panowały od ostatnich dwóch miesięcy, wcale nie było aż tak niedorzeczną teorią.

Nie układało się im. Prawdę mówiąc, było koszmarnie. Smith bardzo się zmienił od tamtego weekendu w St Albans. Początkowo wydawało jej się, że może się na nią o coś boczyć, może jest zazdrosny o to, że spędziła z Ralphem taki fajny weekend, że poszli razem na curry, może mimo wszystko był taki jak inni. Ale po jakimś czasie rozumiała, że wcale nie jest zazdrosny, że się nie obraził, lecz po prostu nie jest już nią zainteresowany. Nie miała zielonego pojęcia, co z tym począć. Już nie był czuły, już jej nie rozśmieszał, nie starał się, od dwóch miesięcy nie chodził na spotkania z jej przyjaciółmi, nie zabierał jej na kolację, nie dzwonił do niej do pracy, nic. Jem doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma zbyt wysokich oczekiwań wobec mężczyzn, nie żąda od nich uwagi czy romantycznych gestów, ale to zakrawało na jakiś absurd! Próbowwała z nim

o tym rozmawiać, próbowała wyrazić swe zaniepokojenie, nie wychodząc na neurotyczkę czy paranoiczkę, jaką przecież nie była, ale za każdym razem zapewniał ją, że wszystko w porządku, oczywiście, że tak, jest tylko trochę zmęczony, nieco zestresowany, ciutkę przepracowany, odrobinę zajęty. Przepraszał, głaszał ją z roztargnieniem i na tym się kończyło. Nie chciała do tego wracać, bo z własnego doświadczenia wiedziała, jak koszmarnie są te bezustanne pytania: „Wszystko w porządku?... Na pewno wszystko w porządku?... Dlaczego jesteś taki małowówny?... Co się stało?... Czy chodzi o mnie?...” itd., itp. Nie cierpiała ich i nie chciała narażać na nie innej osoby. Nawet jeżeli z całą pewnością coś było nie w porządku.

Początkowo martwiła się zmianą postawy Smitha, z przerażeniem godzinami zadreżczała się domysłami. Nuda? Depresja? Inna kobieta? W końcu przed paroma dniami przestała się zastanawiać i martwić i ni z tego, ni z owego w ogóle przestało jej zależeć. A to było bardziej niepokojące niż wszystko inne. Skoro naprawdę kocha Smitha, to przecież powinno jej na nim zależeć. Nawet jeżeli jest taki okropny, chłodny, odległy. Jej jednak nie zależało.

Gdzieś po drodze uprzytomniła sobie ze zgrozą, że przemienili się w jedną z tych koszmarnych par w średnim wieku, które widuje się w restauracjach i pubach, jak siedzą, gapiąc się przed siebie i aż kipiąc od niewyraźnych pretensji i wstępu, trwając ze sobą od lat na zasadzie kompromisów do n-tej potęgi, bo żadne z nich nie ma w sobie ikry, by wstać i wyjść — jedną z tych par, którym po prostu już na sobie nie zależy.

Jem starała się myśleć pozytywnie. Wiedziała, że wczesna, pełna namiętności faza dyktowana przez feromony nie trwa wiecznie, a fakt, że od samego początku mieszkali razem, prawdopodobnie nieco przyśpieszył nieuchronny wynik całego procesu, ale w końcu są parą zaledwie od pięciu miesięcy. Chyba przydałoby się więcej romantyzmu? A jednak najwyraźniej wcale tak być nie musi.

A teraz Ralph wrócił. Ralph, któremu na niej zależało. Cudowny, cudowny, cudowny Ralph. Najdroższy, kochany, fantastyczny Ralph. Nie czuła się tak szczęśliwa od wielu tygodni.

Weszła do swojego pokoju i zrzuciła buty.

Na łóżku leżała mała, czerwona koperta, niechlujnym charakterem pisma Ralpha zaadresowana do panny Jemimy Caterick.

Jem rzuciła się do niej i rozdarła. W środku znalazła jaskrawe zaproszenie na lśniącym papierze do drukarek kolorowych.

Ralph niedługo stanie się obrzydliwie bogaty.

Przyjdźcie więc i świętujcie na

IMPREZIE U RALPHA

Upijcie się, tańczcie, flirtujcie, róbcie, co chcecie — ja płacę.

Możecie obejrzeć moje obrazy, jeżeli wola.

Galerie Dauvignon, 132 Ledbury Road, Londyn W11,

Piątek, 6 marca, od 20.30 wzwyż.

R.S.V.P.

Jem od razu poprawił się nastrój. Impreza! Super! Może się ubrać w tę śliczną sukienkę w różyczki na cieniutkich ramiączkach i z mnóstwem guziczków na plecach, której do tej pory nie miała okazji nałożyć. Zobaczy też obrazy Ralpha, te niesamowite obrazy, którymi tak się zachwycała prasa. Będą tańce — nie tańczyła całe wieki — Smith nie lubi tańczyć, oczywiście, stary zgryźliwy tetryk. Ale ona i tak sobie potańczy. Z Ralphem. Zatańczy z Ralphem. Olewać Smitha. Olać go.

Nabazgrała odpowiedź i oparła ją o drzwi pokoju Ralpha.

— Dziesięć czterdzieści, kolego.

Kierowca taksówki wyciągnął rękę i spojrzał na Karla przez opuszczone okno. Karl powoli przeszukał kieszenie marynarki, płaszcza, dzinsów, chwając się lekko w zimnym, wilgotnym nocnym powietrzu. W końcu zlokalizował portfel, poślinił czubki palców swym delikatnym różowym językiem i niezgrabnym ruchem wyciągnął banknot dwudziestofuntowy.

— Reszta dla pana — wybełkotał, obrócił się ciężko na pięcie i chwiejnym krokiem poszedł w stronę schodów pod numerem trzydziestym pierwszym. Kierowca łypnął okiem na dwudziestkę, potem na Karla, pokręcił głową i odjechał.

Karl niepewnym krokiem wdrapywał się po kamiennych schodach, lewa noga, prawa noga, lewa, prawa, pochylając się w stronę drzwi, by zachować równowagę. Poskrobał kluczem w okolicach zamka najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem odwrotnie, aż wreszcie — bardziej dzięki szczęściu niż rozumowi — trafił w otwór. Drzwi otworzyły się ciężko pod

jego ciężarem, co dosyć go zaskoczyło. Delikatnie zamknął je za sobą i raz jeszcze się zdziwił, gdy w przedpokoju rozległo się echo głośnego trzaśnięcia. Skrzywił się i przyłożył palec do ust. Cśśśśś! Zachichotał i oparł się o drzwi.

Na półce w przedpokoju leżał mały stosik listów. Wziął je niezgrabnie w palce, a jego twarz ściągnęła się w absurdalną maskę koncentracji, gdy na przemian wytrzeszczał i zamykał oczy, usiłując skupić swe dwa idealne pola widzenia w jedno idealne pole widzenia, i odczytał adresy na kopertach.

— Panna Shee Dickson, ha! — Cisnął pierwszy list w stronę schodów prowadzących na pierwsze piętro. — Panna Es McNamara, ha! Nie ma jej tu, kurwa, poszła se! — krzyknął do koperaty. Jego ręka zanurkowała w kieszeni w poszukiwaniu pióra, zębami zdjął skuwkę i zaczął bazgrać po całej kopercie: „Kurwa, nie ma jej tu, jest, kurwa, u swojej matki — 78 Towbridge Road, Potters Bar, Herts — pozdróćcie ją, kurwa, ode mnie”.

— Siobhan-kurde-McNamara, panna McNamara, panna Dickson, panna Dickson, Siobhan. — Listy do Cheri fruwały z jego rąk na cały dywan i schody. Z odrazą odwrócił się do drzwi wejściowych i upadł na podłogę twarzą do przodu. Podnosząc się, zauważył czerwoną kopertę na wycieracze przed swoimi drzwiami, zaadresowaną odręcznie, bez znaczka.

Rozdarł ją, chybotając się lekko z boku na bok i dusząc w sobie lekką czkawkę. Odsuwał i przysuwał rękę z listem, aż wreszcie zdołał odczytać tekst, zezując jak staruszek czytający „Timesa”. Na odwrocie było coś napisane.

— „...słuchałem Twoich audycji... aż się rozplakałem... mieszkam na dole... znam mnóstwo pięknych kobiet... pomyślałem, że fajna impreza dobrze by Ci zrobiła... w przyszły piątek... taka luźna propozycja... przyprowadź osobę towarzyszącą... szampan przez całą noc... przyjdź”.

Karl uśmiechnął się krzywo.

Szampan za friko, co? Jasne, że przyjdzie. Ale fjnyfaset, pomyślał. Ale fjny, fjny, fjnyfaset. Znowu się uśmiechnął, zostawił płaszcz na podłodze, poczłapał do swojego pokoju, padł na nieposłane łóżko i natychmiast pogrążył się we śnie.

Cheri przez okno patrzyła, jak Karl wślizguje się na przednie siedzenie swego śmiesznego starego, czarnego samochodu i od-

jeżdżą Almanac Road. Zaczekała, aż zniknął jej z oczu, po czym szybkim i lekkim krokiem podeszła do swych drzwi wejściowych i zesłała wspólnymi schodami. Jej stopy w kaszmirowych skarpetkach poruszały się prawie bezszelestnie, gdy na palcach skradała się po posadzce.

Zatrzymała się pod drzwiami Karla i szybko zerknęła przez okno w korytarzu, żeby sprawdzić, czy nie wrócił nieoczekiwanie, i dopiero wtedy sięgnęła do tylnej kieszeni džinsów i wyjęła śrubokręt, pilniczek do paznokci i nieważną kartę kredytową American Express.

Plan Cheri zaczynał nabierać rumieńców. Poprzedniego dnia miała niespodziewanego gościa, odwiedził ją jeden z tych facetów z sutereny — nie ten przystojny, z którym przed Bożym Narodzeniem poszła na drinka do Oriela, tylko ten niechlujny, Ralph. Poprosił ją o przysługę. Brzmiało to dość dziwnie i w pierwszym odruchu chciała odmówić, ale wtedy Ralph powiedział, kto jeszcze tam będzie, a jej się przypomniał dziennikarz z „Daily Mirror”, do którego zadzwoniła dzień wcześniej, ten, który powiedział, że są zainteresowani jej historią, więc doszła do wniosku, że taka przysługa tylko wyjdzie jej na korzyść. A poza tym ten Ralph był naprawdę miły, miał taki ładny uśmiech.

Tak więc się zgodziła, a teraz musi tylko jakoś się dostać do mieszkania Karla i znaleźć to, co jest jej potrzebne. Wiedziała, że to możliwe. Przed paroma laty jednemu z jej byłych chłopaków udało się otworzyć drzwi, kiedy zatrasnęła się w środku. Wszystkie drzwi w tym domu były takie same, wstawione podczas przebudowy, więc pewnie zamki też miały taką samą konstrukcję.

Po dobrych piętnastu minutach manipulacji, stresu i rozpaczliwych wysiłków, by nie naruszyć farby i nie odłupać z framugi wielkich kawałów drewna, drzwi nagle i szczęśliwie otworzyły się ze skrzypnięciem. Cheri uśmiechnęła się z satysfakcją, schowała narzędzia z powrotem do kieszeni džinsów i weszła do mieszkania. Z lekką odrazą zmarszczyła nos. Panował tam straszny bałagan: zasłony były zaciągnięte, na całej podłodze wałały się sterty starych gazet niedzielnych, wszędzie stały kubki i talerze, na telewizorze chwiały się niepewnie pojemniki po jedzeniu na wynos, a w całym mieszkaniu unosił się przytłaczający odór wilgotnej pościeli i starych butów.

Rozejrzała się po pokoju, dumając, od czego zacząć.. Nawet nie wiedziała, czego właściwie szuka. Pomyślała, że na początek wystarczy notes z adresami, więc podeszła do stołu, który kiedyś mógł służyć za biurko. Serce jej waliło pod bluzą, dudniąc o zębra. Ręce jej się trzęsły, miała krótki i urywany oddech. Podobało jej się to! Zaczęła przeglądać sterty papierów na stole, a potem sprawdziła zawartość szuflad. Nic.

Weszła do kuchni, po czym szybko się z niej wycofała, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest to pomieszczenie. Na miłość boską, dlaczego ten głupol nie zatrudni sprzątaczkę? Było go na to stać. I pomyśleć, że mogła... błą... z takim niechlujem żyjącym w takich warunkach. Zadrżała lekko i odsunęła od siebie tę myśl.

Z animuszem otworzyła drzwi sypialni i aż jej zaparło dech od zapachu niepranej pościeli i ubrań porozrzucanych po całym pokoju. Zapaliła światło i cofnęła się na widok pary nieapetycznie wyglądających bokserek spoczywających u jej stóp. Uśmiechnęła się ironicznie i przestąpiła je ostrożnie, zmierzając do toaletki na drugim końcu pokoju. Bingo! Jest — dokładnie to, czego szukała. List zaadresowany do Siobhan, teraz zabazgrany ledwo czytelnym pismem. 78 Towbridge Road, Potters Bar, Herts. Wbiła sobie ten adres do głowy, powtarzając go kilka razy przed odłożeniem listu na toaletkę, zgasiła światło w sypialni i po cichutku wycofała się do swojego mieszkania na górze.

Wszystko było gotowe!

Ralph? Ralph? Ralph?

Kto to, kurwa, jest, ten Ralph?

Siobhan chodziła kiedyś do szkoły z jednym Ralphem — Ralphem Miliardem — ładnym, nieco zniewieściałym chłopcem o opinii „modela”, ale nie był nawet w jej klasie. Jej lekarz miał na imię Ralph, a może Rupert? Rodney? Nie — nie znała żadnego Ralpha.

To kto jej, kurczę, przysłał to zaproszenie?

Znowu wzięła je do ręki i obejrzała, obracając na wszystkie strony, by sprawdzić, czy na odwrocie nie ma znaków, które mogłyby ją naprowadzić na właściwy trop. Nie. Nic.

Przyszło przed tygodniem w przesyłce od jej matki, w czerwonej, ręcznie zaadresowanej kopercie. Adres był właściwy

— Siobhan McNamara — ale bez kodu. Pieczęć zdradzała, że został wysłany w WI — to mógł być ktokolwiek. Na pewno nie rozpoznawała tego charakteru pisma i, chociaż miał dopisek R.S.V.P., nie podano adresu czy telefonu. Absolutna zagadka. A Siobhan uwielbiała zagadki.

Na początku tygodnia rozmyślnie przejechała przez Ledbury Road i upewniła się, że Galerie Dauvignon rzeczywiście istnieje i rzeczywiście wystawia kolekcje obrazów, ale Siobhan nagle straciła całą odwagę i nie weszła, a poza tym za bardzo podobała jej się ta atmosfera napięcia i nie chciała psuć niespodzianki, która na nią czekała w piątkowy wieczór. Może to faktycznie Ralph Miliard. Bardzo możliwe, że został artystą. Może zawsze w tajemnicy się w niej podkochał i przez tyle lat trzymał adres jej matki, czekając, aż osiągnie sukces, zanim się z nią skontaktuje, by jej zaimponować. A może przez dwadzieścia lat żywił do niej jakąś urazę, a teraz przyszedł czas zapłaty? Nie, Siobhan nigdy nie zamieniła z nim więcej niż dwa słowa.

Była to cudowna, wielka, mroczna tajemnica i w miarę upływu czasu, odkąd po raz pierwszy otworzyła tę kopertę, strasznie się nakręcała na myśl o rozwiązaniu, planowała strój i wizytę u fryzjera. O cokolwiek w tym wszystkim chodzi, ktokolwiek się za tym kryje, ona jest gotowa. W najgorszym wypadku okaże się, że to pomyłka — no i co z tego? Przynajmniej ma okazję wystroić się i pochwalić nową figurą i modną fryzurą. Jeżeli impreza okaże się denna, w każdej chwili może wyjść, złapać taksówkę i wrócić do Ricka. Do domu. Mieszkała u Ricka dopiero od paru tygodni i jeszcze nie nauczyła się nazywać tego miejsca swoim domem.

Rick jeszcze nie zdecydował, czy z nią pójdzie, chociaż był tak samo jak Siobhan zaintrygowany i podniecony tą tajemnicą. Siobhan wiedziała, że zgrywa luzaka, nowoczesnego faceta, który daje swojej dziewczynie trochę „przestrzeni”, pokazuje, że z radością puści ją na imprezę u jakichś obcych ludzi w piątkową noc — tak jak to robił Karl w początkowej fazie ich romansu. „O nie” — powiedział słodko Rick. „Nie będę ci zawadzał, idź sama”. Niech go Bóg błogosławi. Jest taki kochany. Siobhan w głębi duszy miała nadzieję, że nie będzie chciał iść. Nadal była w euforii wywołanej świeżo odzyskaną wolnością, reinkarnacją swego starego, niezależnego ducha, który od lat tkwił po-

grzebany pod warstwami rutyny, nudy i tłuszczu. Dzisiaj chciała przeżyć tę przygodę sama.

Weszła do łazienki Ricka wyposażonej w kosztowne, markowe urządzenia, z kabiną prysznicową z nierdzewnej stali i giętymi lustrami, łazienki co dwa dni szorowanej przez węgierską sprzątaczkę, która przychodziła codziennie, żeby wysprzątać wszystkie pokoje w mieszkaniu Ricka wyposażone w kosztowne, markowe meble.

Po wprowadzeniu się do niego Siobhan schudła jeszcze bardziej. Po prostu w takim mieszkaniu gruba dziewczyna nie czułaby się dobrze, pasowało do szczupłej. To surowe wnętrze, długie, falujące zasłony, eleganckie wazony pełne kwiatów na długich łóżykach, przedmioty ze szkła i chromu ustawione na kruchych, dyskretnych półkach, wysokie, georgiańskie okna, wysokie sufity i okiennice, miękki, elegancki minimalizm tego miejsca — wszystko to po prostu wysysało z niej tłuszcz. Nawet nie musiała się wysilać. No i oczywiście to powszechnie znany fakt, że zakochanie się to dla kobiety najlepsza dieta.

Kiedy już pozbyła się nadwagi, ogarnęło ją pragnienie, by spróbować czegoś nowego. Poszła więc do fryzjera, gdzie krzywiła się, gdy ścinano jej koński ogon, i zacisnęła oczy, kiedy usłyszała, jak odcięte włosy spadają cicho niczym szept na podłogę. Skrócili jej włosy do ramion i teraz opadały grubymi warstwami, tworząc fryzurę „na Rachel”. Z przodu zrobiono jej jaśniejsze pasemka, a całość wysuszono od spodu. Potrząsnęła ostrzyżonymi włosami, odrzuciła głowę do tyłu i przed sobą w lustrze ujrzała młodą kobietę! Młodą, nowoczesną kobietę lat dziewięćdziesiątych. Karl by się przeraził. Niekiedy jej się wydawało, że kochał jej włosy prawie tak bardzo jak ją samą, a nie nawidził zmian.

Od fryzjera Siobhan udała się prosto do Covent Garden, do Oasis, Warehouse i French Connection, gdzie kupiła sobie sporo ekstrawaganckich ubrań — modnych ciuchów pasujących do jej modnej fryzury! I ani jednej pary legginsów.

Rickowi niezwykle się spodobało jej nowe wcielenie i stwierdził — nie jak zwykły kolega — że poprzednia fryzura, choć niewątpliwie piękna, nieco skracała jej sylwetkę, a nowe cięcie bardzo korzystnie podkreśla jej twarz i delikatne irlandzkie rysy, jasne pasemka zaś wydobyczą oszałamiający błękit jej oczu.

Umyła swoje nowe włosy, nie mogąc się nadziwić, o ile mniej teraz ma z nimi kłopotu, i zastanawiając się, dlaczego przez tyle lat męczyła się z taką bujną grzywą. Była wolna — uwolniła się od swoich włosów, tłuszczu i od przeszłości.

Dokładnie spłukała szampon, wyszła spod prysznic, owinęła się miękkim, kremowym ręcznikiem i zaczęła potrząsać głową, żeby wytrząsnąć z uszu kropelki wody, jednocześnie wycierając szyję i ramiona. Wzięła kieliszek wina, który postawiła przy umywalce i który teraz skrzył się perełkami skroplonej pary przypominającymi klejnoty, i upiła potężny łyk. Parę razy obróciła kieliszek w dłoniach, odwróciła się do swojego odbicia w lustrze i lekko uśmiechnęła się z podniecenia.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

— O Boże, ale się odstawieś! Wcielona elegancja, nie?!
— Philippe klepnął Ralpa w ramię i rozejrzał się po pokoju, by sprawdzić reakcję kelnerów, którzy wwozili na stolikach jedzenie i szampana z furgonetki zaparkowanej przed domem. Philippe zawsze robił wszystko dla efektu.

Ralph lekko szarpał krawat i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Przez całą drogę do galerii czuł treść. Po raz pierwszy, od pogrzebu ciotki w minionym roku, nałożył garnitur i krawat. Garnitur był jednak ładny. Od Dolce & Gabbana. Ha! Gdyby Claudia mogła go teraz zobaczyć! Był szary (najwyraźniej czerń tego sezonu) i miał fajne, małe kieszonki. Namówiono go na dość radykalną koszulę w paski z rozkładanym kołnierzykiem. „Wygląda pan jak urodzony model” — powiedział z podziwem niski, koszmarnie modnie ubrany hiszpański sprzedawca, przykładając mu krawaty do piersi. „Tak... nie myślał pan o tym, żeby zostać modelem?” — spytał koszmarnie modnie ubrany francuski sprzedawca. „Jest pan wysoki i zgrabny, wie pan? Ładnie panu w tych ciuchach, bardzo panu ładnie!” Stali, uśmiechając się do niego promiennie.

Ralph czuł się mile polechtany, ale i zakłopotany. Spodobał mu się jednak ten garnitur i odlotowa koszula, a zwłaszcza zgrabny, cienki, czarny krawat, który dla niego wybrali — bardziej w stylu Madness niż Kid Creole, nie nazbyt modny. Wyszedł na Bond Street o sześćset funtów uboższy, ale czując się dwadzieścia centymetrów wyższy. Stawił czoło temu traumatycznemu przeżyciu, jakim są zakupy modnych ciuchów, i odniósł zwycięstwo. Doprawdy niezły z niego model!

To ważne, by garnitur był odpowiedni. Bardzo ważne. Chciał, by dzisiaj wszystko było jak należy. Ten wieczór był o wiele ważniejszy niż otwarcie wystawy, ważniejszy od tych wszystkich nadętych starych pierdzieli i pretensjonalnych palantów, którzy

przyszli na wernisaż, by potem krytykować jego obrazy w gazetach. Rano był na James Street, by podciąć włosy, i w końcu dał się namówić na staroświeckie strzyżenie na mokro z parującym ręcznikiem, które fryzjer proponował mu już od lat. Nowe buty. Nowe dodatki. Gładki podbródek. Najlepsze skarpetki. Czas na imprezę.

— Ralph, czemu zawdzięczamy te nowe ciuchy, tę elegancję, te... — Philippe z obu stron obwąchał kołnierzyk Ralpha — seksowne perfumy? — Uniósł brwi i obiema dłońmi delikatnie poklepał Rapha po policzkach.

— Zobaczysz, Phil, to zrozumiesz — odparł Ralph nieco sztywno. Nie był w nastroju na żarty. Za bardzo się denerwował.

— Kobieta, nie? — W brązowych oczach Philippe'a pojawiły się złośliwe iskierki.

— Nie, nie kobieta, to tylko garnitur i to wszystko. — Lekko się najeżył. Serce mu dudniło. Wsunął palec pod kołnierzyk koszuli. — Boże, ależ tu duchota, Phil, czy klimatyzacja jest włączona?

— Na maksa. — Phil kiwnął głową. — Chodź obejrzyć kwiaty, właśnie przyjechały. Peonie, jak prosiłeś. Chodź zobaczyć. — Poprowadził Ralpha przez galerię po nieskazitelnej jasnej posadzce z klonu do biura na zapleczu.

Ralph kręcił głową na boki, spoglądając na swe obrazy i usiłując na nie spojrzeć oczami Jem. Co sobie pomyśli? Czy się wystraszy? Wybuchnie śmiechem? Spodobają się jej? O Boże, miał taką nadzieję. W końcu namalował je dla niej. Powiesił je z myślą o Jem, umieścił na ścianach w takiej kolejności, w jakiej powinna je zobaczyć. Wyobrażał ją sobie w czarnym futerku, futrzanej etoli i rękawiczkach, wyobrażał sobie, jak się rozgląda, podchodzi, by z bliska przyjrzeć się podpisom, co chwila odwraca się i uśmiecha do niego.

Małe biuro na zapleczu tonęło w peoniach — Ralph zamówił ich za dwieście pięćdziesiąt funtów — świeży zapach kwiatów wsączył się w jego nerwy i nieco zmniejszył napięcie. Z roz-targnieniem przebiegł palcami po miękkich, jedwabistych czubkach wielobarwnych płatków i jego oddech się uspokoił.

— Mogę liczyć na kieliszek wina, Phil? — spytał, poprawiając krawat.

— Wina? — Philippe uniósł brwi. — Ralph. Co się dzieje? Wczoraj i przedwczoraj nosiłeś dzinsy i piłeś piwsko, a dzisiaj

garnitur i wino. To przeze mnie, tak? Zaimponowałem ci, stajesz się Francuzem, nie? — Zachichotał i wyciągnął butelkę wina z lodówki, która stała za nim, i wyjął z barku dwa kieliszki.

Ralph wziął swój kieliszek, zapalił papierosa od Philippe'a i wrócił do galerii. Sięgnął pod biurko w recepcji i zmienił płytę na znajdującym się tam sprzęcie grającym. Radiohead. Tak jest. Tak już lepiej.

Potem przez jakiś czas chodził tam i z powrotem, z przyjemnością słuchając głuchego stukania skórzanych podeszew na sprężystej klepce podłogowej. Stał po liniach między deskami, balansował na jednej nodze, próbował bez przewracania się ustawić stopy — pięta przy pięcie — pod kątem stu osiemdziesięciu stopni. Udało mu się.

Włożył ręce do kieszeni, po czym je wyjął, zaczął podziwiać idealnie równe kanty biegnące od biodra do kostki. Zapiął marynarkę, zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco, więc się rozpiął. Powachlował się połamami marynarki, żeby przewietrzyć pachy. Cholera, ciągle gorąco.

Stał przy drzwiach wejściowych z winem i papierosem w jednej ręce, z drugą ręką w kieszeni, opierając się o framugę. W tym garniturze od Dolce&Gabbana, z winem i francuskim papierosem pewnie wyglądał jak jakiś pretensjonalny dupek bujający się po modnych galeriach w Notting Hill. Nieważne. Był podenerwowany.

Patrzył na przechodniów. Większość z nich nawet nie zajrzała do środka. Sztuka. Nie moja broszka. Nie bardzo mnie obchodzi. Nie winię ich za to. Sztuka to jakiś zabawny starość, jak się nad tym zastanowić. Jego obrazy. Są dla niego. Kawałki jego samego. Jego fantazje, jego sny. Nic dziwnego, że większość ludzi nie chciałaby ich wieszać w swoich domach. Ci, którzy to robili, ci, którzy byli gotowi zapłacić dwa tysiące pięćset funtów za jeden z jego obrazów, właściwie nie mieli prawdziwych domów, tylko budynki, biura lub „przestrzenie”. Próbował sobie wyobrazić jeden z tych obrazów na ścianie w salonie swojej matki, obok zegara z wahadłem. Uśmiechnął się.

Zerknięcie na zegar na ścianie za nim powiedziało mu, że jest dopiero wpół do ósmej. Jeszcze godzina. Znowu zaczął chodzić po pokoju. Wypił jeszcze trochę wina. Wypalił z dziesięć papierosów.

— Chcesz, żebym nazwał tę wystawę „Studium w nikotynie”?
— gderał Philippe.

Kelnerzy uwijali się wokół niego, artystycznie ustawiając plastery z kanapkami na stołach przykrytych białymi obrusami. Miniaturowe tajskie paszteciki z krabami przybrane lodyżkami świeżej kolendry, karłowate słupki grillowanego kurczaka z małąkimi miseczkami glutowatego sosu z orzeszków ziemnych, malusieńkie różowe krewetki owinięte wokół młodych pędów trzciny cukrowej, najmniejsze paszteciki samosa, jakie Ralph kiedykolwiek widział, sosjerki ze słodkim chilli, pikantnym chilli, z siekanym zielonym chilli, mielonym czerwonym chilli i marynowanym chilli. Ralph bardzo się przyłożył do doboru potraw.

Dwa wielkie czarne wiadra za kolejnym stołem były aż po brzegi wypełnione lodem i szampanem, a młoda dziewczyna w czarnej spódnicy i eleganckiej białej bluzce ustawiała w rzędkę lśniące szampanówki na stole przed sobą.

Philippe cackał się z peoniami, ustawiał je w całej sali w ogromnych, ekstrawaganckich bukietach, nucąc cicho. Był najbardziej dziewczęcym heteroseksualistą, jakiego Ralph znał.

Ralph poczuł, jak żołądek mu się ściska, a jelita skręcają. Próbował to zignorować, ale w miarę jak rosło jego podniecenie, uczucie to stawało się coraz bardziej nieznośne. Potarł brzuch przez bawełnianą koszulę w paski i mocno zacisnął pośladki. Włoski na rękach stanęły dęba. Jeszcze trochę pochodził po sali. Znowu zacisnął pośladki. Zapalił kolejnego papierosa. Znowu stanął przy drzwiach i popatrzył na ruch uliczny, elegantów z W 11 i zagraniczne pary wchodzące do drogich restauracji. Wyłączył płytę *Everything but the Girl*, którą nastawił Philippe, i z powrotem puścił Radiohead. Nastawił *Creep* na wielokrotne odtwarzanie.

— Chcesz, żeby ci goście poumierali na depresję? — wymrucał Philippe.

Ralphowi burczało w brzuchu. Jelita nadal się skręcały. Pod pachami czuł plamy potu. Była 20.28. Cholera, gdzie ona się podziewa? Chryste — a jak nie przyjdzie — nie, przyjdzie, przyjdzie...

Jelita mu już zupełnie zwariowały, po każdym papierosie skręcając się jeszcze bardziej. Jeszcze nie przyszła — powinna już tu być — chciał na nią zaczekać, stać przy drzwiach, kiedy we-

jdzie, ale musiał pójść do toalety. Popędził przez biuro do pomieszczenia przy tylnym wejściu. Odetchnął z ulgą, kiedy jego wymordowane kiszki wydalili swą zawartość do muszli sedesowej. Podciągnął swe piękne nowe spodnie, wetknął do środka koszulę, poprawił krawat i wytarł sobie pachy papierem toaletowym zmieciętym w kulkę. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał zatrzęsająco — blady i spocony, z wyrazem czystego przerażenia w oczach. I potwornie chudy. Cholera. Chciał sprawiać wrażenie takiego pozbieranego, człowieka sukcesu. Wyglądał zaś jak narkoman w drogim garniturze. Wytarł ręce i wszedł do biura, oddychając głęboko i szczypiąc się w policzki, by nabrać rumieńców.

Miał tyle do przemyślenia, tyle problemów na głowie. To, co zaczęło się jako fajny pomysł, mała impreza ze wszystkimi przyjaciółmi dla uczczenia jego sukcesu i końca dobrowolnego wygnania, przemieniło się w potencjalną telenowelę zaludnioną przez dziwne, skomplikowane postaci i poprzetykaną zawiłymi dialogami. Pewnie wszystko się spieprzy. Miał nadzieje, że nie skończy się na farsie.

Boże, gdzie ona jest?

Powiedziała, że przyjdzie przed pozostałymi gośćmi — powiedziała, że będzie dwadzieścia po ósmej, a już było za piętnaście dziesiąta. Przeszedł przez galerię w stronę drzwi w chwili, gdy przyjechała i wślizgnęła się do sali w obłoku perfum i blasku. Jedwabiste włosy miała z wystudiowaną niedbałością upięte na czubku głowy, a nieskazitelna cera lśniła niczym miedz pod leciutkim makijażem.

— O Boże, Ralph, tak cię przepraszam za spóźnienie, nie mogłam złapać taksówki i...

— Nie przejmuj się, wszystko w porządku, jeszcze nie przyszli. Wezmę twój płaszcz. — Nieporadnie zsunął płaszcz z jej ramion, odsłaniając długie, nagie, opalone ręce i sięgającą do kostek, gładką, czarną, obcisłą suknię z koronki.

Ralphowi szczęka opadła jak łopata koparki.

— Jezu Chryste... wyglądasz absolutnie... Chryste... wyglądasz fantastycznie!

Cheri uśmiechnęła się, usiłując przybrać taki wyraz twarzy, jakby nie nawykła do podobnych komplementów.

— Nie wiem, jak ci dziękować, naprawdę. Strasznie ci dziękuję, że przyszedłeś i że wyglądasz tak... cholernie cudownie. Jes-

teś absolutnie bezbłędna... cmok, cmok. — Wyszczrzył zęby i teatralnie ucałował ją w oba policzki. Nagle jego mięśnie się rozluźniły, serce zwolniło, a na twarz wrócił uśmiech.

— Będzie super — powiedział, ściskając Cheri za ramiona i uśmiechnął się szeroko, patrząc jej prosto w oczy. — Będzie super!

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Smith nawet dobrze się nie przyjrzał Jem, już nie wspominając o skomentowaniu jej wyglądu, kiedy wyłoniła się z łazienki, wyglądając, szczerze mówiąc, oszałamiająco, w swej sukience w różyczki, z satynowymi pączkami róż wpiętymi we włosy i w wyjątkowo seksownych sandałkach z zamszowymi paskami oplatającymi jej stopy aż do delikatnych kostek.

— Można już wejść do łazienki? — spytał z lekkim zniecierpliwieniem, które było zupełnie nieuzasadnione, gdyż po pierwsze to z jego winy byli już spóźnieni, a poza tym Jem siedziała tam zaledwie piętnaście minut, co nie jest zbyt długim czasem jak na to, by zrobić się na bóstwo.

Nie zgodził się włożyć białej koszuli, którą zaproponowała Jem, a teraz zrzędząc, rozpinął tę, którą wybrał sam, bo na rekawie odkrył plamę, która — sądząc po tonie jego głosu — również znalazła się tam z winy Jem (choć nigdy w życiu nie miała jej w ręku), i mamrotał pod nosem, że już uważa wieczór za nieudany, a nawet jeszcze nie wyszedł z domu.

Taksówka wreszcie przyjechała dwadzieścia minut po tym, jak coraz bardziej nieprzekonujący człowiek z centrali poinformował ich, że samochód jest „tuż za rogiem”.

Zanim taksówka przebiła się przez niewytłumaczalny, wolno posuwający się i wyjątkowo długi korek na Holland Road i zaparkowała przed galerią, było już wpół do dziesiątej, a Smith i Jem w ogóle stracili ochotę do rozmowy.

Zapłacili taksówkarzowi, który mógł mieć dobry nastrój, kiedy ich odbierał z Almanac Road, ale najwyraźniej zaraził się ogólną atmosferą wrogości i pretensji, która zalegała w taksówce przez ostatnie pół godziny i teraz był tak samo naburmuszony jak oni, jeśli nie bardziej.

Jem poprawiła futrzaną etolę i stanęła na chodniku, czekając, aż Smith odbierze resztę.

— Nie zostanę długo — wymamrotał, wpychając portfel do tylnej kieszeni i podchodząc do Jem. — Znajomi Ralpa to banda snobów.

Jem za jego plecami uniosła brwi jak stara mężatka i ruszyli do wejścia dokładnie w tej samej chwili, gdy do galerii przywłókł się Karl.

— O, cześć, stary! Nie poznałem cię! — Karl złapał Smitha za rękę.

— Fajnie, że cię widzę. — Smith mocno potrząsnął jego dłoń, a na jego twarzy pojawił się wyraz dezorientacji na widok sąsiada z góry. — Co ty tu robisz?

— Twój kumpel, Ralph, przysłał mi zaproszenie. Napisał, że słuchał mojej audycji i że mi współczuje. Ha! Wiecie, współczuje mi połowa Londynu, przedziwna sytuacja. Ostatnio strasznie często jestem zapraszany na imprezy. — Mrugnął i kuksnął Smitha pod żebro, a Smith i Jem spostrzegli, że jest pijany.

Widząc, że skwaszony Smith najwyraźniej nie kwapi się przedstawić jej temu wysokiemu Irlandczykowi, Jem wyciągnęła do Karla swą małą dłoń.

— Cześć, jestem Jem. Mieszkam na dole ze Smithem i Ralphem. Miło mi cię poznać.

— A tak, jesteś tą współlokatorką, nie? Jem uśmiechnęła się z przymusem.

— Tak, coś w tym rodzaju.

— Mnie również miło cię poznać. Jestem Karl. — Karl posłał jej serdeczny, pijacki uśmiech i nieco za mocno uścisnął jej rączkę. — Śliczna z ciebie dziewczyna, jeśli wolno zauważyć.

Jem nie miała absolutnie nic przeciwko takiemu stwierdzeniu. To pewnie jedyny komplement, jaki usłyszy tej nocy, więc przyjęła go z wdzięcznością.

— Jasne, że wolno. — Uśmiechnęła się i zerknęła na Smitha, by sprawdzić, czy zarejestrował tę uwagę i czy mu nie głupio, że sam nie wypowiedział podobnej. On jednak już był w drzwiach.

Impreza wyraźnie się rozkręcała. Smith, Jem i Karl przemierzali salę, szukając toalety, Ralpa i szampana. Cholera jasna, pomyślała Jem, kiedy przeciskali się między nagimi plecami, firmowymi ciuchami, kościstymi blondynkami, modelami i ofiarami mody, Ralph ma niesamowitych znajomych. Czuła się bardzo

niska. Powietrze było aż gęste od perfum Isseya Miyake, pretensjonalnych gadek, dymu z papierosów wydmuchiwanego przez znudzone usta ułożone w dziobek oraz wysokiego zawrota pulchnych dziewczyn obgadujących inne pulchne dziewczyny. Witano ich obojętnie, gdy tak się przesuwali, lub obrzucano powolnymi spojrzeciami, którym towarzyszyło lekkie rozczarowanie, gdy okazywało się, że nie wyróżniają się ani markowymi ciuchami, ani porażającą urodą.

Jem poczuła, że zaczyna jej się pogarszać nastrój. Smith miał rację. Znajomi Ralpa to rzeczywiście banda snobów. Dosłownie czuła, jak Smith, który szedł za nią, coraz bardziej markotnieje.

Rozpaczliwie przeczesywała salę w poszukiwaniu Ralpa. Bała się, że nagle zmienił się w pretensjonalnego artystę i że kiedy ją zobaczy, zupełnie ją zignoruje i będzie udawać przed swoimi superfajnymi znajomymi, że jej nie poznaje. „Przepraszam, czy my się znamy?” Zadrżała. Musiała go zobaczyć, musiała się upewnić, że nadal jest tym uroczym, wspaniałym Ralphem, pomimo tłumu dwuwymiarowych postaci wyciętych z magazynu, którymi się otaczał. Niestrudzenie przemierzała salę.

Karl cieszył się, że wypił parę drinków, zanim tu przyszedł. Oglądał wszystkich tych plastikowych ludzi i nagle poczuł się bardzo samotny i bardzo stary. Cieszył się, że wpadł w drzwiach na tamtych dwoje, przynajmniej nie musiał wchodzić sam. Nie cierpiał tej instytucji „bycia singlem”. Strasznie jej nie cierpiał. Wszyscy znajomi ciągle mu powtarzali, że się przyzwyczai, że wręcz to polubi. Upierali się, że wkrótce doceni korzyści. Karl natomiast z dnia na dzień coraz bardziej tego nienawidził. Nie było dnia, żeby nie tęsknił za Siobhan i ich leniwym trybem życia, za wieczorami na kanapie. Życie było wówczas takie proste, nie musiał się starać, nie musiał chodzić na imprezy pełne obcych i gadać z ludźmi, których nie lubił. Życie z Siobhan było istną sielanką.

Nadal był pewien, że Siobhan wróci. Nie mogła do końca życia zostać w tej okropnej sypialni na Potters Bar. Wkrótce mu wybaczy, potrzebuje tylko trochę czasu i przestrzeni. W przyszłym tygodniu wypadały jego urodziny. Był przekonany, że wtedy do niego zadzwoni — to doskonała okazja, by zacząć wszystko od początku, wybaczyć i zapomnieć.

Tymczasem musiał przeżyć tę imprezę. Uznał, że wychyli parę kieliszków szampana, zakąsi tym pysznym jedzeniem, które wy-

patrzył na drugim końcu sali, utnie sobie miłą pogawędkę ze swymi pięknymi sąsiadami, a potem wymknie się i wróci do niezgorszej butelczyny whisky, która czekała w domu na jego powrót. Zaczął wypełnianie postanowień na ten wieczór od porwania kieliszka szampana z mijającej go tacy i wypicia go duszkiem, po czym otarł usta wierzchem dłoni i stłumił lekkie beknęcie.

Smith wypatrzył głowę Ralpha na drugim końcu sali. „Jest” — wymruczał z ulgą. Jego towarzysze podążyli za nim jak cień, gdy ruszył w kierunku Ralpha.

Ralph miał na sobie niewiarygodnie modny szary garnitur i w końcu się ostrzygł. Jem pomyślała, że wygląda absolutnie rozkosznie. Stał odwrócony do nich tyłem i rozmawiał z jakąś wysoką, chudą blondynką, której twarzy nie widzieli. Rozmowa wyglądała na dość ożywioną, Ralph i dziewczyna zbliżyli głowy do siebie, a język ich ciała sugerował, że to coś więcej niż tylko uprzejma gadka-szmatka. Jem poczuła, jak wzbiera w niej lekka fala mdłości, i szybko ją przełknęła. Ralph może sobie rozmawiać, z kim tylko chce; to nie ma z nią nic wspólnego.

Ralph dostrzegł, że nadchodzi, i oderwał się od tej intymnej rozmowy. Kiedy zobaczył Jem, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, i Ralph rozłożył ręce, żeby ją objąć. Jem głęboko odetchnęła z ulgą — to znowu ten sam stary Ralph — i poddała się jego niedźwiedzemu uściskowi.

— Jemimo Caterick, wyglądasz oszałamiająco pięknie — szepnął jej do ucha i lekko musnął ustami jej policzek, od czego aż ją ciarki przeszły. Zarumieniała się i poczuła, jak jej serce dudni w piersi.

— Ty też. — Zachichotała.

Wysoka, złocista kobieta odwróciła się i Ralph wyswobodził się z uścisku, żeby otoczyć ramieniem jej nagie ręce. Jem znowu ogarnęła zazdrość.

— Yyy... chyba wszyscy znacie Cheri, prawda?

Cheri uśmiechnęła się promiennie do całej trójki.

— Cheri, to jest Karl... znacie się, prawda? Smith, mój współlokator, chyba się poznaliście... A to jest Jem, dziewczyna Smitha — wy też się chyba znacie? No, cóż za miłe, sąsiedzkie spotkanie! Przepraszam za tych wszystkich pretensjonalnych cholernych snobów z Notting Hill... nie zapraszałem ich... to czyiś znajomi. Moi przyjaciele pewnie są jeszcze w pubie...

Ralph mówił tak dalej, ale nikt go nie słuchał.

Smith aż się zachwiał i nie cofał ręki, którą podał Cheri, gdy zostali sobie przedstawieni. Jego twarz przybrała odcień żółci i wyglądał tak, jakby miała lada chwila zemdleć. Krzywił się nie-
miłosiernie i najwyraźniej usiłował sformułować w gardle jakieś
słowo, jego wyschnięte usta układały się w rozmaite kształty,
niczym wijący się piskorz. Żałował, że nie włożył tamtej białej
koszuli.

— Nie wiedziałem, że znasz Ralpa... — W końcu udało mu
się dość nieatrakcyjnie zapisać.

— Cóż — powiedziała Cheri, usiłując delikatnie wyswobodzić
swą dłoń z uścisku Smitha. — Przyjaźnimy się od niedawna.

— Dość znacząco wypowiedziała słowo „przyjaźnimy”, po czym
zaborczym gestem objęła Ralpa w pasie. — Jest taki słodziutki.

— Ułożyła w dziubek swe ponętne usta i pocałowała go lekko
w policzek.

Jem stała jak wryta, czując się jeszcze niższa, głupsza i zbyt
ukwiecona. W jej piersi wzbierały nieoczekiwane i całkowicie
niechciane łzy. Oddychała głęboko, trzymając się kurczowo Smit-
tha, on zaś jak głupi jękał się, powtarzając, jak bardzo mu się
podoba sukienka Cheri, jak oszałamiająco wygląda ona sama i ja-
ką ma śliczną fryzurę.

W ogólnej atmosferze nienawiści, zazdrości, pożądania, skre-
powania i szoku nikt nie zauważył Karla, którego twarz powoli
zmieniała barwę z kremowego jasnego różu w intensywny, trupi
szkarłat i którego ogromną sylwetkę przeppełnił tak wielki gniew
i wściekłość, że wyglądał, jakby lada chwila miał eksplodować
jak kielbaska w mikrofalówce.

— Co tu się, KURWA, dzieje? — zaczął, powoli i wyraźnie
wymawiając każde słowo. Patrzył wprost na Cheri. — Czy to
jakiś KUREWSKI żart? — Te słowa zostały wypowiedziane cicho
poza ostatnim „kurewski”, które wyrzycał tak głośno, że cała
czwórka nieomal wyskoczyła ze skóry i złapała się za gardło.

Odwrócili się do Karla. Cheri wyciągnęła do niego drżącą rękę.

— Uspokój się, Karl. To nie to, co myślisz. Słowo daję, mogę
ci wszystko wytłumaczyć...

Karl wyszarpnął rękę spod jej dotyku.

— Ty PIEPRZONA DZIWKO. Nie dotykaj mnie, kurwa. JE-
ZU! Rzygać się chce. Nie starczy ci, że zniszczyłaś mi życie?

— Pochylił się w stronę Cheri, która skuliła się pod ramieniem Ralpa, i powiedział, bryzgając jej w twarz śliną: — Teraz też zniszczysz życie temu facetowi... — Wskazał ze złością na Ralpa.

— Słuchaj, stary, daj spokój... — Ralph próbował mu przerwać, wyciągając rękę. Karl odtrącił ją jak natrętną muchę. Dochodził do stanu wrzenia.

— Nie, stary, to ty daj spokój. Nie wiem, co się tu, kurwa, dzieje, ale to mi się wcale nie podoba. Ani trochę. To jakiś żart, zgadza się? Dlaczego mnie właściwie zaprosiłeś? Czy to ta DZIWKA cię namówiła? — warknął.

— Karl, proszę! Słowo daję, to żaden żart. Przekonasz się.

— Cheri błagała go z teatralną egzaltacją. — To wcale nie tak, po prostu zależy mi...

— CO?! — Karl wybuchnął głębokim, złowieszcym, nieprzyjemnym śmiechem, od którego cała trójka aż się wzdrzygnęła.

— Tobie! Tobie zależy! Tobie nie zależy na nikim ani na niczym oprócz siebie samej. Jesteś najbardziej samolubną, egocentryczną, złą manipulatką, jaką miałem nieszczęście spotkać. Już raz mi zniszczyłaś życie i nie zamierzam patrzeć, jak ty i twoi „przyjaciele” zabawiacie się moim kosztem. — Walnął pustym kieliszkiem o półkę. — Dzięki za zaproszenie, stary — syknął pod adresem Ralpa.

— Proszę, Karl, nie wychodź, nie możesz teraz wyjść! — Cheri rozpaczliwie ścisnęła go za rękę. Gdyby teraz wyszedł, cały jej plan spaliłby na panewce, a ona utknęłaby na imprezie, na którą w ogóle nie miała ochoty przychodzić, z bandą ludzi, których nawet nie знаła, i nigdy nie stałaby się sławna.

Karl jednak wyrwał się z jej uścisku, odwrócił na pięcie i zaczął przedzierać się przez salę, rozpychając się swymi wielkimi łokciami w tłumie. Szczebiotanie i pogaduszki ucichły podczas tej konfrontacji i teraz wszyscy milczeli, poza jakimś idiotą z nosem jak rura od odkurzacza na drugim końcu sali, który tak był wsłuchany w dźwięk własnego głosu, że najwyraźniej nic nie mogło mu przerwać.

Karl już prawie dotarł do drzwi, kiedy ktoś go złapał od tyłu i odwrócił. Był to Smith, który ze zgrozą obserwował całą tę pożałowania godną scenę i niepewnie podążył za Karlem przez tunel w tłumie, który Karl zostawił za sobą.

— Słuchaj no... — zaczął.

Jem patrzyła na to wszystko z drugiego końca sali i skrzywiła się, po raz pierwszy myśląc, jaki ten Smith jest głupi. „Słuchaj no” — coś takiego mógłby powiedzieć tylko naprawdę głupi człowiek. To będzie tylko jego wina, jeżeli Karl da mu w pysk.

— ...słuchaj no. Nie wiem dokładnie, jaki masz problem, ale mocno przegiąłeś i proponuję, żebyś natychmiast wrócił i przeprosił Cheri. W ten sposób nie mówi się do damy.

Karl gapił się na Smitha. Nagle zrobił się jakby większy, a już z pewnością o wiele wyższy od Smitha. Jego usta ułożyły się w szyderczy uśmiech rottweilera.

— Ta DZIWKĄ nie jest żadną damą. A poza tym, do kurwy nędzy, co ty masz z tym wspólnego? — spytał, w wyjątkowo irytujący sposób dźgając Smitha w ramię. — Och, nie musisz nic mówić, ciebie też usidliła, co? — Roześmiał się i lekko odepchnął od siebie Smitha. — No to życzę szczęścia, stary, przyda ci się. — I odwrócił się do drzwi.

Smith zadarł głowę i wysunął podbródek, jakby na serio rozważał ponowne złapanie Karla za rękę i załatwienie sprawy na zewnątrz, lecz ocaliło go pojawienie się kolejnego gościa, ładnej blondynki w czarnym płaszczu i szpilkach.

— Karl!

— Chryste! Co... co... co ty tu robisz?

— Co ty tu robisz?

— Nie wiem. Kto cię zaprosił?

— Nie wiem. A nie ty?

— Nie.

— Coś takiego!

— Chryste, Shuv, wyglądasz oszalamiająco. Co zrobiłaś z włosami?

— Obcięłam. Słuchaj, co tu się, do diabła, dzieje? Czyja to impreza?

Karl wskazał na Ralpha, który z rozdziawioną gębą obserwował ich z drugiego końca sali. Cheri dyskretnie wycofała się za kolumnę.

— Jego? — powiedziała Siobhan, marszcząc twarz ze zdziwienia. — Ale... dlaczego? Kto to?

— To Ralph.

— A tak. Ralph. Jasne. Gospodarz wieczoru. Ale kto to jest Ralph?

— To jest Ralph. Mieszka na dole, na Almanac Road. Pamiętasz?

Siobhan wyteżyła pamięć.

— A, tak, ale dlaczego? Nic nie rozumiem, Karl. O co tu, kurwa, chodzi?

Karl wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. — Rozluźnił się, jego twarz pojaśniała od uśmiechu. — Jezu, kogo to obchodzi? Shuv, jak to dobrze cię widzieć. Tak dobrze cię widzieć...

Poklepywał ją po dłoniach i jak głupi szczyrzył do niej zęby.

Smith nadal stał za nim, z zaciśniętymi pięściami, wciąż jeszcze zaperzony. Odwrócił się przodem do reszty gości, którzy już znudzili się tym dramatem i jak gdyby nigdy nic wrócili do przerwanych rozmów. Co trzeba zrobić, żeby rozbawić tych ludzi? Spojrzał w dół na swe zaciśnięte pięści i rozluźnił je powoli, rozcierając ślady paznokci na dłoniach. Poprawił krawat, przecesał palcami włosy i powoli ruszył przez salę, zawstydzony, że jego wyzwanie do bójki, jedyne w jego życiu, zostało w taki sposób zignorowane na oczach sali pełnej snobistycznych znajomych Ralpha.

Skierował się prosto do Cheri, która wyłoniła się zza kolumny, i objął ją opiekuńczym gestem, delikatnie głaszcząc palcami nagą skórę. Serce waliło mu jak oszalałe. Była w dotyku dokładnie taka, jak to sobie wyobrażał — jak jedwabna przędza z nici z najbardziej jedwabistego jedwabnika, jaki kiedykolwiek istniał na ziemi.

— Wszystko w porządku? — spytał swym najwrażliwszym i najtroskliwszym głosem.

Cheri ponuro kiwnęła głową.

— Tak — powiedziała. — Ale myślę, że po tym, co zrobiłam, zasługuję na to. — Z goryczą odwróciła głowę.

— Co?! Nie bądź śmieszna. On był pijany. Nie miał pojęcia, o czym mówi. — Smith nie posiadał się z oburzenia.

— Nie, Smith, naprawdę. Miał absolutną rację. To wszystko prawda.

— Nie! — Zaprzeczył z taką gwałtownością, że wszyscy aż podskoczyli. — To wariat. Naprawdę, Cheri. Nie zwracaj na niego uwagi.

Cheri westchnęła, a Smith dalej głaszał mały spłachetek połyskliwej skóry pod swoim kciukiem. To najcudowniejsza skóra, ja-

kiej kiedykolwiek dotykał. Z radością mógłby ją tak głąskać przez całą noc.

— Posłuchaj, Smith — ciągnęła Cheri. — Opowiedziałam ci o wszystkim, nie pamiętasz? W Orielu? O mojej przeszłości, o moich problemach z mężczyznami.

Jem zeszytywniała i tak ścisnęła kieliszek, jakby się z nim mowała na rękę. Smith w końcu przestał głąskać ramię Cheri i opuścił rękę wzdłuż boku, jakby po raz pierwszy tego dnia uświadomił sobie obecność Jem. Ralph wzdrygnął się i odwrócił wzrok. Zaczyna się. Ujął Jem pod ramię i zręcznie zaczął ją odciągać od Cheri i Smitha.

— Jem, pozwól, że osobiście oprowadzę cię po mojej wystawie, to dla ciebie prawdziwy zaszczyt. — Uśmiechnął się zrozumiale i odciągnął ją w chwili, gdy już otwierała usta, żeby coś powiedzieć. Nie opierała się. Orieli? Co? Przecież Smith nie zna Cheri. Co tu się, do diabła, dzieje? Dlaczego Smith zachowuje się wobec niej tak opiekuńczo? Co on o niej wie? Całe to głąskanie, troska i komplementy na temat sukienki i włosów. A poza tym, czy to nie Ralph powinien być z Cheri?

— Ralph — odezwała się cichym, zmieszonym głosem. — Co tu się, kurwa, dzieje?

Ralpa zaczęły ogarniać wyrzuty sumienia, ale niezbyt duże — czuł się trochę tak, jakby miał dać rannemu zwierzęciu zastrzyk przeciwbólowy. To dobrze zrobi Jem. Teraz na pewno jej się nie spodoba, ale na dłuższą metę będzie wdzięczna. Położył ręce na jej ramionach i odwrócił ją do głównej części galerii.

— Nie wiem. — Zaśmiał się. — Myślę, że to jedna z tych dziwnych nocy.

Jem miała zbyt wielki zamęt w głowie, by domagać się bardziej konkretnej odpowiedzi, więc pozwoliła się oprowadzać, bezwolna jak manekin. O co chodzi z tą parą z góry — tym irlandzkim DJ-em i jego była dziewczyną? Stali teraz przy drzwiach, Siobhan obracała się przed Karlem, żeby się pochwalić nową figurą, Karl szczyrzył zęby i wyglądał, jakby nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy. Co on ma wspólnego z tą Cheri? I skąd Ralph ją zna? A Smith? I... i... i... o Boże. Jem aż zakręciło się w głowie. Aż do tego wieczora myślała, że Cheri to po prostu dziewczyna z pierwszego piętra, ta, z którą całe wieki temu ucieła sobie krótką pogawędkę, ta, która kiedyś była tancerką,

ta, która niedługo miała wyjść za mąż. Tak, zgadza się, przecież ona wychodzi za mąż, prawda? A teraz okazuje się, że przyszła tu z Ralphem, jest wrogiem Karla, a Smitha... kim jest dla Smitha? I z pewnością nie sprawiała już takiego wrażenia, jakby się wybierała za mąż. Jem rozejrzała się po sali i zobaczyła, że Smith znowu położył rękę na ramieniu Cheri i szepcze jej coś do ucha. Biodra miał skierowane w stronę jej uda, a wzrok utkwiony w jej twarzy. Cheri uśmiechała się, śmiała i robiła skromne minki.

— Jem? Jem, nic ci nie jest? — Ralph pochylał się nad nią i z troską zaglądał jej w oczy.

— Nie... skąd... wszystko w porządku. — Oderwała wzrok od tej nieprzyjemnej i niepokojącej sceny. Teraz nic z tym nie zrobi. Poza tym na parę chwil miała Ralpha tylko dla siebie i zaraz zobaczy jego obrazy, na które w całym tym zamieszaniu nawet jeszcze nie zdążyła zerknąć. Wzięła głęboki oddech.

Ralph wciąż patrzył jej prosto w oczy. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zamknął i otworzył znowu.

— Wiem, że już to mówiłem, Jem, ale powtórzę raz jeszcze. Wyglądasz zabójczo pięknie. Naprawdę. Ta sukienka jest... oszalałamiąca. I strasznie mi się podobają te różyczki w twoich włosach. — Delikatnie dotknął jednej opuszkami palców. — Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną na tej sali. Tak się cieszę, że znowu jesteśmy przyjaciółmi, tak się cieszę. — Wziął ją za rękę i lekko ją ucałował.

— Och, Ralph, ja też. Mnie ciebie też bardzo brakowało. — Jem zarumieniła się, zachichotała i również pocałowała go w rękę, po czym natychmiast się zawstydzila, odchrząknęła i odwróciła, żeby ukryć rumieniec. — To jak, pokażesz mi te słynne obrazy?

Przeklęty Ralph, pomyślała, zawsze przy nim wstydzę się jak pensjonarka.

Ralph lekko się splonił, zachwycony małą plamką wilgoci, którą zostawiły na jego dłoni cudne, miękkie usteczka Jem.

— OK. — Delikatnie objął ją w talii i wskazał na pierwszy obraz. — Ten zatytułowałem *Różowa szminka i peonie*.

Jem aż westchnęła i przyłożyła dłoń do ust.

— Ralph... to... czy to?... To ja, prawda? — Odwróciła się do niego z szeroko rozwartymi oczami.

Był to mały portret, bogaty w barwy i detale, zbliżenie twarzy Jem z wielkim, szczerym uśmiechem, który ukazywał jej wszystkie zęby. Jej głowę otaczały różowe, fioletowe i fiołkoworóżowe kwiaty w pełnym rozkwicie.

Ralph kiwnął głową i poprowadził ją do następnego obrazu.

Ten również przedstawiał Jem, tym razem jej popiersie, na tle lśniących czerwonych i zielonych chilli. Na następnym, następnym i jeszcze następnym też widniała Jem. Były też martwe natury ukazujące kwiaty, przyprawy i chilli. Jem nagle się speszyła i zawstydziała.

— Ralph... — zaczęła.

— Ćśśśś. — Ralph przyłożył palec do jej ust. — Oglądaj

— i baw się dobrze. — A ona, tak jak to sobie wyobrażał, kręciła głową na wszystkie strony, spoglądając na różne ujęcia, co jakiś czas odwracając się do niego z zaintrygowanym wyrazem twarzy, który mówił: „Jesteś wariat”, ale też z czułością, zachwytem, podnieceniem i — tego był absolutnie pewien

— z miłością.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

— Czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego nie powiedziałeś Jem o naszym drinku w Orielu podczas świąt?

Smith przez chwilę wyglądał na skonfundowanego. Podrapał się po brodzie.

— Ależ powiedziałem. Pewnie zapomniała. — Zachichotał i wepchnął ręce głębiej w kieszenie.

— Hmm. — Cheri pominęła to milczeniem. — To piękna dziewczyna, prawda? Kiedyś wpadłam na nią przed domem i trochę sobie pogawędziłyśmy. Uważam, że jest wspaniała.

— Tiaa. Tiaa. Chyba tak.

— Dziwne. Tyle czasu rozmawialiśmy w Orielu, a ty nawet raz o niej nie wspomniałeś...

— Cóż...

— Prawdę mówiąc, myślałam, że jesteś wolny.

— Tiaa, no...

— Wielka szkoda, bo miałam nadzieję, że nie masz dziewczyny. — Obracała w długich brązowych palcach oprawkę okularów. — Dobrze nam się rozmawiało tamtego wieczora, prawda?

Brwi Smitha wystrzeliły wysoko na czoło. Wyprostował się.

— O Boże... wiesz, Jem i ja to nic poważnego, naprawdę.

— Mnie mówiła co innego.

— Hę?

— Kiedy sobie pogadałyśmy pod domem. Mówiła co innego. Opowiedziała mi o swoich snach i że jesteście — jak ona to ujęła? — sobie przeznaczeni, tak, że waszym przeznaczeniem jest wspólne życie.

— Cóż, Jem to bardzo miła dziewczyna, ale potrafi być trochę... — Zrobił przedziwną minę, zezując, wystawiając język, a środkowym palcem zataczając kręgi po skroni, po czym parsknął i z powrotem wsunął ręce do kieszeni w spodniach.

— Naprawdę?! Hmmm, muszę powiedzieć, że mi się wydała bardzo normalna. Ale ma kompletnego hysia na twoim punkcie.

Smith uśmiechnął się z zadowoleniem i wzruszył ramionami.

— Wiem — powiedział.

— Wydawało mi się jednak, że mówiłeś, że to nic poważnego...

— No... — Podrapał się po karku. — To nie... nie dla mnie. Wiesz, co mam na myśli? Myślę... — Rozejrzał się dokoła i zniżył głos o oktawę. — Szczerze mówiąc, myślę, że to nieodwzajemniona miłość. To znaczy bardzo lubię Jem, nie zrozum mnie źle, naprawdę bardzo, bardzo ją lubię. To piękna dziewczyna, jak to słusznie zauważyłaś, ale... to nie ta „jedyna”. Wiesz,

o czym mówię, prawda? — Konspiracyjnym ruchem uniósł brwi i przysunął się do niej parę centymetrów.

— O tak — odparła. — Wyśniona, wymarzona. Coś w tym rodzaju. — Posłała mu oślniewający uśmiech. Co za obleśny typ, pomyślała, zgrzytając zębami. Ralph miał rację. Miała złe przeczucia w związku z tą sytuacją — w końcu przyszła tu tylko dla Karla i Siobhan. A teraz oni schowali się na drugim końcu sali i wyglądają na strasznie z siebie zadowolonych — zdaje się, że jej plan odniósł wielki sukces — dla niej więc ten wieczór się już skończył i może iść do domu. Ale właśnie się rozkręcała, a po pięciu minutach z tym dupkiem chętnie zrobi, co w jej mocy, żeby uwolnić Jem od niego. Patrzyła, jak Jem i Ralph chodzą po sali, on swymi wielkimi rękoma obejmuje jej drobne ramionka, prowadząc ją łagodnie do obrazów, nad którymi przez dziewięć tygodni pracował w wilgotnej, zimnej pracowni, do obrazów przedstawiających ją. Dostrzegła grymas niezadowolenia, który przemknął po twarzy Jem, kiedy weszła i zobaczyła ją i Ralpa, zachowujących się jak para. Cheri lepiej niż inni знаła ten wyraz twarzy. Była zazdrosna. Jem czuła do Ralpa coś więcej niż tylko sympatię, to oczywiste. Dobrze razem wyglądali, Ralph miał rację, teraz to widziała. Ten paskudny Smith to zwykła przeszkoda.

Znowu spojrzała na drugi koniec sali na Siobhan i Karla, pograżonych w rozmowie i roześmianych, i uśmiechnęła się pod nosem. Świetnie się bawiła jako dobry człowiek! Gdyby jeszcze tylko udało jej się pozbyć Smitha i oczyścić drogę dla Jem i Ralpa, rzeczywiście stałaby się dobrą wróżką! Uśmiechnęła się

znowu, gdy w jej brzuchu pojawiło się cudowne uczucie, wielka, ciepła kula dobroci. Odwróciła się do Smitha i ołśniła go kolejnym ze swych czarujących uśmiechów.

Do wpół do dwunastej większość fałszywych gości wyszła — następnego dnia musieli wstać wcześniej, by złapać samolot do Nowego Jorku, Tokio i Sydney, dokąd lecieli na pokazy, zdjęcia i castingi — a z pubu tuż za rogiem nadciągnęli prawdziwi przyjaciele Ralpha, rozgadani, pijani i chętni do zabawy. Wyglądało na to, że impreza dopiero się rozkręca.

Ktoś nastawił płytę Abby i po pierwszych trzech taktach *Walterloo* prawie wszyscy ruszyli w tany, pociągając w tańcu z butelek szampana i śpiewając na całe gardło. Smith otoczył ręką Cheri w tali i dość nieporadnie wywijał z nią po całej sali.

Siobhan i Karl siedzieli cicho w kącie, pochłonięci rozmową.

A Jem w toalecie wyplakiwała sobie oczy.

Przez cały wieczór nie rozmawiała ze Smithem. Odkąd tu przyszli, nie zamienili ze sobą ani słowa. Przede wszystkim jego tak pochłoneła rozmowa z tą Cheri, że Jem nie chciała im przeszkadzać, potem zaś zaciągnął Cheri na parkiet i od tamtej pory nie przestali tańczyć. A Smith nawet nie lubi tańczyć. Podniosła chusteczkę do twarzy, gdy po różowych policzkach zaczęły jej spływać nowe kaskady łez. Czuli się zawstydzona i poniżona. Nie przywykła do takiego traktowania. Ralph próbował ją pocieszyć, przekonać, że nie ma się czym martwić, ale — na miłość boską — Smith najwyraźniej był zafascynowany tą dziewczyną.

Była też kwestia Ralpha. Wyglądało na to, że cała ta sprawa z miłością lada chwila znowu wypłynie na powierzchnię. Jezu

— cała sala pełna peonii i jej portretów oraz ich ulubionych potraw, te komplementy, całowanie w rękę, dreszcze, które jej przechodzą po kręgosłupie i to, jak... jak dotknął palcem jednej z jej satynowych różyczek... to wszystko takie intymne, podniecające, cudowne i tak cholernie złe. Tak cholernie złe. Smith jest jej chłopakiem — chociaż trudno w to uwierzyć, sądząc po jego dzisiejszym zachowaniu — a Ralph był tylko przyjacielem i teraz miała zamęt w uczuciach, jak przed odejściem Ralpha. Nie, jeszcze większy, o wiele większy...

Wymaszerowała z kabiny, skropiła twarz wodą, wytarła ją papierowym ręcznikiem, poprawiła sukienkę, nastroszyła włosy

i wyprostowała ramiona. Potrzebne jej potwierdzenie. Musi się upewnić, że Smith ją kocha. Po raz pierwszy chce, by jej to powiedział. Wyjdzie z toalety, odciągnie go od tej strasznej dziewczyny i zmusi do tego wyznania, musi to usłyszeć, by uporządkować myśli i raz na zawsze skończyć z tymi fantazjami na temat Ralpha.

Po raz ostatni rzuciła surowe spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, odwróciła się na pięcie i weszła do galerii.

Siobhan przez cały wieczór usiłowała powiedzieć Karlowi o sobie i Ricku. Z dziesięć razy zrobiła głęboki wdech w najbardziej odpowiednich chwilach, brała się w garść, po czym traciła całą odwagę. Jak mogłaby to zrobić? Wyglądał na tak szczęśliwego, jego twarz aż promieniała z radości. Tak się ucieszył na jej widok i tak bardzo się starał zrobić na niej dobre wrażenie. Spytał, jak jej się żyje u matki. To doskonała okazja, żeby coś powiedzieć, ale po prostu nie potrafiła. Zraniłaby go, rozgniewała. W odpowiedzi rzuciła jakąś błahą uwagę i zmieniła temat. By uniknąć dalszej rozmowy, zaproponowała, żeby wstali

i zatańczyli, ale odmówił — wolałbym posiedzieć i porozmawiać;

tak bardzo się za tobą stęskniłem; mógłbym tak przegadać całą noc. Siedzieli więc i gadali — teraz o audycji Karla, tej niesławnej, i Siobhan zrozumiała, że lada chwila rozmowa zejdzie na poważne tory — naprawdę bardzo poważne.

Smith był kompletnie narąbany. Urznął się jak świnia. Do tej pory jeszcze się nie przewrócił tylko dlatego, że Cheri świetnie tańczyła i była bardzo silna. Od potu gęste włosy przykleiły mu się do czoła, koszulę miał wilgotną i zmiętą, a na twarzy pojawił się jakiś absurdalny grymas, który on sam pewnie uważał za ujmujący uśmiech, z którym jednak wyglądał jak wiejski głupek w kiepski dzień. Beznadziejnie gubił rytm i śpiewał niewłaściwe teksty, nawet tego nie zauważając.

Cheri miała już dosyć tańca z tym kretynek — źle z nim wyglądała — więc zwabiła go z parkietu propozycją drinka. Poszedł za nią jak pokorny szczeniak.

— Cheri — wybelkotał, opierając się niezdarne o ścianę z kieliszkiem szampana. Najwyraźniej znowu udawał luzaka, co mu jednak zupełnie nie wychodziło. — Ty i ja. Wiesz, powinniśmy

być razem. — Powoli uniósł brwi z niemym pytaniem: „Co ty na to?”

— Tak? — odparta Cheri ze znużeniem. Była już tym wszystkim zmęczona.

— Taaak. — Rzucił jej przeciągłe spojrzenie. — Ty i ja, dobrana z nas para, nie? Mamy w sobie coś... wyjątkowego. Czujesz to?

— Tak, chyba tak.

— Tamtej nocy w Orielu było super, nie?

— Yhy.

— A dzisiaj. Cholera, jest fantastycznie. Gadaliśmy cały wieczór, tańczyliśmy i w ogóle...

Cheri gorączkowo rozglądała się po sali w poszukiwaniu Ralpha, Jem lub kogokolwiek innego, kto by jej przyszedł na odsiecz. Była śmiertelnie znudzona.

— ...i naprawdę myślę, że ty i ja... no, to chyba jakieś przeznaczenie... zgadzasz się?

Cheri już nawet nie słuchała.

— Tak — wymruczała. — Tak, jasne.

Smith nie zauważył, że Cheri tłumi ziewnięcie i zerka na zegarek. Doszedł do wniosku, że już dosyć. Wystarczająco długo się naczekał, a teraz nadeszła ta chwila, ta odpowiednia chwila.

Walnął drinkiem o bar, rzucił się na kolana i chwycił Cheri za rękę.

— O Boże, Cheri! Kocham cię. Zawsze cię kochałem! — Jego głos rozniósł się po całej sali, ale jego nie obchodziło, kto go usłyszy! Ralph oderwał się od rozmowy, którą prowadził z dziewczyną swojego kumpla, Johna, i spojrzał na Smitha z przerażeniem. Zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. Smith znowu wykrył swoje stare numery. — Kocham cię od pięciu lat i... Chcę, żebyśmy byli razem do końca życia. — Pokrywał wierzch jej dłoni mokrymi pocałunkami. Wzrok Ralpha padł na osobę, która wylaniała się z toalety na zapleczu sali. Była to Jem, która z zaczerwienionymi oczami i wyrazem zdecydowania na twarzy szła pewnym krokiem w stronę Smitha i Cheri. Zobaczył jej minę, gdy dostrzegła usta Smitha na rękach Cheri, i stanęła jak wryta, kiedy usłyszała Smitha drącego się na całe gardło z całym niepohamowaniem zakochanego mężczyzny, który za dużo wypił i już nie panuje nad sobą: — Cheri, kocham cię! Wyjdiesz za mnie?

Po raz drugi tego wieczora cała sala ucichła. Cheri wyglądała na przerażoną, Ralph westchnął, a Jem krzyknęła. Smith się odwrócił, niemal się przewracając, zobaczył Jem, rozdziawił gębę, niczym ryba, odwrócił się z powrotem do Cheri, dostrzegł na jej twarzy obrzydzenie i opuścił głowę na piersi. Jem wzięła swój płaszcz z krzesła, narzuciła futrzaną etolę, złapała torebkę i wybiegła z galerii na ciemną, moką ulicę, a jej łkanie zginęło w odgłosach ruchu ulicznego za otwierającymi się i zamykającymi drzwiami. Ralph rzucił Smithowi potępiające spojrzenie, wziął płaszcz i pobiegł za nią.

Cheri spojrzała w dół na skuloną postać u swych stóp. Szarpnęła go za rękę i podciągnęła do pozycji stojącej.

— Żalodne — rzuciła szydyczko. — Absolutnie żalodne.

Siobhan i Karl przegapili cały ten dramat. Byli już na ulicy, przeżywając własny. Karl chodził tam i z powrotem po chodniku, gestykulując gwałtownie. Siobhan stała ze spuszczoną głową i mamrotała coś cicho pod nosem. Na chwilę przerwali rozmowę, gdy z galerii wypadła Jem, a za nią Ralph, którzy następnie pobiegli Ledbury Road. Smith krzyczał: „Zaczekaj, Jem, proszę!” za jej oddalającą się sylwetką. Karl i Siobhan spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i wrócili do rozmowy. Była zbyt ważna, by mogło ją przerwać nawet najbardziej dramatyczne zajście.

— Skoro nie mieszkasz u matki, to gdzie mieszkasz? — Karl odwrócił się od Siobhan, nie chcąc oglądać skrępowania malującego się na jej twarzy. — U swojego nowego chłopaka? — Wypluł te słowa. Zrobiło mu się niedobrze, okrutnie niedobrze.

Siobhan ponuro pokiwała głową.

— O! A gdzie dokładnie mieszka ten nowy chłopak? W jakiejś ładnej okolicy?

Straszne rzeczy, naprawdę straszne. Już tak dobrze szło, aż tu nagle Siobhan wyskoczyła ze swoją matką. Spotyka się z innym.

— Zależy ci na nim? — spytał Karl.

— Tak. — Kiwnęła głową.

— Czy to coś poważnego?

Znowu kiwnęła głową.

— Jezu, od kiedy?

Karl coraz bardziej się denerwował. Siobhan wzruszyła ramionami.

— Od paru tygodni.

Karl się skrzywił, a dolna warga zaczęła mu się trząść.

— Przecież... przecież... rozstaliśmy się właśnie parę tygodni temu.

Wtedy Siobhan się rozpląkała i schowała twarz na piersi Karla. Przytulili się i Karl zaprowadził ją na chodnik, by nie stać się tematem rozmów uczestników imprezy.

— No? — dopytywał się, tłumiąc szloch. — Czy ty i twój nowy chłopak mieszkacie w jakiejś ładnej okolicy? Siobhan, powiedz mi, powiedz mi wszystko...

— Och, proszę, Karl, nie...

— Nie, Siobhan, chcę wiedzieć wszystko. Powiedz mi wszystko. Jak ma na imię? Jak wygląda? Czym się zajmuje? Jest przystojny? He? Jest? Jest dobry w łóżku?

— Och, Karl...

— No, jest? Jezus. Siobhan. Co się tu dzieje? — Karl przeczesał palcami włosy i oparł się o drzwi sklepu. Owinął sobie płaszcz wokół kolan i potarł twarz dłońmi. — Myślałem, że tylko trochę od siebie odpoczniemy. Dlaczego nie mogłaś poczekać, Siobhan? Cholera, jak mogłaś tak szybko o mnie zapomnieć? O nas?

— Nie wiem, Karl, nie wiem. To wcale nie było szybko, dla mnie czas ciągnął się w nieskończoność. Siedziałam sama w swoim pokoju, tęskniłam za tobą, za naszym domem, za wszystkim. To trwało całą wieczność, nic, tylko czekałam i miałam nadzieję, że przyjdiesz po mnie.

— Dzwoniłem do ciebie! Dzwoniłem codziennie, o każdej porze dnia. Nie odbierałaś telefonów ode mnie.

— O Boże, Karl, zadzwonić jest łatwo. Ja chciałam, żebyś podjął jakieś działanie. Coś zrobił. Chciałam usłyszeć twój samochód na podjeździe, chciałam usłyszeć trzaśnięcie drzwiami i twoje kroki na żwirze. Chciałam usłyszeć dzwonek do drzwi, chciałam usłyszeć, jak matka woła, że przyjechałeś, że przyszedłeś po mnie. Czekałam co noc, ale ty się nie pojawiłeś...

— Przecież twoja matka groziła, że wezwie policję, jeżeli chociaż jeszcze raz zadzwonię. Jak mogłem przyjść, Shuv? Jak mógłbym się pojawić? Nie wiedziałem, czego się spodziewać.

— Och, proszę! Nie mów, że aż tak się bałeś mojej matki, mojej malutkiej sześćdziesięciodziewięcioletniej mamuleńki, że nie mogłaś zawalczyć o to, na czym ci zależało. Zawsze to ja

musiałam wszystko robić, Karl, wszystko. Nie rozumiesz tego? Na tym polegał cały problem. Ty zawsze chciałeś, żeby wszystko zostało po staremu: ja, mieszkanie, życie, wszystko. Gdybym cię przed laty nie zaciągnęła do Londynu, nadal byśmy mieszkali w tej dziurze, w Brighton. Gdybym po tamtym weselu nie zadzwoniła do Jeffa, w ogóle byś nie poszedł na tę rozmowę kwalifikacyjną. Gdybym cię nie namawiała przez pół nocy, odrzuciłbyś tę ofertę. Nawet musiałam cię zdradzić, żebyś zauważył, że jestem nieszczęśliwa, że z naszym związkiem dzieje się coś złego. Musiałam cię wyrzucić z domu, kiedy się dowiedziałam o tobie i Cheri, i niech mnie wszyscy diabli, jeśli to znowu ja miałam się starać naprawić nasz związek, nadeszła twoja kolej! Kurwa, nadeszła twoja kolej! Czekałam na ciebie, Karl, ale ty nie przyszedłeś. Nie napisałeś. Nie podałeś mi ani jednego porządnego powodu, dla którego powinniśmy próbować uratować nasz związek. Siedziałeś, piłeś whisky, użalałeś się nad sobą i płakałeś przed milionami pieprzonych obcych ludzi i wszyscy ci współczuli! A co ze mną?! Kto mi współczuł?! Nikt. Nie, Karl, ty już miałeś swoją szansę. Miałeś tysiąc szans i spierzyłeś wszystkie. Muszę odzyskać kontrolę nad swoim życiem, Karl. Znowu być sobą. W moim życiu nie ma już dla ciebie miejsca. Kocham cię. Zawsze będę cię kochała. Przez połowę mojego życia byłeś mi najlepszym przyjacielem. Ale teraz jesteś zbędnym balastem, który odcięłam. Tak samo jak ścięłam włosy, zobacz. — Przyciągnęła do brody podstrzyżone loki i zamachała nimi w stronę Karla. — Nie uważasz, że tak jest lepiej? — Odwróciła się i rozplakała.

Karl poczuł się tak, jakby ktoś go spoliczkował filetem z łososia. Łzy zapiekły go w twarz. Co mógłby powiedzieć? Co mógłby zrobić? Siobhan ma rację. Cholera! Miał ochotę skopać samego siebie. Chciałby się rozpołować, pogonić samego siebie w jakąś ślepą uliczkę i porządnie wkopać sobie w dupę.

— Shuv... — Wyciągnął rękę i dotknął jej drżącego ramienia. Odwróciła się.

— Och, Karl, tak mi przykro. Przykro mi, że miałeś nadzieję. Słyszałam cię w radiu. Byłeś taki przegrany, jakbyś wiedział, co ja już wiedziałam, że już po wszystkim, że to koniec. Gdybym tylko wiedziała. Moglibyśmy porozmawiać wcześniej. Powinniśmy byli porozmawiać wcześniej.

— A teraz jest już za późno, co? Za późno na te wszystkie „mogłam” i „powinnam”. — Głośno wypuścił powietrze i znowu się rozplakał. — Och, Shuv, co ja, kurwa, pocznę bez ciebie? Co ja mam teraz zrobić, Shuv? Co?

Odwrócił się do niej i przytulili się ze smutkiem i desperacją, głośno szlochając sobie nawzajem w uszy.

Prawdę mówiąc, to tak głośno, że początkowo nie usłyszeli samochodu, który zaparkował na ulicy koło nich, i cichego jęku opuszczanej szyby w oknie, a potem stłumionego, zaszokowanego głosu zdezorientowanego Ricka:

— Siobhan?

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Ralph w końcu dogonił Jem na skrzyżowaniu z Lonsdale Road. Maszerowała zdecydowanym krokiem, lekko się chwiejąc na swych cienkich szpilkach.

— Jem, proszę, zatrzymaj się! — Przyśpieszył nieco, by ją dogonić. — Proszę, zatrzymaj się! — Złapał ją za nadgarstki. — Zatrzymaj się!

— Czego? — warknęła, wrywając się z jego uścisku. — Zostaw mnie!

Zaczęła gwałtownie okładać Ralpha, młóćąc rękoma.

— Jem, tak mi przykro — powiedział, przyciskając jej ręce do piersi i obejmując ją. — Tak mi przykro. — Poddała się i w milczeniu padła w jego objęcia. — Tak strasznie mi przykro. Och, Jem. — Oparł policzek na jej głowie, czując, jak satynowe różyczki wbijają mu się w skórę, i chłonąc kwiatową świeżość jej lśniących włosów. — Biedna, biedna Jem. — Jej drobne ciało przez chwilę drżało w jego ramionach; przytulił ją mocniej.

Pociągnęła nosem i wytarła go palcami.

— Ralph — powiedziała. — To mi się nie przywidziało, prawda? Mój chłopak naprawdę oświadczał się tamtej dziewczynie? Czy to jakiś żart? Powiedz, że to żart. O co tu, kurwa, chodzi? Co? Co ta dziewczyna tu robi? Skąd ją znasz? Skąd Smith ją zna? Nie pieprz mi tu, tylko mów całą prawdę. Czy to jakiś chory dowcip? Co? Co?!

Ralph wypuścił powietrze. Wiedział, że musi jej wszystko wyjaśnić. Musi wyjaśnić wszystko, nie pomijając ani jednego szczegółu, łącznie z własną intrygą w całej tej koszarnej sytuacji. Zaprowadził Jem na ławkę i usiedli.

— Cóż — zaczął. — Wszystko zaczęło się pięć lat temu, kiedy Cheri wprowadziła się na górę...

I opowiedział jej wszystko o żalostnej obsesji Smitha, o jego dobrowolnym celibacie, kiedy czekał na to, by Cheri go zauwa-

żyła, o tej ndcy, gdy wpadł na Cheri, wracając z St Alban, i poszli na drinka do Oriela, o tym, że on, Ralph, chciał już wtedy powiedzieć Jem, ale Smith mu groził wyrzuceniem z domu. Opowiedział jej, jak Smith się śmiał z jej snów i przeznaczenia i że uważał ją za lekko stukniętą, ale sądził, że mając dziewczynę, stanie się bardziej atrakcyjny dla Cheri. Powiedział jej nawet, że Smith kochając się z nią, marzył o Cheri...

— O Boże! O Boże, rzygać się chce! Nie mogę uwierzyć, że o niczym mi nie powiedziałaś tamtej nocy w Bayswater, Ralph.

— Załkała. — Pozwoliłeś, żebym... o Boże, czuję się taka upokorzona, nigdy w życiu mnie tak nie upokorzono!

— Pomyśl, jak by to zabrzmiało, Jem! Nie uwierzyłybyś mi! Przecież wyznałem ci miłość, to by zabrzmiało tak fałszywie, jakbym... jakbym sobie wszystko wymyślił! Musiałem ci udowodnić, że Smith to kawał drania. Musiałaś to zobaczyć na własne oczy. Właśnie dlatego... dlatego — Ralph spuścił oczy — dlatego zaprosiłem dzisiaj Cheri. Nigdy się z nią nie przyjaźniłem, nigdy nawet jej zbyt nie lubiłem. Ale musiałem ci pokazać, co się dzieje, nie mogłem pozwolić, żeby cię tak traktował. A wiedziałem, że tylko w ten sposób mi uwierzysz.

— A więc rozmyślnie wszystko zniszczyłeś, co? Rozmyślnie mnie poniżyłeś, zraniłeś i zniszczyłeś na oczach kilkudziesięciu osób! Rozmyślnie zrobiłeś ze mnie kompletną i skończoną idiotkę i...

— Nie! Nie! Nie z ciebie — ze Smitha. Zrobiłem idiotę ze Smitha. I muszę przyznać, że przeszedł samego siebie. Nawet ja nie miałem pojęcia, że jest takim kretynem, Jem, uwierz mi. Myślałem, że w najgorszym razie będzie z nią flirtował, ale to

— to było coś niesamowitego. Przepraszam, że zepsułem ci wieczór, ale uznałem, że to niewielka cena za potencjalne zrujnowanie całego twojego życia, na którym, jak dobrze wiesz, bardzo mi zależy, więc proszę, Jem, nie wyładowuj na mnie swojego gniewu, wyładuj go na Smisie. To on na to zasługuje, nie ja. Wiem, że zyskałem u ciebie reputację osoby podstępnej i fałszywej, ale proszę, proszę, proszę, uwierz mi — musiałem to zrobić. Nie mogłem już ani chwili dłużej patrzeć, jak robi z ciebie idiotkę. Smith to dupek. Jest moim najlepszym przyjacielem, ale to dupek. Wiem to, a teraz i ty się dowiedziałas. Proszę, nie gniewaj się na mnie, Jem — proszę!

Jem wyraźnie ustąpiła i zaczęła zawodzić:

— Och, Ralph, jak ja go nienawidzę! Nie chcę go już widzieć na oczy.

— Nie, Jem. Nie pozwól, by mu to uszło na sucho. Zrób mu awanturę. Na twoim miejscu poszedłbym tam i kopnął go prosto w jaja, tak mocno, żeby je wypluł. Zrobił z ciebie idiotkę, Jem, potraktował cię bez krzty szacunku. A ty, bardziej niż ktokolwiek inny, zasługujesz na szacunek. — Pogłaskał zgiętym palcem jej rozpalone, czerwone policzki. — Jesteś niezwykłą dziewczyną, Jem. Jesteś tak cholernie niezwykłą dziewczyną.

Jem przez łzy spojrzała Ralphowi prosto w oczy i nagle to dostrzegła. Przeznaczenie. Męczyzna z jej snów. Jeszcze nigdy nie widziała w czyichś oczach takiej miłości. Ralph naprawdę, naprawdę ją kochał. I to nie tak jak ci inni. Niczego od niej nie chciał, nie był oglupiały, nie wpadł w obsesję, nie żądał, by wypełniła w jego życiu jakąś lukę, nie chciał jej zmieniać, kontrolować czy adorować — po prostu ją kochał. Po prostu i zwyczajnie. Kochał ją. Wyciągnęła swą zimną rączkę i położyła na jego policzku.

— Dziękuję, Ralph. Dziękuję, że tak bardzo ci na mnie zależy. Dziękuję za te obrazy, jedzenie i peonie. Dziękuję, że jesteś przy mnie i za to, co dzisiaj dla mnie zrobiłeś. Przepraszam, że się na ciebie rozłościłam. Przepraszam, że jestem taka uparta. Po prostu... po prostu...

— Tak, wiem, lubisz panować nad sytuacją. Wiem. Znam cię. Dlatego byłem pewien, że muszę zrobić to, co dzisiaj zrobiłem.

— Naprawdę ci na mnie zależy, prawda?

Ralph kiwnął głową, zdjął rękę Jem ze swojego policzka i przycisnął do ust.

— Wiesz, że tak, Jem. I wiesz, że cię kocham...

— Och, Ralph!

— ...i wiesz, że częściowo dlatego to zrobiłem, bo wiedziałem, że w ten sposób zyskam szansę na to, by być z tobą, bo dopóki kochałaś Smitha, niczego bym nie osiągnął...

— Och, Ralph!

— ...i bardzo cię szanuję za to, że nie chciałaś go zranić. Jesteś lepszym człowiekiem niż ja — to mój najlepszy kumpel, a jednak nie byłem wobec niego tak lojalny jak ty. Ale teraz wiesz, jaki jest naprawdę, i jesteś wolna, Jem! Wolna! Nie oczekuję, że powiesz, że mnie kochasz, w ogóle niczego od ciebie

nie oczekuję. Wiem, że źle zrobiłem, *czytajac* twój pamiętnik, i nie oczekuję twojego wybaczenia, ale teraz możemy być przyjaciółmi, a jeżeli nic więcej się między nami nie wydarzy, to przynajmniej będę wiedział, że jest tak dlatego, że mnie nie kochasz, a nie z powodu źle ulokowanej miłości i lojalności wobec żalosego człowieka, który nawet nie zasługuje na to, żeby oddychać tym samym powietrzem co ty. Rozumiesz? Jem uśmiechnęła się tajemniczo.

— Jeżeli więc dożyjemy setki — ciągnął Ralph — a ty się we mnie nie zakochasz, to w porządku, bo przynajmniej będziesz mogła, jeżeli zechcesz i...

Jem przyłożyła dłonie do obu policzków Ralpha, wciąż się uśmiechając.

— ...no bo pewnie po tej aferze ze Smithem czujesz się trochę bezbronna, więc w tej sytuacji, no, wiesz, niczego nie oczekuję...

Jem patrzyła, jak Ralph mówi, a na jej twarzy — niczym wschodzące słońce — pojawiła się czułość i miłość. Nieco bardziej się do niego przysunęła.

— ...więc dopóki będziemy się przyjaźnić, wiesz, chodzić do restauracji albo czasami do pubu, nie oczekuję, że się we mnie zakochasz, wiesz, w każdym razie jeszcze nie teraz, nie tak od razu...

Jem przyciągnęła do siebie twarz Ralpha i położyła jeden palec na jego ustach.

— Już dobrze, Ralph — szepnęła, uśmiechając się od ucha do ucha. — Już dobrze. Kocham cię.

— Co? — Ralph przerwał swoją paplaninę i zmarszczył brwi.

— Kocham cię!

— Ale... ale... ale... naprawdę? Naprawdę, bez żartów?! Kochasz mnie?

Jem kiwnęła głową.

Wszystkie organy wewnętrzne Ralpha wstały i uczyniły owację na stojąco, serce wypuściło z siebie całą serię fajerwerków, w żołądku zafurkotały skrzydła milionów gołębi, a przez umysł radośnie przewinęła się cała taśma telegraficzna. Jem go kocha! Kocha go! Zeskoczył z ławki i zaczął biegać w kółko, wyrzucając ręce w powietrze i pokrzykując z radości.

— Ona mnie kocha! Ona mnie kocha! Och, Jem. — Uśmiechnął się promiennie, siadając obok niej i chwytając ją za ręce.

— Jak ty mnie uszczęśliwiłaś! Nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy. Kocham cię! A ty kochasz mnie! Kochamy się, Jem, kochamy się. — Przyciągnął ją do siebie i nieomal zmiądzzył w najmocniejszym uścisku w historii świata, po czym, nagle, kiedy Jem już myślała, że ją pocałuje, wstał, złapał ją za rękę i popędził z powrotem do galerii. — Mamy sprawę do załatwienia, prawda? — Roześmiał się. — Musimy wrócić na imprezę i odzyskać twoją godność! Chodźmy! — powiedział. — Chodźmy ukrzyżować Smitha!

Ale ich misja nieoczekiwanie opóźniła się przez scenę, jaką ujrzeli przed galerią: Karl, cały czerwony na twarzy, szczerząc zęby, tłukł pięścią po twarzy jakiegoś przerażonego ładnego blondyna, który leżał na masce srebrnego bmw prosto z salonu samochodowego, Siobhan zaś wrzeszczała, bezskutecznie ciągnąc Karla z tyłu za koszulę.

— Ty PIEPRZONY SKURWYSYNU! — Jem i Ralph aż się skrzywili na dźwięk chrząstki pękającej pod knykциями i od widoku strużki krwi, która trysnęła jak czerwony atrament z rozplaszczzonego nosa. — Ty PIEPRZONY SKURWYSYNU!!

— Karl, złaż! Zejdź z niego! Proszę! Zostaw go! — Siobhan zaczęła go ciągnąć za brzeg koszuli, ale nie było sensu go ściągać z Ricka: Karl zawsze był silny, w tym gniewie zaś odznaczał się ponadludzką siłą.

— Ty PIEPRZONY SKURWYSYNU!

Jem i Ralph drgnęli, gdy kolejny cios strzaskał kość policzkową nieszczęsnego Ricka, a następny z obrzydliwym chrzęstem zagłębił się między jego żebra.

— Pomocy! Pomocy! — Rick zapiszczał cieniutko spod pachy Karla. — Niech mi ktoś pomoże!

— Ralph? — Jem trąciła Ralpha.

— Co?

— Nie możesz czegoś zrobić?

— A, jasne, tak. — Niepewnie podszedł do Siobhan. — Co się dzieje? — spytał.

— Och, błagam — wyszlochała Siobhan. — Błagam, zrób coś. On go zabije!

O Boże. To zupełnie nie w stylu Ralpha. Wziął jednak głęboki oddech, chwycił Karla w pasie i próbował go zedrzeć z Ricka jak małża z wraku statku. Karl, nie odwracając się, machnął

w jego stronę ręką, która miała chyba podwójne stawy, i rąbnął go za uchem, ale Ralph nie zwalniał uścisku, zapierając się jedną stopą o samochód. Karl odwrócił się, by sprawdzić, co wyprawia ten irytujący mały pasożyt, zobaczył Ralpha i natychmiast puścił Ricka, jak starą zabawkę, a ten z lupnięciem grzmotnął na maske.

— To ty! — zagrzemiał. — To przez ciebie, ty pieprzony skurwysynu! To wszystko TWOJA WINA!

W ułamku sekundy Ralph zmienił się z bohatera z przypadku w przerażonego, zdezorientowanego człowieczka.

— Co?

— Ty PIEPRZONY SKURWYSYNU!

O Boże, czy Ralph już tego gdzieś nie słyszał?

— Dlaczego mi to robisz, co? Co ja ci takiego zrobiłem? Dlaczego usiłujesz ZRUJNOWAĆ MI ŻYCIE?

Ralph wrzucił ramionami i zaczął się ukradkiem cofać przed Karlem. Potem zaś, na własne nieszczęście, uśmiechnął się.

— Z czego się, KURWA, śmiejesz, ty PIEPRZONY SKURWYSYNU?! Uważasz, że to ZABAWNE?! Zapraszasz mnie na imprezę, żeby mnie upokorzyć i złamać mi serce, i uważasz, że to takie ZABAWNE?!

— Słuchaj, stary, przepraszam, naprawdę bardzo cię przepraszam, ale wcale się z ciebie nie śmieję, nie zamierzam ci rujnować życia i nie mam zielonego pojęcia, o co tu chodzi...

— Och! Ty nie wiesz. — Karl zaśmiał się złowieszczo.

— A więc nie zaprosiłeś tej dziwki, Cheri, co?

Ralph sztywno kiwnął głową.

— No — zaprosiłem.

— Jasne. Więc może nie zaprosiłeś mnie, he?

Ralph przelknął ślinę i znowu kiwnął głową.

— Nie, no jasne, że cię zaprosiłem.

— Ale oczywiście nie zaprosiłeś mojej dziewczyny, Siobhan?

Ralph gwałtownie pokręcił głową.

— Nie, nie! Jej nie zapraszałem. Nawet jej nie znam, słowo daję!

Karl chwycił Ralpha za kołnierz jego ślicznej nowej koszuli od Dolce&Gabbana i przyciągnął jego twarz zaledwie na parę centymetrów od swojej. Jem aż się zatchnęła i złapała Ralpha za rękę.

— To kto ją zaprosił, co? Kto ją zaprosił? To twoja impreza, ty tu, KURWA, jesteś gospodarzem! No! Kto inny mógł ją zaprosić? Mam ochotę CIĘ ZAMORDOWAĆ, ty draniu, to była najgorsza noc w moim życiu i teraz mam ochotę cię zamordować!

Siobhan delikatnie dotknęła łokcia Karla.

— Karl, proszę, to nie jego wina. To niczyja wina. Proszę, daj mu spokój.

— Nie, Shuv, nie wtrącaj się! Ten SKURWYSYN pogrywa ze mną i nie ujdzie mu to płazem.

— Naprawdę nie sądzę, by to on mnie zaprosił, Karl. Proszę, zostaw go. Nie bij się już.

— Ależ Shuv, wydawało mi się, że o to właśnie ci chodzi! Myślałem, że chcesz, żebym się tak zachowywał, żebym działał, bronił twojej czci, walczył o to, czego pragnę...

Siobhan zajął mu głęboko w oczy i ujęła jego luźno teraz wiszące dłonie.

— Karl, już za późno. To na mnie powinieneś krzyczeć. Powinnam była ci powiedzieć o Ricku. Powinnam być wobec ciebie szczerą. Powinnam była ci o wszystkim powiedzieć. Za późno na bójki, Karl, już za późno.

— Ale... ale... — Bezradnie przenosił wzrok ze zdyszanego Ralpha na błagającą Siobhan. Już nie wiedział, co robić. Nie wiedział, co myśleć. Nie wiedział, kim jest, gdzie jest i po co tu przyszedł. Podniósł ręce do oczu i rozplakał się. — O Boże

— wymamrotał przez zaślinione wargi, mocno pocierając oczy wierzchem dłoni. — O Boże.

Siobhan otoczyła go ramieniem i odprowadziła od grupki gapiów. Po drodze odwróciła się i uspokajająco mrugnęła do Ricka, na co on lekko i boleśnie skrzywił się pod skorupą krwi krzepnącej mu wokół nosa i ust. Wiedział, co Siobhan musi zrobić. Zrozumiał. Wyprostował się z trudem, delikatnie ocierając nos i usta.

— Stary, czy mógłbym wejść i przyłożyć sobie trochę lodu?

— spytał cicho, gdy Siobhan i Karl już odeszli.

— Jasne, tak, oczywiście. — Ralph oprzytomniał — odkąd Karl po raz pierwszy wyzwał go od PIEPRZONYCH SKURWYSYNÓW, znajdował się w jakimś wywołanym strachem paraliżu — podsunął Rickowi ramię i powoli weszli do galerii.

— Och, dzięki Bogu, że już jesteście. — Cheri z niepokojem podeszła do Jem i Ralpa. — Musicie pozbyć się Smitha, doprowadza mnie do szału. — Wskazała na Smitha, który na drugim końcu pokoju, nieświadomy powrotu Jem, zataczając się, szedł do toalety. — Nie chce się ode mnie odczepić — szepnęła.

Od wyjścia Jem przez godzinę rozpaczliwie usiłował przekonać Cheri, że nie jest pijany, że nie jest żalony, że nie jest smętnym, głupim palantem i że jego oświadczenia są nie tylko szczere i dyktowane namiętnością, lecz również stanowią fantastyczny pomysł, i że Cheri do końca życia będzie żałować, jeśli je odrzuci.

Cheri z litością i współczuciem spojrzała na Jem i położyła rękę na jej ramieniu.

— Wszystko w porządku? — wymówiła bezgłośnie. Jem kiwnęła głową i uśmiechnęła się do Ralpa, a potem znowu do Cheri.

— Już dobrze, dziękuję. Jestem wściekła, zażenowana i poniżona, ale już czuję się dobrze. W przeciwieństwie do tego biedaka. — Odsunęła się na bok, odsłaniając nieszczęsnego Ricka, wspierającego się na ramieniu Ralpa, na którego twarzy raptownie zaczęły wykwitwać fioletowoszare, błyszczące guzy.

Cheri z troską spojrzała na zakrwawioną, potłuczoną twarz Ricka i w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania.

— Rick? — powiedziała, biorąc go za rękę i pomagając Jem i Ralpowi zaprowadzić go za bar, do wielkiego, czarnego wiadra z na wpół stopionym lodem.

Rick z wysiłkiem zmarszczył twarz, usiłując ją sobie przypomnieć.

— Cheri — odpowiedziała, kładąc dłoń na jego piersi. — Pamiętasz? Jestem — byłam — przyjaciółką Tamsin. W zeszłym roku latem pojechaliśmy razem do restauracji na Fulham Broadway i twój samochód się zepsuł, pamiętasz?

— A, tak. Oczywiście. Cheri. Pamiętam cię, jasne. Co ty tu robisz? — Skrzywił się, gdy Jem i Ralph delikatnie posadzili go na krześle.

— O Boże. — Roześmiała się. — Nie pytaj!

Ralph i Jem popatrzyli po sobie. Pojawiło się niebezpieczeństwo, że impreza załame się pod ciężarem zbyt dużej liczby dramatów i zbiegów okoliczności.

Cheri owinęła trochę lodu w lnianą serwetkę i przyłożyła go Rickowi do twarzy.

— Dobrze się czujesz? — spytała. — Może powinieneś pojechać do szpitala?

Rick pokręcił głową i uśmiechnął się dzielnie.

— Nie, to tylko otarcia. Naprawdę. Nic mi nie będzie.

Cheri uśmiechnęła się uprzejmie i podjęła opatrywanie go.

Bawiła ją ta rola miłosiernej Florence Nightingale*.¹⁹ Niegdyś czułaby się chora na samą myśl o dotknięciu czyjejś rany, krwi — sprawiłoby to jej ogromną przykrość. Teraz dawało jej przyjemność. Może powinna zostać pielęgniarką? Znowu się uśmiechnęła.

Impreza już przygasła. Znajomi Ralpha zaczęli pytać o numery radiotaxi, a pod galerią tłoczyli się pijani goście, czekając na czarne taksówki.

Z odtwarzacza CD wciąż leciała Abba, teraz już nieco zapomniana, gdyż przy jej dźwiękach tańczył tylko jeden pijany facet z rzewną miną i twarzą całą pokrytą szminką, przyciskając do piersi butelkę szampana i nucąc smętnie *Dancing Queen*.

Philippe chodził niepokieszony po sali z popielniczką, zbierając niedopałki, co jakiś czas śliniąc palec, by wytrzeć małe, ledwo widoczne dziurki wypalone na jego pięknej posadzce z klonu, i cicho utyskując pod nosem.

Pod ścianami stało jeszcze kilka par wciąż pochłoniętych rozmową i nieświadomych, że impreza już się kończy, a Ralpha otaczała grupka przyjaciół, dziękując mu hałaśliwie za fantastyczny wieczór, gratulując wystawy i szczęścia oraz prowadząc chaotyczne rozmowy, które pojawiają się zawsze pod koniec imprezy — zaproszenia na inne imprezy, umawianie się na telefon, ostatnie wiadomości i plotki — jak wtedy, gdy usiłujesz zmieścić w dwóch minutach wszystkie informacje, którymi nie podzieliłeś się wcześniej, bo rozmawiałeś z kimś innym. Czy też, w wypadku tej konkretnej imprezy, bo pokazywałeś obrazy swojej muzie, bo patrzyłeś, jak twój najlepszy przyjaciel oświadcza się nieodpowiedniej kobiecie, bo przekonywałeś swoją ukochaną, by się

¹⁹ * Florence Nightingale (1820-1910) — angielska pielęgniarka, reformatorka systemu szkolnictwa; symbol miłosierdzia i poświęcenia.

w tobie zakochała, i próbowałeś przerwać bójkę między rozwścieczonym porzuconym kochankiem i nowym chłopakiem jego dziewczyny.

Siobhan i Karl jeszcze nie wrócili ze swego uspokajającego spaceru, Cheri nadal pielęgnowała rany nieszczęsnego Ricka, Jem stała z Ralphem, który żegnał się z przyjaciółmi, a Smith... gdzie się podział Smith? Smitha nie było nigdzie widać.

Prawdę mówiąc, to nikt go nie widział od jakiejś pół godziny, kiedy to Jem i Ralph wrócili po dramatycznej scenie na ulicy.

— Chyba widziałam, jak szedł do toalety — podsunęła usznię Cheri, lekko przykładając palec owinięty w serwetkę do ran Ricka.

Ralph i Jem popatrzyli po sobie ukradkiem. Kiedy podczas imprezy ktoś na tak długo zniknął w toalecie, zazwyczaj oznaczało to jedno. Cicho przeszli drewnianą podłogą do drzwi toalety, gdzie Rick nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc otworzył je powoli, Jem zaś, trzymając go za rękę, zerknęła mu przez ramię.

Widzieli już w swoim życiu wiele pożałowania godnych scen, wiele żalonych, pijanych indywiduów w dziwnych pozycjach i sytuacjach, ale nic nie przygotowało ich wystarczająco na widok, z którym się zetknęli po otwarciu drzwi toalety w galerii Philippe'a.

Z pomieszczenia buchnęła ogromna fala pary, a za drzwiami ukazał się Smith, kompletnie nieprzytomny, skulony na sedesie, ze spodniami zrolowanymi wokół kostek i skurczonym penisem smętnie zwisającym z jednej strony na połach koszuli. Jego głowa spoczywała w umywalce w otoczeniu aureoli śmierdzących, żółtozielonych wymiocin, którymi malowniczo upstrzona była również jego twarz i mokre włosy. Gorąca woda spływała po ściankach umywalki, omijając wymiociny, za to wzniecając w toalecie kłęby pary. Na dnie miski klozetowej, dokładnie widoczna dzięki kątowni, pod jakim siedział goły tyłek Smitha, leżała olbrzymia, cuchnąca kupa. Zaiste był to najbardziej zenujący widok z jakim zetknęli się Jem i Ralph.

— O Jezu — powiedziała Jem, przykładając dłoń do ust i odwracając się.

— O Jezu — powtórzył Ralph, tłumiąc śmiech. — Co za idiota.

— Co teraz zrobimy? Biedny Smith.

— Ha! — wykrzyknął Ralph. — Biedny Smith, dobre sobie!

— Co się dzieje? — Cheri usłyszała z drugiego końca pomieszczenia odgłosy zamieszania i stanęła za nimi nieświadoma, że za chwilę stanie się świadkiem sceny, na wspomnienie której przynajmniej przez tydzień będzie ją odrzucać od jedzenia. Zajrzała ciekawie Ralphowi przez ramię i pisnęła, kiedy zobaczyła, co znajduje się w toalecie, po czym odwróciła się z przerażeniem.

— Smith! — krzyknął Ralph, kopiąc go w goleń. — Hej, obudź się, obudź się! Przyszła twoja narzeczona! Hej! Obudź się!

Smith powoli otworzył jedno oko i wydal z siebie dziwny, stłumiony jęk, który zabrzmiał jak „Daj mi spokój”, chociaż nikt nie był tego pewien.

— Stary, przyszła Cheri, twoja narzeczona! Obudź się!

— Uch — powiedział Smith, otwierając drugie oko i unosząc głowę parę centymetrów nad zapaskudzoną umywalkę. — Cheri?

— Tak. Cheri. — Ralph uśmiechnął się ironicznie.

— Och, Ralph! — krzyknęła Jem. — Zostaw go. Już wystarczy! Ralph wiedział, że Jem ma rację. Świetnie się bawił, ale zachowywał się okrutnie, podle i zupełnie nie po chrześcijańsku.

— OK — powiedział. — Masz rację. — Pochylił się w stronę Smitha i krzyknął mu do ucha: — Zostawiam cię, żebyś sobie pogawędził z Cheri, dobra?! — Po czym zostawili Smitha, który stopniowo odzyskiwał przytomność, a wraz z nią — strasliwą świadomość, że we włosach ma rzygowiny, w sedesie pod nim leży kupa, jego penis i goły tyłek są wystawione na widok publiczny i że nad nim stoi jego ukochana Cheri, przyglądając mu się z wyraźnym wyrazem litości, obrzydzenia i zgrozy.

— Uch, Boże — wymamrotał, z powrotem opuszczając głowę do umywalki i zamykając drzwi kopnięciem jednej do połowy gołej nogi. — Uch, Boże.

Siobhan i Karl wrócili z przechadzki i zastali galerię niemal całkiem pustą, nie licząc nieszczęsnego Ricka, który nadal siedział na krześle przy barze, gdzie go zostawiła Cheri. Twarz miał już tak spuchniętą i siną, że aż nie do poznania. Karl został z tyłu, Siobhan zaś delikatnie postawiła Ricka na nogi.

— W porządku, stary — powiedział Rick, mijając Karla i idąc do drzwi wyjściowych. — Należało mi się.

Karl wyszedł za nimi na ulicę i patrzył, jak Siobhan czule sadza Ricka na miejscu dla pasażera, zapina mu pas bezpieczeństwa i lekko zdejmuje kosmyk włosów z krwi, która krzepła mu nad okiem.

Podeszła do samochodu od strony kierowcy, otworzyła drzwi, wsiadła, poprawiła fotel, włożyła kluczyki do stacyjki i spojrzała na Karla, gdy automatyczna szyba w oknie się opuściła. Położyła dłoń na ręce, którą wsunął do samochodu.

— Cześć, Karl — powiedziała. — Cieszę się, że się dzisiaj spotkaliśmy. Cieszę się, że to się stało. No — wskazała na Ricka

— może nie wszystko. Ale niezależnie od tego, kto mnie zaprosił, a jestem całkiem pewna, kto to był — wskazała na Cheri stojącą w oknie galerii i przyglądającą im się ze smutkiem

— cieszę się, że to zrobił.

Karl nie mógł zaprzeczyć. Była to najbardziej bolesna, najstraszniejsza noc w jego życiu. O wiele gorsza od tej, kiedy Siobhan wyrzuciła go z domu. Ale dobrze, że tak się stało. Musiało do tego dojść. Przeprowadzili bardzo ważną rozmowę, spacerując między rozświetlonymi sklepikami z lampami i przytulnymi, ekskluzywnymi antykwariatami przy Ledbury Road. Rozmawiali o wszystkim, ale głównie o przyszłości i teraz Karl bez najmniejszych wątpliwości rozumiał, że w życiu Siobhan nie ma dla niego miejsca...

— Lepiej będzie, jak się rozstaniemy — powiedziała wtedy, uśmiechając się do niego promiennie. — Musisz sobie odpuścić, Karl. Im wcześniej, tym lepiej. Spójrz na świat innymi oczami, zdziwisz się, co zobaczysz — świat jest zachwycający! Wyobraź sobie, że podczas ostatnich piętnastu lat byliśmy krótkowzroczni, a w ciągu tych ostatnich miesięcy, które spędziliśmy osobno, dobieraliśmy sobie nowe okulary. Ja założyłam swoje, ale ty nie. Teraz musisz to zrobić. Naprawdę, Karl! Załóż je i przekonaj się, jak jasne potrafi być życie, jak nowe, świeże i barwne.

Karl nie był przekonany do tej dziwnej analogii. Brzmiała dość nieprawdopodobnie. I, niezależnie od tego, co o tym sądzi Siobhan, cieszył się, że miał okazję wkopać Rickowi. Podobało mu się to — słusznie czy niesłusznie, ale mu się podobało. Mocno chwycił Siobhan za rękę i uśmiechnął się do niej przez zaciśnięte zęby, kiedy okno zaczęło się zamykać.

— Może poszlibyśmy kiedyś na drinka? — Wcisnął to zaproszenie przez ostatnie parę centymetrów otwartego okna i wycofał rękę z samochodu.

Siobhan kiwnęła głową, wprowadziła samochód na podjazd, posłała Karlowi ostatni uśmiech i odjechała.

Karl stał na chodniku, chwiejąc się lekko w podmuchu wzbudzonym przez samochód i na rześkim, zimowym wietrze, który wzbierał na Ledbury Road. Włożył ręce do kieszeni płaszcza, patrzył za samochodem, dopóki ten nie zniknął mu z oczu, po czym odwrócił się i wrócił do galerii. Otarł łezkę z brzegu nosa, wziął głęboki oddech i przyśpieszył kroku.

Czas iść do domu. Czas zacząć wszystko od nowa. Czas spojrzeć na świat innym wzrokiem.

Czas...

Tej nocy na Almanac Road czarną taksówką wracał przedziwny kwintet. Karl siedział w milczeniu z jednej strony, wyglądając ze skupieniem przez okno i z roztargnieniem masując kciukiem zdartą skórę na knykciach. Chciałby, żeby taksówka przyśpieszyła i czym prędzej zabrała go do domu, i usiłował nie patrzeć na Cheri, która siedziała sztywno na jednym z rozkładanych foteli, rozpaczliwie próbując jak najbardziej odsunąć się od śmierdzącego Smitha, który zrobił, co mógł, żeby pozbyć się wszelkich śladów wymiocin i żółci, lecz nie zdołał usunąć silnego i ciężkiego odoru. Jak pies wystawił głowę przez okno. Od ostrego wiatru rozwiały mu się włosy i łzały oczy, ale przynajmniej nie musiał oglądać Cheri, która rzucała mu potępiające spojrzenia przypominające, że nigdy, w całej historii ludzkości, nikt nie wygłupił się tak spektakularnie i tak do cna. Nie musiał też patrzeć na Jem wtuloną w pachę Ralpha i zerkającą na Smitha ze smutkiem, litością i zalem, od czego czuł jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu tego koszmarnego rozwoju wypadków na imprezie u Ralpha.

Nikt się nie odzywał, gdy taksówka toczyła się przez Battersea Bridge. Niebo nad nimi było atramentowoczarne i jasno rozświetlone przez wielki, biały księżyc w pełni. Pod mostem przepłynął statek wycieczkowy obwieszony lampkami i rozbrzmiewający odgłosami rozmów i muzyką. Z pokładu zamachała do nich butelką szampana jakaś chuda dziewczyna w sukience z lycry. Smith odmachął jej bez przekonania.

Taksówka zajechała cicho pod numer trzydziesty pierwszy i jej pasażerowie ciężko, lecz z wdzięcznością wysypali się na chodnik, ciesząc się, że ta jazda z piekła rodem już się skończyła.

Cheri zwałwo ruszyła do drzwi wejściowych, usiłując uniknąć rozmowy z Karlem, zwłaszcza po katastrofalnym wyniku jej próby ponownego połączenia go z Siobhan, której wysłała zaproszenie. Dogonił ją na schodkach i stanął za nią niezdarne, gdy otwierała drzwi.

— Co za noc, prawda? — odezwał się niespodziewanie. Cheri odwróciła się na dźwięk jego głosu.

— Tak. — Zaśmiała się nerwowo. — Niesamowita.

— Eee. — Podrapał się po karku. — Nie wiem, kto dzisiaj zaprosił Siobhan. Podejrzewam, że ty. — Uciszącym gestem podniósł rękę, gdy Cheri zaczęła się tłumaczyć. — Nic nie szkodzi, Cheri. Naprawdę. Cieszę się, że zaprosiłaś... że ktoś ją zaprosił, i cieszę się, że ją dzisiaj zobaczyłem, i cieszę się, że uderzyłem Ricka. Więc... nie przejmuj się. OK? Wszystko w porządku i w ogóle to przepraszam, że tak na ciebie nakrzyczałem. To było niesprawiedliwe. Byłem pijany. Przepraszam. — Posłał jej ciepły, szczerzy uśmiech, pełen nadziei na przyszłość i odcinający się od przeszłości. Potem wsunął klucz do zamka i zniknął cicho w swoim mieszkaniu, zostawiając Cheri przy schodach, z płaszczem w rękach oraz zdziwieniem, wdzięcznością i zadowoleniem powoli rozjaśniającymi jej twarz.

Odwróciła się i ruszyła schodami na ostatnie piętro, uśmiechając się do siebie i znowu nie mogąc się nadziwić, jaką radość potrafi przynieść dobroć...

Smith zniknął szybko w suterenie. Marzył tylko o tym, żeby się położyć. Głowa mu pękała, miał obolałe gardło, a serce tak mu się ścisnęło, jakby powoli wykrwawiało się na śmierć. Zatrzasnął za sobą drzwi, nie zważając na to, że tuż za nim idą Jem i Ralph; nie chciał ich oglądać już choćby przez jedną, jedyną chwilę. Wszystko się rozpieprzyło. Ralph to kawał drania, Jem go nienawidzi, Cheri nim pogardza. Nie ma przyjaciela, nie ma dziewczyny ani choćby swoich fantazji. Wszystko odeszło. Wszystko. Był jednak zbyt zmęczony, by się zastanawiać nad przyszłością, nad ułożeniem sobie życia, nad Cheri i całą resztą.

Zajmie się tym jutro. Jutro kupi Cheri kwiaty, przeprosi, da Ralphowi i Jem rozkaz do odwrotu, wykopie ich z domu. Jutro. Teraz musi się przespać...

Jem i Ralph stali u szczytu schodów prowadzących do suterenu i przez jakiś czas patrzyli na księżyc w pełni.

— Wiesz, że kiedy pierwszy raz tutaj przyszłam, też była pełnia? — powiedziała Jem, mocno obejmując Ralpha w pasie.

— Tak? — wymruczał radośnie, całując Jem w czubek potarganej głowy. — Podczas pełni zawsze dzieją się dziwne rzeczy, prawda? Ludzie zachowują się dziwnie, inaczej.

— Pewnie, że tak!

Na chwilę zamilkli, rozważając niewiarygodny rozwój wypadków, które miały miejsce tej nocy.

— A pamiętasz — odezwała się nagle Jem — pamiętasz, kiedy przyszłam obejrzeć wasze mieszkanie? Dzwoniłeś wtedy do Claudii i nawet na mnie nie spojrzales!

— Ale na pewno nie wiesz, że parę sekund przed twoim przyjściem siedziałem na kanapie, tam. — Wskazał przez okno na kanapę. — Siedziałem, czekałem na tajemniczą dziewczynę o imieniu Jem i... paliłem papierosa. Tak więc, jak widzisz, to o mnie chodziło. To ja byłem tym mężczyzną na kanapie, mężczyzną z twoich snów! Może wcześniej byś się domyśliła, gdyby ta cholerna Claudia nie zadzwoniła akurat w tej chwili...

— I gdybyś przyniósł peonie! I nie nosił tych wstrętnych kalesonów! I...

— OK! — Roześmiał się, przyciskając ją do siebie. — Masz rację! Przeznaczenie chadza dziwnymi ścieżkami, nie?

— Wiesz, że Smith pewnie każe nam się wyprowadzić?

— Tak. W razie czego damy sobie radę. Znam śliczny domek przy Cable Street!

Ruszyli w dół schodami, lecz nagle Ralph zatrzymał się i odwrócił twarzą do Jem.

— Czekaj! — wykrzyknął, uśmiechając się promiennie. — Czekaj! Mam pomysł. Zostań tu i nie ruszaj się, dopóki ci nie powiem. OK? — Pobiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz i zniknął za drzwiami wejściowymi, które się za nim zamknęły.

Jem niepewnie stała na schodach, drżąc lekko na zimnym wietrze i zastanawiając się, co też ten Ralph wymyślił.

Chwilę później zauważyła światło w oknie salonu, odwróciła się i zajrzała do mieszkania.

Na kanapie siedział mężczyzna. Nad jego głową unosił się długi pióropusz zabarwionego na różowo dymu. Miał szczupłą szyję i owalną głowę porośniętą krótkimi, czarnymi włosami, które przechodziły w uroczy trójkącik szczeciny u podstawy czaszki. Jem zdrzała. To był jej sen. Dokładnie! Potem na jej twarzy pojawił się szeroki, mimowolny, szczery uśmiech. Mężczyzna na kanapie lekko się odwrócił. Spojrzał na Jem i odwzajemnił jej uśmiech.

I wtedy Jem jedną ręką uniosła rąbek sukienki w różyczki i zbiegła po schodach, stukając obcasami po betonie, pchnęła drzwi wejściowe, a potem drzwi do salonu, złapała swe przeznaczenie, rzuciła je na kanapę i wycalowała za wszystkie czasy.

RS